

ŚLADY



ZBRODNI

# ANNA JANSSON



Cykl z policjantką  
znaną z serialu  
„Maria Wern”

## OFIARY Z MARTEBO



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

# *Ofiary z Martebo*

Anna Jansson

Wydawnictwo Dolnośląskie (2014)

---

Wilhelm Jacobsson, właściciel małego gospodarstwa w Martebo na Gotlandii, zaginął bez śladu. Borykał się z problemami finansowymi, miał na pieńku z sąsiadami, a jego relacje z bliskimi były dalekie od ideału. Wkrótce z morskiej wody zostaje wyłowiony mały palec w foliowej torebce, a kilka dni później pies wygrzebuje ze stosu kamieni zwłoki mężczyzny.

Śledztwo prowadzi komisarz Maria Wern, która próbuje odkryć, jakie sekrety skrywa rodzina Jacobssonów. Czy legenda o zaginionym średniowiecznym skarbie ma jakiś związek ze sprawą?

"Kryminały Anny Jansson mają głębię rzadko spotykaną w innych powieściach tego gatunku."  
Länstidningen Södertälje

Tytuł oryginału  
*Silverkronan*

Projekt okładki  
Magdalena Zawadzka

Fotografie na okładce

© Oksana Bratanova / Shutterstock.com

© cluckva / Shutterstock.com

© rayjun / Shutterstock.com

© vanau / Foter / CC-BY Fotografia dostępna na licencji Creative Commons.

Pełen tekst licencji: <http://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl/legalcode>

Redakcja  
Iwona Gawryś

Korekta  
Anna Kurzyca

Redakcja techniczna  
EDYTOR

Copyright © Anna Jansson 2003 by Agreement with Grand Agency, Sweden and ANAW Sp. z o.o., Poland

Polish editions © Publicat S.A. MMXIV (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

ISBN 978-83-271-5134-6

Wrocław

Wydawnictwo Dolnośląskie  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
Oddział Publicat S.A. w Poznaniu  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: [wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl](mailto:wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl)  
[www.wydawnictwodolnoslaskie.pl](http://www.wydawnictwodolnoslaskie.pl)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# ZASTRZEŻENIE

Nauka jest tylko wstępnym założeniem w oczekiwaniu na nowe odkrycia. To jest moja historia o mokradłach Martebo i gospodarstwie Knutstorp. Jeśli gdzieś otarłam się o utarte prawdy, to jedynie w celu uczynienia treści bardziej prawdopodobną.

Z życzeniami miłej lektury,

*Anna Jansson*

*Marzycielu, szaleńcze...*

Marzycielu, szaleńcze - u kołyski twej wróżka  
jaki ci przez nią dar o świcie dany?  
wszystko co tonie w występku głębinie  
wszystko co płonie w szyderstwie i drwinie  
wszystko co obiecują sny  
wszystko to czym gwiazd blaski kuszą  
wszystko to czego uszy nie słyszą  
do żałobnego cię wieńca przymuszają...  
- kiedy bić zaczną głuche dzwony  
zabrawszy w drogę bogactwa swe  
odejdiesz w swym śnie utulony

Ze zbioru *Pieśni tancerza śmierci* Nilsa Ferlina

Gdyby tylko tego sobotniego wieczoru telewizja miała w ramówce jakiś ciekawy romans, Mona Jacobsson nigdy nie zostałaby oskarżona o współudział w morderstwie. Prawdopodobnie też nigdy nie zostałaby ukąszona przez żmiję. Wyszła na zewnątrz w letni zmierzch, zapięła jasnoniebieski bawełniany sweter i wzięła kilka głębokich oddechów. Wcześniej, gdy stała przy oknie w kuchni, patrząc na ogród, powietrze wydawało się cieplejsze. Na bielonej wapnem ścianie pod dachem zwisały kaskady czerwono-żółtych róż. Na grządkach przekwitłe, zwiędnięte piwonie przybrały brudnobrunatną barwę, zmarnowane jak ulotna zieleń wczesnego lata. Powinna była oczyścić poletko truskawek z chwastów, żwirowa ścieżka też zaczynała już zarastać, ale tak już pozostanie. Wiele rzeczy musiała odłożyć na później, nie miała na nie teraz siły. Powoli i nieubłaganie czas kładł się czarnym cieniem na ogrodowym zegarze słonecznym, okrążenie za okrążeniem. Każdy dzień nosił własny ciężar, własną udrękę. Zdołała jednak powiesić pranie. Szarobiałe prześcieradła, przetarte na środku, powiewały na wietrze. Noce niespokojnego snu odcisnęły swój ślad. Niewidzialna dłoń wiatru targała nimi na wszystkie strony, zachęcając do przygody, wirującego tańca nocą nad łąkami. Jednak w twardych klamerkach do bielizny zachowany został stary porządek szarej codzienności. W powietrzu unosiła się tęsknota, czuła to teraz - tęsknota za tym, co zmysłowe. Może znajdowała się w unoszącym się nad ogrodem zapachu róży, a może w wiejącym od lądu wietrze, który ośmielał się smagać nagie, opalone uda Mony, w skórze, która pod wpływem dotyku pokrywała się gęsią skórką, w igrającej we włosach pieszczocie. Nie domyślała się nawet, gdzie poniesie ją jej tęsknota tego wieczoru.

Żwirowa droga prowadząca do morza otoczona była polami żyta i rzepaku. Na skraju rowu roilo się od maków, żmijowców i margerytek, które przyprószone wapnem połyskiwały w późnym słońcu jak aksamit. Pełne wargi lwich paszcz skrywały żądzę, upajający nektar.

Jeśli tęsknota ma zapach, myślała, to jest to mieszanka macierzanki po deszczu, polnych kwiatów i soli morskiej. Tak pachniało, gdy po raz pierwszy posiadł ją w polnej trawie przy plaży, pod osłoną starej opuszczonej szopy i kamiennego muru, ostrożnie, odważnie i wbrew wszelkim zakazom. Nazywał ją cykoriowym oczkiem, ponieważ jej oczy były okrągłe i jasnoniebieskie. Była tak desperacko naiwna, a jego słowa tak piękne i inne. Słowa zdobywały i pieściły skórę na długo, zanim dotknęły jej jego dłonie. Sprawily, że oczy nabrały blasku, a ciało zaczęło tęsknić.

Chłodne nocne powietrze na gorącej skórze. Pocałunki, którym nie można było się oprzeć, niechybnie prowadzące dalej. Jego dłoń pewnie rozpinająca dół sukienki i sunąca dalej pod jej majtki. Doświadczony palce świadome tego, czego chcą. Opadła rosa. Jej „nie” prowokujące do „tak”. Zobaczyła jego spodnie leżące na kamieniu. Musimy być ostrożni. Przelotna myśl wchłonięta przez

pożądanie. Rozmyte rysy twarzy w cieniu nad nią. Ból połączony z rozkoszą. Jego swobodny ciężar, wilgotne, rozchodzące się po ciele zimno.

Właśnie gdy miał z niej wyjść, ktoś zawołał od strony drogi. Ojciec? Przywarli do siebie mocniej. Cicho! Jego ręka zastygła, obejmując ją silniej. Słuch wyostrzony do maksimum. Czy to zbliżające się kroki? Czuła przez skórę bicie serca ukochanego i w strachu wstrzymała oddech. Ponownie głos, głos ojca. Teraz donośniejszy. Jęknęła przerażona. W ciszy zaczęła gorączkowo szukać majtek pośród chabrow i margerytek. Na sukience widniała plama krwi. Głos zamarł, podobnie jak dźwięk oddalającej się po żwirze opony roweru. Zanim tamtej letniej nocy pobiegła do domu, pospiesznie wyplukała dół sukienki w morskiej wodzie rozświetlonej białą poświatą księżyca. Muzyka dochodząca z imprezy tanecznej w Djupsvik powoli cichła. Drzwi wejściowe zostały zamknięte na noc, ale w domku przy pomoście znalazła schowany nad framugą zapasowy klucz. Schody trzeszczały, kiedy przepełniona wyrzutami sumienia przekradała się do swojego pokoju. Gdy w drzwiach stanął ojciec, leżała sztywna i przestraszona pod kołdrą, starała się nie poruszać oczami pod cienkimi powiekami, próbowała kontrolować oddech. Modliła się do Boga, aby ojciec nie zauważył sukienki, aby nie dotknął wilgotnej tkaniny. Tym razem miała szczęście. Ubranie powieszzone na krześle w dziewczęcym pokoju zdążyło wyschnąć. Kiedy poranne światło oświetliło kwiecistą tapetę, nie było już śladu po nocy. Ale nie było to ostatnie spotkanie na łące, miało być ich o wiele więcej. Z efemerycznej postaci kochanka jej tęsknota stworzyła Boga, a w jego pobliżu wszystko stało się możliwe. W jego dłoniach przemieniła się w osobę pożądaną, po drugiej stronie granicy, pasującą do reszty. Wtedy nie pragnęła niczego więcej.

Gdyby tęsknota za tym, co minione, nie prześladowała jej tak silnie w tę letnią noc, nigdy nie zostałaaby świadkiem morderstwa. Ale pragnienie, aby właśnie tego wieczoru zobaczyć miejsce, gdzie się kochali, skierowało jej kroki ku morzu. Gdy znalazła się obok szarych domków przy plaży, dostrzegła nad wodą sylwetkę mężczyzny. Patrzyła pod słońce, osłaniając przymrużone oczy dłonią. Wiatr od lądu sprawił, że włosy opadły jej na twarz i jeden z kosmyków łaskotał ją w nos. Ruchy mężczyzny, który wysiadł z łódki i szedł, uginając się pod ciężarem dźwiganej w ramionach ocynkowanej miednicy, były jej doskonale znane. Oczywiście śledzie, zawsze to samo. Czasami, choć coraz rzadziej, zdarzała się też flądra. Wilhelm zatrzymał się przy żwirowej drodze, postawił na ziemi miednicę i wyjął fajkę, którą postukał o obcas. Już miała krzyknąć do swojego męża, gdy zobaczyła, jak wita się z kimś. W geście pozdrowienia skłonił się i potrząsnął głową, wprawiając daszek czapki w coś przypominającego klapanie kaczego dziobu.

Ukryła się w cieniu. Wiatr przenikał ciało, wdzierał się pod sweter i sukienkę. Słyszała rozmowę, ton stawał się coraz bardziej zapalczywy; straciła ich jednak z pola widzenia. Głosy były coraz cichsze i bardziej niewyraźne, mimo

że pobrzmiwała w nich narastająca złość. Słowa sprawiły, że skuliła się ze strachu, przyciskając policzek do ściany. Co ona tu robi? Drzwi domku zatrzasnęły się. Powietrze wibrowało pod wpływem wypowiedzianych słów, które wzbudzały jej ciekawość, choć jednocześnie mdliło ją ze strachu na myśl o tym, co się stanie, gdy ją odkryją. W wiosce rybackiej nie było żadnych ludzi, turyści zaszyli się w schroniskach albo korzystali z rozrywek oferowanych przez miasto Visby. Oprócz skulonej pod parapetem kobiety byli tu tylko ci dwaj mężczyźni – oraz chciwość i śmierć.

Wokół niej zapadła ciemność, kiedy wieczorne słońce zniknęło w morzu, pozostawiając tylko złote pasmo tuż nad horyzontem. Mewy ucichły, fale uspokoiły się. Zapalili lampę naftową, światło zamigotało i znieruchomiało. Mężczyźni, równego wzrostu, stali naprzeciw siebie. Patrzyli sobie w oczy, oceniając siłę przeciwnika. Mięśnie ich żuchw drżały, oczy były nieznacznie zwężone. Powoli krążyli wokół siebie z rozpostartymi, lekko zgiętymi rękoma. Nie po raz pierwszy miała przed oczami taki widok i wiedziała, że rozdzielanie mija się z celem. Jak walczące ze sobą dwa kocury, złączone w kłębowisko pazurów i ostrych jak igły zębów. Najrozsądniej będzie trzymać się od tego z dala.

– Wyglądasz jak skończony idiota. – Zobaczyła, jak dłonie Wilhelma splatają się w uścisku na szyi drugiego mężczyzny, gdy nagle niespodziewany, wyswobadzający cios przeszył powietrze.

– Ponośisz za to odpowiedzialność. Rozumiesz, co zrobiłeś? – Syk w głosie był słyszalny za oknem równie wyraźnie jak rozwścieczony krzyk.

– I ty mi mówisz o odpowiedzialności?! – Wilhelm wyciągnął pogrzebacz z kosza na drewno i zamachnął się. Moment nieuwagi wykorzystał przeciwnik i mocne uderzenie trafiło prosto w cel. Wilhelm zatoczył się i upadł. Zapadła cisza. Nie zastanawiając się, Mona podniosła się i ujrzała jego ciało, złożone w pół na dywaniku. Ponowny cios wymierzony haczykiem do fajerek sprawił, że leżącą bezwładnie szarą głowę odrzuciło na bok.

Musiała chyba krzyknąć. Później nie mogła sobie tego przypomnieć, wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Krzyk w jej głowie był tak głośny, być może wydostał się na zewnątrz. W chwili, gdy powinna jak najszybciej stamtąd uciec, nogi ugięły się pod nią. Stała teraz współwinna. Oboje patrzyli, jak z okrągłej, nabrzmiałej twarzy wraz z uchodzącym z niej życiem spływa rumieniec. Obserwowali w bezruchu, jak to się dzieje. Było to tak namacalne, a zarazem nierzeczywiste – widzieć, jak życie opuszcza znajome ludzkie ciało. Człowiek, który jeszcze przed chwilą mówił i używał rąk. W swojej pracy Mona setki razy widziała nadchodzącą śmierć – nieodłączną część życia, czasami wybawienie. Ale nigdy w takiej postaci.

– Nie chciałem go zabić. – Ujął twarz Mony i zobaczył, jak jego własny strach odbija się w jej oczach. Gdy nie odpowiadała, potrząsał nią. Przełknęła ślinę i próbowała coś powiedzieć. W jej głowie kipiało od myśli, które nie pozostawiały miejsca dla słów.



- Nie - szeptwała. - Nie.

Jej własne myśli zatrzymały się jak wahadło zegara w sypialni w momencie śmierci. Powracający sen. Ten, kto ma moc, zarządza czasem. Dostała do ręki narzędzie zbrodni. Wyrzuć haczyk do wody, powiedział. Gdyby znalazła w sobie odwagę, wyszłaby na pogrążony w ciemności pomost, ale nogi były równie nieposłuszne, jak myśli. Stała sama przy suszarni sieci, jak rozedrgany cień pod gwieździstym, wszechogarniającym niebem. Rower Anselma był oparty o ścianę domku. Pod siodełkiem znajdowała się skrzynka z narzędziami. Tam wetknęła haczyk i zapięła skórzany pasek. Skrzynka świetnie się nadawała. Ręce robiły to automatycznie. On wyszedł, zabrał rower i pojechał po opla Wilhelma. Nie zdążyła nawet pomyśleć. Być może powinna mu powiedzieć, co zrobiła z haczykiem, ale nie miała odwagi. W jego ruchach było tyle złości.

Wlokła się bezwolnie przez ciemne podwórko, niosąc ludzkie zwłoki. Przedzierała się przez kępy trawy i zwiędłych żmijowców, czując, jak jej ręce powoli drętwieją pod ciężarem nóg zabitego. Jego buty ocierały się o jej biodra. Z każdym krokiem wbijały się w nie i drapały przez cienki materiał. Czuła metaliczny posmak w ustach. Mężczyzna, który przewyższał ją siłą, szedł przodem i niósł ciało za ręce. Chwiejąc się, sunęli w górę w stronę samochodu i gdy w końcu dotarli do auta, zrzucili ciężar do bagażnika ofiary.

- Będziesz prowadzić. - Położył się na podłodze przy tylnym siedzeniu. Jej ciało było jak posłuszny automat, prawa ręka wrzuciła bieg. Lewa dłoń na kierownicy, podobnie jak reszta ciała, trzęsła się od wewnętrznego zimna. Zostawili za sobą wioskę rybacką w Eksta i jechali dalej drogą wzdłuż wybrzeża, w kierunku miasta. Nie tylko strach i paraliż sprawiły, że stała się współsprawcą, ale również miłość. Mimo to zdziwiło ją, że było to dla niego takie oczywiste - że będzie z nim dzielić jego winę.

Trudno było dostrzec coś w ciemności. Zostawiła okulary na programie telewizyjnym, obok pilota i pustej torebki po cukierkach. Jak gdyby w innym czasie, kiedy jeszcze nic się nie wydarzyło. Wciąż czuła w ustach słony smak lukrecji. Gdy wróci do pokoju, wszystko będzie takie samo, choć jednocześnie zupełnie inne. Ona stała się przez tę potworność innym człowiekiem. Gdyby w telewizji pokazywali jakiś dobry film, nie poszłaby na plażę. Leżałaby teraz w łóżku, nastawiłaby budzik i zgasiła światło. Najdziwniejsze było to, że stojąc nad rowem i przyglądając się lwim paszczom, poczuła przyływ pożądania, uczucie gorąca w łonie.

Jeszcze przed chwilą. Niesamowite! Miłosne schadzki kończące się zdemaskowaniem i wstydem, jak mogła wciąż czuć pokusę? W tej chwili, w ciemnym samochodzie, pod ciężarem strachu i poczucia winy, było to niepojęte. Jej życie było tak bardzo wypełnione tymi uczuciami - strachem i poczuciem winy. Czasami udawało się je zagłuszyć, ale tylko na chwilę. Z czasem złączyły się z jej „ja” jak bliźnięta syjamskie bez własnego serca.

Strach i poczucie winy. Ojciec uderzył ją w twarz, trzymając mocno za włosy,

walił jej głową o szczyt łóżka, aż traciła oddech. Gówniario, ruszałaś mój portfel. Tak. Ruszała. Ostatnie dwa cukierki miały posmak winy. Resztę rozdała, aby dołączyć do nich, stać się jedną z nich, choćby tylko na chwilę. Nie sądziła, że Anselm się zorientuje. Nie, jeśli będzie podbierała po trochu. Próbowwała odwrócić twarz, by nie czuć jego kwaśnego oddechu. Śmierdział alkoholem. Wykrzywione rysy twarzy wprawiały w drżenie jej siatkówkę. „Wstańże, kiedy do ciebie mówię. Patrzaj mi w oczy!” – wrzeszczał Anselm. Zmusiła się do podniesienia głowy, w tej samej chwili poczuła, jak coś ciepłego i mokrego spływa jej po nogach. „Gówniario, zeszczalaś się! Ja ci pokażę!” Cień, który był matką, pojawił się między nimi i został powalony na podłogę. Łkający płacz i zwycięski cios wymierzony przy akompaniamencie trzasku. Cisza, która zagłuszyła wszystko. Monie udało się wydostać z pokoju i schować pod kamiennymi schodami. Słyszała krzyk i uderzenia, sparaliżowana, niezdolna pomóc swojej wybawicielce. To była jej największa wina. To, że opuściła ją zupełnie odwaga. Wściekły, męski krzyk, który zamienił ją w mokrą plamę na podłodze. Pomyślała o zwłokach w bagażniku. A jeśli Wilhelm wciąż żyje? Co, jeśli rzuci się na nią z wściekłością, gdy otworzą bagażnik? Nie, nie wyczuwała pulsu na jego szyi. Jego wzrok był bez życia. Dwa ciosy, pierwszy, śmiertelny, i drugi, wymierzony na wszelki wypadek, raz na zawsze załatwiły sprawę.

Skręciła w zwirową drogę, zatrzymała się w umówionym miejscu i włożyła robocze rękawiczki, tak samo jak mężczyzna, którego wolę wypełniała. Przeciągnęli zwłoki przez przełaz i szli dalej skapaną w świetle księżycowym ścieżką. Potykała się w swoich lekkich sandałach. Mężczyzna idący przed nią niechcący uderzył ją gałęzią. Nie poczuła bólu, tylko jakby dotyk młodych, miękkich gałązek. To strach stał się źródłem bólu, co sprawiło, że popłynęły oślepiające łzy. Mężczyzna uciszył ją, przystanął i zaczął nasłuchiwać. Wokół słychać było tylko zwykłe odgłosy nocy; wiatr w koronach drzew, szelest małych zwierzątek w wysokiej trawie i ledwo słyszalne uderzenia fal o brzeg. Płacz, który zdławiła w swoim gardle, zagłuszył wszystko. Pragnęła, aby ją objął, ale on chyba nie mógł tego zrobić. Wówczas jego twardość i zdecydowanie zniknęłyby.

W rękach przynosili kolejne kamienie. Przykrywali ciało, aż światło księżycy nie mogło go osiągnąć pod kamienistym grobem. Właśnie wtedy, kiedy sięgnęła po ostatni kamień i postawiła stopę na usypisku, poczuła ból. Ból, który miał ją później zdemaskować i doprowadzić do oskarżenia o współudział w morderstwie. Cichy, syczący odgłos. Ledwie go usłyszała. Później pieczenie w nodze i szelest próbującego odpełznąć zygzakiem łuskowatego stworzenia. Stała na jego ogonie. Żmija ponownie uniosła głowę i zwróciła się w jej kierunku. W bezruchu obserwowały się wzajemnie. Wtedy zwierzę zakołysało ciałem i zaatakowało ją swym tańczącym językiem. Nadepnęła i usłyszała, jak głowa żmii zostaje zmiażdżona między kamieniem a zdartą podeszwą sandała, poczuła, jak ustępuje pod butem. Mona krzyknęła i wpadła w chaszczę, osłaniając twarz,

próbowała odnaleźć ścieżkę, obrazy migwały jej przed oczami. Szaroczarne kamienie blokowały jej ruchy i raniły nogi. Twarda dłoń na jej ustach uciszyła ją. Poglaskał kobietę szorstkim ruchem po włosach. Wtedy podniosła rękę, aby dotknąć jego policzka. Był mokry od potu.

- Nie chciałem go zabić.

- Nie. - Trzymał teraz jej twarz w obu dłoniach, patrzył jej w oczy przez dłuższą chwilę, rozważając coś.

- Nie chcesz patrzeć na to, co teraz zrobię. Poczekaj na mnie przy samochodzie.

- Tak. - Nie pytała. Nie śmiała. Nie miała też siły. Jego rysy były takie ostre w świetle księżyca. Broda i wielki nos świeciły się na biało. Oczodoły leżały w głębokim cieniu pod brwiami. Ostrze błyszczało w księżycowej poświacie. Mona dostrzegła je kątem oka. To była prawda. Nie chciała wiedzieć, co zamierzał zrobić.

Bładym świtem wysadził ją przy skrzyżowaniu na Eksta i odjechał, aby zwieńczyć swe dzieło - tak jak musiało się stać.

„§ 15 Jeśli kto napadnie na kogo i odetnie mu obie dłonie albo obie stopy, albo też wydlubie oboje oczu, a człowiek ten przeżyje, wtedy za oba zapłaci grzywnę dwanaście srebrnych marek. § 16 Jeśli zostanie odcięty komuś nos, tak że nie może on trzymać ni flegmy ni plwocin, wtedy również winien jest zapłacić grzywnę dwunastu srebrnych marek. § 17 Jeśli ktoś komuś odetnie język... zapłaci dwanaście srebrnych marek grzywny. § 18 Jeśli zostanie ktoś ranny w przyrodzenie, tak że nie będzie mógł ojcem zostać, wtedy grzywna to sześć srebrnych marek za każdy kamień... Jeśli pozbawi się go również trzonka, tak że nie będzie mógł czynić swej powinności inaczej niż siedząc jak kobieta, wtedy grzywna to osiemnaście srebrnych marek. Tako rzeczce kodeks gotlandzki *Gutalagen*”. Vega Kraft położyła kodeks na kolanach i siorbiąc, wypila resztki kawy ze spodka, który trzymała umiejętnie pomiędzy trzema palcami. Włożyła do ust jeszcze jedną kostkę cukru i ponownie podniosła spodek. Jej bujne białe włosy były zebrane na środku głowy w duży kok, który podskakiwał przy każdym ruchu.

- Nie brzmi to zbyt sympatycznie. - Komisarz Maria Wern lekko skonsternowana popatrzyła na gospodynię i wymieniła szybkie spojrzenie ze swoim kolegą Tomasem Hartmanem.

- Sympatycznie! Gdy czyta się o tym, co oni wtedy wyprawiali, staje się zrozumiałe, dlaczego nazywamy ten czas ciemnym średniowieczem. „Jeśli wybijesz komuś zęby, płacisz grzywnę, którą każdy z nich jest wart”. Jak dla mnie brzmi to jak zasady gry w monopol, gdzie wystarczy rzucić kostką, żeby coś się zaczęło dziać, i po chwili ktoś odcina komuś język. Cena jest z góry ustalona, tak jakby wylądowało się na rynku Norrmalm. Kiedy się czyta takie rzeczy, to od razu widać przynajmniej, jak cywilizacja poszła do przodu, *Gutalagen* zostało spisane w połowie trzynastego wieku. Pomyślałam, że przeczytam wam to prawo, zanim udacie się na patrol. Gotlandia jest starą, chłopską republiką i zawsze dążyła do częściowej autonomii. Częstujcie się jeszcze ciastkami. Nie próbowałeś moich faworków, Tomas. Proszę.

Komisarz Tomas Hartman posłusznie wyciągnął dłoń w kierunku góry wypieków na półmisku i zerknął na Marię. Chyba wstydził się trochę swojej ciotki Vegi. Jej upodobanie do makabry mogło być czasami nieco męczące, a jak tylko zaczynała się rozkręcać, niełatwo było ją powstrzymać.

- Klinten to naprawdę czarująca okolica. - Maria zatrzymała wzrok na kapryfolium i różach, które pięły się po żółtym płocie przy Norra Murgatan. Opadały na okno i wiły się aż do wysokości mieszkania na poddaszu, które wynajęła na kilka letnich tygodni. Granicę działki stanowił położony po przeciwległej stronie mur obronny - szary i wysoki rzucał cień na paprocie. Małe, wysypane żwirem podwórko, gdzie siedzieli, leżało między dwoma drewnianymi domkami. Vega była właścicielką obydwu i wynajmowała jeden z nich tego lata - parter Hartmanowi, a piętro rodzinie Wernów. Hartman

zwierzył się Marii szeptem, że on i jego żona w ostatnim czasie zdecydowali, że będą odwiedzać swoich najbardziej kontrowersyjnych krewnych oddzielnie. To ocaliło ich małżeństwo. Pracując na Gotlandii latem przez kilka tygodni, mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Maria wiedziała, co miał na myśli, i ze zrozumieniem pokiwała głową. Drzwi do kuchni były otwarte. W cieniu leżał ze skrzyżowanymi łapami dyszący pudel. Oczko w głowie Vegi, Tjelvar.

- Urocze! Ha! Kiedyś mieszkał tu tylko motłoch i męty społeczne, margines. Tu w Klinten roilo się od pcheł, wszy i gruźlicy. Fakt, że mieszkał tu ten hultaj kat, nie dodawało temu miejscu uroku. To było średniowieczne getto. Domy wydają się chować pod ziemię ze wstydu. Wchodzenie przez te drzwi jest wyczynem dość karkołomnym dla mężczyzny, wymaga pewnej dozy pokory. Widziałaś, jak Tomas musiał się schylić. Chociaż teraz uważa się okolicę za atrakcyjną. Idąc ulicą Norra Murgatan, dochodzi się do wzgórza Rackarbacken, a kawałek dalej na północ mamy górę szubieniczną Galgberget z trzema kamiennymi filarami. Sądzę, że może to być inspirujący cel podróży dla stróżów prawa. Wieszano tu pospolitych łotrów, a lepiej urodzonym ścinano głowę. Kobiety palono na stosie, kamienowano albo grzebano żywcem. Wieszanie uważano za nieprzyzwoite, zawsze można było przecież zobaczyć coś obscenicznego pod spódnicą. Na rynku Klinttorg, który mijaliście, jadąc tu - tam, gdzie widzieliście być może straż pożarną - stała buda Kåken, rodzaj pręgierza, narzędzie do kary pokazowej. Zakuwano w niego i chłostano przestępców, których wystawiano na widok publiczny. Mimo wszystko kary w Visby były dość łagodne i nieczęsto zdarzały się tu kary śmierci. Może jeszcze kawy do naleśników szafranowych? Mario? Może dzemu morwowego? Nie żałuj śmietany i nie umartwiaj się. Pozbądź się swojej wewnętrznej ciotki i rozkoszuj się życiem. Już ja dobrze wiem, masło i śmietana, wygodne buty i ubrania, które nie uwierają. Jem, co chcę i kiedy chcę, i musi to być dobre! Nie sądzą, żeby chłopcy lubiły taką skórę i kości. Trzeba mieć za co złapać, nieprawda, Tomas? Musi być masło i prawdziwa śmietana, żeby skóra była miękka i gładka.

- Nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiałem - odpowiedział Hartman dyplomatycznie. - Moja żona mawia, że większość samobójstw popełnia się za pomocą noża i widelca. - Pożałował, zanim zdążył wypowiedzieć kolejne zdanie. Ale słowo się rzekło.

- Życie o samych liściach sałaty, tak jak Marianne, nie może być chyba niczym zabawnym. Karma dla królików. - Vega spojrzała znacząco na Hartmana i w tej właśnie chwili poczuł wdzięczność, że nie ma przy nim żony. Tego rodzaju riposty prowadziły zazwyczaj prosto do zimnej wojny.

- Jedyne, co naprawdę denerwuje mnie w Gutalagen, to fragment o molestowaniu kobiet - nie słysząc odzewu, Vera wróciła do poprzedniego tematu. - Jasny gwint! Kiedy się to czyta, dociera do ciebie, że to mężczyźni ustanawiali prawa, tłuste, zadufane wieprze! Widać, jak łatwa do rozszyfrowania była średniowieczna etykieta. Cienka romantyczna powłoka skrywająca w rzeczywistości głęboką pogardę dla kobiet; grzech pojawił się

na świecie razem z kobietą, która skusiła biednego mężczyznę jabłkiem. Sam widzisz, Tomas, nigdy za wiele ostrożności, jeśli chodzi o owoce i warzywa.

- A co jest tam napisane? - zapytała Maria. Vega wsunęła okulary na czubek nosa i uniosła kodeks *Gutalagen* wyżej. Ten kawałek знаła na pamięć.

„Jeśli dotkniesz jej ramienia, zapłacisz grzywnę pięć örtugar. Jeśli dotkniesz jej piersi, płacisz pięć örtugar. Jeśli dotkniesz łydki, płacisz pół marki. Jeśli dotkniesz między kolanem a łydką, zapłacisz osiem örtugar. Jeśli dotkniesz jeszcze wyżej, wtedy jest to dotyk wstydu i nazywa się to dotyk szaleńca - wtedy nie ma kary grzywny - większość toleruje, jeśli ręka tam sięga”. Do czorta, mówię. Tacy już są ci faceci. Nic dziwnego, że nigdy nie wyszłam za mąż. Pracowałam przez całe życie jako łaźiebna w łaźni Varmbad, widziało się niejedno i o wiele więcej. Ale ty jesteś mężatką. - Vega posłała Marii pełne wyższości współczujące spojrzenie. - Mąż dołączy oczywiście później?

- Tak. Krister i dzieci przyjadą na Gotlandię w przyszłym tygodniu, mam nadzieję. Mama Kristera zachorowała nagle na serce. Zostali więc w Kronviken. Gdyby nie to, przyjechalibyśmy razem.

- Czy to nie szaleństwo pracować w wakacje? - spytała Vega i przeniosła wzrok z Marii na Hartmana.

- Nie ma się wyboru, jeśli jest się biednym. Kupiliśmy stary, drewniany dom, który pochłania fundusze. Myślę, że zabezpieczyliśmy większość mogących się zepsuć rzeczy, ale nie zostało nic na podróże. Wzięłam więc zastępstwo na Gotlandii, żeby rodzina mogła tu przyjechać i spędzić w tym samym czasie wakacje.

- Jest tu zatem czworo policjantów ze stałego ładu. Gdzie reszta?

- Arvidsson i Ek wynajmują domek gdzieś w Kneippbyn - powiedział Hartman.

- Przy domku Pippi Långstrump? Jest tam coś interesującego dla dorosłych mężczyzn?

- Jest zjeżdżalnia wodna.

- Aha. To wszystko tłumaczy. - Vega przesunęła okulary na czoło, spojrzała pod słońce, mrużąc oczy, i oparła się o ogrodową kanapę, aż mebel zatrzeszczał. - Dlaczego kobieta zostaje policjantką? - Skrzyżowała ręce na piersi, nie spuszczając wzroku z twarzy Marii. Tomas Hartman wiercił się z zakłopotaniem. Początkowo myślał, że pomysł wynajmu domku od Vegi jest genialny. Teraz nie był już tego taki pewien. Zapomniał, że ciotka może być tak bezpośrednia, właściwie nachalna w swojej ciekawości. On sam znał ją od maleńkości, ale teraz, gdy Maria siedziała obok, widział Vegę innymi oczami. Ale cóż. Jest jak jest. Pozostaje tylko zaakceptować taki stan rzeczy. Hartman poczuł się w obowiązku odpowiedzieć za Marię.

- Domyślam się, że z tego samego powodu co mężczyźni: wiara w sprawiedliwość, poczucie, że robi się coś dobrego dla innych, coś niezbędnego.

- Nie mogę chyba mówić w imieniu wszystkich kobiet, ale zdecydowałam się

zostać policjantką już w dziewiątej klasie - wtrąciła Maria.

- Ale dlaczego? - Vega zatrzymała spodek w połowie drogi do ust i po raz pierwszy uśmiechnęła się. Przyjrzawszy się Marii krytycznym wzrokiem, właśnie zdecydowała się zaakceptować przybyszkę ze stałego lądu pomimo jej trudności z językiem.

- Przeprowadziliśmy się do Uppsali, kiedy miałam rozpocząć naukę w gimnazjum. Byłam nowa, nieśmiała i dziwnie mówiłam. Dziewczyny w klasie, do której przyszedłam, były naprawdę doświadczone jak na swój wiek, piły w weekendy, popalały i chodziły z chłopakami. Ja byłam chyba dość dziecinna. Początkowo trochę odstawałam, a później przerodziło się to w regularny mobbing. Moja matka opublikowała wtedy serię polemicznych artykułów. Była w tym czasie zaangażowana politycznie, a jej poglądy nie przypadły do gustu niektórym rodzicom. Nic dziwnego, że stałam się ofiarą. Gdyby kogoś dorosłego przezwano tak jak mnie, zaklasyfikowano by to jako zniesławienie. Ale wśród dzieci panują inne reguły. Gdyby dorosłego zamknięto w piwnicy, nazwano by to naruszeniem wolności osobistej. A jeśli dorosłego przypalano by papierosem, a jego włosy zapalniczką, zdecydowanie uznano by to za znęcanie się. Tym razem dotyczyło to dziecka i uszło im to płazem jako szczeniacka psota. Nie poszłam na zakończenie roku w dziewiątej klasie.

- Nigdy mi o tym nie opowiadałaś. - Hartman położył swoją wielką, szeroką dłoń na rękę Marii, pochylił się i popatrzył jej w oczy.

- Możliwe, że nie opowiadałam. Nie jest to łatwe. W drugim semestrze zobaczyłam któregoś dnia w czasie przerwy śniadaniowej, jak wciągają do toalety małego chłopca. Zmusili go, żeby się obnażył. Nie był większy od mojego małego brata. Kazali mu zdjąć spodnie, a on płakał ze wstydu. Byłam tak strasznie wkurzona, że cały strach uszedł ze mnie w jednej chwili. Walałam w ich szyderczo śmiejące się twarze, kopałam i krzyczałam. W ślepej furii niechcący trafiłam nauczyciela, który przyszedł sprawdzić, co się dzieje. „Nie mów nic”, szepnął ten mały szkrab i widziałam, jak się boi. „Nic nie mów pani”. Dostałam uwagę dla rodziców. Następnego dnia miał miejsce sąd u dyrektora. Rodzice chłopca zareagowali, widząc, że źle się czuje.

- Opowiedziałaś rodzicom, co cię spotkało?

- Nie, wstydziłam się tego, że nie jestem tak popularna i udana, jaką chcieli, żebym była. Podrobiłam podpis mamy pod uwagę, nie było to trudne. Jednak właśnie wtedy w pewnym momencie zdałam sobie sprawę z tego, że nie będzie sprawiedliwości, sprawiedliwości praworządnego społeczeństwa, jeśli razem nie przeciwstawimy się bezprawiu.

„Mona! Moonaa!” Krzyk Anselma słyhać było daleko, aż na zboczu za oborą, kiedy Mona wysiadała z samochodu. Czuła, jak jej żołądek ściska się ze strachu. Cholera! Rozglądała się wokół przestraszona. Żeby tylko ktoś nie usłyszał i nie wezwał policji. „Cicho, proszę, bądź cicho!” Kogo ten facet chce obudzić? Przecież obudził już swoim rykiem połowę parafii. Gdyby tylko miała wystarczająco silną wolę, żeby postawić na swoim, kiedy kwestia była jeszcze otwarta. Wilhelm uważał, że jego teść powinien zostać przeniesiony do domu opieki. „Zdecyduj się” – powiedział. „To twój ojciec”. Ale czy odważyłaby się mu to powiedzieć? Nie. Nic z tego nie wyszło. Teraz przeklinała swoje tchórzostwo. Okno na piętrze, nad klatką schodową, było otwarte na oścież. W świetle księżycy widziała tułów Anselma wystający z okna jak kukułka z zegara, balansujący z narażeniem życia nad parapetem. „Moonaa!” Przeszła nad rozbitą doniczką z przetrąconą pelargonią i rozrzuconą wokół ziemią, otworzyła gwałtownie drzwi i ruszyła w górę schodami. Po drodze przewróciła kosz z praniem, potknęła się o brudne ubrania i pobiegła dalej.

- Jestem tu, tato. - Smród, który poczuła, sprawił, że o mało nie zwymiotowała.

- Nie wal tak drzwiami. Gdzieżeś była, do diaska? - Odwrócił się wolno od okna, zsunął się na podłogę i popatrzył na nią ślepym wzrokiem. Pełnym wyrzutu. - Zesrałem się. Gdzie, do diabła, polazłaś?

- Chyba mocno spałam. - Jak dobrze, że nie mógł zobaczyć jej twarzy. Energicznym ruchem próbowała pomóc mu usiąść z powrotem na wózku, ale poczuła, że nie poradzi sobie z jego ciężarem, jeśli on sam nie pomoże jej choć trochę rękami.

- Udało mi się doczołgać do okna. Prawie że mi stracił równowagę i o mało nie rymsnąłem na tyłek, jak się podciągałem. Ale pewno tak miało być, im szybciej kojfnę, tym lepiej, póki jeszcze co do odziedziczenia jest. Na dole na schodach leży doniczka. A niech se leży! Jak wołam po ciebie, to masz przyjść, do diabła!

- Najlepiej chyba będzie, jak cię umyję tu, na podłodze. - Mona wyciągnęła rękę po poduszkę i położyła mu ją pod głowę. Łóżko dosłownie tonęło w kale. Uparcie odmawiał noszenia pieluch w ciepłe, letnie dni. Sądząc po palcach, sam próbował odblokować zawór i wtyczka wypadła. Nie powinien sam odmierzać sobie środków przeczyszczających, często o tym myślała.

- Wydaje mi się, że słyzałem samochód. - Zwlekała z odpowiedzią, czekając, aż będzie mogła polegać na swoim głosie. Czuła, jak strach w postaci fali mdłości napływa ponownie. Stała zupełnie nieruchomo, w nadziei, że oddech się uspokoi.

- Aha.

- Kto to był? - spytał.

- Nic nie słyzałam. Wziąłeś insulinę? - Jej głos był niepokojąco piskliwy.

- Do diabła!



Odmierzyła właściwą porcję i podała mu strzykawkę z insuliną, jednocześnie zwracając uwagę na swoje brudne, podrapane dłonie i gołe nogi. Żmija! Poczwała, jak przez jej ciało przebiega dreszcz. Noga nabrzmiała, a w miejscu ukąszenia widniało zaczerwienienie wielkości wnętrza dłoni. Czy można umrzeć od ukąszenia żmii? Może trzeba wyssać truciznę? Albo położyć jakiś okład? Nie odważy się pójść do przychodni. Lekarz będzie zadawał pytania, nieprzyjemne pytania. Stopa była mocno spuchnięta i rozsadała sandał. Mona wyniosła brudną pościel do łazienki i popatrzyła na siebie w lustrze. Zadrzała, widząc swoje wybałuszone oczy. Bładość, która wyzierała spod opalenizny, sprawiała, że w świetle jarzeniówki skóra przybrała szary odcień. Światło biło po oczach i wzmagało niemiłosiernie ból głowy. Jej pierś unosiła się i opadała z niesamowitą gwałtownością. Na twarzy widać było zadrapanie, wąska czerwona kreska biegła od kącika ust w dół ku brodzie. Włosy były w nieładzie. Wyjęła z nich igłę, która utknęła w grzywce. Co ma teraz począć? Jak to się mogło zdarzyć?

- Przydziesz tu w końcu? Ileż mam leżeć na tej zimnej podłodze? - Ton jego głosu nie był już tak ostry, jak zazwyczaj. Być może Anselm wstydził się trochę tego, że narobił pod siebie. Tego rodzaju grzeczny ton nie utrzymywał się zazwyczaj zbyt długo, ale trzeba być wdzięcznym za tę odrobinę. - Złowił jakie flądry?

- Co?

- Wilhelm.

Wilhelm. Mój Boże, co ona zrobiła! Gdyby tylko nie była takim strasznym tchórzem, odmówiłaby wzięcia w tym udziału. W każdej chwili mogła przyjść policja i zapytać o niego. Co wtedy zrobi? Co ma im odpowiedzieć? Wkrótce mogą tu być i zostanie ukarana, zhańbiona, wystawiona na publiczny widok. Jezu Chryste, co będą gadali we wsi. Najgorsze w tym wszystkim nie będzie to, że ją zamkną, ale zhańbienie. Hańba rzucona na dzieci, rodzinę i gospodarstwo. Nigdy więcej nie będzie mogła pójść do sklepu, nigdy więcej nie pojawi się w pracy. Kto chciałby znaleźć się pod opieką zbrodniarki? Dotkniętych demencją nie będzie obchodziło, kto zmienia im pieluchy, ale zgorzzeni krewni zażądają pewnie, aby opuściła oddział. Będą szeptać za jej plecami, a do niej nie odezwą się ani słowem. Nigdy więcej oko w oko z przyzwoitym człowiekiem.

- Złowił jakie flądry? Odpowiesz ty mi czy mam czekać do jutra?

Wilhelm! Czy złowił jakieś ryby? Oczami wyobraźni Mona widziała, jak niesie ocynkowaną miednicę w stronę budki. Wyglądała na ciężką. Gdyby była pusta, niósłby ją w jednej ręce, zwisającą przy nodze. Mój Boże, miednica na pewno została w budce, a w niej ryby! Co, jeśli na dywaniku zostały ślady krwi? Albo jeśli ktoś znalazł haczyk ukryty pod siodełkiem? Poprosił, aby wrzuciła go do wody. Może powinna zrobić to, co jej kazał, ale nie miała odwagi wyjść na pomost. Nie chciała zobaczyć swojego odbicia w czarnej wodzie. Miało to związek ze snem. Nie chciała widzieć własnej twarzy na powierzchni wody, z drugiej strony, po której znajdował się Wilhelm. Letnicy przypląną niedługo

łódką! Jeśli na podłodze w budce została plama krwi, musi natychmiast ją usunąć, zanim zaschnie.

- Słyszysz ty mnie czyś ogłuchła może? Gdzieżeś polazła, Mona? - Anselm pokręcił głową, patrzył niewidzącymi oczyma i przejechał językiem po zębach, wydymając górną wargę.

- Tu jestem, tato. Zapowiada się na deszcz, chyba pozbieram pranie.

- Nie dasz rady posadzić mnie sama na wózku. Trzeba będzie zawołać Wilhelma.

- Powinnam dać radę, tato. - Słyszała, jak zuchwale brzmi jej głos.

- Nie połam się ino.

Stanąła w rozkroku, zgięła kolana i objęła jego okrągły brzuch.

- Chwyć się wózka. Tak! Teraz do góry. Nie, nie da rady. Musisz usiąść z powrotem na podłodze.

- Toć mówiłem przecie. Idźże po Wilhelma.

- On śpi.

- To idźże go zbudzić.

- Nie mogę. - Nie potrafiła powstrzymać histerycznego chichotu, wypływającego na jej wargi.

- Jak żyję, nie słyszałem czego durniejszego. Wilhelm! Wilhelm!

- Nie, przestań! Przestań, tato! - czuła płacz wydobywający się z przełyku. Anselm zarejestrował zmianę w jej głosie i spojrzał na nią badawczym, mętym wzrokiem.

- Gdzie on?

- Jutro rano wypływa. Musi sobie pospać.

- A ja se będę wtenczas leżał tu na podłodze. Dzięki ci!

Obmyła jego brązowe palce ściereczką i wytarła ręcznikiem. Paznokcie otoczone żalobą wyglądały okropnie, ale tak miało zostać.

- Musi tak być. Położę materac na podłodze i możesz się na niego wdrapać, opatulę cię kocem. Tak będzie dobrze, zobaczysz, tato.

- No do diabła żeż - uszczypnął ją w rękę ubrudzonymi gównem paznokciami. Wykrzywił twarz i jego oczy zamieniły się w wąskie szparki.

- Dobranoc - wycedziła przez zęby.

- Chodźże tu z powrotem, wracajże, ty pieprzona kurewko!

Skuliła się w rogu kanapy i zakryła uszy dłońmi, przymknęła oczy na dłuższą chwilę, czekając, aż Anselm umilknie i będzie mogła znów usłyszeć własne myśli. Powoli otworzyła oczy i popatrzyła na wiszący na przeciwległej ścianie portret rodzinny w złotej ramie. Ona sama taka młoda, z włosami sztywnymi od lakieru i z napiętym grymasem wokół ust. Bliźniacy, Olov i Christoffer, siedzący każdy na jednym kolanie matki i wyrastający jak góra w tle Wilhelm. Mrużąc chmurnie oczy pod krzaczastymi brwiami, rzucał swój cień na resztę. Fałszywa sielanka, półprawda. Mona pochyliła się do przodu, próbując się podnieść, czuła w głowie rozsadzający ból. Wilhelm patrzył na nią oskarżycielsko, świdrował wzrokiem jej jasne, cykoriowe oczy, przytrzymując ją przy ścianie. Mdłości pojawiły się tak

nagle, że nie zdążyła dobiec do toalety. Poczowała, jak ciepła ciecz spływa na jej nagie stopy. „Nigdy nie wyszłabym za ciebie, gdybym nie została do tego zmuszona”, wyszeptała na swoją obronę i położyła dłoń na ustach. Nigdy.

Cisza szumiała jej w uszach jak dźwięk potężnej wody, kiedy Anselm w końcu zasnął i jego niekończące się rymowanki ucichły. Pizda, glizda. Mona wypłukała prześcieradło i zobaczyła, jak brązowa woda wiruje w umywalce. Wraz z koszulką i majtkami włożyła je do pralki. Maszyna zaczęła głośno dudnić, jakby miała się zaraz rozlecieć – funkcjonowała podobnie jak reszta urządzeń w tym domu. Jeśli się obudzi, może uzna, że nie opłaca się krzyczeć do niej w takim hałasie. Teraz był czas na myślenie! Musi dostać się do domków przy plaży. Mechanicznym ruchem pozbierała brudne ubrania, które Wilhelm rzucił na schody. Podniosła jego koszulę w czerwoną kratkę i upuściła ją jak oparzona. Czowała, jakby jego duch wciąż był obecny w podniszczonym materiale jego codziennej koszuli. Zmusiła się, żeby ją podnieść, i z największą trudnością włożyła do kosza na pranie. Majtki, z przodu pożółkłe od moczu, leżały na stopniach jak zarżnięta kura. Skarpety były sztywne od potu. Niebieskie spodnie z zaschniętą ziemią na kolanach prawie stały o własnych siłach. Opróżniła kieszenie ze śrubek, nakrętek i pokrzywionych gwoździ. Kilka razy ostrożnie prosiła go, by zanosił brudne rzeczy do pralni, ale zupełnie to ignorował. Już nieraz kot zaznaczył swój teren na jego ubraniach, kiedy intensywny zapach potu okazywał się nieodparcie kuszący. Gdyby powiedziała mu o tym, z pewnością z miejsca zastrzeliliby zwierzę. Nie odważyła się ponownie podjąć tematu, kiedy zauważyła irytację w jego gestach. Życie sprawiło, że stała się mistrzem w tłumaczeniu języka ciała, rejestrowaniu wczesnych sygnałów, aby zapobiec katastrofie: sztywny ruch karku, zapadająca nagle cisza, zwężające się oczy. Każdą drobną zmianę odnotowywała w ciągu sekundy, by móc rzucić się do ucieczki, jak najdalej w głąb siebie.

Żółty, zaschnięty mocz, plamy wstydu... Chłopcy zabrali jej majtki w przebieralni, kiedy dziewczyny brały prysznic po gimnastyce. Nie miała zamiaru się kąpać i dlatego ociągała się z wyjściem z sali gimnastycznej, ukrywając się za kotarą. Jej ciało było takie chude, zamiast piersi miała dwa piegi. Nie chciała spotkać się z nieskrępowanym wzrokiem innych dziewcząt, być porównywana i oceniana. Inne, popularne dziewczyny miały staniki obszyte koronką, Monie musiała wystarczyć koszulka. Ojciec zawsze rechotał na całe gardło, gdy prosiła o coś, co nie było jej niezbędne. Z przodu wystawały jej żebra, a z tyłu łopatki jak wielkie skrzydła nietoperza. Nie miała odwagi rozebrać się w letnim słońcu i z nadejściem roku szkolnego była zawsze najbledsza w klasie. Ale najgorsze były włosy rosnące we wstydliwych miejscach. Tych nie mógł zobaczyć nikt. Nikt! Nie chciała pokazywać innym swojego ciała, a nauczyciel, który pojawił się w przebieralni, sprawił, że utknęła pod prysznicem i wyszła jako ostatnia. Zapach potu nie jest chyba niczym fajnym? Drzwi między przebieralniami z jakiegoś powodu nie były zamknięte na klucz. Usłyszała krzyki i śmiechy i zdała sobie sprawę, że chłopcy dostali się na zakazany teren. Pomyślała, że ręcznik owinięty wokół jej ciała jest

zdecydowanie za skąpy. W nozdrzach czuła unoszący się w przebieralni stęchły zapach, kiedy ukradkiem spoglądała przez uchylone drzwi na drugą stronę. Para majtek przechodziła z rąk do rąk. Cholera! Ale obrzydliwość! Ale plamy gówna! Cicho modliła się, żeby nie należały do niej. Ktoś trzymał je wysoko, tak aby wszyscy mogli zobaczyć. Nagle wylądowały tuż pod sufitem i na czyjejs głowie, później ktoś zrobił unik i spadły na czyjeś ramię. Gówniane gacie Mony! Ściany zaczęły falować przed jej oczami. Widziała twarze pełne obrzydzenia i radości z jej nieszczęścia. Spuściła wzrok. Tak pozostała, z oczami utkwionymi w podłodze. Fu, ale śmierdzi. Strach i wstyd. Dźwięk ich głosów rozchodził się echem. „Zsikałaś się? Gówniana Mono! Śmierdzisz tak, że nie powinnaś siedzieć z nami w klasie. Zabieraj się stąd do swojego gównianego domu, paskudo!” Jest taki brud, który nigdy się nie dopierze, nieczystość, która wgryza się w ciało jak robak. Prała majtki, aż w materiale powstała dziura, ale co to da, jeśli wszyscy już widzieli. Co to da, skoro mama nie żyła, a tata nie uważał, aby pranie było czymś koniecznym. Szorowała ciało do czerwoności, szorowała, aż zaczęło krwawić, ale brud pozostał, stapiając się ze skórą.

Dwa rowery stały w ciemności w komórce: przedpotopowy hermes Anselma i jej własny monark. Wilhelm kupił jej go na pchlim targu Lions w Klinte. Właściwie nie było to takie głupie, że haczyk leżał tam, gdzie leżał, w skrzynce na narzędzia pod siodełkiem roweru Anselma. Nigdy więcej go nie użyje, żaden z chłopców raczej też nie. Mona odnalazła po omacku rower, wyczuła kierownicę, złożyła podpórkę i pociągnęła za tył roweru. Kiedy wydostała go z szopy, zauważyła, że w oknie w kuchni sąsiadów pali się światło. Może Henrik usłyszał krzyczącego Anselma? Mona odgoniła tę myśl i powiesiła reklamówki ze ścierkami, zielonym mydłem i termosem z ciepłą wodą na kierownicy. Jeśli na miejscu będą jakieś ryby, zapakuje je do reklamówek. Kto wie, iloma chwaliłby się Wilhelm, gdyby połów okazał się udany. Kiedy pojawi się policja i będzie zadawać pytania, wszystko powinno być w idealnym porządku, choć perspektywa czyszczenia ryb do późnych godzin nocnych nie była zbyt kusząca. Zmęczenie dawało o sobie znać ciężkością w nogach, nawet gdy jechała w dół. Na niebie przesuwwały się czarne chmury, które sprawiały, że światło księżycy raz znikało, a raz pojawiała się w sekundowych przebłyskach, jak tajemne sygnały świetlne. Niebo wie, co zrobiłaś! Masz krew na palcach. Winna! Winna! Winna!

Mona bała się zapalić w domku lampę naftową. Próbowwała poruszać się po omacku. Zwinęła dywanik, na którym leżało wcześniej ciało Wilhelma, i zaniósła go na plażę. Ciepły wiatr od lądu owiewał jej plecy. Łagodne fale muskały z delikatnym pluskiem pomost. Nasłuchiwała ludzkich kroków, dźwięków samochodu, głosów. Ale noc sunęła cicho jak skrzydło ptaka przez wioskę rybacką. Na brzegu Mona uformowała z dywanika tobołek, wypełniła go kamieniami i stojąc na pomoście, wrzuciła do wody. Później miała tego gorzko pożałować, ale mądry człowiek po szkodzie. Kiedy strach opanowuje zmysły, trudno zachować jasność umysłu. W ciemności szorowała podłogę w budce.

Zmywała i tarła to, co mogło pozostać z Wilhelma, raz za razem. Dokładnie tak, jak postępowała, gdy uprawiał swoją gonitwę byków do jej sypialni w nocy, po której zmieniała prześcieradło, koszulkę i majtki. Właśnie teraz po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jaką ulgę sprawiło jej to, że już go nie ma. Wstydziła się tego, ale jednocześnie była to dla niej jakby uspokajająca, perliście radosna myśl. Już go nie ma. Jest panią własnego ciała. Przesuwając się na czworakach po posadzce, odnalazła ocynkowaną miednicę i włożyła dłonie w nieznaną zawartość. Zimne, śliskie ciała ryb wysuwały się jej z rąk, kiedy próbowała włożyć je do reklamówki. Ostre płetwy okoni cięły jej palce. Okonie i ponad dwadzieścia śledzi, nie więcej. Zapach był natrętny. Wytarła rybie łuski pozostałe na jej dłoniach o spódnicę.

Kiedy jechała rowerem do domu, niebo rozjaśniło się o jeden ton, mimo że chmury się zagęściły. Wiał południowo-zachodni wiatr. W przyrodzie nie było gniewu. W łagodnym powietrzu wyczuwała odkupienie. Wilhelma nie było już wśród żywych. Pewnie powinna go opłakiwać. Ale żal, podobnie jak miłość, podąża własnymi drogami.

Zostały jej dwie godziny snu, zanim będzie musiała wstać i wyruszyć do szpitala Mariagården. Akurat zdąży jeszcze zająć się oborą, posadzić Anselma w wózku i zrobić mu śniadanie. Myśl o zwolnieniu lekarskim była niewymownie kusząca, ale gdy o tym pomyślała, zdała sobie sprawę, jak niemądre by to było. Mona Jacobsson, która nie była na zwolnieniu od czasu grypy przed czterema laty, zostaje w domu w dniu, kiedy jej małżonek znika. To wzbudziłoby podejrzenia. Pękała jej głowa, mimo zażycia treo i alvedonu. Nie odważyła się wypić więcej wódki Anselma, mimo że zdecydowała się pojechać do miasta autobusem o szóstej. Istniała granica, poza którą domieszka wody stawała się zbyt duża dla starego. Wiedziała to z doświadczenia, kiedy próbie zmniejszenia jego upojenia towarzyszyły mdłości i wahania cukru. Światło świtu przebijało przez szparę pomiędzy ścianą a zasłonką i budziło jej irytację, nawet gdy mrużyła oczy. Usłyszała z góry kasłanie Anselma. Zazwyczaj to suchy kaszel Wilhelma sprawiał, że stary spał urywanym snem. Pewnie zastanawiał się teraz, dlaczego go nie słyhać. Z ulicy dobiegł odgłos samochodu. Mona zastanawiała się, kto to mógł być. Myśli nerwowo błędziły po jej głowie, gdy powoli zapadała w drzemkę, ale ze strachu przed odkryciem prawdy gwałtownie się ocknęła. Powoli udało jej się uspokoić i pocieszyć, głaskała się po ramionach, aż nadszedł sen z własnym obrazem rzeczywistości.

Szła przez mokradło we mgle, jej stopy zapadały się, a buty wypełniały błotem. Z ziemi wyłoniły się obrazy spokojnej wody, wilgotnej gleby i kwiatu woskownicy. W spódnicy niosła kamień, który sprawiał, że coraz głębiej zapadała się w błoto. Nie miała przyzwolenia na odłożenie go. Z mozołem stawiała każdy krok. Kwas mlekowy powodował pieczenie w mięśniach łydek. Kamień, który niosła w objęciach, wzięła ze stosu w lesie. Z gołego miejsca na skałach, gdzie przez wieki kamień na kamieniu składali ci, którzy chcieli uchronić się przed złem. „Wieczne potępienie i nieszczęście dla tego, kto zabierze kamień ze stosu!” – wyszeptał wąż i uniósł swoją łuskowatą głowę, tak że zobaczyła jego tańczący język pod lodowato zimnym spojrzeniem. Duch Wilhelma unosił się nad torfowiskiem, szukał jej we mgle. Żadnego drzewa, pod którym można by się schronić, jak okiem sięgnąć – nie ma odwrotu. Czują w nozdrzach powiew jego gniewu, kwaśny, przesycony alkoholem odór z każdą chwilą gęstniał. Chwiejnym krokiem podążyła w stronę lasu, by znaleźć tam kryjówkę. Ziemia powstrzymywała ją, zasysając się wokół jej kostek. Próbowwała iść dalej, skacząc z kępy na kępę, ale za każdym razem, gdy źle postawiła stopę, zapadała się coraz głębiej w bagnistą ziemię. Ledwie dostrzegła w oddali widmo zagajników leśnych przypominających rozpostarte czarne ramiona. „Chodź do nas, pospiesz się. Chodź szybko!” – jego gniewny głos unosił się nad nią. Jego oskarżenie rozbrzmiewało nad torfowiskiem jak wymierzony policzek, jak pożar pożółkłej trawy. Kula ognia toczyła się w jej kierunku, zionąc przerażającą furiją. Obróciła się i zerwała do biegu, nogi zapadły się i runęła jak

długa. Jej twarz pokryła się błotem. Był tak blisko. Słyszała jego stąpanie po kępach trawy, dźwięk ciężkich chlupoczających butów. Biada temu, kto zabrał kamień ze stosu! Biada! Biada! Próbowała się podnieść i upadła na kolana, chwyciła rękami trawę i podciągnęła się, unosząc się kolejno na jednej i drugiej nodze. „Mona. Moona!” Czołgała się, zasłaniając rękami głowę. Znalazł ją i teraz nie było zmiłuj. Lodowata dłoń chwyciła ją za kostkę. Czuła pulsujący ból. „Mona. Moona!” Obudziła się z rozsadzającym rwaniem w nodze. Miała mdłości. Oblana zimnym potem odrzuciła kołdrę i popatrzyła na nogę. Siniak wielkości wnętrza męskiej dłoni rozciągał się od kostki w górę ku łydce. „Mona. Moona!” Wyraźnie widać było odcisk palców na skórze. Palce Wilhelma. Noga była nabrzmiąta, a skóra marmurkowa. Żmija! „Moona!!” Głos ojca z góry. Z trudem podniosła się z łóżka i czepiając się ściany, wyszła na korytarz. Fala mdłości podeszła jej do gardła. „Moona!” Trzymając rękę na poręczu, weszła po schodach.

- Idę!

- Mam tu leżeć i wykrwawić się na śmierć?

Zapaliła światło i zachwiała się na widok zakrwawionej twarzy Anselma.

- Krew mi leci z nosa. Ale ciebie to ani chybi nie obchodzi. Będę tu leżał, aż kojfnę w końcu, zalany własną krwią.

Patrzyła z coraz większą rezygnacją na jego palce, zakrwawione po same kostki. Tak to już jest, gdy ktoś się nudzi. Wczesny świt był zawsze najgorszy. Nie po raz pierwszy z braku zajęcia dłużał w nosie, aż dostał krwotoku. Podobnie jak w przypadku ciągłych wymiotów bliźniaków. W przychodni dziecięcej nazywali to „nawykowe wymioty”, wyuczone odruchy wymiotne, których przyczyną był smutek i dobrobyt. Nie spotkała się nigdy z określeniem „nawykowe krwotoki z nosa”, ale najwyraźniej również one istniały. Mona odetchnęła głęboko i zacisnęła dłoń na rozdrapanym nochalu.

- Zagrzałaś wody na kawkie?

- Nie.

- To może już pora! Nie słyszałem, jak Wilhelm pojechał. Pomyślałem, że mógłby przynieść mi kawkie, ale pewno nie miał czasu. Pewno te całe zawody na stałym lądzie są tak ważne, że aż się palił, by czym prędzej tam jechać.

- Spokojnie. Jak tylko krew przestanie lecieć, obiecuję, że nastawię ojcu wodę na kawę.

- Wilhelm przyniósł gazetę?

- Zobaczę, za chwileczkę.

- Potem musisz mi pomóc z kaczką, żeby co złego się nie stało. A później odślonisz okna, żeby widzieli, żeśmy wstali. Nastaw radio, psiakrew. Muszę usłyszeć pogodę. I nałóż mi skarpety.

Szczęśliwy ten, którego męki o świcie mogą znaleźć ukojenie w ciepłej kawie i w monotonnym odczycie prognozy pogody. Anselm odnajdywał swoje poczucie bezpieczeństwa w ciągłym słuchaniu tej samej opowieści. Wszystko było jak zwykle, nic się nie wydarzyło.



Gdyby wszystko było tak jak przedtem, Wilhelm zjadłby właśnie śniadanie, odłożyłby gazetę i odjechał. Mona z przyzwyczajenia wlała kawę do jego sfatygowanego kubka z porcelany Gröna Anna i postawiła w miejscu, gdzie zazwyczaj go stawiał. Wzdrygnęła się, gdy zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Podgłośniła radio. Wkrótce będzie prognoza pogody. Gdyby Wilhelm był w domu, słuchałby pewnie. Biada temu, komu zabrakłoby rozumu, żeby wtedy zamilknąć. Niemal z nabożeństwem słuchała słów, które rozbrzmiewały w stereo, dochodząc jednocześnie z odbiornika z góry i tranzystorowego radia w kuchni: Północny Anholt i Gotska Sandön, umiarkowana lub zimna bryza, nasilający się wiatr z zachodu. Przejaśnienia w ciągu dnia, pod wieczór przelotne opady, w ciągu dnia bezchmurnie i częściowe zachmurzenie. Ona sama nie wygłosiłaby bardziej wzniosłej mowy ku czci jego pamięci. Nie zasłużył na tak piękne słowa. Archipeląg Almagrundet i północny przylądek wyspy Öland – brzmiało jak prastara msza. Kiedy uroczysta chwila minęła, wylała kawę do zlewu. Wilhelm stawiał zwykle kubek w oknie po prawej stronie, aby sięgnąć po kolejny, kiedy przyszła pora na „herbatkę-chlupatkę”. Teraz właśnie wstałby i strzepnął na podłogę okruszki ze spodni i ceraty w brązową kratę. Szybki rzut oka na zegar. Właśnie przybyłby na prom Gotland. Zasada „czterdzieści pięć minut przed czasem” obowiązywała tylko turystów, uważał. Uczciwie pracujący ludzie nie powinni spędzać swojego cennego czasu w kolejce na prom. O tym i wielu innych rzeczach mógłby perorować godzinami, wymagając od niej poświęcenia mu całej uwagi. Już nigdy więcej nie zatrzyma się z kartonem mleka w drodze do lodówki, przyszpilona jego kaznodziejskim tonem. „Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię!” Nigdy nie oczekiwał, że odpowie, wystarczyło, że z aprobatą kiwała głową albo przytakiwała. I biada, jeśli wykonała fałszywy ruch. Jak w tej grze dla dzieci *gör si gör så*, w której trzeba naśladować pokazującego lub nie, w zależności od tego co mówi. To wymagało pełnej koncentracji. Wypowiedziane w nieodpowiednim momencie słowo „tak” i zaczynany od początku wykład trwał dwa razy dłużej.

Szary, prążkowany kot złakniony pieszczoty otarł się o jej gołe nogi, gdy dźwięk telefonu przeciął kuchnię. Właśnie stawiała na podłodze miskę z mlekiem i przewróciła ją swoimi bosymi stopami. Policja? Nie. Za wcześnie. Choć jeśli... jeśli już go znaleźli pod stosem kamieni. Serce zabiło szybciej, uderzenia powodowały szum w głowie. Dźwięk, który ciągle jej towarzyszył, natarczywy dźwięk w głowie nasilał się i zagłuszał dzwonek telefonu. Bezwładną ręką podniosła słuchawkę.

- Mona Jacobsson.

- Skórzana kurtka. Musisz się jej pozbyć - powiedział i rozmowa została przerwana.

W jego głosie był chłód, który przerażał ją bardziej niż cokolwiek. Kiedy po raz pierwszy zwróciła na to uwagę? Nie wiedziała. Całkowity brak empatii, zazwyczaj dobrze zakamuflowany, ale w chwili, gdy się ujawniał, drżała

z trwogi. Był wtedy w takim stanie, że nikt i nic do niego nie docierało. Mimo wszystko kochała go. Czy on kiedykolwiek będzie w stanie zrozumieć jej desperację? Czy kiedykolwiek będzie w stanie kochać chociażby samego siebie?

Teraz Wilhelm wzięłby skórzaną kurtkę wiszącą na haku w kuchni. Nie miało znaczenia, jak ciepło było na zewnątrz – wycieczka na kontynent wymagała włożenia skóry. To wzbudzało respekt. Monie wydawało się, jakby czarne ubranie wychodziło jej naprzeciw z oskarżeniami. Portfel z biletem był w kieszeni spodni. Co ma zrobić ze skórą? Była przetarta na łokciach. Wilhelm chyba wspominał o kupnie nowej. Może miał ją kupić na stałym lądzie? Czy mogła tak powiedzieć? Nie. Nikt w to nie uwierzy, skoro mógł dostać upust u handlarza skór w mieście. W takich kwestiach był lojalny. Co miała z nią zrobić? Gdzie ukryć, żeby nikt nie znalazł kurtki za życia Mony? Zakopać? Nie, było już całkiem jasno i bała się zostawić ją wiszącą w korytarzu. Miał co do tego rację. Mogła pojawić się policja albo jeden z sąsiadów. Przeszedł jej na myśl obornik. Cementowa płyta nie była już odpowiednia, bo panowie z Unii wymyślili nowe dyrektywy i wystosowali nakaz położenia nowej. Nie potrafiła zrozumieć, skąd Wilhelm wziął pieniądze. Obornik miał swoje zalety. Kilka miesięcy i kurtka ulegnie rozkładowi. Nie pozostanie po niej nic poza garścią ziemi. Tak się stało z kotem, który tam wpadł. Znaleźli go po trzech miesiącach. Sam szkielet. Pod wpływem impulsu Mona poszła do kuchni po nożyczki. Najpierw odcięła kołnierz, później rękawy. Najważniejsze było oderwanie syntetycznej podszewki i plastikowych guzików. Musi je wyrzucić do zwykłych śmieci. Jeśli zabierze i wrzuci je do zsypu w pracy, zmniejszy do minimum ryzyko odkrycia.

Czuła satysfakcję, przejeżdżając ostrymi krawędziami nożyczek po znoszonej skórze. Gdyby tylko mógł ją teraz zobaczyć. Gdyby mógł ją teraz *widzieć*. Skąd wiadomo? Skąd wiadomo, że nie jest obserwowana z tej drugiej strony? Może siedzi jak zwykle na krześle w kuchni, choć samo ciało leży pod stosem kamieni. Może wściekle ryczy na całe gardło, kiedy ona tnie kurtkę i nie może usłyszeć jego głosu. Być może ma inną częstotliwość, wysoki dźwięk słyszalny tylko przez koty i psy. Wzdrygając się, zgarnęła kawałki skóry do plastikowego wiadra, na wierzchu położyła trochę naci marchwi i wyszła. Okrążyła Myszatego, który stał na zбочu z oborą. Zeszłej wiosny ostrożnie wspomniała, że powinni kupić nowy traktor, ale Wilhelm uparł się, aby zatrzymać starego fergusona. Nie będzie tu żadnych nowinek. To, co nadawało się dla starego Jacobssona, będzie służyć również jego synowi. Nowy kogut Henrika zapał triumfalnie po drugiej stronie płotu. Wczoraj w kurniku zapanowało gdakanie i rwetes, kiedy ptak dokonał gwałtu na wszystkich swoich żonach, pokazując w ten sposób, kto tu rządzi.

Teraz Wilhelm poszedłby do samochodu, nie oglądając się za siebie, myślami już w drodze. Czy ktoś zwrócił uwagę na zniknięcie opla w nocy? Mało prawdopodobne, ale myśl o tym była obecna i niepokojąca.

Jej nozdrza wypełnił unoszący się nad oddziałem psychiatryczno-geriatrycznym zapach detergentów, moczu i świeżo parzonej kawy.

- Mona, Moona! Gdzie jesteś?

Skuliła się w toalecie, obejmując rękami kolana i chowając w nich głowę. Mięśnie rąk bolały od niezwykłego wysiłku z zeszłej nocy, kiedy niosła ciężkie ciało mężczyzny do samochodu. Nogi piekły ją ze zmęczenia. A przecież nie miała złej kondycji po dwudziestu latach pracy na oddziale dla przewlekle chorych. Pończocha uciskowa na spuchniętej nodze podrażniała skórę pod białymi syntetycznymi rajstopami. Bała się ją poluźnić i zobaczyć, jak wygląda noga, która niemiłosiernie pulsowała. Na pewno trudno będzie włożyć pończochę z powrotem.

- Moona! - Wołanie było głośniejsze, trochę bardziej nagłaćce, trochę bardziej poirytowane. Mona czuła, jak zmęczenie przykuwa ją z powrotem do sedesu, gdy próbowała się z niego podnieść. Popatrzyła na siebie w lustrze. Kolor włosów prawie całkiem wymknął się spod kontroli. Szare trzy centymetry przy przedziałku, reszta złotożółta i pofalowana jak u małej dziewczynki. Mogłaby zrobić sobie pasemka, gdyby było ją na to stać, ale Wilhelm niechętnie otwierał portfel, gdy przychodziło do takich zbytków. Raz próbowała ufarbować włosy sama, ale efekt różnił się od zamierzonego. „Wyglądasz jak jakaś cholerna wywłoka”, skomentował ojciec. Epitet nie był niczym nowym, ale smutno było go usłyszeć teraz, gdy był prawdziwy. Tego dnia, wychodząc do sklepu po płatki owsiane, musiała wsunąć wszystkie włosy pod beret. Nosila go przez miesiąc, zanim pogodziła się z kolorem swoich włosów. Nie chodziło właściwie o to, żeby upiększyć się za pomocą farby czy pasemek. Nie, jeśli pracowało się z przewlekle chorymi i widziało niejedno upokorzenie. Nieraz kąpała kobietę z jasnobrązowymi pasemkami. Kolorem, który w dokumentacji szpitalnej figurował jako ten, którym obdarzyła ją sama natura.

- Mooona! - Głowa pulsowała bardziej niż pięść na drzwiach od toalety. - Wychodzisz zaraz? Potrzebuję twojej pomocy w sali dwadzieścia dwa. Edwin spadł z łóżka. Znowu wychodził wydoić krowy. Zapomniał o dzwonku alarmowym. Jesteś tam?

- Uhm. - Mona wstała i odkręciła kran. Z wody utworzył się wir, którego widok sprawił, że zakręciło się jej w głowie. Kręcił się i kręcił z taką szybkością, że jej wzrok wirował razem z nim i poczuła, jak czarna dziura wsysa ją do środka. Chciała zwymiotować i wrócić do domu, ale jej żołądek był pusty.

- Zmierzyłaś może cukier Svei? - Nie. Nie zmierzyła, ale babcia siedziała teraz i jadła. Świat się przecież nie zawali, jeśli pomiar nie będzie bardzo dokładny.

- 6,4. Później to wpiszę.

- A ciśnienie?

- Oczywiście. - Mona cieszyła się, że Iris nie mogła zobaczyć jej twarzy.

Żeby tylko nie spytała o Wilhelma, wówczas dzień może nie skończy się katastrofą. Otworzyła drzwi i zmrużyła oczy, patrząc na Iris, oddziałową.

- Wy w skrzydle A sprzątacie dziś brudownik. Źle się czujesz? Jesteś całkiem blada.

- Boli mnie tylko trochę brzuch. To chyba pasztet z wątróbki, który jadłam wczoraj.

- Trzeba uważać w okresie kanikuły. Nie zostawiać jedzenia w ciepłe zbyt długo. A więc Wilhelm pojechał na stały ląd?

Pytanie było nieprzyjemne. Mona nie mogła się obronić, nie mogła odwrócić głowy. Usta Iris poruszały się, ale ona nie rozumiała, co mówiły. Dziwne dźwięki niemające żadnego sensu wydobywały się z pomalowanych na czerwono ust, które poruszały się w niezrozumiały sposób. Szumiało jej w uszach. Szumiało, a w szumie obecny był ten ciągle utrzymujący się wysoki ton, który zagłuszał wszystkie inne dźwięki i przeszywał czaszkę jak ostrze piły.

- Źle się czuję. - Na wpół ślepa wróciła po omacku do toalety i padła na kolana przed tronem. Dłoń Iris paliła jej ramię. - Dam sobie radę. Idź do Edwina. - Mogła tylko mieć nadzieję, że słowa przebiły się przez wyjący ton w jej głowie. Może jej głos stał się zaledwie szeptem w chaosie innych dźwięków. Iris zabrała rękę. Białe chodaki przekroczyły próg i wyszły na korytarz. Mona szybkim ruchem zamknęła drzwi na zamek i zgasła światło. W ciemności znalazła odrobinę bezpieczeństwa, mogła skulić się i pozostać tu jeszcze przez chwilę.

Próbowała myśleć o swoim życiu: jakie byłoby, gdyby nie wydarzyła się ta potworność. Wokół czego krążyłyby jej myśli, gdyby ten dzień był zwykłym dniem? Gdyby nic się nie wydarzyło? Wówczas czekałaby z niecierpliwością na wieczór, kiedy pod jego nieobecność mogła na krótką chwilę stać się panią samej siebie. Gdy Anselm nareszcie umilkł, a ona zdołała uporać się z pracą w domu. Może przeniosłaby się na plan jakiegoś filmu, na chwilę zamieniła miejscami z bohaterką i wkroczyła w ten piękny, filmowy świat, uśmiechnięta i pewna siebie. Trzymałaby stopy na kanapie i Wilhelm, którego nie byłoby w domu, nie mógłby powiedzieć, żeby je zdjęła. Na złość zjadłaby kolację na kanapie w najlepszym pokoju. Nawet jeśli święte, wyhaftowane przez jego matkę poduszki znalazłyby się w strefie zagrożenia, gdyby zdarzyło jej się coś rozlać.

Za pieniądze ze starej, okrągłej puszeki po kawie znad kuchenki kupiłaby torebkę słodyczy na wagę, anyżkowe śledzie-żelki i angielskie pralinki. Oczywiście pod warunkiem, że Christoffer nie zabrał pieniędzy wczoraj po południu, kiedy był w domu. Chłopcy! Kiedy będzie mogła im powiedzieć, że ojca nie ma? Najpierw musi poczekać, aż policja skontaktuje się z nią, a później... Mona poczuła skurcz w żołądku. Gdyby nie siedziała właśnie na odpowiednim miejscu, pewnie pognałaby do toalety. Płacz dawał o sobie znać, początkowo jako uciążliwy, zapchany nos, później w postaci słonego smaku w ustach.

- Jak tam? - głos oddziałowej wydobył się z ciemności.

- Będę żyła. - Mona wzdrygnęła się na dźwięk własnych słów. Dlaczego to powiedziała? Będzie żyła. Czy nie potrafiła już panować nad własnymi ustami? Jak uda jej się przetrwać cały dzień w pracy, aby nikt nie zauważył, że wszystko jest nie tak? Może później, gdy dostanie wiadomość o tym, co się stało, będzie mogła dać upust lękowi, płakać, załamać się, ale nie teraz. Pod żadnym pozorem.

- Myślisz, że dasz dziś radę pracować czy mam zadzwonić po kogoś innego?

Zadzwonić po kogoś w środku wakacji, kiedy słońce świeci i wszyscy ludzie wylegli na plażę? Jasne, że nie uda się jej z nikim skontaktować. To chyba dla wszystkich oczywiste. Poza tym Anselm na pewno zastanawiałby się, dlaczego wróciła do domu w środku dnia. Gdyby zaczął główkować, na pewno spytałby o to i owo.

- Zaraz wychodzę.

- Jeśli to grypa żołądkowa, to najlepiej będzie, jeśli od razu pojedziesz do domu. Tego byśmy nie chcieli u nas na oddziale w lecie. Mówisz, że jadłaś pasztet. Na takie rzeczy trzeba uważać, jeśli stoją za długo w ciepłe. To samo tyczy się owoców morza. Nie jadłaś chyba owoców morza? Powinno się je spożyć bezpośrednio po rozmrożeniu. Trzeba być też ostrożnym w restauracjach. Nigdy nie zamawiam owoców morza latem. Nie jadłaś chyba w restauracji? - Iris obrała fałszywy trop.

- Nie. - Mona zebrała siły i podniosła się. Oderwała kawałek papieru, stwierdzając z rezygnacją, że rolka się skończyła. - Mogę posprzątać brudownik, wtedy nikogo nie zarażę, a później zajmę się praniem. - Otworzyła drzwi i zmrużyła oczy, patrząc pod światło. Fartuch oddziałowej był oślepiająco biały.

- Najlepiej chyba będzie, jeśli zostaniesz dziś w kuchni.

- Oczywiście. - Kiedy w końcu zaczną ją traktować jak dorosłą, myślącą osobę w jej miejscu pracy? - pomyślała, zaciskając zęby.

- Czy Wilhelm wyszedł wczoraj z domu o czasie? Mój Anders trochę się niepokoił, że nie zdążą na statek. Mieli spotkać się przed wejściem do portu. Anders ucieszył się, że mogli pojechać razem, dzięki temu nie musiał zabierać samochodu. Jest w warsztacie. Coś nie tak z hamulcami, muszą to sprawdzić. Jesteś blada jak ściana. Może jednak pojedziesz do domu?

- Nie.

- Połóż się i odpocznij chwilę w dyżurce. Ja sama zajmę się brudownikiem. - Oddziałowa przygryzła dolną wargę. - A ja chciałam przydzielić ci obchód jutro. W tej sytuacji nie wiem jeszcze, jak będzie. Złożyłaś już swoją aplikację na studia pielęgniarские? Tak, wiem, co myślisz o studiach. Ale matematyka nie jest aż tak trudna, jak ci się wydaje. Wszyscy inni dali sobie z nią radę. Właściwie to musisz studiować, jeśli chcesz utrzymać swoją posadę. Jest to dla nas zasadnicza kwestia.

Mona podniosła się, zakrywając ręką usta.

- Chyba nie będziesz znowu wymiotować? - Oddziałowa przeszła z nią kilka kroków korytarzem w kierunku toalety i przystanęła z bezradnie opuszczonymi rękami.

Musi dostać się do jakiegoś telefonu. Musi jak najszybciej go ostrzec. Jeśli Anders umówił się z Wilhelmem, istnieje duże ryzyko. Przemyśla twarz lodowatą wodą, napełniła nią dłonie i wypła kilka łyków. Bała się zadzwonić z dyżurki. Oddziałowa otrzymywała listę rozmów telefonicznych i sprawdzała, czy żadna z nich nie była przeprowadzona niepotrzebnie. Czasami miały miejsce porachunki z winowajcami. Mona sama brała w nich udział zeszłego lata, kiedy jej Christoffer nabroił.

Mona jęknęła i opadła na podłogę. Prawie nie mogła oddychać przez pieczenie w żołądku. Jeśli Anders czekał przy porcie, musiał zauważyć, że ktoś inny jechał samochodem Wilhelma. A co, jeśli zauważył, że Wilhelma nie było na promie przed wypłynięciem? Musiała dostać się do telefonu. Z wielkim trudem podniosła się i brnęła przez korytarz, w kierunku windy, do wyjścia. Nie mogła czekać. Winda była pusta, nie licząc czarnych worków na śmieci z nocnym płonem brudnych pieluch. Zjechała na dół z delikatnym drżeniem, które rezonowało w jej żołądku.

Pani w kiosku przyglądała jej się badawczo. Rejestrowała wszystko i wszystkich, aby służyć później najwierniejszym klientom wliczoną w serwis najnowszą porcją plotek. Mona czuła jej wzrok na plecach, kiedy odwróciła się i wzięła do ręki słuchawkę. Czuła, jakby zmrużone czarne oczy kioskarki podążały za jej palcami wybierającymi numer. Przeklęta wiedźma! Mona starała się mówić jak najciszej, zasłaniając słuchawkę ręką.

- Uzgodnił się przecież, że nigdy nie będziesz dzwonić do mnie do pracy! Nigdy! - powiedział, zanim zdążyła wytłumaczyć.

- Waldemar Atterdag był bowiem niezwykle wrażliwy na kobiece wdzięki! - Antykwariusz Arne Folhammar popatrzył z uśmiechem na zebranych i chusteczką wytarł pot z czoła. Mimo upału panującego w sali wykładowej miał na sobie krawat i granatową wełnianą marynarkę. Biała koszula błyszczała w świetle projektora.

- Czyż nie wygląda jak Rhett Butler? - szepnęła Vega i szturchnęła Marię w bok.

- Hmm. Może. - Maria próbowała wydobyć z czarno-białego archiwum pamięci filmy z dzieciństwa: *Przeminęło z wiatrem*, Clark Gable i Vivien Leigh. Możliwe, że przypominał Rhetta rozciągniętego na ławie tortur, wskutek czego stracił trochę na szerokości. Wąsy były na swoim miejscu. Uśmiech, przesadnie naprawiony równy zgryz z kwadratowymi zębami, rzucał się w oczy tak samo, jak w przypadku oryginału. Tak. Z pewnością coś w tym było.

- Jeśli nie wchodził kobietom pod spódnicę z powszechnie przyjętych powodów, to przyczyną był zapewne depczący mu po piętach wróg - skonstatował Folhammar.

- Sama pani słyszy. - Vega ponownie szturchnęła Marię w bok i znacząco pokiwała głową. - Tacy już oni są.

- Mężczyźni czy Duńczycy? - spytał rozbawiony Hartman.

Komisarz Trygvesson odchylił się do tyłu i przymknął oczy. Maria stwierdziła, że wygląda, jakby zasnął.

- Ale zacznijmy opowieść o plądrowaniu od początku. To wydarzenie, które jest być może najczęściej wspomniane na kartach gotlandzkiej historii, miało miejsce w czasach Hanzy, kiedy to Visby było bogatym, wpływowym miastem na arenie międzynarodowej. Już w pierwszej połowie siedemnastego wieku zostały spisane opowieści Waldemara w kronice gotlandzkiej autorstwa H.N. Strelowa, *Cronica Guthilandorum*. Nie wszystko jest tam prawdą, ale legendy mimo to warte są opowiedzenia. Z czasem, przechodząc z ust do ust, zyskiwały dodatkowy koloryt, aby powoli nabrać soczystości, jaką dziś się charakteryzują.

Arne Folhammar poluźnił krawat. Jego oczy pałały chęcią kontynuowania opowieści.

- Pierwszego maja 1361 roku król Magnus ostrzega mieszkańców Visby przed ekspansywnymi planami Waldemara Atterdaga. Ma po uszy roboty ze świętą Birgittą, która upiera się, aby pościł w piątki, obmywał stopy biednym i z pewnością śmiertelnie skonfundowanym poddanym. Relacje między Szwecją a Danią są trochę nadszarpnięte, od kiedy król Waldemar rok wcześniej anektował Skanię i Blekinge. Duński król patrzy teraz pożądlivym wzrokiem na zamożne Visby. Gotlandia miała wówczas własnego Judasza, Nilsa Złotnika, który przybył do księcia Waldemara, aby opowiedzieć mu o niezmiernych bogactwach Visby. A wszystko to z powodu znieważenia jego pięknej i wyniosłej córki Birgitty przez mieszkańców Visby.

- Mówią, że Folhammar mieszkał z aktorką ze stałego lądu, która równie dobrze mogłaby być jego matką - szepnęła Vega i wskazała głową w kierunku antykwariusza.

Hartman posłał jej poirytowane spojrzenie, które elegancko zignorowała. Tu się opowiada. Arne Folhammar wyświetlił kolejny slajd i podniósł głos, aby przykuć ich uwagę.

- Przebrany za kupca król Waldemar przepłynął się na wyspę celem dokonania rekonesansu. W gospodarstwie Unghanse, na południowej Gotlandii, znalazł dach nad głową. Ale nie tylko. Unghanse miał córkę i Waldemar wziął to, czego chciał, bowiem - jak już wspominałem - był niezwykle wrażliwy na wdzięki kobiece. Wdali się w romans.

- Folhammar sam wdawał się w romanse, więc wie, o czym mówi - mruknęła Vega, nie patrząc w kierunku Hartmana.

- Dwudziestego drugiego lipca 1361 roku Waldemar Atterdag wrócił ze swoją flotą do portu w Garnahamn, obecnie Västergarn na zachodnim wybrzeżu Gotlandii, po drodze dokonując rzezi chłopskiej armii na Olandii. Istnieją również podania, że wyszedł na ląd w wiosce rybackiej Kronvalls w Eksta, ale uważam to za mało prawdopodobne z uwagi na brak portu. Po zejściu z okrętów Duńczycy pomaszerowali na Visby. Pierwsza bitwa, podczas której zginęło sześciuset Gotów, rozegrała się przy moście Eymunds na mokradłach Fjåle, wyschniętych tego lata. Winę za klęskę przypisano czarom, a na miejscu na pamiątkę zdarzenia wzniesiono krzyż na terenie gospodarstwa Gunilde i Grena. Istniało obiegowe przekonanie, że sprawcą nieszczęść i chorób były siły nadprzyrodzone. Jeśli dziś ktoś zwróciłby się po ocenę medyczną, po tym jak biegły w czarowaniu sąsiad zesłał na niego ślepotę lub nagły paraliż, na pewno wzbudziłoby to pewne zdziwienie. Ale nie za czasów Waldemara. Bynajmniej. Wówczas było miejsce dla duchów, demonów, czarownic i innych podziemnych skrzatów. Nikt nie musiał wstydzić się klęski, jeśli winę zawsze można było rzucić na czary, ponieważ być może król Waldemar miał konszachty z ciemnymi siłami.

Antykwariusz wyświetlił kolejny slajd. Czaszka przeszyta od tyłu strzałami.

- Trzydzieści dni po świętym Jakubie dobrze uzbrojona armia Waldemara spotyka za murem obronnym oddział chłopów przy klasztorze Solberga. Armia gotlandzka składa się w dużej części ze starszków, inwalidów i młodych chłopów, którzy, zarzynani bezlitośnie, chowani są w zbiorowych mogiłach.

W szybkiej serii slajdów następuje pokaz przewierconych hełmów i ciał o obciętych i zmiażdżonych członkach. Vega ściska mocno ramię Marii, kiedy Arne przerywa na chwilę.

- A wie pani, że policja złożyła wizytę Folhammarowi i tej jego aktorce? - wyszeptała. - Darli się na siebie tak głośno, że sąsiedzi złożyli skargę. Meble się przewracały. Prawdziwe piekło. Męski bas i piskliwy kobiecy głos, na przemian.

- Naprawdę? - rzuciła Maria bez większego entuzjazmu. Arne wyjął kolejny magazynek ze slajdami i ciemność ponownie zgęstniała.



- W baśniach występuje często historia o dziewicy w wieży - tak samo jak w opowieściach Waldemara. Aby dostać się do Visby, potrzebny był klucz do bram miasta. Córka Nilsa Żłotnika, która zakochała się w Waldemarze, otworzyła Duńczykom bramę. Kto wie, co obiecywał jej podczas miłosnych schadzek? Mężczyzna w drogich szatach, o nienagannych manierach i uczonej mowie - jak mogła mu się oprzeć? Została omamiona. „Przeznaczeniem kobiety takiej jak ty jest zostać królową Danii. Zasługujesz na wszystko, co najlepsze”. Zaślepiąca uczuciem zdradziła swoich najbliższych i Waldemar mógł uderzyć z całą siłą, kiedy udało mu się zburzyć mur między południową a wschodnią bramą. Na rynku w Visby postawiono trzy kadzie, które miały zostać wypełnione złotem i srebrem, pod groźbą spalenia miasta. Nawet kościoły zostały splądrowane - z kościoła świętego Mikołaja zrabowano drogocenne karbunkuły.

- Co to są karbunkuły? - zainteresował się Trygvesson, który obudził się z drzemki. Arne Folhammar ocknął się. Od dłuższej chwili mówił jakby sam do siebie, zapominając o audytorium. Czujnie popatrzył na gromadkę, która zebrała się, aby go wysłuchać tego słonecznego, letniego dnia. Wygłaszanie wykładu dla pięciu osób było właściwie czymś poniżej jego godności, ale tak już było z większością rzeczy w jego życiu, różniły się one tylko stopniem upokorzenia.

- Karbunkuły? Tak nazywano wszystko, co było ładne i drogocenne. Można powiedzieć, że to jakby modne średniowieczne słowo.

- Co się stało z Birgittą - córką Żłotnika? - zainteresowała się Maria.

- Według legendy zamurowano ją w wieży. Nienawiść i gniew towarzyszyły jej aż po grób. Młode dziewczę przeciwko wściekłemu tłumowi. Zostawiona przez ukochanego powoli dusiła się w ciemności. W sztormowe noce, kiedy fale uderzają o brzeg pod wieżą, można jeszcze usłyszeć jej wołanie o pomoc, prośbę o łaskę i litość, nim skończy się tlen w zatechłym więzieniu. Czy dziewicę naprawdę zamurowano żywcem - tego do końca nie wiadomo. Z pewnością jednak można stwierdzić, że nie została zamurowana w Wieży Dziewiczej - najmniejszej wieży muru obronnego, która została wzniesiona na początku piętnastego wieku. Nazwa wieży przypuszczalnie wywodzi się od miary wódki wynoszącej 8,2 centylitra i nazywanej dziewicą.

- A wie pani, co stało się później z aktorką Folhammara? - teatralny szept Vegi nie umknął chyba niczyjej uwagi. Maria próbowała zignorować pytanie, ale to nie powstrzymało Vegi przed kontynuowaniem: - Aktorka krzyczała, jakby ktoś dźgnął ją nożem. Sąsiedzi zebrali się na klatce schodowej. Kiedy policja wyważyła drzwi, aktorka zamilkła. Czy doszło do jakichś rękoczynów? Otóż nie! Folhammara nie było nawet w domu. Odgrywała po prostu różne role w dramacie Szekspira. To był chyba *Otello*. Ćwiczyła do występu w ruinach klasztoru w Roma, rozumiesz. Tak przynajmniej twierdzą.

- Teraz ma być cisza! - syknął Hartman. Mimo ciemności Maria dostrzegła, że jego twarz zmieniała kolor. Vega uśmiechnęła się szyderczo. Już ja swoje wiem, mówiła jej mina.

- Miesiąc po splądrowaniu miasta Atterdag odpłynął do Danii, ogłaszając uprzednio kilka duńskich nominacji wójtowskich, jednak nie przetrwały one zbyt długo wśród Gotlandczyków. Nieopodal wysp Karlsöarna statek wraz ze skarbami poszedł na dno. Waldemar zdołał się uratować, ale zrabowane z Visby i południowej Gotlandii skarby już nigdy nie ujrzały światła dziennego. Ten fakt porusza wyobraźnię ludzi po dziś dzień. Gdzie Waldemar ukrył łup po splądrowaniu Visby, kiedy udał się na łupieżczą wyprawę na południową Gotlandię? Dlaczego nie znaleziono skarbów w pobliżu wysp? Czy statek rzeczywiście zatonął, a jeśli nie, to dlaczego nie znaleziono części skarbu w Danii, na przykład karbunkułów wielkości koła młyńskiego? Czy miasto rzeczywiście zostało splądrowane?

- Słyszałam w sklepie, że nosimy się z myślą o żeniaczce. - Vega wyciągnęła dłoń i przywitała się uprzejmie z Arne Folhammarem, który marzył tylko o ulotnieniu się stąd. Jego wzrok uciekał, a wielkie stopy nie potrafiły ustać w miejscu.

- Zgadza się. Pomyśleliśmy, że średniowieczny tydzień będzie stanowił ładne tło dla tego wydarzenia.

- To będzie ślub kościelny? - Vega przytrzymała jego rękę, czekając na odpowiedź.

- Birgitta chyba chciałaby tego.

- Zgodnie ze starym zwyczajem diadem panny młodej może być noszony tylko przez dziewicę.

Hartman spojrzał na swoją ciotkę z ukosa i westchnął ciężko.

- W takim razie przyjdzie mu chyba zardzewieć - odciął się Arne Folkhammer i ruszył w kierunku wyjścia.

Arne Folhammar pomyślał o Birgicie i otrząsnął się z nieprzyjemnego uczucia. Rozejrzał się po sali z kamieniami runicznymi. Pismo runiczne wiło się jak węże, cicho sycząc pradawne zaklęcia. Magia. Panował tu przyjemny chłód. Rozpiął marynarkę, zdjął krawat, włożył go do kieszeni i przesunął dłonią po spoconym czole. „To tak jakby schwytać motyla do słoika – pomyślał – do słoika na owady, szklanego z wieczkiem”. Tak schwytał Birgittę, której przyglądał się uważnie – obca ludzka istota, tak inna od niego samego. Zaśmiała się, gdy wypowiedział te słowa. Często się śmiała. Birgitta. Traktowała życie z przymrużeniem oka. Była tak piękna, gdy się śmiała. Sprawiało mu to ból. To była tylko kwestia czasu, zanim poczuje się nim znużona i zda sobie sprawę z tego, jakim jest nudziarzem. Jak długo to jeszcze potrwa i kiedy zauważy, że to ona wciąż mówi? Była dużo młodsza. Tak bardzo cieszyła się życiem. On sam zastanawiał się niekiedy, czy warto było je przecierpieć. Czy zakochanie było warte swojej ceny, z całym towarzyszącym mu skrępowaniem i zaborczością? Gdy znajdowała się blisko, odpowiedź zawsze brzmiała „tak”. Ale w chwilach samotności kiełkowało wątplenie.

Kiedy spotkali się po raz pierwszy, myślał, że jest nadętą nastolatką. Ładną, ale mającą pusto w głowie. Zadzwoiła do jego drzwi, powiedziała, że dopiero się wprowadziła i że ich wspólna zamrażarka w piwnicy przecieka. Kałuża na podłodze potwierdziła jej słowa. Jedzenie pochodzące z czterech różnych mieszkań rozmroziło się, owoce morza zaczynały śmierdzieć. Sok malinowy w foliowych torebkach ściekał z najwyższej półki na ciasta i mrożonki z flądą. Należący do Arnego gotowany węgorz rozlał się na opakowanie świeżego szpinaku. Odkrycie źródła usterki nie było trudne. Wyjęta z kontaktu wtyczka. W zadziwieniu obserwował, jak łzy napływają do jej ciemnoniebieskich oczu. Pomyślał, że jej płacz był estetycznie ujmujący – brak czerwonego nosa, brak dławienia w gardle, brak rozmazanego makijażu spływającego po policzkach. Tylko duże oczy, szkliste i zalane krystaliczną wodą, niebieskie jeziora i ich odpływy. Przyznała się do winy. Wyjęła wtyczkę od zamrażarki, żeby wypróbować nawilżacz powietrza, który zakupiła na pchlim targu. Później zapomniała włożyć ją z powrotem.

– Mogę zapłacić. Choć nie w tym miesiącu. Albo mogę zaprosić pana na obiad.

Przyjął zaproszenie, głównie po to, aby przestała płakać. Czuł, jakby to on był winny, a ona była ofiarą. Nawet nie zdążył się zezłościć.

Na obiad poszedł tego samego dnia. Już po kilku sekundach stwierdził, że jej umiejętności kulinarne były marne. Podobnie jak jego umiejętności konwersacyjne. Do sosu do pasty dodała wszystkiego po trochu, makaron pływał w białej, niesłonej zupie. Spaghetti trzeszczało pod zębami, a sałata była niedokładnie wypłukana z ziemi. On nie miał nic do powiedzenia. Tak często bywało. Wciąż pozostawał wówczas w związku z Beatrice, a może Kristine?

Nie, był wtedy z Malin – aktorką. Po incydencie z wtargnięciem policji przeprowadziła się do chaty na odludziu w Fole. Z nią również nie miał za bardzo o czym rozmawiać. Jego atuty były innego rodzaju.

Po nieudanym obiedzie nie rozmawiał z Birgittą przez kilka miesięcy. W restauracji Gutekällaren widywał ją parokrotnie z Olovem – Rycerzem Srebrnego Miecza, jak nazywano go na turnieju. Piękna para. Ona ze swoimi długimi jasnymi włosami wyglądała jak średniowieczna dziewczica. Często nosiła białą sukienkę do kostek ze śmiałym dekoltem i złoty naszyjnik z roślinnym ornamentem według średniowiecznego wzoru, kosztowny, ale nie nieosiągalny – jej ojciec był przecież złotnikiem. Ona sama sprzedawała biżuterię na stoisku na dużym rynku. Proste, walcowane kopie, jak zdołał stwierdzić, przemykając pospiesznie pośród tłumu ludzi. Nie do końca pasowały do asortymentu eleganckiego sklepu z biżuterią. Było tam kilka oryginalnych modeli, ale nic bardziej wysublimowanego. Lubił patrzeć na nią, gdy się śmiała, mówiła i tańczyła. Miała w sobie tyle życia, niesamowitą intensywność. Ręce gestykulowały, wtórując ustom, oczy błyszczały. Włosy połyskiwały w dyskotekowym świetle przy każdym jej ruchu. W białej sukience wyraźnie wyróżniała się na tle niebieskiej ciemności. Nie pozostawiało wątpliwości, kto był królową tej nocy.

Któregoś czerwcowego wieczoru ktoś zapukał w okno. Nic szczególnie dziwnego, gdyby nie fakt, że było to czwarte piętro. Na takiej wysokości mogło to wprawić człowieka w osłupienie. Leżał w łóżku z anginą, miał czterdzieści stopni gorączki i nie zareagował od razu. Kiedy pukanie rozległo się po raz czwarty, wystawił nogę za krawędź łóżka i dostrzegł rozmazaną sylwetkę za szybą.

– Mogę wejść? – spytała Birgitta, po tym jak gapił się na nią głupkowato przez chwilę. Kiedy przestąpiła próg, zauważył zażenowany, że pokój śmierdzi potem i nieświeżym oddechem. – Nie zapytasz, co tu robię?

Nie zapytał, tylko wślizgnął się z powrotem do łóżka.

– Jesteś chory czy co? – Zastanawiał się, co mogło oznaczać owo „czy co”, ale nie miał siły spytać. Nie czekając na zaproszenie, przysiadła na brzegu łóżka, podciągnęła nogi i oparła głowę na kolanach, a jej jasne włosy opadły na ramiona jak płaszcz. Czuł się trochę nieswojo, kiedy była w tak bezpośredniej bliskości, ale nie miał siły myśleć o tym, czego od niego chciała. – Czy człowiek nie ma prawa zachować dziewictwa?

Przez moment wydawało mu się, że jedno z nich dwojga mający. Chwilę po tym, jak pojawiła się nagle w jego łóżku, jej słowa wydawały się pochodzić jakby z innego świata.

– Co powiedziałaś?

– Myślisz, że mężczyzna ma prawo się wkurzyć, gdy kobieta chce zachować dziewictwo do ślubu?

Próbował zastanowić się nad odpowiedzią, ale musiał zasnąć ze zmęczenia.

Kiedy się obudził, w pokoju było jasno. Drzwi na balkon były otwarte,

a cienka zasłonka powiewała na wietrze. Pachniało świeżym chlebem i kawą. Na nocnym stoliku stała szklanka wody i opakowanie alvedonu. Pod prysznicem lała się woda. Rozbudzony usiadł na łóżku z uczuciem oczekiwania. Uczuciem, że już nigdy nic nie będzie takie samo. Z łazienki słychać było śpiew. Rozpoznał niektóre zwrotki z *Ave Maria Stella...* Petrusa de Dacia. Wysokie, podniosłe tony. Żałował, że akustyka nie jest lepsza. Później śpiew ucichł. Arne udawał, że śpi, gdy usłyszał jej kroki w korytarzu.

- Chcesz kremu rabarbarowego? Myślisz, że będziesz w stanie go przełknąć? - Wyrzała zza drzwi i uśmiechnęła się.

- Tak. Dziękuję. - Wyglądała jak Gapcio w jego zdecydowanie za dużym szlafroku. Prezent od Ewy, a może od Gunilli? Czerwony aksamit włókł się za nią, gdy przekraczała próg kuchni.

- Nie lubię wodnistych kremów, a ty? Masz może w domu mąkę ziemniaczaną? Uważam, że musi zdać test kota. Jeśli dorosły kot przejdzie po kremie, nie tonąc w nim łapami, wtedy znaczy, że jest okej. Masz maszynkę do golenia?

- Przeprowadziłaś się tu?

- Może. Olov zabrał mi klucze do mieszkania. Uciekłam od niego. Tak się na niego zezłościłam. Nie słucha, co do niego mówię. Kiedy szukałam maszynki w łazience, natknęłam się w szafce pod umywalką na zdjęcie mamy Olova. Ma na imię Mona, prawda? Ale że też trzymasz jej zdjęcie! Olov mówi, że wyglądam jak ona w młodości. Czy to prawda?

- Do jasnej cholery! - Gdyby nie był taki chory, pewnie by jej przyłożył. - Wyjdź stąd.

Spojrzała na niego swoimi dużymi, niebieskimi oczami. Znowu te przekłete łzy. Stęknął i oparł się o poduszki.

- Nie lubisz mnie.

- Nieprawda, ale nie chcę, żebyś ruszała moje rzeczy.

Jej chłodne ramiona objęły go nagle. Poczował wilgotne pasmo jej włosów na swojej twarzy. Ładnie pachniała. Jej policzek był taki miękki.

- Powiedz jeszcze raz, że mnie lubisz.

Zmrużył oczy i na próżno próbował przejąć kontrolę nad sytuacją.

- W takim razie zostaję - oznajmiła.

Może miało to związek z gorączką albo z delikatnym dotykiem na jego nieogolonym policzku, później nie był w stanie tego pojąć. Zaczął płakać. Kiedy położyła zdjęcie Mony na jego piersi, zaskoczyły go własne łzy. Odrzucił na bok prześcieradło i pobiegł do toalety. Przy odgłosie lejącej się z kranu wody w tle walczył ze sobą, by odzyskać kontrolę. Płacz dziecka? Czy artretycznego starca? „Średnio estetyczne”, pomyślał, gdy uczucia osłabły i zobaczył swą czerwoną, opuchniętą twarz w owalnym lustrze nad umywalką. Później pojawiła się złość. Jeśli piśnie jeszcze słowo o tym, skręci jej kark. Grzebać w jego rzeczach! Pamięć, której nie ruszał od wielu lat! Może nie zdążyła zauważyć, że płakał? W tej chwili nienawidził i jej, i Mony, i wszystkich kobiet, które kiedykolwiek spotkał.

- Skorzystam z twojego telefonu - rozległ się jej głos po drugiej stronie drzwi. To było stwierdzenie, nie pytanie. Kiedy wyszedł, siedziała na biurku jak na grzędzie, ze słuchawką wetkniętą pod brodę, i malowała paznokcie u nóg.

- Jest cholernie przystojny jak na swój wiek, chociaż ubiera się jak dziad... Może wybiorę się z nim kiedyś na zakupy.

Arne Folhammar posłał jej przeciągłe spojrzenie i wślizgnął się z powrotem do łóżka. Czuł gorączkę w całym ciele. Gardło bolało przy przełykaniu. Ale najgorsza była głowa, jak orzech tkwiący w dziadku do orzechów. Głos Birgitty świergolił i trelował, przechodząc z oktawy w oktawę.

- On naprawdę mnie potrzebuje... Nie, on nie wie... Trudno jest się starzec i tracić własne zęby... to takie drogie.

- Co, do diabła! - Arne gwałtownie uniósł się na łóżku, podpierając się łokciem.

- Muszę już kończyć. Buziaki!

- Kto to był?

- Mama.

- Klawo!

- Nie myśl, że mówiłyśmy o tobie. Właściwie rozmawiałyśmy o tacie. Rachunek od lekarza na dziewięć tysięcy to nic fajnego. Muszę iść po południu do sklepu. Tata idzie do dentysty, a mama nie zdąży ze wszystkim sama. Bierzmowania i zaręczyny, uroczystości w noc świętojańską i zakończenia roku. Najgorszy czas.

- Wrócisz później? - Od razu pożałował, że zadał to pytanie. Czy tego chciał?

- Mam kupić coś do jedzenia?

- Zaskocz mnie. - I dodał: - Weź coś gotowego do odgrzania.

Zdążyła wyjść z pokoju, a już za nią tęsknił. Chciał ją jeszcze na chwilę zatrzymać. Chciał, żeby go dotknęła. Był jak małe, bezbronne dziecko. Po prostu miała tam być, zachowując się jak zawsze, krzątać się w kuchni, podśpiewywać sobie, zagadywać o tym i owym, nie oczekując odpowiedzi.

- Możesz mi przynieść szklanek wody?

Postawiła ją na szafce nocnej i opatulila go kołdrą, a on poczuł, że podoba mu się to.

- Myślisz, że ubieram się jak dziad?

- Tak, być może. Skoro o tym mówisz... mogę pójść z tobą na zakupy któregoś dnia. Możemy pójść razem.

- Są pewne granice.

Fotografia Mony wciąż leżała na podłodze. Podniósł ją i spojrział na nią. Wciąż czuł ból. A przecież nie spędzili nawet dużo czasu ze sobą. Ciało Mony było krągłe i opalone. Zdjęcie zrobiono na krótko po tym, jak urodziła Olova i Christoffera. W tle cukiernia Norrgats. Wcześniej jedli tam tort Banansa, żeby uczcić jego urodziny, tort z posypaną czekoladą masą migdałową i bananami. Pozwoliła mu wybrać piosenkę w szafie grającej. Luksus i zbytek, do którego nie był przyzwyczajony. Ale to, co najbardziej zapamiętał z tamtej chwili, to uczucie niewypowiedzianej groźby i smak płaczu. Zrozpaczona twarz Mony, zaczątki uśmiechu, który zamierał, zanim zdążył wykwitnąć na twarzy.

Kobieta z opieki społecznej stała za nim. Jej cień padał na nogi Mony. Mona za chwilę miała zakryć twarz dłońmi. Wiedział, jak bardzo nie lubiła być fotografowana, nawet przez niego. Używał aparatu Instamatic. Był to jego pierwszy aparat, który dostał od dziadka Anselma. W ustawieniach były trzy możliwości: cały człowieczek, pół człowieczka i tło. Zdjęcie Mony ustawił na „całego człowieczka”. Miała buty na obcasach. Pamiętał, że czerwone, choć zdjęcie było czarno-białe. Spódnica również miała czerwony kolor, a bluzka była biała z wieloma małymi guziczkami. Chociaż to akurat można zobaczyć na fotografii. Dziecko w nim nienawidziło Mony i wciąż tęskniło za nią. Jednak dorosły mężczyzna zdążył wybaczyć piętnastoletniemu dziewczęciu, które urodziło syna i nie mogło się nim później zaopiekować.

Ale nie był w stanie zapomnieć, że nie walczyła o prawo do niego, gdy działa mu się krzywda w przybranej rodzinie. Choć jak dowiodłaby czegoś, co można było wyczuć tylko intuicyjnie? Jak miałyby się na to ważyć? Nowy proces mógł doprowadzić do tego, że straciłaby również bliźniaki. Podczas ery terapii pierwotnego krzyku niejedna matka spłonęła na psychoterapeutycznym stosie<sup>[1]</sup>. Może sam był sobie winny, a może nie. Sposób, w jaki przybrana matka wykorzystwała go, był tak wymyślny, że jemu samemu brakowało słów, z ledwością znajdował je nawet dziś. Przygarnęli go i stał się atrybutem jej dobroci. Im gorzej postępował, tym mocniej błyszczały jej altruistyczne czyny. Im dziwniej się zachowywał, tym bardziej zastanawiające było jej zaufanie w stosunku do wszystkich, którzy chcieli jej słuchać. Tak właściwie Cecilia chciała mieć boksera, tak jak przyjaciółka z klubu psiarzy. Skończyło się na szczeniaku. Dopiero teraz był w stanie uśmiechnąć się na myśl o tym.

„Popatrz na niego, jak dziwnie zachowuje się w kontakcie z innymi dziećmi. Można tylko zgadywać, na co go narażali... Był taki brudny i przestraszony, kiedy się u nas pojawił... a jak on je, nigdy nie ma dość porządnego, domowego

jedzenia... biorąc pod uwagę, jak żyła matka, musiał patrzeć na rzeczy, których oczy dziecka nigdy nie powinny oglądać”.

Rozmowy miały związek z Moną. Z języka ciała i tonu głosu wyczytał, co mieli na myśli, na długo zanim pojął znaczenie wszystkich słów. Zrozumiał, że Mona była gorszym rodzajem człowieka, on sam również. Przedmiot ciągłej dyskusji dla wszystkich wtajemniczonych. Urodzona w biednej rodzinie, krnąbrne dziecko, egocentryczny i samolubny człowiek. Tylko dzięki dobroci Cecilii chłopiec zyskał prawo do życia. Dług, którego nigdy nie mógł spłacić, dlatego nienawidził. Ale była również tęsknota.

W pierwszej klasie na lekcji szwedzkiego narysował ogromnego fiuta. Lenart drażnił się z nim i mówił, że się nie odważy, choć autorem pomysłu był właściwie Fredrik. Jego ojciec potrafił zrzucić kutasem dwanaście leżących jednokoronówek. Dwanaście jednokoronówek! Tak przynajmniej mówił. Chłopcy śmiali się. Dziewczynki krzyczały i obrażone zbierały się w małe grupki.

Jasne, że skupiła się na nim uwaga. Przez moment był w centrum zainteresowania, później pojawił się nauczyciel. Od razu wylądował u dziecięcego psychologa. Tak jakby tylko czekali, aż wystrzeli. Cecilia od razu się podeksycytowała. Po każdym spotkaniu z psychologiem wisiała na gorącej linii. Takie słowa jak przemoc czy kazirodztwo szeptane były wielką literą. W latach siedemdziesiątych wszystkie zachowania, które można było interpretować jako kazirodztwo, za takie uznawano. W przypadku Arnego nie było żadnych wątpliwości. Obrazek stanowił dowód! Psychoterapeuci, którzy w tym czasie jeździli na kursy weekendowe do Stanów, wracali jako cwani prorocy i nauczali błądzących w ciemności biedaków o prawdach dotyczących ludzkości. Nic, co ludzkie, nie było im obce.

Psycholożka Arnego również pojechała na kurs, ale tylko do Enköping. Niemniej jednak chciała wykorzystać nową wiedzę w praktyce. Dlatego uciekła się do swojego największego atutu – piersi. Założenie było takie, aby Arne znów stał się malutki, przeżył regres. I jeśli zaszłaby taka potrzeba, była gotowa dać mu własną pierś do ssania. Dłonie miała spocone, oczy jej błyszczały i zadawała pytania przeciągłym tonem. Mimo że był naprawdę mały, wyczuwał powiew pożądania. Napięcie między dorosłymi kobietami. Gra, w której był tylko nierozumiejącym regułą głupim Jasiem. Cecilia uzupełniała jego wypowiedzi, gdy nie spełniały jej oczekiwań. Znalazł się w centrum uwagi. Później przyszło mu za to słono zapłacić. Kiedy odpowiadał poprawnie, uśmiechała się do niego i czuł wtedy ciepło w całym ciele. Gdyby tylko wiedział, co kryło się za tymi uśmiechami, milczałby jak grób. Ale sama myśl, że mógł zyskać akceptację, była warta każdej próby. Sprzedał swojego dziadka.

- Czy zdarzyło się, że dziadek cię... dotykał? - Nie mógł zaprzeczyć. - Czy groził ci laniem, gdy nie robiłeś tego... czego chciał? - Jasne, czasami tak bywało. Nic nie mówił. Przypomniawszy sobie, jak nie chciało mu się zbierać klocków Lego i dziadek pociągnął go za włosy. Kiedyś rozbił jajko na ścianie kurnika Henrika i dziadek uderzył go w twarz. To było haniebne i nie musiała



się o tym dowiedzieć.

Anselm został wezwany na rozmowę. Po tym miał nie widzieć się z dziadkiem przez długi czas. Do czasu, gdy stał się nastolatkiem i powszechne zainteresowanie dobrocią Cecylii trochę osłabło. Również jej cierpliwość w stosunku do niego proporcjonalnie ulegała wyczerpaniu.

Były to lata osiemdziesiąte - czasy, kiedy mówiono wiele o samorealizacji i sztuce mówienia „nie”. Kupiła szczeniaka, którego od dawna pragnęła, boksera, i przeprowadziła się do koleżanki do klubu psiarzy. Wtedy mógł już sobie pójść. Mona spotkała Wilhelma. Bliźniaki zaczęły szkołę. Anselm nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Teraz jako dorosły człowiek lepiej rozumiał dlaczego.

Arne Folhammar zamknął drzwi sali archeologicznej za ostatnimi gośćmi. Na ulicy Strandvägen wiał chłodny wiatr, niosąc ze sobą zapach z restauracji. W powietrzu unosił się nastrój imprezy i wyczekiwania. Obok przechadzali się roześmiani, zajęci rozmową ludzie w jasnych letnich ubraniach. Tak często tęsknił za tym, aby opowiedzieć wszystko Birgicie, ale w głębi serca wiedział, że to nigdy się nie stanie.

„Zgodnie ze starym zwyczajem diadem panny młodej może być noszony tylko przez dziewicę” - rzekła łaziebna, przeklęta wiedźma, i wetknęła swój pomarszczony paluch w najczulsze miejsce ich pożycia. A on zawiódł Birgittę, żeby uniknąć dalszych komentarzy. „W takim razie przyjdzie mu chyba zardzewieć”.

Czekając na Hartmana, Arvidssona i Eka, komisarz policji Maria Wern przyglądała się rzeźbie przy wejściu do komisariatu. Umówili się o dwunastej na lancz w mieście. Ek znalazł stylową restaurację Rosengården. Można było zamówić tam kotlety jagnięce, ciasto szafranowe z bitą śmietaną, konfiturę z jeżyn i oblane czekoladą winogrona. Restauracja znajdowała się tuż obok ruin kościoła Świętej Kariny na Rynku Głównym. Nie spieszyli się jednak. Maria popatrzyła na zegarek, mieli już kwadrans spóźnienia. Hartman ostrzegał, że może nie zdążyć na czas, ale gdzie Arvidsson i Ek? Pytanie, czy w ogóle zdążą pójść do miasta. Maria okrążyła wejście i stanęła z powrotem przy rzeźbie.

„Co komputerowa maszyna właściwie o nas wie?” – głosił napis na stojącym przed nią dziele sztuki Pye Engströma. Na jednej stronie rzeźby roilo się od żywych istot: wspinających się i pełzających ludzi w nieprzewidywalnym chaosie życia. Na drugiej stronie komputera z białego marmuru stały w rzędzie identycznie wyglądające sztywne postacie. Warto wziąć tę myśl pod rozwagę, gdy zagląda się do rejestru przestępców. „Co komputerowa maszyna właściwie o nas wie?” Maria usiadła w jednym z wiśniowych foteli i czekała. Jako detektyw kryminalny była dobrze traktowana. Jej biurko stało w tym samym pokoju na pierwszym piętrze co biurko Hartmana. Ek i Arvidsson ubiegali się o posadę w patrolu policyjnym i dostali teren w okolicach Visby. Oprócz Visby było jeszcze Slite na północy i Hemse na południu, ale tylko posterunek w Visby był otwarty w nocy. To idealnie pasowało Ekowi, ponieważ zdecydowanie należał do nocnych marków. Arvidsson nie był równie zachwycony, szczególnie odkąd dowiedział się, że knajpy mają być otwarte teraz dłużej, do czwartej rano. Dwie godziny więcej, aby się doprawić alkoholem, uważał. I mniej czasu na wytrzeźwienie przed udaniem się do pracy. Rezydujący w centrum również protestowali, nawet jeśli ci, którzy byli na tak, podjęli decyzję ze względu na dbałość o dobry sen mieszkańców. Przecież lepiej, żeby ludzie wykruszali się po trochu, niż żeby wszyscy szli do domów o drugiej. Lepiej i lepiej, to był wybór między dżumą a cholera, uważała Vega Kraft, która dyskutowała nad tą kwestią z Hartmanem, od kiedy wetknął głowę w gniazdo os na Norra Murgatan 14.

Komisarz Trygvesson pokonał korytarz przy wejściu kilkoma krokami. Maria stwierdziła, że wygląda jak polski ochroniarz po cywilnemu. Kilka lat młodszy od Hartmana, postawny. Ogolona głowa, półdniowy zarost i luźny golf. Brak marynarki. Jego oczy były bardzo niebieskie. Maria słyszała, jak zamienia kilka słów z aspirantem w recepcji. Irytację w głosie słyhać było bardziej niż same słowa. Pytanie aspiranta i mrukliwa odpowiedź Trygvessona: „Za moich czasów uczyliśmy się pracy”.

– Strażnik w areszcie? Przecież miałem pracować w patrolu – powiedział zrezygnowany aspirant.

Trygvesson zdał sobie właśnie sprawę z obecności Marii. Poprosił ją gestem

o poparcie, ale Maria nie zamierzała mu go udzielić.

- No to masz pecha - mruknął Trygvesson. - Czekasz na facetów ze stałego lądu?

- Tak. Widziałeś ich? Mieliśmy iść do Rosengården. Jadłeś już? Chodź z nami, jeśli masz czas - zaproponowała Maria, wstając. - Mam kilka rzeczy do obgadania z tobą.

- Dziękuję za zaproszenie. Nie będą tu wcześniej niż za kwadrans. Pewnie skończy się na kafeterii albo McDonalddie.

Padło na McDonalda. Zestaw sałatkowy dla Hartmana i Marii, dla reszty Big Mac z dodatkową porcją frytek i podwójną colą. Usiedli na zewnątrz, w najdalszym rogu przy ulicy. Dwa stoły dalej siedziała rodzina z dziećmi - dwójką padających ze zmęczenia chłopców, ślaniających się pod stołem, wokół stołu i na kolanach dorosłych.

- On mi pokazał język.

- Wcale że nie, głupku.

Maria pomyślała o swoich dzieciach, Emilu i Lindzie, i poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. Byli teraz pewnie w świetlicy wakacyjnej. A Krister siedział prawdopodobnie w szpitalu u matki, miał ją odwiedzić do domu, obiecał jej to. Chodziło o to, żeby wzbudzić szacunek. Bardziej imponujący był powrót własnym samochodem z mężem i synem niż samochodem do transportu chorych, tak uważała teściowa. Dlatego Krister zostawił dzieci w świetlicy.

Wczoraj Gudrun Wern chodziła z magnetofonem EKG sprawdzając, jak funkcjonuje jej serce przy normalnym wysiłku. Słowo „magnetofon” zapuściło głębokie korzenie. Cały dzień chodziła i uciszała ludzi, myśląc, że wszystko, co mówią wokół, zostaje nagrane. Wystarczy drobny hałas, żeby zagłuszyć ciche pikanie serca, tak uważała. Dlatego Krister musiał towarzyszyć jej w wyprawie do lekarza i wytłumaczyć, że ten dzień nie należał do zwykłych, przeciętnie męczących dni, skoro przez cały czas trzeba było brać odpowiedzialność za to, co nagrywa się na taśmie. Powtarzane badania, wywiady medyczne i czas spędzony w poczekalni mogły pochłonąć lwią część czasu przeznaczonego na wakacje, jeśli Krister miał zamiar okazywać tak dogłębne moralne wsparcie.

- Spóźniliście się. - Maria przyglądała się Arvidssonowi i Ekowi.

- Zaginał mężczyzna na promie do Nynäshamn - odpowiedział Arvidsson. - Niewykluczone, że to samobójstwo. Kiedy przybili do portu w Nynäs i pasażerowie mieli opuścić prom, na drodze stanął im biały opel. Czasami zdarza się, że ludzie zaśpią w kabinach i nie schodzą na czas. Ale tutaj chodziło o coś innego. Musieli go holować, żeby znalazło się miejsce dla samochodów, które zabukowały drogę powrotną.

- Kolega z Nynäshamn zadzwonił i powiedział, że do terminalu w porcie przyniesiono kluczyki od samochodu i czapkę z daszkiem - dodał Ek. - Kabina została zaplombowana, ale sprzątaczką zdążyła niestety zebrać większość pościeli. Z tego, co pamiętała, łóżko było pościelone. Czy ktoś życzy sobie kawę?

- Czy to możliwe, żeby kierowca zapomniał, że miał samochód, i zszedł

z promu? Może odświeżał się w barze? – Hartman spojrział tęsknie na frytki Arvidssona i krzyknął do Eka, że chce ciastko do kawy. Trygvesson odmówił słodkości.

Maria spojrzała na starszego z dwóch małych zuchów, który ćwiczył swoje umiejętności strzeleckie, mierząc do dobrze odżywionych gołębi, przechadzających się ospale obok restauracji. W jedną z dziurek od nosa wkładał frytkę i przytrzymując drugą dziurkę palcem wskazującym, wydmuchiwał gwałtownie powietrze, strzelając celnie w środek głowy gołębia. Obrzydliwość – sądząc po minach, tak myśleli w tej chwili inni goście w restauracji. Dorośli popatrzyli po sobie i jakby ręce im opadły pod wpływem ciężaru, który wspólnie dźwigali. Machając, przywołali klauna rozdającego balony i chorągiewki. Chłopiec kontynuował prześladowanie gołębi za pomocą nowej broni, jego młodszy brat również włączył się do zabawy. Pach, pach. Balony uderzały o ziemię i ptaki uciekały, trzepocząc skrzydłami na drugą, bezpieczną stronę ulicy. Przynajmniej jednak zuchy były teraz w zgodzie.

– Znalaziono parę znoszonych, choć wyglancowanych butów pod jedną z łodzi ratunkowych, przy furcie w nadburciu. Kabiny załogi znajdowały się naprzeciwko, ale nikt nic nie zauważył. Policja w Nynäshamn zawiadomiła pogotowie wodne. Nie ma wielkich nadziei, ale mimo to pogotowie wyruszyło na poszukiwania z łodzią i helikopterem. Woda jest ciepła i morze spokojne – powiedział Arvidsson.

– Czy mają listy pasażerów na pokładzie?

– Teraz już nie. – Trygvesson potrząsnął głową i dotknął górnej wargi. – Doszło do różnych sytuacji, kiedy próbowano skontaktować się z tymi, którzy mieli kabiny. Ci w kabinach nie chcieli, aby im przeszkadzano, i załoga recepcji miała dylemat. Podawać numery kabin czy też nie? Dlatego zdecydowano, że listy z rezerwacjami będą tylko w terminalach.

– Czy można dowiedzieć się, kto był w której kabinie?

– Tak, przy rejestracji pasażerów ci, którzy zabukowali kabinę z wyprzedzeniem, dostają jej numer. Jest zapisany w komputerze. Jeśli kabina została wykupiona w recepcji, nie trzeba podawać imienia. Ale mieliśmy szczęście. Kabina 8032, gdzie znaleziono klucz, jest na liście i była zabukowana przez Wilhelma Jacobssona. Sprawdziliśmy również numer rejestracyjny samochodu. Opel należy do niego. – Trygvesson zamilkł, gdy Ek pojawił się z kawą.

Słońce prażyło i ciepło skupiło się pod parasolami. Maria zastanawiała się, dlaczego nie wzięła czegoś zimnego do picia, jednak siła nawyku była większa. Kto raz stał się kawoszem, na zawsze nim pozostanie. Czuła się dziwnie, siedząc w mieście tak naznaczonym średniowiecznym klimatem i jedząc hamburgera w McDonalddie. Ze swojego miejsca przy stole mogła dostrzec wschodni port wznoszący się jak posąg nad blaskiem bijącym od dawno minionych czasów. Trzykilometrowy mur obronny sprawiał wrażenie pełnego szacunku dla karkołomnej pracy wykonanej za pomocą innych niż dostępne dziś narzędzi.

Zadziwienia nad tym, jak można wykorzystać siły przyrody. Hartman opowiadał, jak to robili w kopalni wapnia w Östergravar i przy Galgberget. W miejscu powstania naturalnej szczeliny tworzący wyłomy i wbijano tam dębowe kliny. Zalewane później przez wodę kliny pęczniały i rozsadzały kamień. Imponująca robota.

- Ma jakichś krewnych? - rzucił Hartman i Maria wróciła do teraźniejszości.

- Rozmawiałam przez telefon z żoną.

Arvidsson przybrał nagle poważny wyraz twarzy.

- Chyba musimy tam jechać. Mieszka w Eksta. Trafisz? - spytał. Trygvesson popatrzył pod słońce nad krawędzią swojego papierowego kubka i pożałował, że nie wziął mleka do kawy. - Mogę pokazać na mapie. Droga nie jest trudna.

Maria posłała Hartmanowi rozbawione spojrzenie, gdy ten udał się po kolejnego Maca. Wziął go do ręki, żeby mieć wałówkę w drodze na komisariat. To zaimponowałoby Vedze.

- Na początku istnienia komisariatu pomalowano go na kanarkowożółto, w kolorze siarczynu miedzi, prawie fosforyzującego. Teraz kolor już wyblakł. Dokładnie tak jak ja - oznajmił Trygvesson i przejechał dłonią po ogolonej głowie. - Nic już nie jest takie jak przedtem, cholerni aspiranci nadają ton.

- Może jednak trzeba patrzeć na nich jako na pewne dobro - zauważyła Maria, napotykając obrażone spojrzenie Trygvessona. - Często są bardziej na czasie, jeśli chodzi o ustawodawstwo. Możemy się uczyć od siebie wzajemnie.

- Gówno prawda - mruknął Trygvesson i splunął na chodnik.

W oddali widzieli przypominający gada sznur samochodów, wolno wijący się obok żółto-pomarańczowych świateł. Tuż przed miejscem, gdzie odbywały się prace drogowe, nastąpiło gwałtowne hamowanie i droga została otwarta dla samochodów z drugiej strony. Dwóch mężczyzn w ubraniach ostrzegawczych rozłożyło materiał izolacyjny.

- Czy przebudowywanie drogi w środku sezonu turystycznego jest naprawdę czymś koniecznym? - odezwał się Arvidsson i zamknął szybę, aby uniknąć oparów dieslowych.

- Może powinniśmy się upewnić, że nie mamy w baku zielonego diesla, skoro już tu siedzimy i czekamy.

Ek wysiadł, nie czekając na odpowiedź. Arvidsson głośno stęknął. To, że Ek cierpiał na nietolerancję niedoboru stymulacji, było znanym faktem, czasami również zaletą. Chwilowo Arvidsson pragnął mieć innego partnera. Było ciepło, miniona noc była krótka i chciał przygotować się psychicznie przed spotkaniem z Moną Jacobsson.

- Ja zostaję. - Arvidsson zobaczył, jak Ek podchodzi do operatora koparki, gestykułuje i pokazuje legitymację - kolejka samochodów z drugiej strony przerzedziła się. Kierowcy dodali gazu, ktoś zatrąbił. Arvidsson rzucił po cichu wiązaną przekleństw i odjechał na bok.

- Było zielone!

- Naprawdę? - Arvidsson uniósł się w samochodzie.

- Jest w porządku. Była czysta. Na pełnym legalu.

- To fajnie.

- Operator koparki jest sąsiadem kobiety z Eksty, do której jedziemy.

- I...?

- Mówił o tym, jak pytałem o drogę.

Z rosnącym poirytowaniem Arvidsson jechał drogą wzdłuż wybrzeża w stronę Eksta. Nie pomagało mu na pewno spontaniczne zatrzymywanie się innych samochodów przed szyldami z napisem „Miód” czy „Pchli targ”. Gwałtowne hamowanie, zjazd na lewo i w końcu w najlepszym wypadku kierunkowskaz.

- Turyści! - burknął zdenerwowany Arvidsson. Ek zaśmiał się.

Mona Jacobsson zdjęła dzbanek z kawą z kuchenki i pozwoliła, by osad opadł na dno. Wdzięczna za każdą sekundę, gdy mogła stać twarzą do ściany i unikać poważnego, badawczego spojrzenia obu policjantów. Cyfry na kalendarzu kuchennym krążyły wokół dzisiejszej daty jak muchy. Nigdy nie będzie mogła wymazać jej z pamięci. Zdjęciem miesiąca był Olov na koniu, w pełni uzbrojony, zielony Rycerz Złotego Miecza. Z opuszczoną lancą mknął na swoim koniu pełnej krwi angielskiej wzdłuż hipodromu, gotowy do walki. Kalendarz ze zdjęciami подарowano jej na Gwiazdkę. To był właściwie jedyny prezent, jaki dostała. Większość fotografii zrobił sam Olov. Dziś była niedziela. Teraz, kiedy powinna płakać, nie potrafiła.

- Czy Wilhelm mówił kiedykolwiek o tym, że chce sobie zrobić krzywdę? - zaczął wysoki rudzielec, który przedstawił się jako Arvidsson.

Mona odwróciła się powoli, zmusiła się do tego, aby mówić spokojnie, tak jakby szukała w głowie odpowiedzi. Najlepiej byłoby, gdyby mogła się rozplakać, wtedy upiekłoby się jej, przynajmniej dziś.

- Tak - wyrzuciła z siebie i wzięła wdech. Jej zdaniem zabrzmiało to smutno.

- Czy chciałaby pani o tym opowiedzieć? - spytał. Monie podobał się jego głos, był spokojny i grzeczny. Nie miała powodu do obaw. Grał razem z nią w tym dramacie o zacnej wdowie i jej żalobie.

- To pojawiło się jakby niepostrzeżenie - odparła. - Nic nie sprawiało mu prawdziwej przyjemności. Nie chciało mu się spotykać z ludźmi, był zmęczony i czuł, że do niczego się nie nadaje. Miał problemy ze snem i potencją.

Objawy depresji, czytała o nich w jakimś tygodniku w pracy. Czasami pożyczala go od sprzątaczk i przeglądała w czasie przerwy na luncz. Każdego tygodnia publikowano nowy test: *Czy cierpisz na wypalenie zawodowe?* Były tam pytania z punktowanymi odpowiedziami do wyboru. W poprzednim tygodniu tytuł brzmiał: *Czy pasujecie do siebie?*, a jeszcze poprzednim razem: *Jaki typ sprzątkania preferujesz?* Czy dowiedzieli się tego, czego chcieli? Czy byli zadowoleni? Ten niski, obcięty na jeża patrzył na nią dziwnie, tak jej się wydawało, i na wszelki wypadek wspomniała jeszcze o „braku apetytu i poczuciu winy”.

- Nie spała pani, gdy mąż odjechał rano? - Ten z jeżem na głowie popatrzył prosto na nią. Nazywał się Jesper Ek.

- Nie. Musiałam podać Wilhelmowi śniadanie.

W tym obciętym na jeża było coś nieprzyjemnego. Nie podobał jej się sposób, w jaki ciągle zmieniał pozycję na kuchennej ławie i obracał długopis w dłoni. Drugi siedział zupełnie nieruchomo, nieznacznie wciśnięty w siedzenie. Świerzbili ją palce, żeby zdzielić go po głowie, tego całego Eka. Powinien siedzieć i się nie ruszać. „Masz robaki w tyłku” - mawiał Anselm, zanim wymierzał uderzenie. „Siedź spokojnie, gówniario!”

- Czy pamięta pani, co miał na sobie, kiedy się żegnał dziś rano?

Mona zamyśliła się, nalewając kawę Arvidssonowi. Prawda była taka, że miał na sobie niebieskie spodnie i koszulę z krótkimi rękawami w niebieską kratkę, ale nigdy nie włożyłby tych ubrań, gdyby miał udać się w podróż. Wszyscy, którzy go znali, poświadczyliby to. Gdyby jednak zaproponowała białą koszulę i brązowe spodnie, a oni później znaleźliby ciało, byłoby to nieprzyjemne. Nie chciała w tym uczestniczyć! Nic nie zrobiła! Gdyby miała pilota, wyłączyłaby ten nieprzyjemny widok policjantów. Jej dłoń trzęsała się i rozlała kawę obok filiżanki Eka. Teraz był zły. Takie miała wrażenie. Może nie okazywał tego, ale czuła to. Kawa rozlała się na spodek i pociekła po ceracie. Zrobił unik, przesuwał się gwałtownie w bok. Mona pomyślała, że ćwiczył ten manewr od chwili, gdy się tu pojawił. Tak jakby wiedział, że ona nie potrafi nalać kawy, nie rozlewając jej. Taki test.

- Przypomina sobie pani, co miał na sobie? - powtórzył Ek. - Może pewnym ułatwieniem byłoby przejrzenie szafy? - No i proszę. Teraz otwarcie ją oskarżał. Zebrała w sobie odwagę i powiedziała cichym głosem:

- Nie wiem. Jak się żyje ze sobą tak długo jak my, nie patrzy się na siebie w ten sposób. Myślę, że on również nie byłby w stanie powiedzieć, co miałam na sobie.

„Nigdy nie był w stanie”, pomyślała i wyjęła półmisek z ciastkami. Przynajmniej nie mogli narzekać na poczęstunek. Była tam babka piaskowa oraz ciasteczka w kształcie koron i liści dębu. A także oczywiście szafranowe bułeczki.

- Czy był u lekarza z tymi dolegliwościami? - zapytał Arvidsson.

- Nigdy nie poszedłby do lekarza! - To mogła przyznać bez zmruczenia oka. Przyjemne uczucie mówić prawdę, nawet jeśli była to tylko mała jej część.

- Czy ma problem z alkoholem? - kontynuował rudzielec. Mona zamyśliła się.

- Nie wylewał za kołnierz.

- Mona! Moona! Przyniesiesz mi te kawki czy nie?

- Przepraszam. To ojciec. Mieszka na piętrze - powiedziała Mona. Ek przesunął filiżankę z kawą na środek stołu.

- Czy będzie można zamienić z nim kilka słów?

Tylko tego brakowało. Dlaczego nie spał po południu, tak jak zwykle? Jeszcze godzina i byłoby po wszystkim. Co Anselm im powie? Mona czuła presję. Zmęczenie zacisnęło się jak żelazna obręcz wokół jej czoła. Próbowwała się skupić i kontrolować głos. Mimo to mówiła zdecydowanie zbyt szybko i piskliwie. Sama słyszała, jak fałszywie to brzmi, i zaczerwieniła się.

- Nie sądzę, żeby to się na wiele zdało. Jest już całkiem zniedołężniały. Wiele zapomina i wypełnia dziury w pamięci własnymi fantazjami. Może wymyślać najbardziej niestworzone rzeczy.

- Może mimo wszystko zajrzemy do niego na chwilę. Na pewno już nas słyszał.

Ek wstał, ale nie podszedł do Arvidssona. Ten cały Ek zamierzał ją przyskrzypić. Tak czuła.

- Sama nie wiem. Czasami potrafi się rozebrać... rozumiecie... mogę was zawołać, jeśli będzie w stanie was przyjąć. Czy to konieczne?

Mona odszczeknęła i czekała na uderzenie, które nie nastąpiło. Szukała złości w twarzy Arvidssona, ale pozostał tam tylko spokojny, trochę smutny uśmiech. Nic z tego nie rozumiała.

- Nie. Może jednak nie... - Arvidsson uniósł się lekko z krzesła.

- Chciałbym zamienić z nim kilka słów - Ek spotkał niechętny wzrok kolegi.

- Jak panowie chcą. Ale pozwólcie, że najpierw zobaczę, czy wszystko z nim w porządku. To byłoby krępujące dla niego, jeśli wydarzył mu się jakiś wypadek.

Mona zrzuciła buty i pobiegła po schodach w górę. Anselm siedział na wózku przy oknie z rękami na stole i słuchał radia.



- Co to za ludzie w domu? - Koc spadł na podłogę, Mona podniosła go, pochyliła się i szepnęła mu coś do ucha.

- Co ty gadasz, do cholery? - syknął. Podgłośniła radio, żeby nie było słychać na dole ich głosów.

- Wiesz przecież, ojczy, że chcę cię chronić. Ale oni już tu są.

- Po moim trupie.

- Możecie iść teraz na górę. Chociaż nie sądzę, żeby to się na coś zdało. Proszę nie mówić nic o Wilhelmie, dopóki nie mamy pewności. To tylko zdenerwuje i rozjuszy ojca.

Arvidsson przytaknął. Twarz Eka była bez wyrazu. Poszli w górę schodami, gdzie ściany po obu stronach wyklejone były wycinkami z gazet dotyczącymi rodziny królewskiej, jej zdjęciami robionymi przy okazji różnych uroczystości: podczas parady kapeluszy, w sukniach balowych i z szarfami. Mona szła na czele i przepuściła gości, gdy przekroczyli ostatni stopień schodów. Na korytarzu na górze jedynym źródłem światła było okno w suficie, był on też skąpo umeblowany.

- Możecie się stąd zabierać, wy pedalskie sukinsyny. Nigdzie się stąd nie ruszam.

- Jesteśmy z policji. - Inspektor Ek przedstawił się i wyciągnął dłoń, próbując nawiązać kontakt wzrokowy. Starzec patrzył niewidzącym wzrokiem przez okno, nie podając mu ręki. Jego pięści spoczywały zaciśnięte na kolanach.

- Kto naskarżył? Henrik? To wam powiem, że tego jego koguta słychać aż przy kościele. Lepiej będzie, jak pójdziecie i skręcicie kark temu czortowi.

- Chcieliśmy zadać kilka pytań - powiedział Ek z rezygnacją.

- Przyszliście tu tylko po to, żeby zabrać moje pieniądze. Wiem przecie, jak tam u was drogo, i stopa moja tam nie postanie.

Arvidsson zauważywszy, że obie nogi mężczyzny są amputowane, skinął głową i położył dłoń na ramieniu kolegi.

- Mam wszystko, czego potrzeba. Idźta do diabła.

- Proszę nam wybaczyć - odezwał się Arvidsson. - Nie chcieliśmy go tak zdenerwować. Myślałem tylko, że czasami w przebłyskach świadomości nawet ludzie chorzy mogą pamiętać to i owo. Ważne, aby ich też brać pod uwagę.

Ek patrzył na niego ze zdziwieniem.

- Co teraz? - zapytała Mona.

- Jest w domu ktoś jeszcze?

- Moi synowie są w drodze, w każdym razie Olov. Nie udało mi się skontaktować z Christofferem.

- Damy znać, jak tylko będziemy coś wiedzieli. Jesteśmy w ciągłym kontakcie przez centralę ze strażą przybrzeżną.

Minęli Gannarve we Fröjel - głazy ułożone w kształt statku - i wioskę rybacką Koviks. Arvidsson otworzył szybę i poczuł uderzający smród zgniłych

wodorostów. Pole żyta czerwienilo się od maków. Pszenica mieniła się żółtożłoto w wieczornym słońcu. Na dzikich rabatkach po obu stronach drogi kwitła cykoria, trybula leśna i żmijowiec zwyczajny. Na Gotlandii dba się o przydrożną florę tak bardzo, że zimą nie posypuje się dróg solą. Zatrzymali się przy sklepiku w Tofta, gdzie obaj kupili sobie po lodzie. Wieczór był ciepły, a morze spokojne i niezmacone – jasnozielone przy plaży i ciemnoniebieskie dalej, obok falochronu przy Mallmunds, który właśnie minęli. Arvidsson oparł się o ścianę i przymknął oczy.

– Co myślisz?

– Nie sprawia wrażenia szczególnie zaniepokojonej. – Ek wyjął notatnik i zapisał kilka rzeczy mających posłużyć jako późniejsze wsparcie dla pamięci.

– Może jest w szoku. Uczucia mogą przyjść później.

– Powiedziała: „Nie wylewał za kołnierz”. Dlaczego nie: „Nie wylewa za kołnierz”?

– Też o tym pomyślałem.

– Co miałeś na myśli, mówiąc to o ludziach chorych? – zapytał Ek.

Arvidsson westchnął głęboko i wcisnął się głębiej w siedzenie. Trwało chwilę, zanim odpowiedział:

– Moja mama zachorowała na alzheimera, kiedy miała pięćdziesiąt osiem lat. Próbowaliśmy zatrzymać ją w domu tak długo, jak tylko się dało. Ale zeszłej wiosny przestało to być możliwe. Teraz jest w domu opieki. Pod koniec było ciężko. Brałem nocną zmianę, tata opiekował się nią, gdy pracowałem. Kiedy wrócimy na stały ląd, będę potrzebował mieszkania.

– O cholera. Nie wiedziałem. Mieszkałeś w domu przez cały ten czas do teraz? – rzucił Ek bez przekonania.

– Tak. Tak się złożyło – odparł Arvidsson, napotykając wzrok Eka.

Są dni wchłaniane przez monotonne, codzienne troski, kiedy nie liczy się mijającego czasu. Ale są też takie dni, kiedy wszystkie szczegóły zachowują ostrość do końca życia. Nadchodzący dzień miał się taki stać dla Mattiego Passikivi.

Matti przesunął dłonią po relingu żaglówki, którą pożyczył od brata Anji. Jej brat nie chciał nic wziąć za jej wynajęcie ani nawet za paliwo. Wspaniałomyślnie! Matti nie mógł się doczekać romantycznych wakacji – dwóch tygodni z Anją. Słoneczne dni na plaży, gorące noce pod pokładem, piwo na świeżym powietrzu, kultura i ciepło. Tak wyglądały jego marzenia. Uścisnął szwagra, mimo że nie przepadał za kontaktem cielesnym z mężczyznami.

- Może jednak coś ci zapłacę? Innym razem możesz mnie poprosić o przysługę. Zawsze możesz na mnie liczyć, wiesz chyba – powiedział. Słowa, rozlane jak woda na piasku, nie można ich cofnąć.

- Tak. Może będziesz mógł trochę mi się zrewanżować, jeśli to nie byłby zbyt duży kłopot?

- Nie ma takiej opcji. Słucham cię – odpowiedział niefrasobliwie Matti.

- Nie chcę, żebyś czuł presję.

- Po prostu wal.

- Czy możesz zabrać ze sobą moich chłopców? Powinni pobyc trochę na świeżym powietrzu. Muszę pracować przez resztę wakacji, a chłopaki zaczynają szkołę dopiero pod koniec sierpnia.

- A Lena nie może...?

- Matka chłopców też pracuje w wakacje.

Matti żałował każdej minuty podróży, ale Anja wciąż miała dobry humor, mimo że chłopcy rzygali jak koty, gdy tylko wypłynęli na pełne morze, a później nudzili się jak mopsy. Teraz siedziała na dziobie i opalała się. Brązowe włosy spięła w kucyk, żeby nie osłaniały ramion. Skórę pokrywała apetyczna opalenizna. Zauważył, że przez białe bikini prześwitywały jej sutki. Chłodny wiatr sprawił, że uwypukliły się. Nie mógł oderwać od nich wzroku. Przewrócił stronę tygodnika, spojrział w górę i zobaczył chłopców.

- Nieee, Lauri! Jeśli chcesz siku, musisz zejść na dół do toalety. To nieładnie siusiać za burzę, kiedy jest się w porcie.

Lauri podskoczył i zamachał prowokująco siusiakiem.

- Uważaj – powiedziała Anja, udając powagę. – Może przyfrunąć mewa i ci go uciąć.

Odchyliła się ponownie do tyłu i założyła okulary przeciwsłoneczne. Rozstawiła nieco nogi. Były brązowe i lśniące od olejku. Matti przebiegł po nich wzrokiem aż do białego wzgórzka. Tam się zatrzymał. W pępku miała małą, białą perłę. Chciał całować jej pępek... i piersi... znów tam był. Czuła na sobie jego wzrok i uśmiechnęła się poirytowana. Widziała, co widziała. I co z tego? Znów miał wzwód. To chyba nie było tak cholernie dziwne, gdy znajdowała się tak

kusząco blisko, ale nie mogła przyjść do niego z powodu dzieciaków. Nie teraz, mogą usłyszeć! Nie, mogą zobaczyć! Uspokój się! Później. Co za wakacje!

Matti odwrócił się przodem do relingu, przód jego spodenek uwypuklił się na wietrze. To było tak cholernie niezręczne! Kątem oka zauważył, jak Anja zdejmuje okulary i mruga do niego. Unikał kontaktu wzrokowego i spojrzał ku portowi w Visby: średniowieczne spichlerze z powstałymi przy nich ostatnio restauracjami na powietrzu, wypożyczalnia rowerów, stary żółty budynek więzienia. Jeden z czterech młynów na wzgórzu został doszczętnie spalony. Nigdy nie mógł sobie przypomnieć który. Pamiętał tylko rymowaną: Wzniesienie, Płomienie, Wiedźma i Cierpienie. Wieża katedry i ruiny, które stanowiły zarys Visby, kiedy wpływało się do portu, prawie zupełnie znikają, gdy dobijało się do kei.

„W rzeczy samej prawda pewnie nie istnieje... ale to, co ludzie postrzegali jako prawdę, cały czas patrzy nam głęboko w oczy i żebrze o współczucie”. Tak to ujął Henry Adams, przypatrując się średniowiecznym ruinom. Architektura jako wyraz prawdy o Kościele i wszechświecie. Wznoszące się ku niebu sklepienia. Wielkość, która przekracza samą siebie. Tak zazwyczaj wygląda początek końca. Ostatnia demonstracja wielkiej gwiazdy, kultura, która osiąga swój szczytowy punkt, by później ulec zagładzie. Bogactwo i władza zmaterializowały się w mieście hanzeatyckim Visby w postaci gigantycznych budynków, zanim wszystko obróciło się w ruinę na skutek nieurodzaju i zarazy.

Matti odwrócił głowę i popatrzył na morze w kierunku wzgórza Högkint. Magiczne światło odbijało się na skale. Mimo zapierającego dech w piersiach piękna tęsknił za domem. Został jeszcze tydzień. Siedem piekielnych dni z dmuchanymi zamkami, teatrem dla dzieci i Happy Meal. Nigdy więcej nie pożyczy łódki, wpędzając się w dług wdzięczności. Przenigdy! Matti nie słyszał, jak Anja podchodzi do niego, i zadrżał, czując, jak lekko napiera na jego plecy swoim rozgrzanym od słońca ciałem. Objęła go od tyłu rękami. Dłonie zsunęły się w dół po jego brzuchu. Subtelnie i zadziornie muskała czubkami palców jego skórę. Czuł przez materiał dotyk jej paznokci.

- Teraz - wyszeptała. - Mam teraz ochotę.

Ciało zareagowało, zanim myśl dotarła do mózgu. Rzucił okiem na Lauriego i Juho. Siedzieli naprzeciwko siebie po turecku i przeprowadzali sekcję meduzy, którą złapali do czerwonego wiadra. Niezbyt przyjemne zajęcie, ale biorąc pod uwagę zaistniałą sytuację, nie zamierzał proponować im innej zabawy. Odnotował, że obaj mieli na sobie kamizelki ratunkowe. On i Anja oddalą się na krótko. Chichocząc, zeszła schodkami pod pokład. Kołyszące się biodra. Miała na sobie jedynie maksymalnie skąpe stringi. Siłą woli jeszcze raz się odwrócił i zobaczył, że chłopcy nadal siedzą w tym samym miejscu. Byli zajęci własnymi sprawami, nawet go nie zauważyli.

Kiedy popatrzył w ciemność, w kierunku zaciągniętych zasłon, zauważył, że jest od stóp do głów owinięta prześcieradłem. Uwielbiał takie przebieranki. To chyba będzie trwało dłużej, niż myślał, ale konieczność nie zna prawa.

Lauri położył meduzę na czterech palcach i nacisnął od góry palcami drugiej dłoni, które wyszły po przeciwnej stronie żelowego ciała.

- Ohyda. - Skierował się ku łódce obok i wyrzucił meduzę. Poszybowała tuż nad relingiem i wylądowała z cichym pluskiem w wodzie. - Muszę siku. - Rozejrzał się wokół, ale Anji nigdzie nie było.

- Potrafię sikać dużo dalej niż ty! - oświadczył Juho. - Siedem metrów!

Był przecież o rok starszy i przeświadczony o tym, że wyjdzie zwycięsko z pojedynku. Stanęli przy relingu, ściągnęli kąpielówki i próbowali się skupić, gdy nagle Juho doszedł do wniosku, że niespecjalnie czuje potrzebę i nie zasługuje w związku z tym na samozwańcze mianowanie się zwycięzcą. Spróbował strategicznie odwrócić uwagę:

- Patrz na meduzę! Jakoś dziwnie wygląda. Wyłówm ją z powrotem.

- Nie da rady! Pozostały z niej tylko smarki.

- Bo jak nie, to nasikam ci w ucho. Łapiemy meduzę - powiedział Juho zdecydowanie.

- Nie da rady.

- Jasne, że da! - Juho poszedł po wędkę. Przerzucił ją przez reling. Splawik wylądował z pluskiem tuż przy znajdującej się w większości pod wodą bezbarwnej galaretowatej masie.

- Chyba kapujesz, że nie złapiesz jej na haczyk! - Lauri splunął w wodę, tak jak wcześniej robił to Matti. Dodało to jego słowom pewnej powagi.

- Patrz, mam ją! - Juho zarzucił wędkę i z triumfem zaczął wyciągać zdobycz.

- Przecież to tylko torebka - zaśmiał się Lauri. - Zwykła torebka foliowa.

- Coś w niej jest.

- Pokaż. - Torebka wylądowała na pokładzie i chłopcy przykucnęli, żeby się jej bliżej przyjrzeć. Folia wybrzuszała się pod naporem wody. Coś było w środku. Coś miękkiego i podłużnego. Przez chwilę zapadła cisza, kiedy przyglądali się zdobyczy.

- Nikomu o tym nie powiemy! - zdecydował Juho.

Lauri patrzył oczami okrągłymi ze zdziwienia, trzymając się za krocze.

- Kurde. Ale to musiało boleć!

- Nikomu ani słowa. Obiecuj!

Lauri przytaknął w zadumie. Tak będzie najlepiej.

\*\*\*

Wraz z wieczorem przyszła wielka tęsknota za programem dla dzieci *Björnes*, mamą, tatą i kubkiem na czekoladę z napisem *Lauri*. Nie zabrał ze sobą Misia ani Ślimaka. W przypiływie dobrego humoru zostawił zabawki na łóżku. Teraz tęsknił. Pomiedzy zasłonkami przebijało się tajemnicze światełko. Ciemna woda migotała złowieszczo, rzucając na materiał zajączki, wyczarowane z kapelusza zające. Cienie wędrowały po ścianie, by po chwili zniknąć. Mieniające się wąskie pasma światła, ciągle w ruchu, nieustannie w pogoni za cieniem. Odboje dziwnie zatrzeszczały, jakby ktoś szedł wolnym krokiem przez pokład na górze. Mimo że na Okręcie i w innych restauracjach

w porcie grała muzyka, słyszał to wyraźnie. Krzyk kobiety w oddali. Pewnie zobaczyła dziecko-zjawę w obszarpanych ubraniach, przybyłą, aby odebrać swoją własność. Lauri czuł gulę w gardle, gotowy wybuchnąć płaczem, i schował głowę pod kołdrę. Kiedy zapadnie całkowita ciemność i Anja i Matti zasną, pojawi się duch. Przeniknie przez drzwi albo prześlizgnie się przez dziurkę od klucza. Na pewno był bardzo zły. Najpierw mewa odetnie mu go dziobem, a później... „Co zrobiliście z moim siusiakiem!” Nie będzie mógł go znaleźć. Dziecko-zjawa przybędzie, aby sprawić sobie nowego. Może siusiak Lauriego się nada. Ta myśl była dla niego zbyt przerażająca. Lauri zapłakał głośno i na wpół śpiąca Anja, usłyszawszy go, wyskoczyła z koi.

- Co się stało, Lauri? Coś cię boli? - Dotknęła go. Jeszcze nie, ale może zaraz zacznie. Z jego ust wydobył się krzyk. Matti zapalił światło. Juho usiadł na wpół przytomny na łóżku.

- Tęsknisz za domem? - zapytał zaniepokojony Matti.

- W torebce był siusiak. - Matti znieruchomiał na moment. Czy dzieciakom udało się może podkraść i zobaczyć coś, co nie było przeznaczone dla dziecięcych oczu? Co powie Lena, jeśli to się wyda?

- Chyba nie... - Juho wygramolił się z łóżka. Nie potrafił być twardy, gdy widział smutnego Lauriego, i powiedział niechętnie: - Dobra. Znaleźliśmy siusiaka w torebce.

Lauri wyglądał, jakby mu ulżyło. Matti poczuł się jeszcze bardziej skołowany.

- Gdzie? Pokażcie, gdzie go macie.

- Na dworze - odparł Juho. Anja włożyła dzinsy, wsunęła w nie prześwitującą koszulkę i zapięła rozporek.

- Wyjdziemy, żeby go zobaczyć.

- Nie. On jest zły i groźny. Nie otwieraj drzwi! - Lauri naciągnął na głowę kołdrę, tak że widać było tylko jego oczy - okrągłe i bardzo przestraszone.

- Kto jest zły i groźny?

- Duch dziecka, chce dostać z powrotem swojego siusiaka, którego odcięła mu mewa.

- Przepraszam, Lauri, przepraszam. Ja tylko żartowałam. Ta mewa to był taki żart. Nigdy więcej już nic takiego nie powiem - obiecała Anja. Matti zaśmiał się.

- On naprawdę tam jest - powiedział Juho. - Włożyliśmy go do skrzynki na dziobie.

- Dlatego nie może go znaleźć. I teraz chce się zemścić - jęknął Lauri przestraszonym głosem. - Nie wyjdę. Nigdy!

- Zostanę tutaj z tobą, a Juho pokaże Mattiemu to, co znaleźliście. - Anja usiadła na koi Lauriego i pocieszała go, głaszcząc jego włosy. Był świeżo ostrzyżony i nie mogła się powstrzymać od dotykania jego języka. Tak jak nie można się oprzeć szczypaniu pulchniutkich dziecięcych ud, pomyślała i uśmiechnęła się do Lauriego.

- Jutro pójdziemy do domu Pippi Långstrump. Ale będzie fajnie, co? - Lauri

przytaknął, ale wciąż miał poważną minę.

- Możemy kupić oranżadę w oranżadowym drzewie i popłynąć łódką na wyspę, gdzie tata Pippi jest królem Murzynów. Pewnie! A później będziemy się kąpać.

W tym samym momencie na pokładzie dało się słyszeć krzyk, wrzask wydobywający się z głębi męskiego gardła. Lauri przymknął oczy i zakrył uszy rękami. A nie mówił? Mały umarłak dźgnął ich pewnie nożem. W drzwiach ukazała się twarz Mattiego.

- Anja, podaj mi komórkę. Musimy zadzwonić na policję.

Letnicy! Mona przypomniała sobie o nich, gdy tylko samochód wtoczył się na wzgórze z oborą. Olov obiecał spotkać się z nimi przy łodzi. Teraz byli już tutaj. Wytarła ręce o spódnicę. Najchętniej sama zobaczyłaby budkę przy plaży jeszcze raz w świetle dziennym, zanim przyjadą. Ale teraz było na to za późno. Gdyby Anselm nie obudził się i nie ściągnął uwagi policjantów, zdążyłaby. Mona usłyszała głosy na zewnątrz. Żwir trzeszczący pod stopami zwiastował, że wkrótce zadzwonią do drzwi. To była siostra Wilhelma ze Sztokholmu i jej przyjaciółka. Przyjeżdżały każdego lata, często zapowiadając swój przyjazd zaledwie dzień wcześniej. Przez pięć pierwszych lat rozsiadały się w domu, czekając, by je obsłużono. Schodziły w piżamach na lancz, zamawiały śniadanie jak w ekskluzywnym pensjonacie i szeptały między sobą o tym, jaki brud panuje w łazience. Rzeczywiście, niełatwo było zachować porządek, kiedy Wilhelm przychodził z obory prosto do łazienki. Najgorzej było jednak, gdy próbowały pomagać i grzebały w jej szafkach i szufladach, wstawiając tam wytarte naczynia. Siostrze Wilhelma zawsze udawało się znaleźć coś, co należało wcześniej do czcigodnej rodzicielki – pamiątkę, której Wilhelm zrzekał się później pod wpływem emocjonalnej presji. Karafka na sok i kilka kieliszków do wina, waza na zupę i własnoręcznie tkane ręczniki. Kiedy obie wracały na stały ląd, ich torby podróżne były ciężkie jak ołów, natomiast szafki Mony coraz bardziej ogołoczone z wartościowych przedmiotów. Domek przy plaży był genialnym rozwiązaniem. Z powodu konfliktu we wspólnocie mieszkaniowej nie można było go wynająć, ale nikt nie mógł im przeszkodzić w przechowywaniu tam latem niemiłe widzianych krewnych.

- Taka szkoda, że Wilhelm musiał wyjechać. - Drzwi otworzyły się i nosowy, przepęczniony pretensją głos jego siostry rozległ się w korytarzu. Zawsze poprzedzał jej fizyczne pojawienie się w pokoju. Wzięła przyjaciółkę pod rękę i zanim się przywitały, wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Mona widywała już to wcześniej i domyśliła się, jaki miały sekret. Ściągnięte z przymocowanych do ściany łóżek materace, które ułożyły na podłodze w jedno wspólne posłanie, utwierdziły ją w domysłach. *Live and let live*. Z każdym rokiem coraz bardziej upodabniały się do siebie. W tym roku obowiązywały grube czarne oprawki do okularów i liliowe spodnie. Głosy i ruchy także zestroiły się perfekcyjnie. „Bill i Bull”, pomyślała Mona. „Wyglądacie jak Bill i Bull”. Siostra Wilhelma miała na imię Sofia, po Sophii Loren, ale imię zupełnie do niej nie pasowało. Natura albo poskaąpiła jej biustu, albo też ona sama nie pozwoliła sobie na wyeksponowanie go. Bull miał za to bardziej obfite kształty.

Gdy Mona spotykała się z ludźmi, najtrudniejsze było podawanie im ręki i patrzenie w oczy. Odkąd pamięta, nienawidziła tego. Wzdrygając się, była w stanie uczestniczyć w tym rytuale, ale zawsze wiązało się to z zadawaniem sobie gwałtu. Nie wiedziała, skąd się to brało, aż do pewnego bożonarodzeniowego poranka, gdy stała w pralni, pogrążona w myślach. Chciała



ić na świąteczne przyjęcie do Henrika - to było jeszcze zanim Wilhelm stał się nieznośny - ale nie chciała podawać nikomu ręki. Wtedy włożyła białe bawełniane rękawiczki, tłumacząc się sączącą wysypką. Ten jeden raz wymówka zadziałała, ale nie na dłuższą metę. Nienawidziła w równej mierze kłamstw i podawania ręki. I właśnie wtedy, gdy sortowała pranie, coś ją tknęło. Trzymała w ręku nocną koszulę i to pojawiło się nagle, ogarnęło ją niepostrzeżenie, jak napływający płacz. Koronka w połączeniu z myślą o podawaniu dłoni wydobyły zepchnięte w niepamięć zdarzenie. Odwiedziny ojca Wilhelma pod nieobecność Anselma. Był wieczór i miała na sobie koszulę nocną, całkiem nową - prezent gwiazdkowy od rejonowej pielęgniarki. Z poliestru, cieniutką, z koronką. Oskar Jacobsson, ojciec Wilhelma, siedział na kanapie. Jego wzrok śledził jej ruchy w kuchni, rozbierał ją do naga. Uśmiechając się lubieżnie i nie spuszczać wzroku z jej ciała, drapał się po kroczu i gładził rozporek, przytrzymując jednocześnie jej spojrzenie.

- My się chyba jeszcze nie przywitaliśmy. - Wstał i wziął ją za rękę. Uścisk był mocny i długi. Żenująco długi. Próbowła wyrwać dłoń, ale trzymał ją mocno. Słodko-kwaśny uśmiech igrał na jego wargach. Poczowała mdłości. Ciało zesztyniało w proteście. - Jesteś taka śliczna w tej koszulce, że aż ma się ochotę pójść z tobą do łóżka - to miał być żart i zaśmiał się donośnie. Ile miała wtedy lat? Osiem, może dziewięć. Próbowła się od niego uwolnić, gdy w tym samym momencie z obory nadszedł Anselm.

- Co się dzieje?

Czekała na wymierzenie sprawiedliwości, które nigdy nie nastąpiło.

- Nasza dziewczuszka nie chce się przywitać. - Dostała burę, a gdy próbowała się wytłumaczyć, oberwała również po głowie. Ile razy to się zdarzyło? Nie wiedziała. Z tego, co pamiętała, nigdy nie dotykał jej inaczej niż wtedy. Jednak zawsze witał ją w ten nachalny sposób. Zdawał sobie z tego sprawę i zmusił ją do milczenia. Z czasem przestała protestować, sprawiając zawód samej sobie. To było długo przed tym, jak związała się z Wilhelmem. Nigdy nie mówiono o tym, jak sprawy się miały, kiedy Wilhelm i Sofia byli dziećmi. To był zakazany ład. Ale czasami... były chwile... gdy się zastanawiała.

Usiedli z letnikami w otoczonej bzami altanie. Potężny, opalony Olov siedział naprzeciwko Mony. Wyglądał na zmęczonego. Zalała ją fala czułości. Będzie musiała z nim porozmawiać w cztery oczy. Mona zabiła komara na ręce, zawsze była wybranką i ulubienicą skrywającej się w cieniu liści latającej chmary. Komar był opity krwią. Wytarła rękę białą serwetką. Czerwona barwa kontrastująca z białą biła po oczach. Zgniotła serwetkę.

Olov pomógł Anselmowi dostać się na dół. Ojciec miał słomiany kapelusz i podwinięte rękawy koszuli - ku chwale lata. Przynajmniej teraz był zadowolony.

- A czym zajmuje się teraz Christoffer? - spytała Sofia. Mona była przygotowana na to pytanie. A także dokładnie na taki ton. Słyszała go każdego lata. *Same procedure as last year miss Sophie.* Mimo to Mona nie miała

w zanadrzu ciętej riposty. Nie chciała odpowiadać. Była nieuzbrojona i Sofia dobrze o tym wiedziała.

- Pracuje w McDonalddie - odpowiedział Olov za matkę. Spokojnie i bez ogródek.

- A czym się tam zajmuje? Jest szefem w dziale zaopatrzeniowym?

„Dobrze wiesz, że nie” - pomyślała Mona. „Wiesz dobrze, ale mimo to pytasz, aby czerpać przyjemność z czyjegoś nieszczęścia. Nie przyjdzie ci do głowy spytać, co robi Olov. To, że ktoś pracuje w izbie przyjęć, nie podbija wystarczająco twojego bębenka”.

- Nie, jako clown. Po godzinach zabawia ludzi w knajpach w charakterze trubadura i larpowca.

Mona nie potrafiła spojrzeć szwagierce w oczy.

- Kto to taki?

- Ktoś, kto improwizuje, wciela się w różne role.

- Oj! A co na to Wilhelm? - spytał Bull.

- Nic.

- Ach tak, przymyka oko na to, że syn utrzymuje się z pajacowania. Czy to nie on miał przejąć gospodarstwo?

- Nikt mu tak źle nie życzy - odciął się Olov i roześmiał się, ukazując zdrowe, równe uzębienie. - Prowadzenie małego gospodarstwa, niespanie po nocach, myślenie o finansach, wszystkich przepisach i formularzach do wypełnienia - to coś, czego nie życzyłbym nawet najgorszemu wrogowi.

Twarz Sofii spochmurniała.

- Gospodarstwo istnieje od osiemnastego wieku! Musisz myśleć o przyszłości i o tym, że ktoś będzie musiał cię odciążyć, gdy Wilhelm nie będzie już dawał rady.

- Christoffer nie chce. Nie chce być przywiązany do ziemi - powiedziała Mona. - Nie jest do tego stworzony.

- Co w takim razie będzie? Co się stanie, gdy plecy Wilhelma odmówią mu posłuszeństwa? - spytała Sofia.

- Może sama się zgłosisz, jeśli pasuje ci obrządek w oborze co rano i sprzątanie gówna - zaśmiał się Anselm. Kęs, który wziął do ust, stanął mu w gardle. Dostał talerz z własnymi ciastkami bez cukru, zjadł je wszystkie i przerzucił się teraz na wspólną pulę. Mona nie upominała go, nie było sensu.

- Henrik będzie może zainteresowany kupnem, przynajmniej lasu. - Olov osłonił oczy przed nisko stojącym słońcem i popatrzył w stronę sąsiedniego gospodarstwa, gdzie stał zaparkowany ekskawator Henrika. Skarb. Chodziła plotka o zawrotnej sumie 1,7 miliona. Temu nigdy chyba nie brakowało pieniędzy.

- Wilhelm nigdy się na to nie zgodzi - stwierdziła zdenerwowana Sofia. Tych dwoje nie znosiło się od czasu, gdy wybuchła kłótnia o ziemię w wiosce rybackiej. Wyglądała tak, jakby Olov wygłosił bluźnierstwo cięższego kalibru. Próbował nie śmiać się z jej konsternacji.

- Ojciec odmawia zapłacenia dzierżawy i uważa, że w archiwum wojewódzkim powinien znajdować się papier dający równe prawo do ziemi wszystkim mieszkańcom Eksta. - Olov zmarszczył czoło. - To może kosztować majątek, jeśli wkrótce nie odpuści. Nikt nie widział takiego dokumentu w archiwum. Jeśli nie ma papierów, to żaden prawnik nie podejmie się prowadzenia tej sprawy.

- A co ty na to, Mona?

- Ja się nie wtrącam.

- A może przyszła już na to pora. - Sofia wstała i strzepnęła okruszki z szortów. Przyjaciółka poszła w jej ślady. - Dziękujemy za kawę. - Później pomogły w zebraniu i pozmywaniu naczyń.

- Nie chcecie pójść nazbierać wiśni? Jeszcze nie zrobiłam do końca porządku w domku. Jeśli pojedę pierwsza, Olov może później was podwieźć, jak nazbieracie owoców.

- Nie, kochanie. Nie trzeba. Teraz nie marzymy już o niczym innym, tylko o wieczornej kąpieli i łóżku.

Wszyscy czworo wraz z klatką wpakowali się do saaba Olova. Kakadu nastroszyła pióra i spojrzała na nich z wyrzutem oskarżycielskimi czarnymi oczami. Opuszczona i cierpiąca na brak stymulacji pograżyła się w samoumartwianiu. „Zupełnie jak święta Brygida”, zaśmiał się Olov. Chociaż Brygida była pewnie o oczko lepsza, kiedy polewała zgięcia rąk gorącym woskiem i odrywała strupy po ranach, aż zaczynały krwawić, albo smagała plecy biczem do krwi, kiedy mąż wracał późno do domu.

Mona chciała usiąść przy Olovie i trochę porozmawiać, ale Sofia ją ubiegła. Słyszała, jak rozmawiali o klasztorze Cystersów w Roma i ruinach w Visby, ale znaczenie słów umykało jej z powodu napięcia, jakie czuła. Co, jeśli na podłodze została plama krwi albo inne pozostałości po nocy, których uprzątnięcie nie przyszło jej do głowy?

- Mona, czemu nie odpowiadasz?

- Przepraszam.

Olov niósł ich torby przez podwórze. Sofia pobiegła przodem z pustymi rękami.

- Popatrz, zmijowiec, który wygląda jak albinos - zaświergoliła.

Domki przy plaży rzucały długie, ciemne cienie. Sieć bujała się spokojnie na patykach jałowca w wieczornej bryzie. Monę bolała noga, siniak od ukąszenia pulsował. Chciała iść pierwsza, otworzyć przed nimi drzwi, ale ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Nie chodziło tylko o ból, ale także o duszę, która nie dawała już rady.

Sofia schyliła się, żeby wyjąć klucz spod leżącego za węglem kamienia. Przez ułamek sekundy Mona pomyślała, że zapomniała go tam zostawić. Nie przypominała sobie, żeby go tam kładła. Była teraz tego pewna. Ale Sofia wyjęła klucz. Włożyła go do zamka. Drzwi otworzyły się.

- Było otwarte!

- Co? - to było jedyne słowo, które przyszło do głowy Monie.

- Było otwarte. Co zrobiłaś z tym ładnym dywanikiem, który tu leżał? Tym tkanym. To był jej ostatni dywanik. W tych niebieskich paskach była moja sukienka z pierwszej klasy i kocyk Wilhelma z czasów niemowlęctwa. W tych czarnych sukienka ślubna prababci. Wyszła za mąż w czarnej jedwabnej sukience, trzymając w dłoni bukiet ciemnoczerwonych piwonii. Myślałam, że... skoro Wilhelm nie jest szczególnie przywiązany do tego dywanika, to może mogłabym zabrać go do Sztokholmu. Wzięłaś go do prania? - Sofia otworzyła szeroko drzwi i weszła do środka.

- Mały palec? - Komisarz Maria Wern patrzyła nieufnie na Eka, który wtoczył się do pokoju na łyżworolkach i w błyszczących raybanach na czole. T-shirt miał ciemne plamy w okolicy pach. Miała nadzieję, że ma ubranie na zmianę, ale nie było to wcale pewne. Śmieszne było, jak odpowiedzialna czuła się za jego zachowanie, gdy znajdowali się w innej miejscowości. Już pierwszego dnia w Visby Ek podczas swego dyżuru zapomniał wyłączyć krótkofalówkę i udał się do toalety na siku. Maria biegła przez cały korytarz, żeby wyłączyć muzykę, która wybrzmiewała na całym posterunku. On jednak nie słyszał, nawet gdy uderzała pięściami w drzwi. W środku słychać było śpiew i rytmiczne walenie deską klozetową. Później tłumaczył się, że chciał po prostu zaśpiewać *Gubben i lådan* na siedem.

- Powiem ci, że to cholernie trudne. Sama spróbuj - zaproponował. Po tej wpadce stał się mocnym kandydatem do kroniki wypadków oraz historii przekazywanych z ust do ust po wieczne czasy. Ale nie był jedyny. Jego konkurentem był pewien policjant - przy włamaniu z rozbitą szybą próbował wyskoczyć przez okno, które było całe.

Historia o palcu brzmiała jak jedna z pirackich historii Eka i powinna chyba zostać skwitowana szelmowskim uśmieszkiem. Uśmieszek jednak się nie pojawił.

- Każdy mierzy własną miarką, dla małego szkraba fiut nie jest pewnie większy niż mały palec - powiedział pouczającym tonem.

Maria uniosła brew.

- Jak się czują chłopcy, którzy go znaleźli? - Nie spuszczała wzroku z Eka, wciąż nieprzekonana o tym, ile prawdy było w tym, co właśnie jej serwował.

- Myślę, że ulżyło im, że to jednak tylko palec. Wydaje mi się, że spotkaliśmy ich wcześniej w McDonaldzie. Ich ciotka, Anja, była bardzo wkurzona. Może to skutek szoku? Uważała, że powinniśmy opróżnić basen w porcie i zacząć szukać ciała w środku nocy. Tak jakby było wiadomo, że to morderstwo.

- Co najmniej brutalne pobicie.

- Raczej mało prawdopodobne, żeby ktoś sam to sobie zrobił. - Hartman pochylił się na czarnej skórzanej kanapie i sięgnął po dzbanek z kawą. - Chociaż będąc brzdącem, słyszałem historię o rolniku w Sudre, który odrąbał sobie mały palec. Uznał, że nie będzie marnował dnia pracy na przejażdżkę do szpitala w mieście, więc rzucił go psu. - Maria skrzywiła się.

- Może to jakiś złodziejaszek - zauważył Trygvesson. - Tym razem nie zabierzemy ci całej lewej ręki, ale następnym razem. W średniowieczu złodziejom w Visby odcinano uszy. W przypadku niektórych przestępstw wycinano dziurę w lewym uchu i wyganiano złodzieja z miasta. Później robiono to samo z prawym uchem i precz za bramę. W owym czasie szukanie pracy z podziurawionymi uszami nie miało sensu. Jeśli natomiast szło się dalej tą samą drogą, odcinano oboje uszu i później czekała go tylko śmierć. Za zachowania

przestępcze w kościele albo ustępie wymierzano podwójne kary pieniężne. Ale palec... nie. Nie wiem, co o tym myśleć.

- Ek i ja oglądaliśmy wczoraj dreszczowiec w telewizji, na wideo. - Arvidsson rozejrzał się wokół troszkę speszony. - Opowiadał o gwałcicielu, który odcinał sobie palec za każdym razem, gdy kogoś zgwałcił - jakby samosąd, aby uniknąć kary boskiej. „Jeśli prawa twoja ręka jest ci powodem do grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie. Lepiej bowiem jest dla ciebie, gdy zginie jeden z twoich członków, niż żeby całe twoje ciało miało iść do piekła”<sup>[2]</sup>. Wybrał palce, choć bardziej uzasadnione byłoby odcięcie innej części ciała. To oznakowanie doprowadziło do jego zguby. Jednej z dziewczyn udało się uciec i opowiedziała o mężczyźnie bez palców. Pracował w rzeźni. Nie zobaczyliśmy końcówki z powodu zgłoszenia Mattiego Passikivi. Dość niefortunnie się złożyło. - Arvidsson podał talerz z bułeczkami Trygvessonowi, ale ten podziękował.

- Raczej nie jadam słodczy. Miałem atak cukrzycy zeszłej jesieni. To chyba jest związane z nadwagą. Dostanie mi się pewnie wstępne śledztwo w sprawie tego bajzlu. Palec bez ciała. To może być wszystko. Już teraz powinniśmy odwołać się do brzytwy Ockhama, zasady, aby z miejsca pozbyć się wszystkich zbędnych przesłanek i trzymać się faktów. Co zaś się tyczy mężczyzny, który zaginął na promie gotlandzkim, rozmawiałem dziś rano z kapitanem. Wyśle nam kopie dzienników, które przekazał armatorowi. Według niego poza zaginięciem zatrzymano również transport konia na tym statku. Pomysłowy mężczyzna próbował przewieźć całą rodzinę w promocyjnej cenie. Wszystkich wraz z koniem, zamiast jak w ogłoszeniu: wszystkich wraz z samochodem. Siedem osób! Czy to warte swojej ceny?

Anders Öhrn zgłosił swoje przybycie na recepcji komisariatu. Pocił się obficie w swojej koszuli z długimi rękawami. Syntetyczny materiał spodni lepił mu się do krocza. Zdjęty wcześniej krawat zwisał luźno na ramieniu. Anders Öhrn pojawił się na komisariacie z własnej inicjatywy, aby opowiedzieć o tym, co zaobserwował przy terminalu portowym. Mimo to nie mógł powstrzymać się przed rewizją własnych myśli w tym przybytku sprawiedliwości. Zaparkował legalnie. Minęło dziesięć godzin, od kiedy wypił ostatnie piwo, opłacił też abonament telewizyjny. Jednak towarzyszyło mu nieprzyjemne uczucie, gdy podążył za inspektor Marią Wern do pokoju przesłuchań, i wzdrygnął się, kiedy zamknęła za nimi drzwi. Usiedli naprzeciwko siebie przy biurku. Nastawiła magnetofon i wygłosiwszy kilka zwyczajowych w takiej sytuacji kwestii, uśmiechnęła się do niego sympatycznie. Poczł suchość w ustach, szukając odpowiednich słów.

- Chodzi o Wilhelma Jacobssona. Zaniepokoiłem się, gdy nie przyszedł na umówione spotkanie, i zadzwoniłem do niego do domu. Jego żona powiedziała, że już wyszedł, miał opóźnienie, ale powinien zdążyć. Stałem przy terminalu i czekałem na niego. Mieliśmy płynąć statkiem. Cholernie się spóźniał! - Anders odchrząknął. Nigdy nie przekłębły w towarzystwie kobiety, gdyby nie

był tak zdenerwowany. Przez chwilę zapadła cisza, gdy przyglądał się swoim butom i skarpetkom. Nie zauważył tego rano, ale jedna ze skarpetek była właściwie czarna, a druga granatowa.

- Powiedział pan, że się spóźniał. - Maria pokiwała głową. Anders kontynuował niechętnie. Gdyby Iris go nie zmusiła, nigdy by tu nie przyszedł. Teraz żałował. Nie chciał się w to mieszać.

- Widziałem białego opla i pogroziłem mu pięścią. Popatrz, cholera, po prostu przejechał obok. Wpierw wkurzyłem się, a później zobaczyłem, że to nie był Wilhelm.

- Jest pan tego pewien?

- Tak, do diabła. - Anders zwilżył górną wargę czubkiem języka i spojrzał przez okno. Chciał, żeby to wszystko się skończyło. Sytuacja była nieprzyjemna. Maria widziała, jak Anders pociera dłońmi o kolana, jak pot spływa po jego czole i kapie z brwi.

- Jak się pan czuje?

- Cholernie źle, szczerze mówiąc! - Wypowiedzenie tego na głos przyniosło mu ulgę. - Próbuję rzucić palenie i to prawdziwe piekło. Śnią mi się paczki papierosów. Że brodzę wśród kartonów papierosów, że ktoś mnie częstuje. Miałem nawet sen, w którym mój lekarz zaleca mi palenie i wypisuje receptę, pięć papierosów siedem razy dziennie. Jak tu wszedłem, poczułem zapach kawy i już było po mnie.

Maria, która w celu rozluźnienia atmosfery zamierzała właśnie zaproponować filiżankę kawy, uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Byłoby to niemądre.

- Wiem, jakie to uczucie. Jak długo już pan wytrzymał?

- Od rana. Musiałem najpierw wrócić z podróży, później postanowiłem rzucić. - Maria popatrzyła na zegarek i stwierdziła, że jest dziesięć po dziewiątej. - Brak tego pierwszego macha z rana jest najtrudniejszy. Moja żona stoi nade mną jak kat. Wczoraj paliłem po kryjomu w łazience, ja - dorosły mężczyzna. Może to sobie pani wyobrazić? - Maria skinęła głową. Owszem, mogła.

- A próbował pan plastrów nikotynowych?

- To był pomysł Iris. Ale ja chcę sam zdecydować. Zrobić coś po swojemu.

- Tak, to chyba najważniejsze, wewnętrzna motywacja. W przeciwnym razie nic z tego nie będzie. Czy może pan opisać człowieka, który jechał oplem?

- Nie za bardzo. Widziałem go tylko przez moment.

- To był mężczyzna?

- Tak, ale nie Wilhelm. Ten był wyższy i jakby bardziej kanciasty. Pochylał się nad kierownicą. Wilhelm odchyła się do tyłu, prowadząc samochód.

- Ile mógł mieć lat? Młody, stary, w średnim wieku?

- Nie wiem zupełnie. Nie było widać włosów. Miał czapkę zsuniętą na czoło i okulary przeciwsłoneczne.

- Widział pan, co miał na sobie?

- Nic nie widziałem.

- Ciemne czy jasne ubrania?

- Ciemne chyba, nie wiem właściwie. Mieliśmy popłynąć na stały ląd. Razem, samochodem Wilhelma. Mój jest w warsztacie, hamulce. To znaczy nie jeździłem z zepsutymi hamulcami, one tylko...

- W porządku.

- Wilhelm jest jaki jest. Cholernie egoistyczny i uparty. Stwierdziliśmy, że wziął kabinę, żeby móc pobyć samemu. Czasami tak robi. Gdy ktoś powie coś źle, potrafi nadawać miesiącami. Tym razem chodziło o dzierżawę ziemi, na której stoi jego domek. Chyba wygłosiłem jakiś komentarz o tym, że zdarzały się gorsze rzeczy. Takiego czegoś nie jest w stanie znieść. To do niego podobne, obiecać podwiezienie, a później po prostu przejechać obok. Kiedy wszedłem na łódkę, spytałem w recepcji, czy wziął kabinę. Ale nie mogli udzielić mi informacji. Pojechałem z Ericssonem. Cholerna ciasnota - czterech mężczyzn na tylnym siedzeniu... trzech. Wszyscy zapięliśmy pasy, ten środkowy również...

- Okej. Czy widział go pan w ogóle podczas podróży?

- Nie, ale tego, który jechał oplem, widziałem na górnym pokładzie. Wrzucił coś do wody, gdy krzyknąłem do niego. Później zobaczyłem, jak biegnie po pomoście. Opel cały czas stał na pokładzie z samochodami, kiedy wyjeżdżaliśmy. Ericsson uważał, że powinniśmy poczekać na Wilhelma, ale ja stwierdziłem, że sam sobie poradzi. - Anders Öhrn popatrzył w oczy Marii, jakby czekając na aprobatę swojego wątpliwego postępowania. Ręce trzymał blisko siebie, aby ukryć plamy od potu, które powoli rozlewały się na materiale.

- Cholerne gorąco.

- Proszę opowiedzieć, co pan wie o Wilhelmie. Czy jest ktoś, komu zależało na jego zniknięciu?

- Co ma pani na myśli? Czy miał wrogów? Powiem pani coś: ten człowiek nie ma przyjaciół. Ale jest cholernie pracowity, to trzeba mu przyznać.

- Jest żonaty.

- Ożenił się z wsiową puszczałką. Jemu to specjalnie nie przeszkadzało, ważne, że umiała pracować. A to potrafiła. Tak. Cholera. Kiedy była młoda... nie. Nieważne. - Anders spojrzał speszony na magnetofon, o którym zapomniał w czasie rozmowy. - Innym razem.

Kiedy wyszedł, Maria otworzyła okno. W gęstym powietrzu czuć było kwaśny, nikotynowy odór. Wsiowa puszczałka, czy takie określenia były jeszcze w obiegu? Maria usiadła, jej wzrok padł na wiszącą nad regałem obramowaną planszę. „Waldemar Atterdag plądruje Visby, namalowany przez C.G. Hellqvista. Znajdź pięć różnic” - tak nazwał go Hartman. Sam go powiesił, był to prezent od niego dla niej, kiedy przenieśli się do tego pokoju. Miał przypominać o tym, że słuchając zeznań świadków, trzeba używać zmysłu krytycznego. Bardzo łatwo ulec nastrojowi i przegapić informację, która nie zgadza się z resztą. Średniowieczna rzeczywistość widziana oczami artysty, bez



względu na to jak szczegółowo i żywo odmalowana, zabarwiona jest również przez życie malarza. Choć w średniowieczu nie było jeszcze w Szwecji jamników, tu na obrazie widać jednego, jak przemyka za beczką mającą wypełnić się złotem. To pies artysty – Medock. Obraz przykuwa uwagę, hipnotyzuje kolorami. Chrząst broni i ciężkie kroki żołnierzy, zapach świeżo pieczonego chleba, odór rozkładających się śmieci i smród z latryny. Rodzinka w centrum, kobieta z dzieckiem na ręku i dziewczynka trzymająca się jej spódnic. Rozpuszczone, lśniące włosy matki. Nadają bardziej podniosły wyraz obrazowi, ale czy jest to prawdziwe? Nie, jeśli jest ona żoną i matką. Wówczas jej włosy zebrane byłyby pruderyjnie pod chustą. Jej wzrok zwrócony ku niebu, proszący o pomoc. Mąż rzuca szybkie spojrzenie Waldemarowi. Ten, czarnooki i blady, odpowiada mu, spoglądając z góry, z czerwonego tronu, patrzy na trzy kadzie piwne, które nie bez oporu wypełniane są srebrem i złotem. Również od klasztorów wymaga składania hołdów. Pulchny mnich odmawia chyba inne niż *Pater noster* modły. Chciwości Waldemara nie zadowolają trzy beczki pełne metali szlacheckich. Bo dlaczego też miałyby? Przez miesiąc rabuje i pustoszy południową Gotlandię, dokonując uprzednio rzezi ludu za murami miasta. Proste jak zbieranie jaj w kurniku.

Jeśli zeznanie naocznego świadka Andersa Örna zgadzało się z rzeczywistością, co pokazać miał czas, mogło to oznaczać, że Wilhelm Jacobsson nigdy nie dotarł na stały ląd. Nikt go nie widział na pokładzie. Zamówiony bilet mógł zostać odebrany przez kogokolwiek. Wystarczyło zameldować się w recepcji, wprowadzić samochód, a później opuścić statek przez pomost pasażerski. W tym przypadku nie wymagano okazania biletu. Trzeba porównać odciski palców z kabiny z odciętym palcem. „Nie zdziwiłabym się, gdyby się zgadzały”, pomyślała Maria i poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz. Jakim draniem musi być człowiek, który odcina palec trupowi? Zaplanowane z zimną krwią. Jak wpada się na pomysł, żeby zostawić odciski palców pochodzące od zwłok w miejscu, gdzie ich nie było? Czy to wynik nagłego olśnienia, czy może efekt dłuższego knowania? Jeśli rzeczywiście sprawy miały się tak, jak myślała. Maria wybrała numer do działu technicznego. Odpowiedział jej Björk.

– Znaleźliśmy wyraźny odcisk na lustrze w kabinie. Dostaliśmy odpowiedź ze Sztokholmu. Zgadza się z palcem, tak jak podejrzewaliśmy. Czy to palec Wilhelma Jacobssona – jeszcze się okaże. Mamy też odcisk z szyby opla, choć trochę niewyraźny. Jednak istnieje duże prawdopodobieństwo, że pochodzi również od palca. Wysłaliśmy próbki do analizy DNA.

– Super.

– Słyszałaś, że aspirant usiadł na krześle Trygvessona podczas popołudniowej przerwy na kawę? – spytał Björk.

– Nie, a to jakieś przestępstwo?

– O tak. Trygvesson cholernie się wkurzył. Takie rzeczy nie uchodzą bezkarnie. Gdyby tylko wzrok mógł zabijać.

- Nie brzmi to zbyt dojrzałe.

- Trygvesson ma szeroki wachlarz cech: ostry jak brzytwa intelekt, pamięć absolutną, a także butę trzylatka. Z czasem to zauważysz. Mieszanka dobra ze złem.

- Którego to krzesła należy unikać?

Komisarz Trygvesson spacerował wzdłuż wzgórza Smitten w dół w kierunku Rynku Głównego, mając nadzieję, że nie spotka nikogo znajomego. Potrzebował czasu na zastanowienie się, dlatego nie udał się od razu do domu Lillemor. Nie miał pewności, czy była już w domu, ale wolał nie ryzykować spotkania z jej krytycznym wzrokiem. Nie teraz. Myśl o tym, że przypadło mu śledztwo w sprawie mężczyzny zaginionego na promie gotlandzkim, była nadal nierzeczywista. Będzie to wymagało pokładów czasu i odwagi, której nie miał w sobie. Może powinien odstąpić od śledztwa, iść na zwolnienie lekarskie i przekazać sprawę komuś innemu. Myśl kusiła go i jednocześnie przerażała. Czy będzie w stanie doprowadzić dochodzenie do końca, gdy Lillemor nie będzie przy nim?

Po nieprzyjemnych doświadczeniach w dzieciństwie Trygvesson wykazywał się ostrożnością w kontaktach z kobietami i ożenił się późno. Lillemor pracowała w bibliotece w Huddinge, kiedy się spotkali. Minęło wiele lat, zanim do czegoś między nimi doszło, choć często dyskutowali o literaturze przy filizance kawy i chodzili razem na wykłady. Nigdy nie było mowy o jakiejś namiętności. Dobrze czuł się w jej towarzystwie, zaprzyjaźnili się. Wtedy urodziła się Eryka. Jego oczko w głowie, dar od Boga odebrany mu osiemnaście lat później. Nie był w stanie nawet o tym myśleć, zauważył, że ciemnieje mu przed oczami, i popatrzył w dal na rynek. Bolały go szczęki, gdy je zaciskał. Powoli odzyskiwał kontrolę nad sobą.

Na targu roiło się od turystów kuszonych przez ustawione na nim stoiska. W czasach gdy Trygvesson był jeszcze małym brzdącem, staruszki o okrągłych, czerwonych policzkach sprzedawały tu śliwki, ziemniaki, miód i kapcie z owczej skóry. Teraz targ nie różnił się niczym od innych europejskich bazarów. Produkty spożywcze zostały zastąpione przez batikowe ubrania, tanią srebrną biżuterię i wyroby skórzane. Pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę, były jej długie, jasne włosy, później uśmiech. Przypominała mu kogoś, kogo spotkał wiele lat temu, ale to nie mogła być ta osoba. Ta tutaj była młodą dziewczyną, co najwyżej dwudziestoletnią. Choć przecież zdarzyło mu się wcześniej pomylić w ocenie wieku kobiety, pomyślał gorzko. Wziął do ręki ciężką srebrną bransoletkę z jej stoiska i przyglądał się biżuterii, namyślając się. Tłum napierał i spocony starszy mężczyzna znalazł się nagle zbyt blisko niego. Trygvesson cofnął się o krok i zaraz otrzymał sójkę w bok, następnie posłano mu poirytowane spojrzenie.

Miesiąc po pogrzebie Eryki Lillemor oświadczyła, że otrzymała posadę

w bibliotece w Visby. Nie wiedział nawet, że ubiegała się o nią. Czas tuż po śmierci dziecka był jak wypełniony próżnią. Nie pamiętał, aby w ogóle rozmawiali wtedy ze sobą, nigdy o uczuciach, z rzadka też o sprawach codziennych. Lillemor nie chciała mieszkać w domu. Ciche współczucie sąsiadów sprawiało, że się dusiła. Zamierzała rozpocząć nowe życie, z nim albo bez niego, spróbować znaleźć sens w tym, co jej pozostało. Miała wybór: samotność albo powrót na Gotlandię. Nie myślał jednak, że sprawy potoczą się tak szybko. Zanim jeszcze przekazali mieszkanie pośrednikowi nieruchomości, wynajęła mały domek w centrum Visby. Być może myślała o opuszczeniu go jeszcze przed tym strasznym zdarzeniem. Jego małżeństwo wkrótce miało przejść do historii. Tak było, choć wciąż oszukiwał się w tej kwestii. W przypiływie litości pozwoliła mu pójść ze sobą kawałek dalej. Ale taki stan rzeczy przestał być oczywisty, od kiedy Eryka nie żyła.

Atmosfera panująca na policji w Visby była naprawdę pozytywna. Praca wypełniła wewnętrzną pustkę. Podziwiał entuzjazm i kompetencję policjantów, którzy współpracowali ze sobą z wielkim zaangażowaniem. Koleżeństwo emanujące ciepłem. Życie co prawda już nigdy nie będzie takie jak przed śmiercią Eryki, ale miał pracę. Przynajmniej na razie. Przypadek Wilhelma Jacobssona mógł bowiem okazać się czymś ponad jego siły.

Nie wspominając o tym Lillemor, udał się na wykład Arnego Folhammara o Waldemarze Atterdagu w sali archeologicznej. Nie chciał, żeby mu towarzyszyła. Teraz, kiedy chodziła własnymi drogami, instynkt samozachowawczy nakazywał mu szukać własnej ścieżki. Napawało go trwogą, gdy myślał, jak mogło się to skończyć. Może właśnie z tego powodu zakupił srebrną bransoletkę od tego uroczego dziewczęcia. Od dawna już nie obdarował Lillemor żadnym prezentem. Bransoletka nie była droga, ale oryginalna i piękna. „Własnej produkcji”, poinformowała, uśmiechając się, urocza młoda dama. Na jej karteczce napisane było „Birgitta Gullberg”. Włożył biżuterię do kieszeni marynarki i idąc dalej uliczką Nunnegränd, przeszedł obok ruin kościoła św. Wawrzyńca na Drotten. Minąwszy później kościół katolicki, znalazł się w zaciszu altany Ogrodu Botanicznego. Tam ukrył się w bogatym ulistnieniu, które okryło go powłoką wybaczenia. W powietrzu czuć było zapach różanego ogrodu.

Powinien odmówić prowadzenia śledztwa. Ale za jaką cenę? Sama myśl przyprawiała go o obrzydzenie. Gdy tak siedział w dmuchanym zamku, uderzyło go, że nie rozmawiał o tym, co istotne w życiu, od kiedy umarł ojciec. Długie lata samotności. Jeszcze przed chwilą był młodym mężczyzną z optymizmem patrzącym w przyszłość. Teraz życie się skończyło. Wszystko, co nadawało mu sens, odeszło. Została tylko praca. Czy zasługiwał na jeszcze jedną szansę? Z takiego założenia wyszedł, gdy zdecydował się poprowadzić dochodzenie.

- Gdzie mieszkasz na Gotlandii? - spytała Maria.

Komisarz Hartman zwolnił i zatrzymał się, zrobił kilka wymachów, próbując odzyskać oddech po szybkim marszu. Siwe włosy zwisały mu na czole, uformowane przez wiatr w fantazyjną fryzurę. Zdecydowali się na jogging wzdłuż muru obronnego i spacer plażą ze szpitala do Almedalen. Właśnie minęli wieżę Jungfrutornet, wieżę Sprundflaskan i bramę Kärleksporten. Przy żadnej z nich nie obeszło się bez zwięzłego komentarza zadyszanego Hartmana w roli tubylca.

- Mieszkałem w Martebo, które leży na północnej Gotlandii, niedaleko Lummelunda. Słyszałaś kiedyś o świetle nad mokradłami Martebo? Nazywamy je światelkiem. - Hartman usiadł na trawie, aby ochłoniąć, obok niego usiadła Maria.

- Brzmi jak historia o świetle nad Skagen.

- To zupełnie co innego. Światło nad mokradłami Martebo to właściwie raczej ciemność. Nikt nie wie, czym jest. Nazywa się je *The light in the end of the road*. Zjawisko świetlne na końcu długiej, prostej drogi. Było opisywane w wielu częściach świata, ale nikt nie potrafił go wyjaśnić. Jako dzieci chodziliśmy żwirową drogą i przechodziliśmy obok gospodarstwa Knutstorp, gdy szliśmy po pocztę. Czasami widzieliśmy okrągłą wiązkę światła unoszącą się nad drzewami, ale nigdy nie uznaliśmy tego za coś dziwnego. Nie wtedy. Było to równie naturalne jak zachód słońca, deszcz czy wiatr. Nie wiem nawet, czy opowiadaliśmy o tym później w domu. Nikt o tym nie mówił. W późniejszym czasie ta okolica była przedmiotem wzmożonego zainteresowania.

- Tam, skąd pochodzę, mówi się czasami o świecących ludkach albo błędnym ogniku. Czy to coś podobnego?

- Tak jak już mówiłem - nie wiadomo. Ci, którzy ostatnio mieszkali na Knutstorp - było to chyba w 1946 roku - wyprowadzili się stąd po tym, jak coś ich wystraszyło. Miejsce obserwowano od lat dwudziestych. Gdy byłem dzieckiem, mówiono mi, że nie należy mówić o świetle. Takie było chyba powszechne przekonanie. Że jest niegroźne, jeśli tylko się o nim nie mówi. Nikt jednak nie wie, czym tak naprawdę było. W późniejszym czasie przeprowadzone zostały badania nad UFO. Państwowa organizacja UFO Sverige opublikowała wnioski ze swoich badań w broszurce *Światło z Martebo - prawda czy mit*. Jest więcej znaków zapytania niż odpowiedzi. Może chodzi o gazy fluorescencyjne, gaz błotny? Myślano także o piorunie kulistym, polu między liniami sił pola magnetycznego Ziemi albo świetle powstałym po wylądowaniu UFO.

- Fascynujące! Jak myślisz, co to może być?

- A czy wszystko wymaga wyjaśnienia? Kiedy byłem dzieckiem, zawsze chciałem odkryć, jak działają magiczne sztuczki. Chodziło o to, aby dowiedzieć się, jak to się dzieje. Teraz jestem stary i wystarczy mi, że obserwuję to z dystansu i mam z tego zabawę.

- Nie wierzę ci ani trochę - zaśmiała się Maria. - Ani odrobinę. Myślę, że dałbyś sobie uciąć prawą rękę, aby dowiedzieć się, jak to właściwie jest. Przyznaj się!

- Może masz rację. Okej. Może mały palec. Najbardziej przemawia do mnie teoria gazu błotnego. Uważam również, że fascynujące są teorie powiązań między jaskinią Lummelunda i mokradłem Martebo - system grot miał biec pod mokradłami. Kiedy drenowano Martebo pod ziemię uprawną pod koniec dziewiętnastego wieku, wykopano kanały aż do miejsca, gdzie przebiła się woda. Były to swego rodzaju naturalnie powstałe poziome studzienki, które drenują wodę z powierzchni do podziemnego systemu tuneli. Oprócz wapienia i podziemnych jezior tam na dole można też z pewnością znaleźć powietrzne kieszenie i kieszenie z gazem. Zdarza się, że strop czasami się wali. Można domniemywać, że właśnie wtedy wydobywa się gaz, który jest przyczyną powstania tego samoistnego światła w ciemności.

- To brzmi prawdopodobnie.

- Może też chodzić o czyjś żart. Były przypadki psot z latarkami i światłami samochodowymi, ale nie tłumaczą one wszystkiego. Niektórzy widzieli białe światło, wygląda to mniej więcej tak, jakby ktoś zapalił magnez. Inni widzieli niebieską poświatę albo kilka błyszczących małych punktów. Ja sam nie wiem, co o tym myśleć.

Hartman zaczął się wiercić i Maria pomyślała, że to koniec jego opowieści. Tak jakby odezwało się w nim zawarte w dzieciństwie ciche porozumienie o tym, że nie mówi się o świetle.

Mieli spotkać się z Arvidssonem i Ekem na pikniku w Almedalen. Już dawno się umówili.

- Wizyta w jaskini Lummelunda zapowiada się interesująco - powiedziała Maria i wstała. Przeciągnęła się, czując sztywność w karku. - Arvidsson też o tym opowiadał. Nie zadowoli go zwykła wycieczka znanymi ścieżkami z przewodnikiem, o ile go znam. Pewnie wolałby jakąś jaskiniową przygodę.

- A Ek? - zapytał Hartman.

- Nie, jego klaustrofobia nie pozwoli mu na takie atrakcje.

- Myślisz? Nigdy nie traktowałem serio tych jego lęków. Ale skoro tak mówisz.

- Tak, długo z tym walczył. Raz jest lepiej, raz gorzej. Dużo się rusza. Przebiegniemy ten ostatni kawałek? Zrobimy dobre wrażenie, przyspieszając nad stawem. Zobaczą nas, jak wybiegamy zza wieży Kruttornet. Wtedy musimy trzymać fason, tak żeby pomyśleli, że utrzymywaliśmy to tempo od samego szpitala. *Fake it until you make it*, jak mawiają.

Czego można spodziewać się na pikniku? Dobrego jedzenia? Chwili odpoczynku na zielonej trawce, czytania na głos, a może przynajmniej usłyszenia takiej lub innej zajmującej historii, kiedy w końcu dobiegnie się do celu po męczącym joggingu. Ale nikt nie przywitał ich orzeźwiającymi napojami ani

wesołymi okrzykami. Nikomu nie zaimponowali. Nawet ocieźałe z przejedzenia kaczkki nie miały siły odwrócić głów. Wszyscy stali w grupce na trawniku przy murze. Ruda czupryna Arvidssona świeciła w słońcu, kiedy stał odwrócony do nich plecami na uboczu skupiska ludzi. Maria precisnęła się do przodu, aby zobaczyć, co jest na rzeczy. Zanim zdążyła pojąć, co się dzieje, została wciągnięta do środka koła. Na nadgarstku poczuła mocny uścisk czyjejs opalanej, żylastej ręki.

- Mamy tu ochotniczkę, prosimy do środka, niewiasto, prosimy - usłyszała tuż przy uchu śmiech Eka, kiedy nagle znalazła się w centrum skupiska. Mężczyzna przed nią miał na sobie zniszczone rajtuzy i brązowy płaszcz z kapturem. Jego długie, jasne włosy opadały bujnie na ramiona. - Pozwól prostemu błaznowi odgadnąć tve imię, czcigodna niewiasto.

- Maria. Ale wolałabym nie.

- Ech. A czymże jest wolna wola? Zapomnianym przez Boga pojęciem, kaprysem. Rodzimy się, aby grać nasze role. Ty twoją, a ja moją błazeńską. Ozłóć mój dzień swą urodą, a ja będę równał drogę przed tobą, tak abyś suchą stopą przemierzała ulice Visby. - Zanim Maria zdążyła cokolwiek powiedzieć, mężczyzna ściągnął z siebie spodnie i wykonując zamaszysty ukłon, położył je przed nią na ziemi. Wśród tłumu przebiegł szmer. Maria popatrzyła na Hartmana, przewracając oczami. Szukała przyjaciela w potrzebie. Ale nawet on, poczciwy stary Hartman nie mógł powstrzymać się teraz od śmiechu.

- Proszę się nie kłopotać - rzuciła pospiesznie Maria, podnosząc i podając komikowi ubranie. Co za ulga, że stosował się do współczesnego zwyczaju noszenia majtek pod spodniami. Mimo wszystko sytuacja była krępująca i nieprzewidywalna. Mężczyzna wziął łyk napoju z kufla, niespodziewanie zapalił wypuszczone z ust powietrze i nad jego wargami utworzyły się trzy płomienie. Oczy na opalonej twarzy przybrały dziki wyraz. Nie wiadomo skąd w jego dłoniach pojawiły się nagle trzy pochodnie, które wetknął w majtki i zapalił, pochylając się w tył.

- Połóż się, piękna niewiasto. Pozwól czystemu płomieniowi smagać tve białe jak lilia ciało, gdyż ja, mężczyzna, nie jestem godzien go dotknąć.

- Pan chyba oszalał.

- Jestem błaznem. - Obracał w powietrzu pochodniami, nie spuszczając wzroku z Marii. - Jedyne, czego ja, biedak, sobie życzę, to abyś spełniła moją wolę. Popatrz na ludzi wokół. Zobacz, jak żałują, iż tve serce jest tak zatwardziałe, jak cierpią na myśl odmowy, z jaką spotyka się ze strony niewiasty prośba pokornego błazna. Jestem może ubogi, ale mam wielkie serce. Pozwól mi przynajmniej ucałować tve stopy.

Pochylił się, gotów wprowadzić groźbę w czyn. Przez cały ten czas nie przestawał obracać pochodniami. W tłumie dało się słyszeć oskarżycielski ton. „Bezwzględna! Zimna!” Maria ugięła się pod presją ludu. Okrycie wstydem w obcym mieście było bardziej ryzykowne, niż gdyby zdarzyło się to w jej rodzinnym Kronviken, przekonywała samą siebie. Położyła się na jego spodniach

i zacisnęła powieki, żeby nie widzieć, jak przesuwa się nad nią z jedną pochodnią w ustach i dwiema obracanymi w ręku. Kiedy otworzyła oczy, siedział przy niej i trzymał w dłoni lutnię. Szara masa tłumu wiwatowała. Maria próbowała się podnieść, ale została zmuszona do przykucnięcia.

- Nie, zostań tu ze mną, niewiasto, a zaśpiewam ci piosnkę.

- Ale później będę mogła sobie iść? - wyszeptała.

- Później nasze drogi się rozejdą. Może masz mi do podarowania jakiś drobiazg, pamiątkę, którą będę mógł nosić przy sobie na tym łąz padole. Podwiązkę lub coś podobnego. - powiedział z nadzieją.

- Daj mu to, o co prosi, i dorzuc jeszcze stanik - zarechotał Ek. W tym momencie Maria nienawidziła kolegi.

- Mogę pokazać panu coś, ale tylko panu - uśmiechnęła się. Może było to jej wybawienie. Zaczęła czuć się zażenowana i była gotowa zrobić wszystko, żeby tylko uciec od spojrzeń tłumu. Wyciągnęła ukradkiem portfel i pokazała odznakę policyjną.

- Komisarz policji. O co chodzi? - Pytanie skierowane było do chmary admiratorów. „Żołdak”, zawołał ktoś w tłumie.

- Żołdak w kobiecym przebraniu? Koniec świata. Pozwól mi w takim razie zaśpiewać piosnkę, o najpiękniejsza niewiasto wśród żołdaków. O wywozie śmieci w Visby, które niczym nie różni się od tego z czasów króla Magnusa. To wysokie wzgórze, które widzisz na północnym wschodzie, nie jest tworem przyrody, a raczej ludzkich rąk. Teraz śmieci wywozi się na statkach do królestwa Sveariket.

- Myśli pani, że moje zachowanie było głupie? - Błazen zdjął kaptur i przedstawił się jako Christoffer Jacobsson, po tym jak przyjął zaproszenie na piknik i poczęstunek w postaci udka kurczaka.

Maria wzruszyła ramionami.

- Nie jestem przyzwyczajona do takiego zainteresowania wokół mojej osoby.

- Pytała pani o mnie. Po średniowiecznych zaułkach krążą plotki, że szuka mnie policja. A teraz dosięgła mnie pani tu. Co takiego zrobiłem?

„Zastanawiam się, czy chcę się tego dowiedzieć”, pomyślała Maria, ale zachowała tę myśl dla siebie. Miedziaki zebrane do glinianej miski Christoffera z dużym prawdopodobieństwem nie zostaną zgłoszone do poborcy podatkowego. Ale nie była to kwestia, o którą teraz Marii chodziło.

- Pana matka próbowała się z panem skontaktować. - Komisarz Maria Wern postawiła swoje piwo na trawie i pochyliła się do przodu, żeby złapać kontakt wzrokowy. Christoffer Jacobsson opuścił udko kurczaka i spojrzał w kierunku Hartmana, Arvidssona i Eka, którzy rzucali pływającym w wodzie kaczkom okruchy chleba.

- Nic nowego. Coś się wydarzyło?

- Pana ojciec miał wybrać się w podróż promem do Nynäshamn w poniedziałek rano. Później zaginął.

- A to coś nowego. Zapomniał zadzwonić do domu? Tak między nami to mama wiecznie się wszystkim martwi. Gdyby możliwe było namalowanie diabła na ścianie, a przy odrobinie fantazji jest to możliwe, byłaby pierwszą, która chwyciłaby za pędzel. Mówi się, że prawdziwy pesymista, mając do wyboru dwie złe rzeczy, wybierze obie. To charakterystyka Mony w skrócie. Rozumie pani, co mam na myśli?

- Kiedy widzieliście się ostatnio?

- Chyba w zeszłą Gwiazdkę. Miałem przekazać prezent od Olova.

- Dlaczego sam tego nie zrobił?

- On i tata są równie uparci. Kiedy Wilhelm jest w domu, Olov trzyma się od niego z dala.

- Byli pokłóceni?

- Olov ma hopla na punkcie ekologii. Ojciec jest święcie przekonany, że jeszcze nikt nie umarł od odrobiny DDT. Nie wiem, czy rozumie pani, co mam na myśli. Są pewne opakowania i butelki, których zawartości nie powinno się już używać. Ojciec uważa, że nie ma się czym ekscytować. Krótko mówiąc, nie zgadzają się co do tego, jak powinno się zajmować uprawą. Wilhelm uważa, że należy postępować tak jak zawsze, Olov chce próbować nowych rozwiązań.

- Czy to się opłaca?

- Ojciec wykalkulował sobie, że matka powinna pracować na cały etat. Wyliczył, że jej praca na oddziale odpowiada piętnastu krowom. Dzięki dziesięciu krowom w oborze i leśnictwu udaje im się utrzymać.

- Nigdy nie myśleli o tym, żeby sprzedać gospodarstwo?

- Założenie było chyba takie, że ja miałem je przejąć. W najstarszym synu pokłada się zawsze największe nadzieje. - Christoffer zaśmiał się, ale jego oczy pozostały poważne. - Jesteśmy bliźniakami, Olov i ja, różni jak ogień i woda. Ja pojawiłem się na tym świecie pierwszy, mały i wąty. Muszę dodać, że bez przekonania. Ale Matka Natura nie zawsze jest sprawiedliwa.

- Gdzie pan był w poniedziałek rano?

- Widzę, że robi się gorąco! - Christoffer wykonał kobiecy gest i uniósł dłonie jakby w obronie przed oskarżeniem. - Mam opowiedzieć o szczegółach?

- Oczywiście. - Maria usadowiła się wygodniej i wyciągnęła rękę do koszyka z jabłkami. Wzięła jedno i podała drugie Christofferowi, który odmówił przyjęcia



owocu.

- Byłem na łodzi, pod nieznanym adresem, niedaleko muru miasta. W ciemnym, z rzadka wietrzonym pomieszczeniu uszczęśliwiałem kobietę za pomocą menażerii ozdobnych przedmiotów. Jak się tam znalazłem – jest dla mnie zagadką. Jak się stamtąd wydostałem – pamiętam wyraźnie. Ludzie potrafią być zawistni, nie sądzi pani?

- Być może. Zobaczymy. Proszę mówić dalej.

- Najwyraźniej to on płacił czynsz, mężczyzna, który przyszedł z własnym kluczem. Nie kwestionowałem tego. Ale można chyba okazać odrobinę gościnności obcemu przybyszowi. Sam nie wiem, co rozzłościło go bardziej: to, że pożyczyłem jego pościel, czy że uwiodłem jego niewiastę. Tak czy owak, obcowanie z nim stało się nieznośne. Nieadekwatny afekt, jak mawiają wśród psychologów. Miałem nadzieję, że po bratersku podzielimy się resztą wina, ale nie był spragniony. Kiedy chciał uczynić uszczerbek na mym ciele, zdecydowałem, że czas na mnie.

- Ach tak. O której opuścił pan mieszkanie?

- O świcie, wraz z pierwszym skowronkiem. Choć gdyby to ode mnie zależało, wolałbym zakończyć swój żywot w ramionach ukochanej. Ona jednak zamknęła się w wychodku. „*Thus, with a kiss, I die*” – jak ująłby to Szekspir. Padałem z nóg. Zbolałe ciało zaniosiło nocą moją udręczoną duszę do innej dzielnicy. Dobrze jest mieć przyjaciół, do których można udać się w potrzebie i umęczonemu spocząć w atmosferze zrozumienia i braterstwa.

- A gdzie pan nocował?

- W Östergravar, z Beczką i Słoikiem. Może ich pani sama spytać. Ten szpetny żołdak wtrącił nas z rana do izby wytrzeźwień. – Christoffer wskazał zniesmaczony na Arvidssona. – Moi znajomi nazywają mnie Zarazą.

- Jeśli jest pan w stanie zdobyć się na odrobinę powagi, chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej na temat pana ojca. – Maria popatrzyła z zadumą na błazna przed sobą. Pod jej spojrzeniem zrzucił na chwilę maskę skrywającą krzywdę w jego wzroku. Następnie przeobraził się w pełnego empatii, wyrozumiałego syna.

- Oczywiście. Co chciałaby pani wiedzieć?

- Jak opisałby pan ojca?

- Nie wiem, czy to możliwe. Jego osobowość jest złożona. Kiedyś był z niego kawał pracowitego chłopca, teraz jego gwiazda gaśnie. Jest zły, gdy nie ma tyle siły co kiedyś, zawiedziony, gdy nikt nie docenia już jego pracy. Gdyby wiedział, ile zarabiam latem, pewnie wyzionałby ducha. Wartość człowieka mierzy się pracą. A praca jest tym, co wykonujemy własnymi rękami. Wstąpił do formacji samoobrony kilka lat temu. Miałem nadzieję, że go to nieco ożywi. Ma trochę problemów w relacjach z ludźmi. Na tym polu też rodziły się konflikty. Z czasem stał się coraz bardziej poirytowany. Jak zaczyna chlać, robi się niemożliwy. To cud, że matka z nim wytrzymuje.

- Czy to możliwe, że miał depresję?

- Nigdy w życiu nie przyznałby się do słabości czy choroby. Szczerze mówiąc, nie wiem.

- Czy wie pan, gdzie możemy znaleźć Olova? - zapytała Maria.

- Pewnie jest w Martebo. Nie obrazi się pani, jeśli się poczęstuję? Nie zaserwowano mi śniadania dziś rano. - Christoffer ułamał kawałek bagietki i nie czekawszy na odpowiedź, wetknął go do ust.

- W Martebo?

- Tak. Odziedziczył parcelę po śmierci pradziadka. To znaczy dziadka Wilhelma. Była całkiem podupadła, gdy ją przejmował. Teraz jest tam stajnia z czterema końmi i szklarnia, w której hoduje własne warzywa. Zimą mieszkam czasem u niego.

- Widział pan światło nad mokradłem Martebo?

- Czy to zaproszenie? Chce mnie pani zaprosić na randkę? Jestem za. Nigdy nie odmawiam pięknej kobiecie. Co chce pani przeżyć? Urowadzenie statkiem kosmicznym? Seksualne eksperymenty bez konieczności brania za nie odpowiedzialności? Proszę mi opowiedzieć o swoich marzeniach. Jakie cierpienia kryją się za chłodną fasadą służbistki?

- Nigdy się pan o nich nie dowie. - Maria zauważyła ze złością, że się zarumieniła. Hartman okazał się jej wybawieniem.

- Skończyliście?

Christoffer uśmiechnął się i uklonił się zamaszyście w stronę Marii.

- W uroczym towarzystwie czas leci jak na skrzydłach. Czy mogę się upewnić, że dane nam będzie jeszcze kolejny raz się spotkać? Może zechce pani dyskretnie upuścić chusteczkę? Nie? A może piwo w barze Enkan? Przejazdźka łodzią wikingów na mokradła Tingstäde Träsk? Kąpiel w świetle księżycyca w zatoce Ihreviken? Też nie?

- Być może Ek chętnie potowarzyszy panu w charakterze ofiary podczas pokazu połknięcia ognia - powiedziała Maria, ziewając ostentacyjnie. - Właściwie to ja chyba również powinnam dostać swoją działkę za występ.

- Oczywiście. Czy mogę uiścić ją w naturze?

- W takim razie chętnie od niej odstąpię - westchnęła zrezygnowana Maria. Teraz tęskniła tylko do tego, aby znaleźć się na Murgatan, wziąć prysznic i się przebrać. Wiało od morza i zimno przenikało przez jej wilgotne ubrania - dopiero teraz to poczuła.

- Hartman mówił, że chciałabyś zwiedzić jaskinię Lummelunda - powiedział Arvidsson, gdy minęli stary budynek poczty przy placu Donnersplats.

- Przygoda w jaskini brzmi ekscytująco. Jak można się tam dostać?

- Pierwszy odcinek trzeba pokonać łódką, później idzie się na piechotę albo czołga jak robak pod ziemią. To odcinek o długości około pięciuset metrów z grotami, tunelami, podziemnymi wodospadami, przejściami i korytarzami. Twory stworzone przez samą przyrodę, przez wodę, która spływała, rozpuszczając wapień. Naturalnie powstały wylot był znany od czasów kamienia

łupanego, ale dopiero w latach pięćdziesiątych trzech chłopców odkryło jaskinię nazwaną później Turistgrottan.

- Jak daleko sięgają tunele?

- Jak do tej pory udało się pokonać cztery i pół kilometra, ale większa część wciąż pozostaje niezbadana. Są interesujące skamieliny na ścianach grot i kamieniach, nacieki, stalagmity i stalaktyty powiększające się o jakiś milimetr na rok. Trzeba włożyć coś cieplejszego. Słyszałem, że jest tam zimno, zaledwie pięć do dziesięciu stopni.

- A ty, Hartman, nie przyłączysz się? - spytała Maria.

- Myślę, że w tym roku sobie daruję. Zapowiada się wiele roboty przy przesłuchaniach załogi i pasażerów na promie gotlandzkim. Musimy skontaktować się z prasą i lokalnymi wiadomościami, trzeba szukać świadków. Przesłuchiwałem mężczyzn, którzy wybierali się na turniej dzisiaj po południu. Żaden z nich nie widział Wilhelma Jacobssona podczas rejsu. Nie pojawił się też na ćwiczeniach polowych i nigdzie się nie zgłosił. Minęły trzy doby, a mamy zaledwie czapkę, parę butów i palec. Zamierzam pojawić się na turnieju rycerskim wieczorem i może uda mi się zamienić parę słów z Rycerzem Złotego Miecza, Olovem Jacobssonem. Nie udało mi się z nim skontaktować w godzinach pracy. Jutro planujemy kolejną wizytę w Eksta. Arvidsson ma przecucie, że Mona Jacobsson ma coś za uszami. Mówi, że intuicja mu to podpowiada. Co powiesz, Mario, na jutrzejsze przedpołudnie?

Kolejny dzień pracy wkrótce dobiegnie końca. Mona zrobiła ostatni obchód na oddziale, zmieniała pieluchy i worki na mocz u starszych ludzi i dopilnowała, żeby wzięli nocną porcję lekarstw. Ossian chodził w tę i z powrotem ze swoim balkonikiem. Mruczał coś pod nosem, komunikując się ze swoimi wewnętrznymi głosami. Plecy miał zgięte i obolałe od niewidzialnego ciężaru, który zbierał się tam przez całe jego życie. Ciężaru demonów i duchów, które siedziały na jego plecach, nie pozwalając im się wyprostować, nawet we śnie. Jeszcze przez kilka godzin będzie kontynuował swoją wędrówkę, by wreszcie o czwartej nad ranem wyczerpany pograćzyć się w drzemce. Mona szybkim ruchem pogłaskała go po policzku. „W tej chwili moje życie jest tak samo szalone jak jego” – pomyślała, odgarniając włosy z czoła. Dźwigała swój własny ciężar – ciężar winy.

W sali 12 leżały Margit i Svea. Svea była pielęgniarką rejonową w Eksta, od kiedy tylko Mona pamiętała. Dlatego też przyznawała sobie teraz określone przywileje. Nie wstawała z łóżka, jeśli lekarz na obchodzie jej tego nie nakazał. Była niezwykle wybredna, jeśli chodziło o jedzenie, i przeświadczona o tym, że nie może pić wody. „Mam astmę, rozumiesz”.

Okrutne było patrzenie na to, jak czas zmienił tę ciepłą i mądrą kobietę. Jak przeistoczyła się z godnej zaufania, wspierającej przyjaciółki w zrzędliwą, kłótniową babę. Z czasem zaczęła cierpieć na astmę i wkrótce w dużej mierze sama stała się chorobą. Letnim pracownikom tymczasowym przedstawiała się jako Astma. Stopniowo pograżała się w demencji, co coraz bardziej rozwiązywało jej język. Wiele rzeczy objętych tajemnicą wychodziło powoli na światło dzienne. Święte, religijne kazania mieszały się z operami mydlanymi i wspomnieniami z przeszłości, spływając na jej usta w nieprzerwanym, mniej lub bardziej składnym, potoku słów. Svea zaczęła wspominać o dziecku, chłopczyku, którego Mona urodziła, gdy miała piętnaście lat. „Dziecko z nas zrodzone. Podarowany nam syn” – mówiła Svea, kiwając znacząco w stronę Mony. Było to nieprzyjemne, ale jednocześnie nie można było się na nią złościć. Gdzie podziałyby się Mona ze swoim nowo narodzonym dzieckiem, gdyby nie było Svei? Nabrzmiałe od bólu piersi. Niekończące się krwawienie. Oskarżycielski wzrok chłopczyka. Arne nigdy nie przestawał krzyczeć. Miała za mało mleka. Nie nadawała się na matkę. Krzyczał, aż robił się cały czerwony na twarzy, kopiąc spoconymi stópkami. Karała go, pozwalając mu leżeć we własnej kupie. To było takie obrzydliwe. Widziała, że jej nienawidzi. Patrzył na nią swoimi małymi, pełnymi złości oczami, prowokował krzykiem, czerwony i pomarszczony na twarzy. Był brzydki. Złapała mocno za jego rączki, chcąc pokazać, kto tu rządzi. Miarka przebrała się, gdy którejś nocy obudził Anselma swoim krzykiem. „Ucis� tego bachora, do jasnej cholery!” Chodziła w tę i z powrotem po ogrodzie z Arnem na ręku, kołysząc go i słaniając się ze zmęczenia. Nie nadawała się. Złość opanowała jej ręce. W końcu zdarzyło się coś, co nie powinno było się zdarzyć. Uderzyła go. Krzyknął, a ona uderzyła go ponownie. Nic lepszego nie

przyszło jej do głowy. Nauczy go moresu. Będąc w przychodni, Svea zastanawiała się, skąd wzięły się ślady po uderzeniach na ciele chłopczyka, później zrozumiała, jak to się stało. Od tej pory przyglądała się uważniej młodej mamie, która bez pomocy matki i babki opiekowała się małym. Anselm, lubiący się nad sobą uważać moczymorda, nie był kimś, kto mógłby służyć pomocą. Sama Svea nie wyszła nigdy za mąż, żyła dla swego powołania. Nie brakowało jej właściwie mężczyzny, takie potrzeby można było zaspokoić potajemnie samemu. Były jednak chwile, kiedy tęskniła za dzieckiem. W rezultacie Mona przeprowadziła się do Svei na kilka miesięcy, aby kobieta pomogła jej przy synku i nauczyła prac domowych.

Dzwonek z sali 12 wyrwał Monę z zamyślenia. Kiedy otworzyła drzwi, usłyszała rozkoszny śmiech Margit. Na brzegach umywalki pieniała się woda. Dłonie Margit pokryte były białą pianą; od czasu do czasu klaskała i piana radośnie rozpryskiwała się białymi kroplami w pomieszczeniu. Svea siedziała wyprostowana na łóżku i patrzyła przerażonym wzrokiem.

- Pierze moje ubrania. Moja sukienka, moje skarpetki, moje niewymowne - szeptała.

Mona podeszła do Margit i zajrzała do umywalki. Czego tam nie było. Naczynia wymieszane z praniem. Wyłowiła z umywalki dwie filiżanki, talerz i widelec, a także ubrania Svei, poszewkę i tubkę kremu Decubal. Margit zdawała się być w dobrym humorze. Mona starała się wszystko uporządkować. Wyplukowała ubrania Svei i powiesiła na kaloryferze. Margit najwidoczniej już wcześniej rozpoczęła suszenie, bo lampa na podłodze obwieszona była szpitalnymi nylonowymi pończochami. Mona przeprosiła ją i próbowała uspokoić Sveę. Ale to na niewiele się zdało. Poczucie bezpieczeństwa Svei było dogłębnie podkopane. Nie potrafiła czuć się spokojnie z tą obłąkaną kobietą w pokoju. Jeśli coś takiego zdarza się z jej ubraniami, to znaczy, że zostały przekroczone wszelkie granice, stwierdziła. Jej oddech stawał się coraz bardziej astmatyczny. Mona objęła ją i kołysała wolno w ramionach.

- Już dobrze. Ona chciała tylko pomóc. Teraz pójdzie się położyć. Będzie cisza i spokój i będziesz mogła zasnąć.

- Chcę stąd wyjść. Będę krzyczeć całą noc, jeśli mnie stąd nie zabierzesz. Mam astmę! Okno musi być otwarte. Nie pozwala mi otworzyć okna, bo nie chce siedzieć w przeciągu. Później wychodzi i zamyka drzwi. Duszę się!

- Spróbujemy się tym zająć jutro! Połóż się teraz, to cię przykryję.

- Jutro! Wtedy będę już martwa. Wpędzi mnie do grobu swoimi wariactwami. Jeśli nie pozwolisz mi zmienić pokoju, opowiem o Wilhelmie. Opowiem im wszystkim. Wszyscy mamy tajemnice. To dlatego nie wraca do domu. Nie może wrócić, bo nie żyje.

Mona zeszywniała. Czy to możliwe, że coś wiedziała? Może, ale skąd?

- No, nareszcie zamilkłaś - zaśmiała się Svea. - Ojciec Wilhelma majaczył na koniec w gorączce, pamiętasz. Zaglądałam do niego rano i wieczorem.

Słyszałam takie rzeczy, że niektórym zwiędłyby uszy. Kto ma uszy, niech słuca. Trzydzieści srebrników! Judasz Iskariota, jak by powiedzieli.

- Mogę zabrać cię do pokoju dziennego.

- Mnie! Przecież to ona zaczęła! Zabierz ją.

Margit zarechotała, następnie pokiwała znacząco głową:

- Może sama kupić swoje cylindry. Nie będę szczotkowała maszyny do szycia. Szkoda rozlanego mleka i vice versa. - Wypowiadając te mądrości, zrozumiałe tylko i wyłącznie dla niej, położyła kapcie Svei na swoim łóżku i przykryła je z wielką czułością.

Mona Jacobsson stała przy szafce z opatrunkami. Panowała całkowita cisza i spokój. Ossian chwilowo odpoczywał przed dyżurką, opierając się na swym balkoniku, by następnie udać się w dalszą wielomilową wędrówkę. Mona zgasiła światło na korytarzu, została sama na oddziale. Reszta siedziała w dyżurce. Margit chrapała cicho w pokoju dziennym, a Svea siedziała zadowolona w swoim łóżku, oglądając *Anioły w szpitalu*, serial telewizyjny, w którym sama występowała - tak jakby. Za każdym razem gdy doktor Vogel wołał coś do siostry, odpowiadała mu, snując długie wywody na temat tego, co dolega pacjentowi.

Spirytus salicylowy, kompresy i skalpel, więcej chyba nie potrzebowała. Mona wrzuciła przedmioty do torebki. Zdecydowała się naciąć wrzód. Miała nadzieję, że wystarczy później obandażować nogę, nie wiedziała, czy starczy jej odwagi, żeby pozszywać samą siebie. Napawało ją to niepokojem, ale na dłuższą metę nie bardziej niż słowa Svei. Musi z nim jeszcze raz porozmawiać. Powiedział, żeby nie dzwoniła do niego do pracy. Nigdy! Ale w takiej sytuacji nie będzie nic ryzykował, odbierając komórkę. Próbuując zebrać myśli, Mona grzebała w torebce w poszukiwaniu notesu z telefonami. W pierwszej kolejności zamierzała spytać Sveę, co miała na myśli, kiedy tylko znajdą się same w sali. Później zdała sobie sprawę, że to może okazać się niebezpieczne. Jeśli Svea zauważy, że komentarz o Wilhelmie nie pozostawił jej obojętnej, zacznie o tym intensywnie myśleć. Bez względu na to, czy była to prawda, czy fałsz, wzbudziłoby to niepotrzebne zainteresowanie czymś, co powinno pójść w zapomnienie. Powoli ludzie nabiorą podejrzeń, czy nie ma w tym przypadku odrobiny prawdy - i zacznie się cały cyrk. Było to jednak daleko posunięte oskarżenie, tak nieprawdopodobne, że niemal śmiechu warte. Mona chciała jednak dowiedzieć się, czy on był tego samego zdania. W ostatnim roku wiele ukrytych prawd w parafii Eksta ujrzało światło dzienne. Były podstawy ku temu, aby wykazać się ostrożnością.

Kiedy wszyscy opuścili pokój dla personelu, Mona zeszła schodami do kafeterii. Wrzuciła pieniądze do automatu telefonicznego, wybrała jego numer i czekała. Okienko było zamknięte, mimo to Mona nie zdziwiłaby się, gdyby baba z kiosku obserwowała ludzi, ukryta w kinowych ciemnościach pomieszczenia.



Delikatny letni wiatr powiewał koronkową firanką. Za oknem świeciło sierpniowe słońce, okrągłe i żółte na aksamitnoniebieskim niebie. Svea westchnęła, obracając się we śnie. Chłód dobrze jej zrobił. Tak łatwo się oddychało. We śnie nosiła odświętny mundurek. Był wełniany, ale nie miała wrażenia, że jest jej w nim za ciepło. Czarne, wełniane ubranie z niezliczoną liczbą guzików do zapięcia. Biały fartuch, mankiety i czepek pielęgniarSKI błyszcząły w świetle, czyste i wykrochmalone. Spięty broszką kołnierzyk trochę ją uwierał. Skąpe światło ognia sączyło się przez przymknięte drzwiczki pieca kaflowego i ze świeczki na sekretarzyku, padając na błyszczącą od potu twarz chorego. Svea naląła do umywalki wody z dzbanka i zamoczyła ręcznik, aby zwilżyć czoło pacjenta. Rak rozprzestrzenił się. Nie przeżyje tej nocy, tak powiedział lekarz i Svea myślała, że to całkiem możliwe. Były tego wyraźne oznaki. Śmierć stawia krzyżyk na czole swoich wybrańców. Mały Wilhelm skulił się na kanapie. Miał pilnować ojca. Duch był ochoczy, ale ciało mdłe. Teraz spał, oddychając miarowo. Sofia poszła do mamy. Nie spędzała z chorym więcej czasu, niż nakazywała absolutna konieczność. Svea przetarła gorące czoło Jacobssona ręcznikiem. Stęknął pod wpływem dotyku i zamrugnął powiekami. Wzrok błędził po pokoju, aż spoczął na portrecie nad łóżkiem.

- Nie bij mnie, ojcze. Wybacz mi - głos Oskara Jacobssona był tylko dziecięcym szeptem. Wił się w niewidzialnych mękach. Svea odniosła wrażenie, jakby chciał uciec na swoich bezwładnych nogach. Jak miałby tego dokonać, jeśli nie był w stanie podnieść do ust szklanki z napojem? Zaszlochał jak dziecko. Dziedziczy się zarówno dobre, jak i złe rzeczy. Rzeczy, ale także ciężar naszych uczynków. Niemożliwe było stwierdzenie, czy jego cierpienie stało się rezultatem jego własnych czynów, czy też tego, co uczynili mu inni. Oskar próbował coś powiedzieć i Svea nachyliła się, żeby usłyszeć jego słowa. Oddech śmierdział amoniakiem. Pot lęku. I inny odór, zapach samej śmierci. Owionął ich, przesycił jej włosy i ubranie. Niespodziewanie Oskar złapał ją swoimi krzywymi, chudymi palcami. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Jego wargi były suche i popękane. Zarost drapał ją po twarzy. Poczwała, jakby okradał ją z życia, odrobiny życia, choćby jednej godziny. Bez żadnego wysiłku uwolniła się z uścisku jego rąk. Wytarła z warg pocałunek śmierci, próbując ukryć niesmak, który czuła, otarła ręce o fartuch i ponownie zmoczyła ręcznik. Wilhelm przewrócił się na kanapie i stęknął. Płomień światła zamigotał i odbił się w jego włosach. Wzrok dziadka Wilhelma w Martebo nie był miły. Mężczyzna był sztywny i wyglądał imponująco w długim płaszczu i białej koszuli. Głęboko osadzone oczy były lodowato zimne, dodatkowo zacienione rondem kapelusza. Mówiono, że uderzył jednego ze swoich uczniów, tak że ten stracił słuch w jednym uchu. Krążyły również wieści, że zapłacił tysiąc koron, aby to się nigdy nie rozniosło. Kiedy patrzyło się w te oczy, ta myśl nie wydawała się nieprawdopodobna. Ale zapłatą za grzech jest śmierć. Kilka lat później spadł



z konia i złamał kark.

Svea obudziła się, była zmarznięta. Próbowwała sobie coś przypomnieć, ale była bardzo zmęczona, a jej pamięć rozproszona jak potłuczone szkło. Utracona w mętnej wodzie, która jeszcze przed chorobą była czysta jak kryształ. Palce bezustannie wędrowały po kocu, próbując znaleźć punkt zaczepienia. Powinna sobie coś przypomnieć, niebezpieczeństwo. Odczuła powiew zła w pokoju, był bardzo zimny. Drzwi otworzyły się. Lampa nad jej łóżkiem zapaliła się i ktoś obrócił ją gwałtownie na bok. Czyjaś dłoń wsunęła się pod jej majtki, okryta plastikiem, szeleszcząc, przesuwając się po jej pośladku. Zacisnęła powieki. Co za upokorzenie.

- Przynieś suchą koszulę. - Kroki na korytarzu, w tę i z powrotem. Zwinne palce rozpinające jej nocną koszulę. Nie gorzej traktowano by ją pewnie w burdelu. Ręce i ręce. Jedne różniły się od drugich. Zanim się tu znalazła, nie myślała o tym, jak wyraźny przekaz mogą nieść czyjeś dłonie. Te tutaj mówiły: „Spiesz mi się, jesteś tylko chwilą mojej pracy, obsikane ubrania są takie obrzydliwe”. Ale były też inne dłonie, czasami towarzyszył im głos, który pytał: „Czy możesz położyć się na boku?”. Wtedy odpowiadała. Inne ręce, które były niespieszne, umiały delikatnie pogłaskać, dotknąć ramienia. Światło znowu zgasło. Kroki ucichły. Zamknęli drzwi! Nie chciała, aby były zamknięte, ale nie miała też siły, aby po nich zadzwonić. Mogła właściwie domyślić się, co o niej myśleli. Nie było to ani trochę trudne. Język dłoni nie kłamie.

Svea ułożyła się wygodnie i pozwoliła czarno-białym obrazom we śnie przejąć jej wyobraźnię. Wróciła do Martebo. Pokój wypełniło tykanie zegara. Wskazówki zmierzały powoli ku porankowi, sekunda za sekundą, minuta za minutą w oczekiwaniu na śmierć. Svea dostrzegła światło świtu, jaśniejszy odcień wylaniający się z szarego mroku nocy. Oddech Oskara Jacobssona był teraz rżący. Włosy układały się w ciemne, spocone pasma na poduszce. Światło zamigotało i zgasło. Zapaliła nową świeczkę i postawiła ją na sekretarzyku. Ciemność kładła się głębokim strachem na obliczu chorego. Światło igrało na lśniącej od potu twarzy. Svea ciaśniej okryła nogi pledem. Trzymała jego dłoń w swojej, aż jej ręka zdrętwiała. Poczwała w ramieniu rozsadzający ból, gdy wyrwał się z jej objęć. Jego oddech ustał, liczyła sekundy. Wziął rżący wdech. Zaczął oddychać szybciej. Zauważyła, że ich oddechy znalazły wspólny rytm. Oddech za oddechem w coraz szybszym tempie. Wtedy otworzył oczy, spojrzał na nią. Zwilżyła gazik i wprowadziła go peanem między jego wyschnięte wargi. On jednak odwrócił głowę, odmawiał. Chciał coś powiedzieć. Przyłożyła ucho do jego ust, próbując znieczulić się na odór wydobywający się z jego wnętrza.

- Wilhelm... - łapał oddech, wydając rżący dźwięk. - Gdzie jest Wilhelm? Muszę z nim... porozmawiać. - Podniosła się, żeby obudzić chłopca i poczuła ostry ból w zgięciu ręki. Czy stary ją uszczypnął? Poczwała dziwne napięcie. Prawdziwy ból. Próbowwała zabrać rękę. Ale coś trzymało ją mocno. Obudziła się

z bólu na swoim łóżku w Mariagården i zobaczyła, że igła wypadła z żyły. Podążyła wzrokiem w górę za guzikami białego fartucha, aż ujrzała znajomą twarz.

- Pracujesz tu? - chciała spytać, ale wargi odmówiły jej posłuszeństwa. Powinna mu powiedzieć, że insuliny nie można podawać bezpośrednio do krwi. Ale tak jakby już jej to nie obchodziło. Serce w jej piersi było pełne niepokoju, spociała się i zmrużyła na chwilę oczy. Była teraz sama na sali. Nie czuła bólu. Mężczyzny nie było już przy niej. Nie widziała go. Czuła tylko delikatny powiew czegoś... ale czego? Źle się poczuła, ale nie chciała dotknąć dzwonka roztrzęsionymi rękami. Musi tak zostać. Nie chciała, aby jej dotykano, skoro budzi w nich taką odrazę. Pomyślała, że łupie ją w kościach, i była to jej ostatnia świadoma myśl.

- Czy będzie wykonana sekcja? - spytała Iris podczas porannej odprawy.

- Nie wydaje mi się - odparła pielęgniarka z nocnej zmiany. - Od czegoś trzeba kiedyś umrzeć. Miała wszystko: astmę, niewydolność serca, raka nerek i cukrzycę. Jeśli doktor Gunnarson pozwoli na sekcję, sam będzie musiał podstemplować skierowanie. Chyba będziemy musieli poprzestać na akcie zgonu.

- Dzwoniłaś do krewnych? - Iris przeglądała bloczek z pomiarami temperatury i zapisem poziomu cukru. Źle wypełnione, pewnie w pośpiechu, skoro mieli zgon do zbadania.

- Nie sądzę, żeby jakichś miała. Mam telefon do bliskiego przyjaciela i córki kuzynki. Numer telefonu jest przekreślony. Może się przeprowadziła. - Pielęgniarka zakryła usta, ziewając. Jej fartuch był pognieciony, jakby w nim spała.

- Myślę, że dostała posadę pielęgniarki w Arabii Saudyjskiej. Tak mówiła Svea, ale nie wiadomo, czy to prawda. Równie dobrze mogła zobaczyć to w telewizji.

- Tak czy siak na pewno ten ktoś nie chciałby, żebyśmy dzwoniли do niego nocą.

Spotkali Vegę przy wejściu.

- W termosie na stole w ogrodzie jest kawa - wymamrotała ze szpilek w kąciku ust i przepędziła psa leżącego w poprzek schodów. Urażony Tjelvar podniósł się dostojnym ruchem i ułożył w cieniu muru. Zauważywszy siedzącego na żółtym płocie kota, wyraźnie się ożywił, zaskoczony niespodziewaną wizytą. Nieświadomy zupełnie obecności Tjelvara kot z zadowoleniem lizał łapę. Pies zaczął chodzić w tę i z powrotem wzdłuż linii demarkacyjnej, demonstrując niezgodę na wszelkie próby wkroczenia na jego terytorium, które mogły skończyć się represjami, dotkliwymi represjami.

- Wybaczcie, ale muszę uporać się z tą lamówką, zanim dotrzymam wam towarzystwa. To sukienka ślubna. - Vega uśmiechnęła się półgębkiem z ustami pełnymi szpilek i odeszła.

- Zaczniemy zatem od kawy - powiedział Hartman. - A więc wybieracie się do jaskini Lummelunda już jutro? Chcąc nie chcąc, słyszę twoje rozmowy telefoniczne na górze. Lepiej żebyś wiedziała. Jak będziesz chciała wykonać jakiś bardziej osobisty telefon, mogę wybrać się na spacer po okolicy. Ściany tutaj są dość cienkie.

- Moje problemy z Kristerem nie są żadną tajemnicą.

- Chciałem cię o to spytać. Jak się sprawy właściwie mają?

- Nie wiem. - Maria oparła głowę na rękach i przesunęła dłońmi po twarzy, zamyśliła się przez chwilę i odpowiedziała: - Bycie razem jest zawsze pakietowym rozwiązaniem, trzeba akceptować to, co dobre, i to, co złe. Chwilowo znajdujemy się w dołku. Nie mieliśmy dla siebie zbyt dużo czasu przez ostatnie pół roku. Stopniowo żyliśmy coraz bardziej obok siebie, każdy z nas wykonywał swoją część tej samej pracy, pomagaliśmy sobie jak kumple. Właściwie nie kłóciliśmy się ani nie kochaliśmy. Kristerowi trudniej jest żyć bez pasji niż mnie. Bardzo potrzebuje podziwu i potwierdzenia. Ja już chyba nie wystarczam.

- To, co mówisz, brzmi znajomo - stwierdził Hartman w zamyśleniu. - Przechodziliśmy z Marianne przez taki okres, gdy dzieci były małe. Pochłonęła mnie praca i nie zauważyłem, że oddalamy się od siebie. Pracowałem dodatkowo, żebyśmy mogli pozwolić sobie na dwa samochody, remont łazienki i podróże zagraniczne. Myślałem, że to było dla niej ważne, ale ona potrzebowała mnie. Sprawy zaszły tak daleko, że wyprowadziła się, zanim zdążyłem zdać sobie sprawę z powagi sytuacji. Myślałem, że wystarczy, abym był żywicielem rodziny, zapewniał utrzymanie. Nie byłem wtedy zbyt dobry w mówieniu o uczuciach. Kiedy tankowałem jej samochód i włączałem ogrzewanie silnika, dawałem jej tym samym do zrozumienia, że ją kocham. Nie rozumieliśmy się i nagle chciała się rozwieść, a ja nie rozumiałem dlaczego.

- Trudno w to uwierzyć, patrząc na was dziś. Zawsze myślałam, że jest wam tak dobrze ze sobą. Tak miło, że aż pozazdrościć.

- Tak. Ale miłości nie otrzymuje się za darmo. Chodzi o to, aby chcieć. Ceną za uczucie jest zaangażowanie i troska, trzeba postawić to na pierwszym miejscu i pielęgnować uczucie, aby przetrwało.

- Krister wolał zostać w Kronviken u swojej mamy. Potrafi nim niesamowicie manipulować.

- On na to pozwala, Mario. Co mówi, gdy opowiadasz mu o tym, co ci pasuje, a co nie?

- Uważa, że powinnam była zostać w Kronviken, skoro on nie mógł pojechać. Tym razem postanowiłam nie ugiąć się przed niezłomną wolą Gudrun. Krister uważa, że jego matka jest taka miła, że nasz układ funkcjonowałby, gdybym tylko trochę się postarała. Ona chyba tego oczekuje. Zeszłej jesieni uszyłam Lindzie sukienkę, którą miała włożyć w Wigilię. Siedziałam nad nią przez cztery tygodnie, prawie każdego wieczoru, ponieważ myślałam, że fajnie będzie dać jej sukienkę w jabłka, takie same jak ma na sukience Idun na jednym z obrazów Carla Larssona. Linda tak bardzo lubi ten obraz. Dzień przed Wigilią pojawia się Gudrun z sukienką kupioną w mieście. Żółta, króciutka sukieneczka, wydekoltowana i wyzywająca jak na podryw dla dorosłej kobiety. Nie znoszę takich ubrań i ona o tym wie. Dlatego od razu dała sukienkę Lindzie, nie pytając mnie o zdanie. Było mi przykro, a Krister uważał, że jestem niemądra. Sukienkę, którą uszyłam, Linda mogła przecież włożyć innym razem. To tylko jeden z wielu przykładów.

- Nie umiem ci nic poradzić. Wiem, że rodzina jest dla ciebie najważniejsza, ale odpowiedzialność za to, żeby to wszystko funkcjonowało, nie spoczywa tylko na tobie. On musi być współodpowiedzialny. Godzenie życia rodzinnego z pracą w policji nie należy również do najłatwiejszych. Na pewno w obecnej sytuacji udało ci się to odczuć.

- Tak, wiele znanych mi policjantek jest po rozwodzie. Coś w tym jest. Ale nie chcę tego. Nie chcę, abyśmy dzielili się dziećmi. Nie chcę przeprowadzać się z willi nad morzem i nie chcę być z nikim innym niż Krister. Wszystko straciłoby wtedy sens. Wygląda na to, że go kocham.

- Wszystko na to wskazuje - powiedział Hartman, uśmiechając się krzywo.

Na bruku rozległ się stukot i furtka w żółtym płocie na Murgatan otworzyła się. Przed nimi stanęła młoda kobieta z rozpuszczonymi długimi jasnymi włosami. Miała na sobie krótką dzinsową spódniczkę i białą koszulkę. Maria nie mogła się powstrzymać, żeby nie przyjrzeć się jej obuwiu. Obcasy były wąskie i wysokie na jakieś dziesięć centymetrów. „To musiał być wyczyn cyrkowy przeprowadzać się w nich przez brukowane ulice” - pomyślała Maria i nieświadomie ukryła swoje profilowane sandały Birkenstock pod krzesłem.

- Birgitta, moje słońko. Dzień dobry! Ile masz czasu? - spytała Vega.

- Godzinę. Później idę na rynek. Mama siedzi tam za mnie. Powinnam ją zmienić, bo musi pomóc w sklepie. Tata znów ma umówioną wizytę u dentysty.

- Rozumiem, ale może zdążymy wypić razem filiżankę kawy przed

mierzaniem?

- Jasne, kawy nie odmówię.

Vega podeszła do grządki, wyjęła nożyczki krawieckie z kieszeni fartucha i ucięła świeżo zakwitłą różę, bez wątpienia najpiękniejszą w ogrodzie - rubinową Queen of Hearts. Podała ją Birgittie, nie mówiąc ani słowa. Cała jej istota promieniowała jednak zadowoleniem.

- Na pewno zwiędnie, jeśli będzie stała na rynku przez resztę dnia - stwierdził bezlitośnie Hartman.

- Trudno. Ona jest na teraz - uśmiechnęła się Vega.

Piękny moment, który Maria miała później wielokrotnie wspominać. Vega nie była zamożną kobietą. Nie trzeba nią być, aby dawać innym dary, których nigdy się nie zapomina. Nie jeśli dawane są od serca, z miłością i ciepłem. Ona jest na teraz. „Taki dar od kobiety tak nieprzekupnej jak Vega jest wart więcej niż całe złoto świata” - pomyślała Maria i poczuła, że musi zmienić trochę dotychczasową opinię na temat swojej gospodyni.

- Kupiłam mu obrączkę. Chcesz zobaczyć? - zapytała Birgitta. Vega przytaknęła ochoczo. - To jest złoty pierścień wodza. Kupiłam go u konkurencji. Ojciec będzie musiał mi wybaczyć, ale chciałam, żeby Arne dostał właśnie taki.

- Był drogi? - zainteresował się Hartman.

- Tak, ale to piękna robota - pospieszyła Vega w obronie podarunku.

- Pamiętam, jak w dzieciństwie byłem na pewnym weselu - powiedział Hartman. - Prawdziwe gotlandzkie wiejskie wesele. Uroczystość rozpoczęła się od czyjegoś zawołania: „Rusek nadchodzi”. Następnie wszyscy goście wybiegli i ukryli się w krzakach. Zadaniem gospodarzy było zwabienie ich z powrotem przy użyciu wszystkiego, czym chata bogata, prosili i błagali, aż tamci wrócili do domu i przyjęcie mogło się rozpocząć. - Hartman rozpromienił się. - Nasi goście z Niemiec żartowali na ten temat. Człowiek wychodzi na podwórko i krzyczy: „Rusek nadchodzi”. Drzwi się otwierają i szwedzkie kobiety wybiegają z rękami w górze, krzycząc: „Aaaa!”.

- Ten strach przed Rosjanami tkwi głęboko w duszy ludzi. - Vega zwróciła się do Birgitty: - Wszyscy odpowiedzieli na zaproszenie?

- Prawie wszyscy. Zamówiliśmy obiad i kolację w pensjonacie Fridhems. Ma przyjazny, staromodny klimat. Leży tuż przy plaży, zaraz obok wzgórza Högklint. Księżniczka Eugenia kazała go wybudować jako letnią rezydencję. Zamówiłam stek jagnięcy i naleśniki szafranowe. Co o tym sądzisz, Vego? Chyba tak będzie dobrze? Poprosiłam o wieniec z liści dębu i czerwonych róż. Tata pokryje koszty konia i powozu.

- Pięknie. - Oczy Vegi promieniały. - Ilu gości jest zaproszonych?

- Ponad sto osób. Sześćdziesiąt na obiad, reszta dołączy później.

- Nie zapomniałaś zaprosić Lill i Kage?

- Czy muszę? Wiesz, jaka ona jest.

- Przecież wiesz, co się stało w Tornrosa, kiedy zapomnieli zaprosić złą wróżkę. Później będą gadali jak najęci i pożałujesz, że jej nie zaprosiłaś. - Vega

zaczynała wargi, jakby wciąż miała w ustach szpilki. – Posadź ją obok mnie. Już ja się nią zajmę. Pójdziemy na spacer w parku, jak zacznie dokazywać. Lubi przecież patrzeć na rośliny. Jeśli stanie się zupełnie nieznośna, pójdziemy na gofry do domku z kawą, żeby nie przeszkadzała gościom.

– Chyba masz rację. Ale właściwie wolałabym zaprosić Antona i Irmę.

– A co zrobisz z Christofferem i Olovem?

– Zaproszę Olova. Jeśli nie będzie chciał przyjść, najwyżej podziękuję. Myślę, że będzie gorzej, jeśli w ogóle go nie zaproszę. – Birgitta przygryzła dolną wargę, drżenie niepokoju przebiegło po jej ciele. Później wyprostowała się. – Christoffera nie trzeba zapraszać. On zawsze pojawia się tam, gdzie chce.

– A czy to nie ryzykowne? Może zdominować całą uroczystość – zastanawiała się z niepokojem Vega.

Birgitta zaśmiała się.

– Być może. Ale kto go powstrzyma. Mam nadzieję, że zaśpiewa jedną ze swoich pięknych ballad. Właściwie poprosiłam go nawet, żeby śpiewał w kościele.

– Chyba oszalałaś. Nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy. Czy twoja matka o tym wie? Widziałam go na Rynku Głównym w zeszłym tygodniu. Miał na sobie jakieś okropne damskie fatałaszki, jakiś fartuch i sztuczny biust. Obwieszczał wszem i wobec, że jest właścicielem jedyne go godnego polecenia burdelu w mieście. To musiał być niezły wstyd dla jego rodziców – powiedziała Vega, marszcząc czoło.

– Może trzeba również zaprosić Monę i Wilhelma. Nie rozmawiałam o tym jeszcze z Arnem. Nie wiem, co o tym myśli, ale będąc z Olovem, spędzałam u nich w domu dużo czasu.

Hartman odchrząknął. Zamyślił się. Posłał Marii spojrzenie. Zdecydował się nic nie mówić i wcisnął się głębiej w sofę. Co miał powiedzieć? Nie można zaprosić Wilhelma, bo zaginął mu gdzieś mały palec u ręki. Właściwie cały nawet zaginął.

– Wejdziemy do środka? – Vega pozbierała filiżanki i podała Marii talerz z ciastkami i cukiernicę. – Potrzebuję pani pomocy przy trzymaniu materiału, kiedy będę go podpiniała. Facetom wstęp wzbroniony.

– Niech będzie – zgodził się Hartman, podparł głowę ręką i wziął jeszcze jedno ciastko. Żona będzie pewnie trzymała go o chlebie i wodzie, po tym jak wróci z dziesięciokilową nadwagą. „Ale później przyjdzie czas na żałowanie”, pomyślał, odgryzając porządny kęs.

– Wyglądasz tak pięknie – powiedziała Maria, kiedy Birgitta ostrożnie wsunęła się w sukienkę pokrytą szpilkami i fastrygą. Fason był prosty, ale bardzo efektowny. Biały jedwab, bez koronek i falbanek, tylko materiał dopasowujący się do sylwetki, podkreślona talia i wyeksponowany biust.

– Proszę przytrzymać tam z tyłu – poleciła Vega. – Myślę, że powinniśmy zwęzić o centymetr w biodrach. Nie możesz teraz schudnąć. Nie będę więcej

przeszywała sukienki, więc koniec z umartwianiem się, chyba sama rozumiesz. Musimy zwięzić też o centymetr w biuście. Jak człowiek się umartwia, krągłości znikają nawet tam, gdzie nie chcemy. Myślisz, że to ten jedyny? – spytała, odrywając wzrok od pracy. Reakcja była inna, niż się spodziewała.

Birgitta natychmiast spowaźniała. Vega zatrzymała się w pół ruchu. Ręce dziewczyny opadły i zwisały bezwładnie po bokach. Jej oczy zaokrągliły się i wypełniły łzami.

– Ależ kochanie! Moje maleństwo – powiedziała przerażona Vega.

– Nie wiem. – Birgitta patrzyła prosto przed siebie. Vega wzięła chusteczkę, żeby łzy nie skapnęły na drogocenny materiał. – Nie wiem, wszystko stało się tak szybko. Nie wiem, co mam robić. Nie mów nic mamie. Może po prostu jestem teraz trochę przygnębiona. Nie wiem, o co chodzi.

- Popatrz, jest! - Vega pociągnęła Hartmana za rękaw marynarki. - Czyż nie jest piękna?

Maria próbowała odnaleźć wzrokiem Birgittę w mrowiącym się tłumie na Strangärdet, kiedy księżę z rodziną, dworem i strażą przyboczną przybyli na miejsce. Birgitta, ubrana w zieloną, sięgającą ziemi suknię, stała obok herolda. W długie włosy miała misternie wplecione szerokie czerwone wstążki.

- Jaki piękny strój! - powiedziała z zachwytem Maria.

- Sama go uszyłam. - Vega wyciągnęła szyję i stanęła na palcach, żeby lepiej widzieć. - W zimie prowadzę kurs szycia średniowiecznych ubrań. Widzisz tamtą mieszczkę? Tę w czerwonym płaszczu? Swoje ubranie uszyła na kursie.

Maria nie widziała jej, widok zasłaniał potężny mnich w brązowym kapturze i jakiś obszarpaniec wlokący za sobą kozę. Pachniało świeżym chlebem z fenkułem, obracającymi się na różnie aromatycznymi pieczeniami, dymem z kuźni i prażonymi migdałami. Wszystko to przenikał ludzki, niekoniecznie średniowieczny odór. Kramarze zachwalali swoje towary, wzajemnie się przekrzykując, aby zwrócić na siebie uwagę klientów wśród hałasu lir korbowych, dud i bębnow mieszającego się z podekscytowanymi głosami, rozzłoszczonymi krzykami i śmiechem. W korowodzie tanecznym biegł wianuszek dziewcząt w miękkich pantoflach. Jakiś kuglarz naigrawał się z kupca sprzedającego teriak - lekarstwo na dżumę i inne dolegliwości, skomponowane kiedyś przez medyka na dworze Nerona i składające się z siedemdziesięciu jeden niezwykle ciekawych substancji, takich jak mięso żmii czy opium. Maria zdążyła usłyszeć tylko tyle, gdy Vega ponownie dostrzegła Birgittę. Dziewczyna stała tuż obok w kolejce przy namiocie wróżbiarki. Właśnie usiadła na stołku przed kobietą w kolorowej spódnicy. Wróżbiarka wyciągnęła dłoń, wzięła monetę, sprawdziła ją zębami i schowała do skórzanej sakiewki wiszącej na pasku obok klucza. W jej uszach połyskiwały złote kolczyki, na smukłych palcach błyszcząły pierścionki. Czerwona chusta dobrze komponowała się z jej ciemnymi włosami. Przez chwilę siedziała, koncentrując się, przymknęła oczy i mruzczała coś pod nosem. Następnie popatrzyła na Birgittę bystrymi brązowymi oczami.

- Co chce pani wiedzieć?

- Przeszłość już znam, podobnie jak teraźniejszość. Proszę wywróżyć mi przyszłość. - Birgitta zaśmiała się, jej białe zęby błysnęły na tle opalanej skóry. Maria nie wiedziała, czy ma sobie pójść, czy zostać. Miała wrażenie, jakby uczestniczyła w czymś osobistym, w każdym razie jeśli choć przez chwilę wierzyć w prawdy, które miały zostać objawione. Działo się to jednak na oczach widzów i traktowane było jako przedstawienie. Vega usiadła przy straganie obok i rozmawiała ze znajomą o trudnościach w zdobyciu wełny za przyzwoite pieniądze. Maria zdecydowała się zostać. Hartman już targował się o cenę lampy zrobionej ze świńskiego pęcherza. Maria pozostała ukryta w cieniu



namiotu.

- Proszę przełożyć. - Birgitta posłusznie przełożyła podane jej karty tarota. Wróżbiarka rozłożyła je, ale nie w kształt gwiazdy, jak spodziewała się Maria, lecz rzędami. - Zacznę jednak od przeszłości, ale opowiem o niej w skrócie. W poprzednim życiu była pani dwórką królowej Wiktorii. Widzę cię ubraną w jedwabną błękitną sukienkę. Śpiewasz. Była pani również żołnierzem, który utonął w czasie sztormu na Morzu Bałtyckim. Boi się pani wody? - Birgitta potrząsnęła przecząco głową. - A może utonięcia?

- Nie bardziej niż innych rzeczy. Jeśli już, to powolnego uduszenia się w zamkniętym pomieszczeniu.

- Zamurowania w ciemnym pokoju?

- Tak. Nie zamykam się nawet w toalecie. Może to trochę głupie, ale boję się, że się zatrzasnę.

Wróżbiarka zauważyła, że pytanie nie było przyjemne, i zmieniła temat.

- Widzę mężczyznę. Zajmuje się tym, co minione. Jest tu wiele uczuć, mieszanych uczuć. Widzę metalową koronę błyszczącą od kropli wody i białą sukienkę.

- Zgadza się. Wychodzę za mąż.

Na Marii nie zrobiło to szczególnego wrażenia. Vega jako krawcowa na pewno już dawno opowiedziała o ślubie połowie wyspy.

- Teraz zobaczymy, co kryje przyszłość.

Wróżka odwróciła dwie ostatnie karty i zamilkła. Birgitta patrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Co pani widzi? - Cisza narastała. - Co pani widzi? Proszę powiedzieć! - Birgitta próbowała się uśmiechnąć, ale uśmiech zamarł w pół drogi ku oczom. - Przeraża mnie pani. Dość tego, proszę coś powiedzieć!

- Jest pewien mężczyzna, na którego musi pani uważać.

Birgitta wybuchła wibrującym chichotem, gdy uszło z niej napięcie.

- Moja mama też tak mówi.

- Niech pani uważa i nie zostaje sama po zachodzie słońca. - Twarz wróżbiarki była bardzo poważna.

- Spróbuję. To chyba nie będzie takie trudne - uśmiechnęła się Birgitta.

- Lepiej będzie wstrzymać się od picia napojów wysokich.

- Mówi pani teraz jak Vega. Proszę opowiedzieć więcej o mężczyźnie, na którego mam uważać.

- Nie mogę. Ukrywa swoją twarz.

- Nie było to warte swojej ceny - powiedziała Birgitta i wzięła Vegę pod ramię. - Trochę mnie przestraszyła. Ale trzeba się z tym liczyć, to jak jazda diabelskim młynem w lunaparku Liseberg. Uczucie łaskotania w żołądku, za które warto zapłacić.

- Myślę, że powinniśmy zająć sobie jakieś dobre miejsce na ławkach - zauważył Hartman. - Porozmawiamy z Olovem po turnieju. Będzie na nas czekał

przy zejściu do morza. Tak się umówiliśmy. Jest bardzo zajęтым człowiekiem.

- Patrzcie, nadchodzi księżę. Ten w niebieskim. Teraz przyjmie hołd ludu. Turniej rozgrywa się na jego cześć. - Vega poprawiła swój kostium zakonnicy i usiadła. Maria uważała, że byłoby zabawnie ubrać się w strój z epoki, ale Hartman odmówił, nie podając przyczyny. Od czasu do czasu zerkał na Vegę, która całkowicie wczuwała się w swoją rolę. Rozmawiała właśnie z siedzącą obok na ławce przeoryszą klasztoru Solberga o znaczeniu postu dla zbawienia duszy. Rozmowa niczym nie przypominała tej o maśle i śmietanie.

Rycerze pokazali heroldowi tarcze, które zostały zaakceptowane. Wywołano pierwszego rycerza, który wjechał na arenę przy wtórze wiwatów tłumu. Rycerz Świętej Trójcy nadjechał z impetem w pełnym uzbrojeniu, przyłbicy i kolczudze. Na jego płaszczu i chorągwi widniała czarna trójlistna koniczyna na żółtym tle. Nastąpiło zwyczajowe powitanie księcia.

- Który z nich to Olov? - zapytała Maria, gdy zdążyło ich minąć pięciu rycerzy.

- Właśnie nadjeżdża. To ten w zielonym, Rycerz Złotego Miecza. Sponsoruje go wojsko gotlandzkie - wyjaśniła Vega. - Widać, jak ważne jest, aby rycerze nosili własne barwy i herb na płaszczu i kropierzu, bo jak inaczej można by było odróżnić przyjaciela od wroga?

- Jak dobrze, że to takie proste - uśmiechnęła się Maria.

- Teraz wybiorą swoje damy. To zawsze jest równie ekscytujące. - Vega zaczęła bić brawo Rycerzowi Podwójnej Strzały, który właśnie wybrał swoją damę. - To tak naprawdę jego żona.

- W takim razie jakie szczęście, że wybrał właśnie ją - mruknął Hartman. Młoda kobieta została odprowadzona przez giermka na zaszczytne miejsce obok księcia.

Vega siedziała na samym skraju ławki, aby nie umknął jej żaden szczegół. Teraz miał nastąpić punkt kulminacyjny, najbardziej ekscytująca chwila. Zielony rycerz wjechał na arenę ze wstęgami zawiązanymi na lancy. Olov - Rycerz Złotego Miecza. Po widowni przebiegł szmer, najwyraźniej był ulubieńcem jej żeńskiej części. Teraz miał wybrać damę, o której honor będzie walczył. Uśmiechając się, odwzajemniał pełne wyczekiwania spojrzenia kobiet i zwlekał z podjęciem decyzji. Herold usiłował go poganiać, mrużąc coś niezrozumiałego do mikrofonu. Po wykonaniu prawie pełnego okrążenia jeździec zatrzymał się przed Birgittą. Vega wzięła głęboki wdech, podniosła się nieco i z powrotem usiadła.

- Nie musisz go przyjmować - szepnęła. Ale było za późno. Birgitta wzięła wstęgę i właśnie opuszczała widownię. Giermek owinał dziewczynę płaszczem rycerza i Birgitta zajęła miejsce na podwyższeniu przy księciu.

- Dobrze, że nie ma tu Arnego. Wygłasza chyba wykład w Öja. Choć na pewno plotki dotrą do jego uszu. - Vega wyglądała na zmartwioną.

- Ale o co chodzi? Przecież to tylko zabawa - zdziwił się Hartman.

- Ta zabawa może być niebezpieczna. - Vega pokiwała wolno głową. -

Zgodnie z obyczajem rycerz ma prawo do miłosnej schadzki z wybranką, jeśli wygra. – Pocierała nerwowo rękami o kolana. – Nie jest dobrze. Zdecydowanie nie jest dobrze.

Rycerz Hans z Visby puścił się galopem po hipodromie. Zaczęło się od jazdy na Quintan – figurę z drewna z tarczą na lewym ramieniu. W wyciągniętej prawej dłoni znajdował się łańcuch zakończony żelazną kulą. Rycerz miał ją odeprzeć, próbując jednocześnie zadać cios w tarczę.

– Birgitta nie musi się chyba z nim spotykać, jeśli sama tego nie chce – powiedziała Maria, a Vega rzuciła jej przeciągłe spojrzenie.

- Lud pogrążył się w mroku, gdy dźwięk trąby wybrzmiał nad miastem w roku dzumy 1351. Wewnętrzne dreszcze i fala gorąca, smętny wzrok i zawroty głowy, pragnienie nie do ugaszenia i duszności dosięgły cię, miasto pychy. Ale tego było nie dość. Czarne wrzody wielkości gęsich jaj zakwitły pod twoimi pachami, w węzłach chłonnych i pachwinach. Twoja mowa stała się nieskładna, chód chwiejny, choć był to dopiero początek grozy. Krwotoki z płuc, krew w kale i moczu. Tak dosięgła cię zaraza, gdy smok, diabeł zstąpił na ziemię. *Circulus vitiosus*; strach uwolnił szaleństwo, a szaleństwo spotęgowało strach. A czy ty miałeś się na baczności? Ja, archanioł Michał, przybyłem, aby walczyć ze złem. Przenikając wzrokiem mury i ściany z kamienia, widzę cię, niegodziwcze, używasz błędnej miary i fałszywej wagi. Biada ci, potępione miasto, gdy przeprowadzę twój rachunek sumienia. Biada ci w dniu sądu, kiedy położę cię na swojej szali i twój marny żywot wyjdzie na światło dzienne. Jam ci bowiem archanioł Michał, mój obosieczny miecz oddzieli dobro od zła i ostatecznie zgładzi smoka. Dziewięciu złoczyńców, którzy zdradzili całą ludzkość, kazałeś spalić na stosie, po tym jak skazili nasze studnie, siejąc śmierć i ruinę wokół siebie. Ale zło wciąż lęgnie się w zakamarkach.

- Czarująca mowa - powiedział Hartman. - Prawie straciłem apetyt.

- Nie widzisz, że to Christoffer? Teraz rozumiem, dlaczego przyjaciele nazywają go Zarazą. - Maria szturchnęła Hartmana w bok.

- Jak na razie sprawia wrażenie, jakby był aniołem, może nawet archaniołem. Widzisz skrzydła z tyłu? Piękny koń, pełnej krwi angielskiej. Musi być niezłe wytresowany, skoro nie przeszkadza mu ten tłum ludzi, jest taki spokojny i zrównoważony. Na pewno Christoffer siedzi na jednym z koni Olova, szczwany lis.

- Dobrze, że koń nie rozumie, co się mówi. Inaczej na pewno w proteście stanąłby dęba - stwierdziła Vega. - Archanioł Michał często przedstawiany jest z płonącym mieczem albo oszczepem i ozdobioną krzyżem tarczą. Głosem trąby nawołuje do walki ze smokiem. Leży pogrzebany na cmentarzu Vamlingbo. Tak kiedyś wierzono. Jak na mój gust brzmi to trochę zarozumiale, ale tak uważano przez długi czas w Vamlingbo. To dało cmentarzowi i parafii pewien szczególny status. Na ścianie północnej nawy znajduje się malowidło, na którym archanioł waży duszę cesarza Henrika. Aż do późnych lat siedemnastego wieku składano z niej ofiarę przy grobie anioła. Może pójdziemy kupić jabłka w karmelu?

- Chyba wolałbym *ugnstrull*. Zgłodniałem - odparł Hartman.

- A co to takiego? - spytała Maria.

- Wieprzowina z cebulą zapiekana w chlebie razowym. Tam to sprzedają.

- Chyba chciałabym zobaczyć kuglarzy. Możesz kupić mi taki jeden *ugnstrull*.

Było sporo ciekawych rzeczy na straganach w drodze na arenę, wyłącznie autentyczne rękodzieło. Oglądanie tego wszystkiego przynosiło ulgę: skóra,

węlna, brąz i srebro, miód i len zamiast wszechobecnych suwenirów i tandety. Maria kupiła sobie wisiołek z brązu. Był jakiś urok w nabywaniu czegoś, co sprawiało jej przyjemność, w odróżnieniu od płynu do mycia naczyń, żwirku dla kota czy pod pasek, które kupowała na co dzień.

Wróciła na widownię prawie w tym samym momencie co Hartman. Rozpoczął się drugi etap, rzucanie oszczepem do leżących na ziemi przedmiotów. Rycerz Orzeł stracił punkty za zwłokę. Reguła głosiła, że należało wybiec na arenę najdalej pięć sekund po sygnale. Publiczność nie do końca zgadzała się z heroldem i w wielu miejscach na trybunach rozgorzała dyskusja. W całym tym harmidrze zadzwonił telefon Marii, która musiała odejść na bok, żeby cokolwiek usłyszeć. To Krister, dzwonił ze szpitala. Emil wspiął się na drzewo, aby zajrzeć do ptasiego gniazda, gałąź złamała się pod nim i spadł na ziemię. Z ręką w gipsie leżał teraz na sali pooperacyjnej w szpitalu.

- Nie możesz przyjechać?

- Chciałabym, ale będzie to teraz trudne.

- Powinnaś chyba przyjechać i zająć się chorym dzieckiem.

- Nie, skoro ty jesteś na urlopie. Jeśli Emil ma rękę w gipsie, będzie pewnie mógł wrócić do domu jeszcze dziś. Zadzwonię później, aby z nim porozmawiać, gdy się obudzi - powiedziała Maria i czuła, jak wyrzuty sumienia ściskają jej gardło.

- Dlaczego nie chcesz wrócić do domu? Coś szczególnego cię tam trzyma? A może ktoś szczególnie?

- Jesteś śmieszny. Siedzę tutaj z powodu śledztwa w sprawie morderstwa i dobrze o tym wiesz. Nie mogę tak po prostu wrócić, bo mi się tak podoba. Ale ty możesz przyjechać, jeśli chcesz. Czekam na was. Jak się czuje mama?

- Nie najlepiej. To woreczek żółciowy.

- A więc nie serce?

- Prawdopodobnie nie. Nie można wykluczyć, że to coś z krążeniem. Przepisali jej tabletki. Nie możesz wrócić?

- Słuchaj. Myślę, że twoja mama doskonale sobie poradzi bez ciebie przez tydzień lub dwa. Jeśli masz inne zdanie, to zostań. Ja muszę wypełnić swoje obowiązki.

Jak zwykle skończyło się kłótnią. Trzy minuty później Krister zadzwonił ponownie, przesyłając całusy. Po kolejnych pięciu minutach zadzwoniła Maria z podobnymi słowami, nie wycofała się jednak z tego, co powiedziała o obowiązkach zawodowych. Usłyszała tylko westchnienie w słuchawce, które przebiegło przez chłodny Bałtyk, gdy odkładał słuchawkę.

Wracając do pozostałych, Maria minęła miejsce, gdzie wcześniej przyjmowała wróżbiarka. Namiotu nie było. Przez chwilę zastanawiała się, czy coś się jej nie pomyliło, ale stoiska sprzedawcy lamp i z karmelizowanymi jabłkami stały wciąż na tym samym miejscu, tak jak je zapamiętała. Podobnie jak stragany garncarza i wieśniaczki sprzedającej prażone migdały.

- Przegapiłaś pokaz z mieczem - powiedział Hartman, kiedy Maria wdrapała

się na trybunę. – Super było, kiedy Rycerz Orzeł rozciął w powietrzu jabłko, a później złapał obręcz. Teraz będzie pojedynek jeden na jednego. Próbowałem kupić napój gotlandzki. Pomyślałem, że byłoby fajnie, gdybyś spróbowała naszego narodowego trunku. Ale w tym roku go nie sprzedają. Inne czasy, inne przepisy. Długo był postrzegany jako część tradycji i dzięki temu wytwórca miał dyspensę. Obecnie zarzuca się trunkowi, że zawartość alkoholu różni się w zależności od sposobu warzenia. Jakie to ma znaczenie? Kiedy byłem dzieckiem, nawet najbardziej zagorzali abstynenci prowadzili auto po wypiciu napoju gotlandzkiego. To rozumiało się samo przez się. Niemal sakrament.

– A jak to smakuje? – spytała Maria, kiedy nagle rozległ się dźwięk SMS-a. Znowu Krister.

– Trudno to opisać, dość słodki, trochę przypalany, prawie jak piwo, tylko trochę bardziej mętny. Jego moc zazwyczaj czuje się dopiero później.

Olov, Rycerz Złotego Miecza, wjechał na arenę w pełnym rynsztunku, z tarczą i lancą. Z drugiej strony placu boju nadjechał w zawrotnym pędzie Rycerz Orzeł. Czerwone przeciwko zielonemu. Olov ugodził tarczę przeciwnika i tłum zaczął wiwatować.

– Oby Olov przegrał. Niech spadnie z konia, zanim poniesie sromotną klęskę, albo niech koń okaże się kulawy – zabrzmiała bezbożna modlitwa Vegi. Siedząca obok przeorysza nie zgłosiła sprzeciwu.

– Jaki wspaniały koń, amerykański Quarter Horse.. Zranienie przeciwnika jest czymś nieprzyjemnym, ale zranienie konia – czymś niewybaczalnym. Patrzcie, jak szybko się porusza, posłuszny najdrobniejszemu skinieniu. Nadażacie? Teraz spotyka się z Rycerzem Fałą. Popatrzcie na Birgitte, stoi i dopinguje. – Hartman się zaśmiał i krzyknął, gdy Olov trafił niebiesko-białą tarczę.

Teraz została już tylko finałowa rozgrywka przeciwko Rycerzowi Hansowi z Visby. Vega przymknęła oczy, gdy kuglarze z grupy PAX i Koło Fortuny zaczęli przedstawienie. Nie otworzyła ich nawet, gdy wojownicy z mieczami i tarczami wkroczyli na arenę, aby zabawić publiczność w chwili przerwy przed punktem kulminacyjnym turnieju.

– Nie chce pani może założyć sauny publicznej i dorobić sobie na emeryturze? – spytał Hartman, żeby zwrócić jej myśli na inny tor. – Jest już sauna Katariny na Donnersplats, a także Matki Grety na Packhusplan, ale żadnej na Klinten. Co powiecie na ablucje u Vegi?

Vega nie odpowiedziała i Maria zrozumiała, że nie była to tylko gra podyktowana przez strój zakonnic. Vega była naprawdę zaniepokojona. Obaj burmistrzowie – niemiecki i gotlandzki – ruszyli w kierunku namiotu księcia. Wcześniej orzeźwili się z braku czegoś bardziej procentowego sokiem z czarnego bzu, a teraz usiedli razem w najlepszej komitywie. Głośno zaśmiewali się z jakiejś pieprzonej opowieści z Sudret. Księżna wtórowała im, zanosząc się śmiechem.

– „Idealny rycerz”. – Hartman popatrzył na Vegę i zaczął czytać jej na głos

brozurkę bractwa rycerskiego Torneamentum, nie zważając na to, czy chciała słuchać, czy nie. – „Być odważnym i biegłym w sztuce walki. Dbać o wnętrze: unikać wszystkiego, co niskie i marne; nie mówić źle o innych; uważać na swoją pychę. Dbać o powierzchowność: uważać na język. Nie zachowywać się bezmyślnie i niepowściągliwie. Dbać o zachowanie przy stole. Pamiętać o swoim obowiązku wobec księcia i Kościoła. Być szczodrym wobec bezbronnych i potrzebujących, wdów i sierot. Być dwornym wobec kobiety. Aby zdobyć jej względy, trzeba poświęcić swe życie walce o honor”.

Po obu stronach hipodromu stali rycerz Hans z Visby i Rycerz Złotego Miecza, gotowi do walki. Olov dostrzegł wśród publiczności matkę. Drobną i skuloną siedziała na skraju ławki. Obok niej siedział jej sąsiad Henrik. Olov ucieszył się na widok matki i poczciwego Henrika.

Na sygnał rycerze opuścili swoje długie na dziesięć stóp lance i ruszyli na siebie. Widownia wstrzymała oddech. Chorągwie i kropierze powiewały na wietrze. Ziemia zatrzęsa się pod galopującymi kopytami. Obaj rycerze starli się gwałtownie i Hans z Visby wypadł z siodła. Tłum jak jeden mąż wstał, niektórzy zawiedzeni, większość jednak radośnie wiwatując. Maria popatrzyła uważnie na Vegę. Vega była blada, jej oczy zarejestrowały coś przy zagajniku. Kogoś. Maria pożyczyła od Hartmana lornetkę i spojrzała w tym kierunku. Wśród drzew stał, na wpół ukryty za pnem, Arne Folhammar – ten sam, który wygłosił wykład w muzeum. Jego twarz zwrócona była ku arenie.

Wśród gromkich okrzyków Rycerz Złotego Miecza przyjął z rąk księcia wieniec zwycięzcy, włożył go na głowę swojej dziewczycy, uniósł ją i posadził w siodle przed sobą. Sądząc po wprawnych ruchach, nie był to pierwszy raz, kiedy jechali razem na tym samym koniu. Uśmiechnięci pozdrowili lud, dziękując za owację. Podczas honorowego okrążenia Olov szukał wzrokiem matki, ale nie było jej już na miejscu obok Henrika. Nie widział jej również poza odgrodzonym terenem.

Był ciemny sierpniowy wieczór i wiejący w położonych między spichlerzami i murami zaułkach ciepły wiatr smagał delikatnie gołe nogi Marii. Zadrżała lekko, czując ciągnące od morza zimno, zapięła dżinsową kurtkę i usiadła obok Olova i Hartmana przy plaży. Przed nimi rozpościerało się szerokie morze, opłukujące brzeg czarnymi, sennymi falami. Nie było już widać horyzontu. Niebo i morze stanowiły ten sam żywioł. Maria utkwiała spojrzenie w jednolitej ciemności. Patrzenie na coś, co nie było wytworem ludzkich rąk, uspokajało. Spokój wzroku zatopionego w morzu, kamieniach i ogniu sprawiał, że czas po prostu płynął. W oddali słychać było flet. Ktoś grał farandolę. Olov odezwał się pierwszy:

- Czy to długo potrwa? Powinienem jechać dziś wieczorem do Lojsty. Na wieczór rycerski.

- Nie, niekoniecznie - odparła Maria, zapisując rutynowo dane osobowe. - Niełatwo było się z panem skontaktować. Czym się pan zajmuje?

- Nocami pracuję na izbie przyjęć, ale hoduję również konie. Pochłania to dużo czasu. Choć taki układ dobrze działa w moim przypadku. Wcześniej jeździłem karetką. Wtedy mój plan dnia był dość napięty.

- Co pan sądzi o zaginięciu ojca?

- Nie mam pojęcia, co się mogło stać. Jasne, że jest to niepokojące. Dzwoniliśmy do wszystkich znajomych na stałym lądzie, skontaktowaliśmy się też z pułkiem i facetami z formacji samoobrony. To ja dzwoniłem. Mama nie lubi rozmawiać przez telefon. Ale do nikogo z nich się nie odzywał. Myśl o tym, że mógłby ze sobą skończyć, nie wydaje się tak zupełnie niedorzeczna. Jego czas tak jakby minął. Nikt nie docenia już tego, w czym się sprawdza. Źle to na niego wpłynęło.

- Jak opisałby pan swoją relację z Wilhelmem?

Olov zawahał się i zastanowił.

- Jako rycerz staram się co prawda kroczyć śladami Pana, ale są jednak granice - westchnął i zmienił pozycję. - Staralem się traktować ojca z szacunkiem, ale mamy odmienne zdanie w wielu kwestiach.

- W jakich? - spytała Maria.

- Najchętniej odmówiłbym odpowiedzi na to pytanie.

- Oczywiście. Gdzie był pan w zeszły poniedziałek rano o wpół do szóstej?

- W domu w Martebo.

- Sam?

- Byłem na dworze z końmi.

- Jeśli założymy, że pana ojciec zdecydował się odebrać sobie życie, to czy wyskoczenie z promu wydaje się mieć sens w jego przypadku? Można by się zastanowić, czy to w ogóle możliwe, żeby tak postąpił. Jak pan sądzi? - Maria kręciła się, próbując lepiej uchwycić wzrokiem twarz Olova, kiedy odpowiadał. Wyglądał bardzo dobrze: umięśniony, szeroki w barach i niebieskooki. W tej



chwili zasepiony i poważny, ale Maria dostrzegła również uśmiech i nie wątpiła w to, że musiał być bardzo pociągający nie tylko dla młodych kobiet, ale również starych ciotek. Sama czuła jednak, że była zupełnie odporna na jego wdzięk. Po dziesięciu latach z Kristerem wiedziała, co może kryć się za uśmiechem. Smutne, ale była wrażliwa na tym punkcie.

- Nie sędzę, aby się zastrzelił. Myślę, że uznałby to za nieprzyjemne dla tych, którzy by go znaleźli. Formacja szukała kiedyś pewnego mężczyzny w lesie, to było przed kilkoma laty. Ojciec przyłączył się i prowadził poszukiwania. Mężczyzna miał przy sobie własną broń. Ojciec znalazł go w jakimś szałasie. Leżał tam w lesie przez trzy doby, zdążyły go odkryć lisy i gryzonie. Nie, nigdy by się nie zastrzelił. Ani też nie powiesił, z tego samego powodu.

- Jak matka radzi sobie z gospodarstwem, kiedy wyjeżdża?

- Większość rzeczy robi sama. Ojciec stara się wyjeżdżać, gdy jest spokojniej. Wkrótce rozpoczną się zbiory pszenicy. Ja też pomagam, jeśli zachodzi taka potrzeba.

- Musi jej być ciężko. Pracuje na oddziale psychiatryczno-geriatrycznym i jednocześnie opiekuje się ojcem cierpiącym na demencję.

- Ta demencja to trochę przesada. Najgorsze jest chyba to, że Anselm ma amputowane obie nogi i nie widzi. Ona sama nie daje rady znosić go na parter. Jest uziemiony, jeśli kogoś z nas nie ma w domu. Anselm zaniedbał swoją cukrzycę, a to na dłuższą metę daje o sobie znać. Poza tym budzi się w nocy z powodu koszmarów związanych z wojną zimową w Finlandii. Zgłosił się do pomocy po stronie fińskiej i przyjęli go jako sanitariusza. Panował potworny mróz. Nie sposób było chować ciał w takim zimnie. Musiano palić zwłoki. Kiedy zmarłych rzucano na stos, powietrze pozostałe w ich płucach podgrzewało się i napierało na struny głosowe. Nie mógł znieść krzyków wydawanych przez martwe ciała. Gdy usłyszał je po raz pierwszy, próbował wyciągać ludzi ze stosu, myśląc, że nadal żyją. Przypalił sobie palce, do dziś ma blizny. Po trzech miesiącach wysłano go do domu, był wrakiem człowieka. Wiele lat spędził później w szpitalu psychiatrycznym Świętego Olafa. Tam spotkał babcię, która była od niego o dwadzieścia lat młodsza. Cierpiała na depresję i odebrała sobie życie, gdy matka miała siedem lub osiem lat. Anselm z powodów zdrowotnych przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Tak wygląda historia naszej rodziny po kądzieli. Nieszczęśliwie urocza. Mogę już iść?

- Tak, jasne - powiedział Hartman, wciąż pod wpływem nastroju opowieści. - Oczywiście. Gratulujemy dzisiejszego zwycięstwa.

- Sprawia chyba sympatyczne wrażenie, jak sądzisz? - rzucił Hartman i wstał z wysiłkiem z twardej ziemi.

- Być może. - Maria poczuła, że chętnie zostanie tu dłużej, jeszcze przez chwilę w ciszy nad brzegiem morza.

Arne Folhammar stał przy oknie w kuchni i patrzył w dół na tłoczących się przy Gutekällaren ludzi. W feerii kolorów szukał wzrokiem jej zielonej sukienki i jasnych włosów. Furtka do domu otworzyła się i zamknęła, ale nie usłyszał żadnych kroków zmierzających na piętro. Wprawnym uchem był w stanie świetnie ocenić, który z sąsiadów wraca właśnie do domu. Pospieszne kroki i ciężki oddech Pettersona były mu równie dobrze znane co stukot obcasów pani Lindstedt i niemal bezszelestny chód Anderssona. Andersson, wkładając klucz do zamka, zawsze pogwizdywał. Być może dawał w ten sposób złym duchom szansę, aby ulotniły się, zanim otworzy drzwi. Podobnie jak wtedy, gdy stąpa się ciężko w trawie, aby przestraszyć węże. Arne zgasił lampę, aby widzieć lepiej w ciemności na zewnątrz. Coś działo się w ruinach kościoła Świętej Kariny. Krzyczała jakaś kobieta i dwóch mężczyzn wdało się w bójkę. Wokół nich zebrał się tłum odświętnie ubranych ludzi. Arne czuł narastający niepokój. Uczucie opuszczenia, tak dogłębne jak wtedy, gdy siedział z nosem przyklepionym do szyby, a Mona i Anselm wybierali się na pogrzeb, na który on sam nie mógł iść. Każdy czas ma własne prawdy. Wtedy uważano, że zabieranie dzieci na pogrzeby nie jest niczym dobrym. Gdyby zdawali sobie sprawę z tego, jak szczegółowo wyobrażał sobie zmarłego, gdyby wiedzieli o przekleństwie, które miało ich dotknąć, może zawahaliby się co do swojej decyzji. Wciąż był w stanie przywołać w głowie obraz na wpół zgniłego trupa. Z kawałkami ciała zwisającymi z kości i czarnymi, błyszczącymi od krwi oczodołami nieboszczyk rozerwałby ich na strzępy swoimi kościstymi palcami. Nie był już człowiekiem i jego siły również były nieludzkie. Następnie pogrzebałby ich wszystkich i zasypał grób, tak aby nikt ich nie znalazł. Później demony rozwiałyby się na wietrze. Arne zostałby wtedy sam na świecie, okropna wizja. Odczuwał jednak również niewielki triumf – na myśl o tym, że nigdy już nie będzie nikogo potrzebował. Jeśli będzie trwał przy oknie nieruchomo, nie odchodząc nawet na siku, nic złego nikomu się nie stanie. Ale jeśli tylko zrobi nawet nieznaczny ruch, śmierć wygra. Stał więc z utkwionym w oknie wzrokiem i czekał na Birgitte, nieświadomie kierowany tą samą co wtedy magią.

Przypomniawszy sobie sytuację, gdy czekał na Wilhelma i Monę wybierających się do Henrika na telewizję. Telewizor był wówczas czymś nowym i osobliwym. Nie mógł z nimi pójść, ponieważ wcześniej brzydtko się wyrażał, choć właściwie nie wymyślił słów sam, jedynie naśladował Wilhelma. Wybrał się na samotną wycieczkę po domu. Były tam miejsca zabronione. Szuflada nocnej szafki Wilhelma była takim miejscem. Tam znalazł kiedyś opakowanie białych baloników, za co oberwał porządnie po głowie.

Ale najbardziej zakazanym miejscem był gabinet, tam nie mogła wchodzić nawet Mona. Drzwi do pomieszczenia były zamknięte. Z zewnątrz widać było, że w oknach nie ma tam kwiatów, tak jak gdzie indziej, a wisi jedynie gruba, ciemnobrązowa zasłona, niezmienniana i nieprana od poprzedniego pokolenia,

a także stoi kilka blaszanych pudełek z pokrywkami.

Zostawili go samego, mimo że wiedzieli, jak bardzo się bał. Pod łóżkiem były martwe czarne psy, a w wentylacji wiły się węże. Cicho, cichuteńko, tak że tylko on je słyszał. Nie pozwalano mu przychodzić do łóżka mamy i Wilhelma, nawet gdy strach w nocy sprawiał, że się moczył.

Tego wieczoru, gdy rodzice poszli na telewizję, zrobił coś strasznego, chcąc uczynić im na złość. Słuchał oddalających się na żwirze kroków. Później przemknął się chyłkiem do okna i zobaczył, jak oboje idą przez podwórko. Minęła wieczność, zanim nacisnął klamkę drzwi do zabronionego gabinetu. Nie były zamknięte na klucz. Zapalił lampę i stwierdził ze zdziwieniem, że w środku pokój wyglądał zupełnie zwyczajnie. Ściana oklejona brązową tapetą w paski, brązowy mechaty dywan i żyrandol z przykurzonymi kryształkami. Zapach był niezwykły, później miał go skojarzyć z naftaliną i kamforą. Na środku pokoju stało biurko. Znajdował się tam również skórzany fotel. W jednym rogu stał sejf, a w drugim skrzynia z mosiężnym wiekiem. Całą dłuższą ścianę zakrywał regał. Nigdy wcześniej nie widział takiej ilości kartek i segregatorów. Obraz w złotej ramie, z Oskarem II i jego rodziną, był dominującym elementem w pokoju. Kiedy stał tam jako sześciolatek, obraz przedstawiał Monę w jasnoniebieskiej koszulce i jego samego w stroju marynarza. Pozostałych osób nie zauważał, aż któregoś razu dostrzegł widmo Wilhelma za staruszką z białą brodą. Na ścianie za biurkiem wisiał też oprawiony dyplom, ale nie potrafił odczytać tekstu. Na biurku stała mała armatka z brązu z jakimś napisem na spodzie. Nie mógł powstrzymać się, aby jej nie podnieść. Była ciężka. Wycelował nią w obraz i strzelając do Wilhelma i innych, uratował siebie i Monę przed wrogami. Nieżywi obrócili się w proch. Wtedy zauważył klucz. Jego ciekawskie palce próbowały dopasować go do odpowiedniej dziurki w którejś z szuflad. Gdy użył obu rąk, z ledwością był w stanie wyciągnąć środkową. Złapał z całych sił i upadł na podłogę z szufladą w rękach. Pieniądze! Stosy pieniędzy. Byli bogaci! Nigdy więcej matka nie będzie musiała ciuć na sukienkę. Może będą mogli kupić telewizor, myślał Arne, mały chłopiec. Będzie siadał w ciemności obok Mony i oglądał dobranockę. Będą mieli przed sobą kanapki oraz termos z kawą, dla niego zaś czekoladę. A Mona go obejmie.

Arne podrzucił do góry pieniądze, które spadły mu na głowę, podrzucił je jeszcze raz i patrzył, jak powoli opadają, tańcząc w powietrzu. Bogaci. Wszyscy będą się cieszyć. Tak bardzo pochłonęła go ta myśl, że nie usłyszał kroków, i poczuł czyjąś obecność dopiero w chwili, gdy żelazna dłoń zacisnęła się na jego szyi. Wilhelm wrócił do domu po słownik muzyczny, aby udowodnić Henrikowi i innym, że kompozytor Sten Broman się mylił. Potem Arne miał trudności ze szczegółowym przypomnieniem sobie tego, co się wydarzyło. Pamiętał tylko zaskoczenie, wykrzywioną twarz Wilhelma i ból. „Zabiję cię, jeśli komuś to wygadasz”. Nawet przez chwilę w to nie wątpił. Arne Folhammar jako dorosły mężczyzna wciąż czuł, jak jego ciało sztywnieje w odruchu obronnym.

Wieczorem, kiedy Wilhelm zasnął, Mona zabrała chłopca do szpitala. Nigdy

nie dowiedział się, ile ją to kosztowało, poza samą opieką nad synem.

Arne rzucił okiem na zegarek. Była za dziesięć druga, a Birgitta jeszcze nie wróciła. Okno, przy którym siedział, było zaparowane. Niepokój doprowadzał go do wściekłości. Jeśli chciała od niego odejść, powinna mu to powiedzieć, a nie tylko zostawić jego domysłem. Nietrudno było wyobrazić sobie ją i Olova, już wcześniej mu się to zdarzało. Wypełniał luki w jej lakonicznych opowiadaniach swoimi własnymi fantazjami. Jak się rozbierała i pobudzała go, patrzyła, ale nie dotykała. Podniecało ją to, tak podejrzewał. Bawiła się nim, aż tracił nad sobą kontrolę, by później nie okazywać żadnego zainteresowania. Jakaś cholerna *idée fixe*, którą wbiła jej do głowy Vega na Klinten. Kto, do jasnej cholery, zachowuje dziś dziewictwo do ślubu? Gdy miał wątpliwości, ujęła jego dłoń i pozwoliła mu sprawdzić, czy jest nietknięta. Niewątpliwie była to jej siła. Gdyby ktoś powiedział mu kiedyś, że się ożeni, stwierdziłby, że to niemożliwe. By nie rzec – zupełnie niemoralne: obiecać komuś miłość do końca swoich dni. Ale każda moralność ma swoją cenę. Był gotowy zapłacić, nawet wbrew swojej woli, swoją moralnością za jej. Poczul ciężkość w nogach i usiadł na krześle. Co, jeśli go oszukała, jeśli zrobiła to teraz z Olovem? „Weź moje dziewictwo jako pożegnalny dar”. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej zasadna wydawała się myśl o tym, że był tylko nic nieznaczącym elementem w grze między Olovem a Birgittą. I ta myśl rozwścieczała go nawet bardziej. Czy śmiali się z niego teraz? A może nawet gorzej, może było im go żal. Może siedziała teraz i psioczyła na jego wycofanie i inne wady. Czy ślub był tylko kolejną próbą podniecenia Olova? Arne wstał gwałtownie i odszedł od okna, oderwał się od dziecięcego, magicznego przeświadczenia, że jej los zależy wyłącznie od niego i od tego, czy będzie trwał na miejscu przy oknie. Miał zamiar znaleźć dowód i zażądać wyjaśnienia. Klucz do jej mieszkania wisiał w szafce z innymi kluczami. Nie wahał się. Wziął go i zszedł piętro niżej.

Dokładnie przejrzał zawartość jej szafy, sprawdził kieszenie w spodniach i marynarkach, nie wiedząc, czego tak naprawdę szuka. Ilość jej ubrań była imponująca, nie wspominając ostosie butów. Miała najwyraźniej jakąś obsesję na punkcie wysokich obcasów. Jak, do diaska, było ją na to stać? Oczywiście ojciec, była przecież jedynaczką. Arne myślał przez chwilę, jakie to uczucie otrzymać tyle miłości. Na pewno nie miała problemu z pewnością siebie. Czasami zazdrościł jej, że tak łatwo było jej skupić na sobie uwagę, gdy coś opowiadała. Nigdy nie miała oporów, aby ujawniać tak wstydlive rzeczy, jak kurzajki czy odciski na stopach; nie zamykała nawet drzwi do toalety, gdy z nim rozmawiała. Poszedł do kuchni. Brudne naczynia stały niesprzątnięte po lanczu. To jej cholerne bałaganiarstwo. W środku otwartej mikrofalówki widać było osad z przypalonych resztek. Mówił jej, że powinna używać pokrywki, ale ciągle o tym zapomniała. Czerwona komórka leżała obok ekspresu do kawy. Sprawdził, jak miał w zwyczaju, ostatnio wybierane numery i zobaczył na wyświetlaczu swój własny. Co on właściwie wyprawiał? Kiedyś myślał przez chwilę, że zadawała się z Wilhelmem Jacobssonem. Na szczęście nigdy nie

doprowadził do konfrontacji w tej sprawie. Zaledwie węszył i badał teren. Jej telefon zadzwonił kiedyś, gdy była w łazience. Odebrał, nie odpowiadając. „Halo, Birgitta, jesteś tam? Widzimy się w tym samym miejscu co zawsze”. Arne rozpoznał głos. Poza tym miała przecież rozpoznawanie numerów. Kombinacja cyfr do znanego miejsca w Eksta potwierdziła jego podejrzenie. Sprawdził poprzednie numery. Telefon powtarzał się wielokrotnie. Oczywiście wyobraził sobie Wilhelma jako pierwszego kochanka i jednocześnie posłańca Olova. Później okazało się, że Wilhelm pomagał jej w kwestiach finansowych. Chciała pokazać ojcu, że radzi sobie sama z firmą i nie potrzebuje prosić go cały czas o pomoc. Choć jedno nie wykluczało drugiego, nawet jeśli myśl o Wilhelmie i Birgittie wywoływała absolutne zgorzienie.

Arne popatrzył na zegarek i próbował powstrzymać złość. Dlaczego nie dzwoniła? Musiała chyba się domyślać, że siedzi i czeka na nią, choć miał pracę następnego dnia. Cholerna bezwzględność. I wtedy znowu zobaczył komórkę. Czy specjalnie jej zapomniała? Może nie potrzebowała telefonu, gdy Olov znajdował się w pobliżu. Pieprzona suka! Usłyszał trzask furtki i jej szybkie kroki na schodach. Postanowił zostać przy stole, głównie dlatego że nie było innego miejsca, gdzie mógłby się udać, nie tracąc szacunku do siebie.

- Cześć! Co tu robisz? Nie masz jutro pracy?

- Czekam, aż wrócisz do domu. Przyjemnie spędziłaś czas? - zdziwiło go, że jego głos brzmiał tak zwyczajnie.

- Tak, było miło. Choć mieliśmy problem z samochodem. Musieliśmy zatrzymać się na stacji na wrzosowisku Lojsta. Samochód nie przyjeżdżał przez dwie godziny. - Pocałowała go szybko w policzek i otworzyła lodówkę.

- Z kim jechałaś? - spytał, zaciskając zęby. Zamknęła lodówkę i stała nieruchomo, trzymając w ręku masło.

- Zobacz! Popatrz na moje czarne spodnie. Te białe paprochy z suszarki mnie prześladują. Syntetyczny materiał przyciąga materię jak czarna dziura w kosmosie.

- A może wkładasz je po to, żeby przyciągać mężczyzn do swojej czarnej dziurki.

- Dlaczego tak mówisz? - Jej twarz wyrażała poruszenie. Patrzyła na niego pytająco. Czuł napięcie w całym ciele. Musiał zebrać wszystkie siły, aby się opanować.

- Gdzie byłaś, do cholery?

- W zamku Lojsta. Na wieczorze rycerskim, przecież wiesz.

- Z Olovem?

- Tak, on też tam był. Przecież dziś wygrał.

- I musieliście się zatrzymać na stacji?

- Tak.

- Kłamiesz, do cholery!

- Nie, Olov nie był ze mną w samochodzie. Musiał jechać do Martebo. Pojechałam z Christofferem, który jechał do miasta.

- Jasne, cholera, że tak. Niech ten sukinsyn sobie nie myśli, że zabierze to, co należy do mnie.

Zobaczyła, jak wyraz twarzy Arnego zmienia się, nozdrza rozszerzają się i bieleją. Zaciśnięte szczęki i oszalały wzrok. Poczowała przerażenie, gdy wściekły znalazł się przy niej. Złapał ją za włosy i przycisnął do podłogi. Wiła się na brzuchu, próbowała wydostać się spod niego, ale on uderzył ją mocno po policzku. Rozpiął spodnie, zerwał z niej majtki i wszedł w nią; czuł, jak opór ustępuje, podobnie jak jego gniew. Czas stał się próżnią. Płakała. Chciał przeprosić, ale słowa nie przeszły mu przez gardło. Usiadł obok niej na podłodze i nieśmiało pogłaskał ją po włosach. Chciał trzymać ją w objęciach, aż powie, że nic się nie stało, że zapomni i wybaczy mu to, co zrobił. Opanował go strach. Zmrużył oczy. Nie chciał tego. Nie chciał, żeby to się stało. Poczował, że chce krzyczeć i uciec jak najdalej od tego, co się wydarzyło.

- Chciałam tylko, żeby to było piękne - wyszeptała. - Żeby ten pierwszy raz był wyjątkowy.

Śmierć w szarej, samodziałowej kapie z kosą na ramieniu patrzyła na niego zapadłymi oczami. Przy dole płaszcza roilo się od wypchanych, szczerzących zęby szczurów. Za plecami śmierci widniała mapa pokazująca, jak zmniejszyła się liczebnie ludność na wyspie po wybuchu zarazy w 1351 roku. Arne Folhammar oparł się plecami o framugę drzwi i pochylił głowę. Właśnie minęła go nieduża grupa niemieckich emerytów dyskutująca o pokłosiu epidemii w środkowej Europie. Arne opowiedział łamaną niemczyzną o dwóch skrajnych zjawiskach, które pojawiły się w średniowieczu: męczennikach umartwiających się na oczach ludu, aby uniknąć kary Boga, i o tych, którzy oddawali się seksualnym orgiom i tanecznym transom. Niemców szczególnie zainteresowało dziewięciu złoczyńców straconych w wyniku oskarżenia o spowodowanie zarazy. Arne opowiedział więc tak dobrze, jak tylko potrafił, o radzie miasta w Visby, która w 1350 roku napisała do Rostocku, donosząc o spaleniu dziewięciu zdrajców ludzkości. Jeden z nich przyznał, że zatrzał studnie w Sztokholmie, Västerås, Arbodze i innych miastach, jak również stworzył proszek mający wytepić całą gotlandzką ludność. Cholera, jak jest „proszek” po niemiecku? Miał nadzieję, że użył odpowiedniego słowa.

To oczywiste, że powinien iść na zwolnienie. Siedział na podłodze u Birgitty aż do czasu, gdy za oknem pojawił się szary świt. Poszedł do siebie, wziął prysznic i przebrał się, aby później iść w deszczu do muzeum. Siła przyzwyczajenia jest czasami silniejsza niż rozum. Birgitta zamknęła się w toalecie, gdzie zasnęła. To cisza męczyła go najbardziej, oskarżycielska cisza. Birgitta nie chciała z nim rozmawiać. On też nic nie mówił. Nie było odpowiednich słów. Most runął, nie pozostała nawet kładka.

- Gdzie są skarby? - Mały brzdąc o blond włosach z młodszym bratem za plecami posłał mu bezzębny uśmiech. Arne wskazał zmęczonym ruchem na salę w końcu korytarza.

- Może opowie nam pan trochę o skarbie? Chłopcy tak bardzo interesują się średniowieczem i srebrnymi skarbami. Tylko niczego nie ruszajcie, dobrze? - krzyknęła za chłopcami kobieta, która najpewniej była ich babcią. Mąż kobiety nadszedł powolnym krokiem, zachowując odpowiedni dystans i odzegnując się od odpowiedzialności za dzieci. Był pogrążony w myślach i jakby unosił się kilka centymetrów nad ziemią.

- Chcę zobaczyć szkielet! - krzyknął chłopiec, wyłaniając się zza rogu.

- Czy można tu być pasowanym na rycerza? - spytał jego młodszy brat, ciągnąc Arnego za nogawkę spodni. „Tak, do diabła” - miał ochotę powiedzieć. Ale milczał oczywiście. To nie był dobry moment na wyjaśnianie tego, co należy, a co nie należy do obowiązków związanych z jego pracą.

- Nie. Czy byli państwo w średniowiecznym gospodarstwie Kapitelhusgården? Jest tam bardzo przyjemnie. Wielu rzemieślników prezentuje swoje wyroby. Można spróbować odlewania guzików, gręplowania wełny i bicia

monety. Można też otrzymać nominację na rycerza od samego Botulfa – Arne próbował udawać entuzjazm, ale głos odmówił mu posłuszeństwa i to, co powiedział, zabrzmiało bardziej jak groźba.

– Byliśmy tam dzisiaj. Rasmus potłukł szklany stół. Miał ze sobą swój drewniany miecz. – Starsza kobieta pospieszyła w kierunku schodów, patrząc przed siebie przestraszonym wzrokiem. – Widział pan, dokąd poszli?

– Może odwiedzą państwo Fenomenalen. To centrum historii naturalnej. Można tam popróbować różnych technicznych wynalazków, przeprowadzać eksperymenty fizyczne i przyjrzeć się bliżej ludzkiej istocie. Wystarczy przeciąć dziedziniec i wjechać windą na piętro. – Modlił się, aby kupili tę propozycję.

– Zastanawiam się, czy nie mógłby pan udzielić chłopcom lekcji na temat średniowiecznego życia i zwyczajów. – Starszy mężczyzna stanął na wprost Arnego, zdecydowanie zbyt blisko, żeby uznać to za przyjemne. Czekał na odpowiedź. Wszystkie myśli, które pojawiły się w głowie Arnego Folhammara, były zbyt niestosowne, aby je wypowiedzieć. Dlatego zgodził się, choć miał ochotę odesłać ich do diabła. Gdy się zastanowił, doszedł do wniosku, że nic nie jadł ani nie pił od wczorajszego popołudnia. Przeprosił i oddalił się, czując pilną potrzebę skorzystania z toalety.

– Poczekamy tu na pana. Postrzegam to jako mój obowiązek, aby zapewnić tym dzieciom kulturalne obycie, o które nie zadbali ich rodzice. Gdy ja byłem dzieckiem, uczono mnie dyscypliny. To błąd, że wprowadzono zakaz kar cielesnych. Żyjemy w czasach...

Arne nie chciał tego dłużej słuchać. Zebrało mu się na wymioty. Szybkim ruchem otworzył najbliższe okno i wystawił twarz na deszcz. Jak nakłonić Birgitte, aby milczała na temat tego, co zrobił? Na pewno opowie o tym swoim przyjaciółkom, rodzicom i Olovowi, gdy tylko nadarzy się okazja. Dlatego zmuszony był wziąć zapasowy klucz do toalety, wypchnąć ten włożony z drugiej strony zamka, otworzyć drzwi i następnie, mając przy sobie oba klucze, ponownie zamknąć drzwi od zewnątrz. Wiedział, że nie cierpiała ciasnych przestrzeni, ale co mu pozostawało? Miała przynajmniej dostęp do wody i do toalety. Na szczęście w pomieszczeniu nie było okna. Ściany nie były też nazbyt cienkie. Nie obudziła się. On sam miał wrócić do domu na lancz, ale nie wiedział, co jej powiedzieć. Wiedział tylko, że musi nakłonić ją do milczenia.

– Zdajecie sobie sprawę, że zmoczyć podłogę? – zapytał dorosły głos. Znowu tu był, cholerny facet, stał tuż przy nim, choć sala była tak duża, że spokojnie mogła posłużyć za parkiet do tańca. Nie było możliwości ucieczki. Coś w głosie mężczyzny wywoływało strach w Arnem i sprawiło, że zebrał się w sobie i udał się z nimi do skarbcza. Chłopcy stali już z nosami wlepionymi w szybę osłaniającą srebrne skarby z Mannegården.

– Ten skarb pochodzi z czasów średniowiecza. Zawiera dwa tysiące sześćset monet gotlandzkich – poinformował Arne.

– Skąd wiemy, że pochodzą z Gotlandii? – zapytał brzdąc.

– Po pierwsze, istniało coś takiego jak brakteat, cienka blaszana płytką



z literą W jak Wisby na jednej stronie. Po drugiej, była też dwustronna moneta z Barankiem Bożym po jednej stronie jak na pieczęci i lilią po drugiej. Na Gotlandii znaleziono ponad sześćset srebrnych skarbów. Duneskatten to największy znaleziony w północnej Europie skarb, składa się właściwie ze stu dwudziestu dwóch przedmiotów. Niektóre z nich to naprawdę znakomite wytwory rękodzieła. Na misce widnieje napis: „Zrobił mnie Simon”, na jednej z klamer jest napisane: „Należę do grubego kupca”. Na tej biżuterii znajduje się również magiczna formuła wyryta pismem runicznym.

- Gdzie on jest? - rzucił chłopiec, ukazując szparę między zębami. Przez cały czas skakał dokoła na jednej nodze. Jego młodszy brat zrobił kilka kółek przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Arne był wyczerpany od samego patrzenia na nich.

- W Sztokholmie.

- A dlaczego nie tutaj?

- Dobre pytanie. Chcieliśmy, aby był tutaj, ale to jak z lapońskimi bębniami - to, co jest najbardziej interesujące, musi znaleźć się w centrum.

- Gdybym miał taki skarb, zakopałbym go.

Arne posłał chłopcu sympatyczne i pełne zrozumienia spojrzenie i zmierzwił mu włosy.

- Ja też - zgodził się.

- A dlaczego oni wtedy zakopywali skarby? - spytał Rasmus, stanął w rozkroku i podskoczył do przodu. Wylądował na stopach Arnego i chwycił się jego krawata, aby utrzymać równowagę.

- W średniowieczu obyczaj zakopywania skarbów wiąże się z niespokojnymi czasami. Niektórzy zakopywali swoje kosztowności, kiedy udawali się na wyprawy wikingów. Byli tacy, którzy nigdy nie wracali, i skarby leżały zapomniane w ziemi. Może myśleli, że będą mogli zabrać je ze sobą do następnego życia albo że złożą srebro w ziemi jako ofiarę dla bogów. Zdarzało się też, że zakopywano skarb, aby kupić jakąś niewiastę.

- Można było kupować ludzi w tamtych czasach? - zapytał szczerbaty malec.

- Wciąż można - wymamrotał Arne. - Możemy tylko zgadywać, dlaczego zakopywano srebro. Są też opowieści o tym, jak wraz ze skarbem grzebano żywcem zwierzę, które miało być później jego smokiem stróżem. Czasami w nocy smoki wietrzą swoje złoto i srebro. Wtedy smok wygląda jak żarzący się na niebie żelazny pręt. Ten, który ukrywał skarb, obwarowywał go zaklęciami i pieśniami trolli.

- Klątwa, tak?

- Tak, można o tym poczytać w *Beowulfie*.

Nadszedł czas lanczu. Arne Folhammer zamienił kilka słów z dziewczyną w recepcji. Pracowała na zastępstwie już od kilku miesięcy, ale nie udało mu się zapamiętać jej imienia. Droga do domu powinna była zająć nie więcej niż pięć minut, mimo to nie był w stanie dotrzeć tam w tak krótkim czasie. Na ulicy

Strandgatan tłoczyli się ludzie w średniowiecznych przebraniach i turyści w krótkich spodenkach. Mieszanie się kultur i języków, przeszłości z terażniejszością. Arne wpadł prosto w objęcia trędowatego osiłka ze szramą na ramieniu, zanim skręcił w zaułek Dubbesgränd i znalazł się na ulicy Mellangatan. Czuł, że ściska go w żołądku. Powinien kupić coś do jedzenia, ale niepokój sprawił, że zapomniał o głodzie. Pokonał schody kilkoma krokami. W mieszkaniu panowała całkowita cisza. Przekręcił klucz i otworzył drzwi do toalety. Spała na plecach, jak niemowlę, z rozpostartymi rękami. Już wcześniej to zauważył i wprawiało go to w zadziwienie. Teraz obudziła się i uśmiechnęła do niego. Przez moment wszystko było tak jak kiedyś, zanim wróciło to, co się wydarzyło. Oddałby życie, aby trwać w tej chwili. W tej właśnie chwili. Teraz jednak dostrzegł to, co musiało się zdarzyć, wyraz jej twarzy zmienił się, kiedy powrócił obraz z poprzedniej nocy. Chciał przeprosić, powiedzieć, że było mu tak strasznie przykro, że nigdy więcej... Ale nigdy nie radził sobie z językiem uczuć, słowa zawsze uciekały mu, gdy najbardziej ich potrzebował. Teraz czekał na to, aż ona pierwsza przemówi. Nie odwracał wzroku od jej ust, jakby próbował siłą woli zmusić je do mówienia. Żadne słowa nie są gorsze od milczenia.

- To bolało - powiedziała. Zebrał w sobie odwagę, usiadł obok niej i pomógł jej się podnieść. Przytulił ją, a ona nie wyrwała się z jego objęć. Siedziała, a on nie odważył się mieć nadziei, że może... Nie, to, co zrobił, było niewybaczalne. Czuł na przemian miłość i strach. Poczucie bycia oskarżonym bez szansy usprawiedliwienia się sprawiło, że pojawiła się złość i myśl o ponownym zamknięciu jej. Dotknął jej policzka, a ona gwałtownie odwróciła się do niego.

- Jak mogłeś? Myślałam, że zawarliśmy umowę.

Zobaczył siniaka na jej brodzie i policzku. Nawet jeśli ona sama będzie milczała, ślady powiedzą o wszystkim. Znajomi z pracy dowiedzą się, co zrobił.

- Kochasz mnie? Wiesz, że mam teraz co do tego wątpliwości? - zapytała.

Minęła chwila, zanim dotarło do niego znaczenie tych słów. To było tak oddalone od jego własnych myśli. Czy ją kochał? Nie miał odwagi nawet pomyśleć, że o to właśnie spytała. Zobaczył łzy napływające do jej oczu i czuł, jak oskarżenia wbijają się w jego ciało niczym tysiące igieł. Słowa, nie mógł polegać na słowach. Ostrożnie nachylił się nad jej twarzą i pocałował powiekę, delikatnie całował nos, wargi, brodę. Kiedy poczuł jej dłonie na swojej szyi, nie potrafił już się opanować i zaczął płakać jak dziecko.

Nienawidziła tego bardziej niż czegokolwiek. Spędzało to jej sen z powiek i szerzyło zarazę w jej życiu. On dobrze o tym wiedział, ale mimo wszystko wciąż ją do tego zmuszał. Astrid Mossberg nacisnęła gaz do dechy w swoim zielonym renault, czując oddech psa na swoich plecach. Tego lata jej syn zdecydował się na podróż koleją transsyberyjską. Jak postanowił, tak też uczynił. „Nie, nie zaopiekuję się psem” – powiedziała. „Nigdy! W żadnym wypadku!” Teraz siedziała jednak tu, z rottweilerem Hadronem na tylnym siedzeniu, i była w drodze do lasu. Nigdy, nigdy więcej nie zabierze do miasta psa olbrzyma. To, co się zdarzyło, napawało ją takim wstydem, że rumieniła się na samą myśl o tym. Gdyby tylko wiedziała.

Nie przeczuwając niczego, Astrid wyprowadzała Hadrona w Tallunden. Wzięła nawet ze sobą reklamówkę, w razie gdyby zaistniała nagła potrzeba. Psa. Żyła w błogiej nieświadomości co do innych potrzeb, które mogły się pojawić.

Przy placu zabaw spotkała dyrektora Turessona. Często rozmawiali ze sobą, gdy wyprowadzali swoje psy. Jego żona, która, zanim przeszła na emeryturę, pracowała w tym samym sklepie spożywczym co Astrid, leżała teraz w szpitalu. Turesson miał w związku z tym wiele praktycznych problemów i Astrid próbowała najlepiej, jak umiała, służyć mu radą i wskazówkami. Był przystojny i jeśli Astrid miała być zupełnie szczerą wobec siebie, to liczyła na to, że spotka go w parku. Gdy się pojawiał, czuła się jednak onieśmielona i zmieszana. Jej serce biło szybciej, jak u podlotka, i zapominała języka w gębie.

Pudelka Turessona była świeżo przystrzyżona i miała na sobie piękną czerwoną obrozę. Przemykała w tę i z powrotem przed Hadronem, patrzyła przymilnie w jego kierunku i podnosiła bezwstydnie ogon w dość otwartym zaproszeniu. Pies zaczął węszyć. Zapach był dla niego tak nieodparcie kuszący! Astrid udawała, że nie dostrzega zwierzęcych żądz, ale na wszelki wypadek skróciła smycz Hadrona. Trudno jej było nie tracić wątku w rozmowie. Mówili o praniu wełny. Wełnę najlepiej prać ręcznie w trzydziestu stopniach. Ważne, żeby pamiętać, że trzydzieści stopni to temperatura chłodniejsza niż temperatura ciała. I nagle jak obuchem w łeb – Hadron przyssany jak plaster do zadu pudelki, pompujący ze wszystkich sił. Astrid głośno krzyknęła, złapała smycz, która wypadła jej z ręki, i próbowała oderwać psa. Pociągnęła za obrozę. Ale Hadron był nieprzejednany jak skała. Kierując się prymitywnym instynktem, postanowił zrealizować zamiar przekazania dalej swojej puli genów.

– Hadron. Przestań, Hadron! Siad! – Pies był ślepy i głuchy. Astrid ciągnęła z całej siły, gdy nagle poczuła dłoń Turessona na swojej ręce.

– Zostaw! – krzyknął. Nie mówił do psa, lecz do niej. – Zostaw ich. Musi sam skończyć.

Astrid popatrzyła na Turessona, a jej twarz wyrażała wstyd, obrzydzenie i zmieszanie.

- Musi sam ochłonać, inaczej może utknąć i wyciągnąć później jej macicę. Rozumiesz? Musimy poczekać - powiedział bardziej opanowanym tonem.

Nigdy wcześniej czekanie tak jej się nie dłużyło. Astrid starała się nie patrzeć, ale zmuszona była zerkać od czasu do czasu, aby zobaczyć, czy psy przypadkiem nie skończyły. Jednocześnie starała się usilnie znaleźć jakieś inne, bardziej neutralne tematy do rozmowy, takie jak racuchy i naleśniki.

- Mąkę trzeba zawsze rozrobić w zimnej wodzie, w przeciwnym razie powstaną grudki. Lepiej nie przesadzać z... Cholera.

Nigdy więcej wypraw do miasta. Jechali teraz daleko na wieś i pies szalał na tylnym siedzeniu. Astrid musiała się zatrzymać, w przeciwnym razie mogło się to skończyć katastrofą. Nie знаła nikogo we Fröjel. „Vallhagar 3 kilometry” - widniało na tabliczce wskazującej w lewo. Ta część lasu wyglądała na odpowiednią, aby się zatrzymać. Żadnych samochodów na horyzoncie. Żadnych domów.

Blask świtu bił po oczach. Było zupełnie bezwietrznie, gdy wyszła z samochodu. Ziemia pod stopami była spalona i sucha, deszczowi na przekór. Będzie potrzeba dużo więcej niż kilka kropli, by się zazieleniła. Z ziemi wylaniały się małe, marne egzemplarze pępawy, dymnicy i wilżyny rozłogowej wysuszone przez słońce. Dziwne, że może być tak bezwietrznie, gdy ziemia wiruje z prędkością 1666 kilometrów na godzinę. Mats powiedział, że tak się dzieje, w każdym razie na równiku. Syn uczył się fizyki, a ona nie wiedziała, czy ma wierzyć w niektóre rzeczy, których dowiadywał się w szkole. Albo też nie chciała w nie wierzyć. To było po prostu nieprzyjemne i dziwne. Tak jakby można było za pomocą czarów sprawić, że wszechświat znika, gdy materia zderzy się z antymaterią - paf i koniec wszystkiego. To nie może być przecież możliwe. Jeden plus jeden zawsze będzie równało się dwa. To było zrozumiałe samo przez się. Poza tym wytworzyłaby się energia. „Uczone dyrdymały, nieprawda, Hadron?” Pies podniósł łapę pod drzewem, pokazując, że się zgadza. Wywoływało to jednak podniecające łaskotanie - myśl o innych galaktykach z innymi słońcami i światami. Mats mówił, że tlen w naszych ciałach pochodzi z wypalonych gwiazd. Astrid uważała, że ładnie to brzmiało. Ekscytujące było patrzeć na gwiazdy przez jego lornetkę. W środku miasta, wśród tylu światel, niewiele było widać. Ale kiedy jako dziecko mieszkała w Tingstäde i stała przy mokradle, patrząc na niebo, bogactwo gwiazd było wszechogarniające i równie pociągające jak miasto zatopione na dnie morza.

Hadron węszył w powietrzu. Później wszystko zdarzyło się w ciągu sekundy. Wyrwał do przodu. Przez krótki odcinek pociągnął za sobą Astrid, która potykała się, tracąc grunt pod nogami. Owinięta dwukrotnie wokół jej nadgarstka smycz mogła sprawić, że bieg skończy się złamaniem ręki lub urazem czaszki. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzyło. Teraz pies mógł się oswobodzić, ale Astrid przeżyła i to było najważniejsze.

- Hadron, chodź tutaj, szczurku! - krzyczała. Ale on nie zwracał na nią

uwagi. Nie teraz, kiedy podążał za jakimś interesującym zapachem. Jak kula armatnia przetoczył się przez przełaz. Astrid podniosła się i zawołała jeszcze raz. Ten pies robił, co mu się żywnie podobało. Jak Mats mógł pomyśleć, że ona sobie z nim poradzi?

- Szczurku, chodź tu - zachęcała go. Na próżno. Astrid przedostała się z trudem przez przełaz. Bolały ją kolana. Chłopak potrafił robić wyliczenia związane z kosmosem, a nie umiał wyliczyć stosunku siły swojej matki do siły psa. Szczupła kobieta o wzroście 152 centymetrów nie miała szans z rottweilerem. Nie w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat. Poczula teraz irytację. W drogich rajstopach, które kupiła z myślą o spotkaniu z Turessonem, była dziura. Na nic zdał się klin w palcach i w kroku, po tym jak musiała czołgać się na czworakach.

- Hadron, chodź tutaj! Bo przerobię cię na mielonkę!

Hadron kopał. Nawet nie podniósł łba, gdy do niego podeszła. Kamień za kamieniem toczył się w dół po stosie.

- Zostaw, Hadron. Siad. Siad, powiedziałam.

Astrid rozejrzała się wokół bezradnie. To był z pewnością teren chroniony, miejsce archeologicznych znalezisk, pamiętające czasy epoki żelaza. Właśnie minęła chyba fundamenty domu. Możliwe, że zostanie oskarżona i skazana na karę pieniężną za zniszczenia. Napiszą o niej w gazetach i stanie się pośmiewiskiem. Turesson na pewno o tym przeczyta i sąsiedzi również. Co wtedy zrobi? Nie było w pobliżu ani jednej osoby, która mogłaby jej pomóc. Z całej siły pociągnęła za smycz. Ale Hadron nie dał się powstrzymać. Chciał dalej kopać i kopał swoimi wielkimi łapami i szerokim pyskiem. Nagle zawarczał. Astrid musiała gwałtownie odskoczyć, gdy dwa kamienie, jeden za drugim, stoczyły się tuż pod jej stopy. Co, jeśli leżały tam jakieś szczątki przywódcy wikingów? Jeśli grób nie był wystarczająco porządnie wykopany z braku środków finansowych? Wówczas w sądzie mogłaby usłyszeć oskarżenie o zbezczeszczeniu albo o czymś równie okropnym.

Nagle zobaczyła kawałek materiału, był niebieski. Astrid złapała za obrozę psa i pociągnęła obiema rękami. Hadron warknął i puściła go, niepewna, czy jej nie ugryzie, jeśli zabierze mu sprzed pyska pożywienie. Cofnęła się o kilka kroków. Dała za wygraną i zaczęła przyglądać się temu, co później miało przez długi czas prześladować ją w snach.

Kiedy pies się uspokoił, podeszła bliżej, aby przyjrzeć się ciału. Tej woni nie pomyliłby z niczym nawet ludzki, nierozwinięty nos. Odór zwłok. Goła, sina stopa wystawała spomiędzy kamieni. Na pewno nie pochodziła z epoki żelaza. Muchy krążyły uparcie wokół łupu. Spod stosu pies wykopał rękę i szarą czuprynę. Astrid gapiała się z kiełkującym w gardle obrzydzeniem. Gapiała się na dłoń, próbując ignorować to, co widziała. Dłoni brakowało jednego palca.

Inspektor Maria Wern poczuła woń na długo, zanim zobaczyła czarny plastikowy worek kryjący szczątki, które najprawdopodobniej były zwłokami Wilhelma Jacobssona. Na stronie, obok zabezpieczonego terenu, stał Hartman z przytkniętą do nosa chusteczką.

- Już zaczął gnić. Pies nie obszedł się z nim zbyt ostrożnie. Nie będzie łatwo temu, kto będzie je identyfikował. Najlepiej jeśli nie będziemy prosić o to najbliższych.

- Jest aż tak źle? - Marii ulżyło, że zwłoki zostały już przeniesione. Technik poinformował, że brakowało palca. Reszta ciała była zupełnie zmasakrowana. Stwierdzenie, co się wydarzyło i jakie obrażenia widniały na ciele, należało do zadań medycyny sądowej. Nie zazdrościła im. - Są jakieś ślady? - spytała, nie żywiąc zbyt wielkich nadziei co do odpowiedzi.

- Wygląda na to, że przejeżdżało tędy kilka samochodów, które zatrzymały się tu, przy przełazie. Było sucho, ziemia jest twarda jak kamień. Nie da się zidentyfikować pojedynczych śladów. Nie sądzę nawet, by odnaleziono ślady samochodu Astrid Mossberg, mimo że wczoraj była ulewa. To samo tyczy się śladów ludzi.

- Jak był ubrany? - zapytała Maria.

- W koszulę w niebieską kratę, zostały z niej tylko strzępy. Poza tym w niebieskie spodnie. Nie miał butów. W jednej z tylnych kieszeni był portfel, w drugiej zapalniczki i fajka.

- Na promie znaleziono buty i czapkę. Co założyłybyś, wybierając się na ćwiczenia polowe na stałym lądzie?

- To pytanie powinniśmy chyba zadać jego żonie i kolegom. Trochę dziwne, że udał się w podróż w niebieskich spodniach. Arvidsson mówił, że podobno był nieco specyficzny. W podróż ubrałby się chyba trochę bardziej elegancko. Żona powinna była zareagować, jeśli włożył co innego niż zazwyczaj. Podobno znajdowała się na górze i przygotowywała dla niego śniadanie przed wyjazdem. Nie sądzę, aby nadal nosił mundury formacji samoobrony na statkach. Wcześniej chyba było to wymagane, ale teraz już nie. Ale można spytać innych, jak się ubierają - zakończył Hartman.

- Żona nie umiała powiedzieć, w co był ubrany, kiedy wyjeżdżał. Tak powiedział Ek.

- Yhm. Poza tym znaleziono jeszcze jedną dziwną rzecz. Zmiażdżoną żmiję. Zauważył ją świadek - Astrid Mossberg. Leżała przy stosie kamieni. Wyschnięta. Nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie. Żmije czasami leżą i wygrzewają się na kamieniach. Zmiażdżona jest sama głowa. Pokazali mi ją w torebce foliowej. Zwyczajna żmija, lekko nadjedzona przez mrówki. - Hartman skinął na Trygvessona, który podszedł do nich. Mimo wysokiej temperatury miał na sobie golf.

Kiedy Maria o tym pomyślała, doszła do wniosku, że nigdy nie widziała, aby

nosił coś innego niż golf. Pot lśnił na jego czole. Dwoma palcami poluzował materiał przy szyi. „Zupełnie jak z dziećmi” – pomyślała Maria. Emil mógł chodzić ubrany w długie spodnie i sweter, nawet gdy prażyło słońce. Widać było, że czuje się nieswojo, ale nie był w stanie sam dojść do tego, w czym tkwi problem. Przynajmniej do czasu, gdy zdejmował ubranie i dostrzegął różnicę. Trygvesson ze swoimi palcami pod golfem był na dobrej drodze ku temu odkryciu. Ciepło, gorąco, parzy. Maria miała nadzieję, że jego intuicja i umiejętność wyciągania wniosków sprawdzały się lepiej w śledztwie.

– Kurde. Gdy widzi się coś takiego, człowiek się cieszy, że nie bierze udziału we własnym pogrzebie. – Trygvesson otarł pot z czoła rękawem swetra.

– Właściwie to dziwne, że tak panicznie boimy się śmierci – zauważył Hartman. – Kiedy się umiera, to jest się nieżywym i się tego nie czuje, a zanim to nastąpi, to się przecież żyje.

– Każdego dnia jesteśmy o dzień bliżej śmierci – powiedział Trygvesson i pokiwał głową, patrząc na stos kamieni.

– Kto wie, może taka śmierć, kiedy nie zdąży się pomyśleć, a już się jest na tamtym świecie, to luksus w porównaniu z powolnym dogorywaniem na oddziale dla przewlekle chorych. Chociaż podobno nie ma się wyboru. Co nowego? – spytał Hartman.

– W samochodzie ofiary, białym oplu, są plamy krwi w bagażniku – odparł Trygvesson. – Zaledwie kilka kropel. Grupa krwi zgadza się z grupą krwi z palca, A Rh+. Aby się upewnić, wysłaliśmy próbkę do analizy DNA.

– Jeśli Wilhelm Jacobsson odbywał służbę wojskową, powinno być napisane na jego tabliczce tożsamości, jaką miał grupę krwi. Choć teraz, gdy mamy ciało, nie musimy już pytać o to żony. – Hartman wiercił się niespokojnie.

– Myślałam o ćwiczeniach, na które miał jechać – zaczęła Maria. – Jasne, że faceci z samoobrony mają własną broń, którą trzymają w domu. Nie powinien mieć w bagażniku mauzera albo przynajmniej Ak 4?

– Nie było żadnej broni w samochodzie – powiedział Trygvesson, ugniatając brodę; zarost chrząścił pod jego palcami. – Tylko kaprale nie mają swojego Ak 4.

– Może został zamordowany, ponieważ ktoś chciał zabrać mu broń? Kto mógł wiedzieć, że przechowuje ją w samochodzie? – zastanawiał się głośno Hartman.

– Inni faceci z formacji, choć przecież mają taką samą. Rodzina. Ale to wydaje się raczej nieprawdopodobne, skoro członkowie rodziny mogli wziąć sobie broń, kiedy tylko im się podobało. Dla rodziny nie jest to szczególna tajemnica, gdzie chowa się magazynek.

– Jakie może być inne wytłumaczenie? Zabrał jakiegoś nieznanego autostopowicza? Czy może ktoś siedział i czekał na niego w samochodzie, zanim udał się w drogę? Zgodnie z tym, co powiedziała żona, wyszedł około wpół do szóstej. Idziesz ze mną porozmawiać z Moną Jacobsson, Trygvesson?

– Nie, nie zdążę przed południem. Mam rozmowę z adwokatem o innej sprawie. To może zająć chwilę.

- Mam świadka z tej samej grupy w formacji, Andersa Öhrna, który mógłby zidentyfikować ciało, zanim udamy się do domu wdowy - powiedziała Maria.

Trygvesson wyglądał na zmartwionego.

- Będzie trudno przynieść wiadomość o śmierci, a później poprosić o rzucenie okiem na garderobę. To dość obcesowe. Może poczekajmy z tym jeszcze jeden dzień.

- Możemy się najpierw rozejrzeć, zbadać grunt, a dopiero później zająć się tą kwestią - zaproponował Hartman.



We śnie Mona zrzuciła z siebie kołdrę. Śniło jej się, że jechała białym oplem w kierunku portu. Obok niej na przednim siedzeniu leżał karabin Ak 4 Wilhelma. Musiała się pozbyć broni, zanim zamieni się w żmiję. Gdy tylko to zrobi, nie będzie już żadnych powodów do niepokoju. Najlepiej będzie jeśli zakopie karabin pod stosem kamieni, tam gdzie było jego miejsce. Później będzie mogła odpocząć. Nie musiała dodawać gazu. Samochód sam toczył się do przodu z coraz większą prędkością. Była noc. Jesienna burza targała koronami drzew. Potężne wzburzone fale uderzały o molo. Światło portowego terminalu odbijało się w białej pianie. Wyminęła rowerzystę i zahamowała. Jego twarz była znajoma, ale nie mogła odnaleźć jej w pamięci. Próbowwała dostrzec coś w tylnym lusterku, ale oślepiło ją światło. Po chwili zobaczyła je. Puste, czarne oczodoły. Nie należał już do żywych. We śnie Mona zablokowała drzwi od środka. Samochód pojechał w dół wzgórza i minął terminal. Na uboczu stała grupa ludzi. Sylwetki bez twarzy. Szary cień wyłonił się z ciemności przy restauracji. Wilhelm wyszedł na ulicę. Stanął przed samochodem. Mona próbowała zahamować, ale hamulce nie zadziałały. Przez krótką, przerażającą chwilę widziała jego twarz. Wydawało się, jakby pokrywał całą przednią szybę, gdy przejechała prosto przez niego. Samochód przeciął jego rozdętą głowę. Strach wwiercał się w ciało jak spirala, paraliżował spoczywające na kierownicy ręce. Północno-wschodni wiatr popchnął samochód w kierunku brzegu kei. Zdmuchnął go, jakby auto było pyłem zmierzającym ku czarnej, zachłannej wodzie. Próbowwała zaciągnąć ręczny hamulec, który wygiął się i zmienił w ogon żmii. Wijącym ruchem zsunął się razem z bronią na podłogę. Mona po raz ostatni spróbowała pokręcić kierownicą, ale ta była jak obracające się na wietrze śmigło, bez połączenia z kołami. Samochód gwałtownie skręcił w lewo i zawisł nad brzegiem kei. Mona rozpięła pas i próbowała przedostać się na tył wozu, aby ostrożnie przesunąć środek ciężkości. Auto zabujało się i obróciło w lewo. Rzuciło ją do przodu, wokół panowała ciemność. Lodowata woda zaczęła sączyć się przez drzwi, rozlewając się powoli na podłodze. Odblokowała drzwi. Henrik opowiadał jej, że pod wpływem wody może nastąpić spięcie w zamku elektrycznym, który może się wtedy zaciąć. Po raz pierwszy w życiu była wdzięczna za skąpstwo Wilhelma i za stary, pocziwy zamek w samochodzie. Dotknęła klamki. Drzwi stawiały opór. Woda napływająca z zewnątrz była zbyt potężna. Musiała poczekać. Czekać, podczas gdy zimna woda sączyła się do środka, a samochód powoli opadał na dno. Woda sięgała jej teraz po kolana. Ubrania nasiąkały wilgocią, poziom wody podnosił się jak rtęć w termometrze. Powoli lodowata ciecz zbliżała się do poziomu talii i ramion. Widziała głowę żmii, pojawiła się też druga. Ogony kiwały się w wodzie tuż przed jej oczami. Powoli zaczęły się trudności z oddychaniem. Czy miała po co walczyć? Myśl o odpuszczeniu sobie i zaniechaniu walki była kusząca. Kilka minut bez tlenu i będzie po wszystkim. Uniknie odpowiedzialności za śmierć Wilhelma,

pozbędzie się winy, która tak ją męczyła. Nigdy więcej nikt nie będzie nią pomiatał w pracy, nie będzie musiała studiować i wystawiać się na pośmiewisko. Może woda będzie tak litościwie zimna, że zamarznie, zanim skończy się tlen. Może żmija pobłogosławi ją, darowując jej bilet w ostatnią podróż.

Nie, nie chciała. Jeszcze nie teraz. Rozsądek sprawił, że wróciło poczucie rzeczywistości, świadomość. Szukała kontrargumentów. Były przecież chwile, dla których warto było żyć, momenty szczęścia. Spokojne, ciche poranki, gdy promienie słońca oblewały pastwisko, kiedy zabierała krowy na dojenie. Czasami, gdy nikt jej nie widział, rozpościerała ręce, czując delikatną bryzę, i biegała boso po zroszonej trawie. Samotne chwile na pomoście o wschodzie słońca, kiedy życie było niesamowicie piękne, jak również chwile, gdy pod nieobecność Wilhelma po kryjomu popijali z Henrikiem zimne piwo i jedli wędzoną flądę w domku nad morzem. Czasami Henrik pozwalał jej prowadzić swoją koparkę. „Masz, kurczę, talent” – mawiał. Jeszcze raz rozkoszowała się tymi słowami: „Masz, kurczę, talent”.

Mając w głowie tę niosącą pocieszenie myśl, otworzyła oczy i wzięła głęboki wdech. We śnie było coś jeszcze. Coś najwyższej wagi, rozmazane i ginące w świetle dnia. Kołdra leżała na podłodze. Okno było otwarte, deszcz padał do środka i ściekał po parapecie. Popatrzyła na zegar przy łóżku: wpół do siódmej! Czy to możliwe, że Anselm zasnął na prognozę pogody? Prawdziwy cud. Mona postawiła stopy na zimnej podłodze i poczuła ból w nodze. Podciągnęła długą koszulę nocną i przyjrzała się ukąszeniu. To musi stać się dziś. Dziś to rozetnie. Nacisnęła delikatnie. Skóra nadal była spuchnięta i sina.

Mona ubrała się, aby pójść do obory. Wczoraj przerwała pracę w połowie, aby zdążyć na zwycięstwo Olova. Widok był tego wart. Gdy zobaczyła, jak syn wygrywa, po policzkach pociekły jej łzy i pobiegła za namiot, aby nikt jej nie zobaczył, becząc wariatki.

Już w drzwiach obory otoczyła ją chmara much – kara za to, że nie uprzątnęła wczoraj gnoju. Jak w somnambulicznym transie wyczyściła wiadro na mleko, zdezynfekowała nakładki do dojarki roztworem chloraminy i zrobiła nową mieszankę paszy.

Padalo. Przeszła nad płotem elektrycznym, narażając się na porażenie prądem. Henrik żartował czasem z Anselmem, mówiąc, że nie zaszkodzi od czasu do czasu poddać się małym wstrząsom – profilaktycznie, jeśli miało się skłonności do migotania przedsionków. Dzięki temu nie trzeba było potem trwonić pieniędzy na kurację w szpitalu.

Mona wdychała wonie mieszające się z zapachem deszczu: tymotki łąkowej, ziemi i polnych kwiatów. Lubiała zatrzymywać wzrok na krzakach leszczyny i jałowca. Fascynowała ją różnorodność odcieni zieloności. Duże szare kamienie w trawie wyglądały jak okrągłe grzbiety śpiących owiec. Tuż przy ziemi można było dostrzec kocankę i krzyżownicę. Svea opowiadała jej, że obecność krzyżownicy oznacza, iż gleba jest żyzna przez długi czas, ponieważ jest przesuwana przez mrówki centymetr na rok w głąb ziemi.

Prowadząc zwierzęta do obory, Mona zobaczyła, że jedna z krów, Klara, stoi przy zagajniku, z daleka od reszty. Była ciężarna i mogła urodzić w każdej chwili. Najwidoczniej nadszedł już czas.

Kiedy skończyła pracę w oborze, poszła na górę, zobaczyć co u ojca. Anselm leżał na boku, twarzą do ściany. Podłoga była usłana kroplami tabaki wymieszanej ze śliną. Mona musiała uważać, gdzie stawia stopy. Gdy Anselm przeprowadził się na górę, zrezygnował z dywanu na podłodze. Mona pochyliła się, aby zobaczyć jego twarz. Wyglądał dość niewinnie. Policzek naciskał na wargę, sprawiając, że ułożyła się w dzióbek, z kącika ust wyciekała odrobina śliny. Kołdra była odrzucona na bok. Anselm spał w podkoszulku - pozostałość jeszcze z czasów koszul nylonowych, odmawiał odebrania mu go. Cicho cmoknął. Zastanawiała się, jak wyglądają jego sny, jeśli nie pojawia się w nich wojna zimowa. Czy matka odwiedza go czasem we śnie? Może jego świadomość jest tak zagłuszona i przyćmiona alkoholem, że nie jest w stanie myśleć o niczym poza tym, co najbardziej prymitywne: głód, pragnienie, prognoza pogody.

Jeśli Anselm napomknie choć słowem o zniknięciu Wilhelma, Mona nie zawaha się zapytać o mamę. Tak robi, choć imię Maj pozostawało tabu, od kiedy Mona sięgała pamięcią. Dlaczego odebrała sobie życie, Anselmie? Co takiego jej zrobiłeś? Pamiętasz tę małą dziewczynkę, która przyszła ze szkoły i chciała opowiedzieć mamie o wszystkim, co się zdarzyło tego dnia? Jak położyła się w łóżku obok niej, a ona nie odpowiadała? Gdzie wtedy byłeś? Gdzie byłeś, gdy odkryła chłód i śmierć? Gdy zegar przestał bić?

Mona postawiła stopę na stołku w łazience i zaczęła przyglądać się nodze w świetle wiszącej nad lustrem jarzeniówki. Opuchlizna utrudniała zgięcie nogi w kolanie. Mona przygotowała miejsce operacji na płóciennym ręczniku. Skalpel, spirytus, ręczniki papierowe, kompresy, igła i nici. Nie znalazła w szafce nici chirurgicznej ani też igły, więc musiała zadowolić się zwykłą nicią i nieco grubszą igłą. Wzięła skalpel do prawej dłoni. Przyłożyła ostrze do nadgarstka drugiej ręki, gdzie widoczna była czerwona szrama. Brzydka blizna wciąż jeszcze tam się znajdowała, mimo że minęło już ponad trzydzieści lat. Svea znalazła Monę w kryjówce w lesie, za opuszczoną szopą. Miała przecucie. Wiedziała, że coś jest nie tak, gdy Mona zostawiła Arnego. Rozstanie przeciągnęło się w czasie. Svea zabrała ze sobą dziecko. Arne wiedział, gdzie król lasu miał swoją zieloną salę i gdzie znajdował się zaczarowany zamek, który wyglądał na pierwszy rzut oka jak rozpadająca się szopa. Mona straciła dużo krwi, widziała, jak wycieka z niej użyźniające ziemię życie. Nie miała siły, by wstać i uciekać. Svea zdjęła nylonową skarpetkę i zrobiła opatrunek uciskowy.

Mona nie zgodziła się na zawiezenie do szpitala. Nie była w stanie opowiedzieć. Nawet Svei, niech myśli, co chce. Jak miała jej to wyjaśnić? To było tak jak z pieniędzmi, które Mona ukradła Anselmowi, aby kupić cukierki. Bardzo wysoka cena, którą zapłaciła, by ją dostrzeżono. Jej piersi rozwinęły się

z piegów w imponujący, pełny biust. Biodra się zaokrągliły. Nagle miała coś do zaoferowania. Arne stanowił dowód na to, że droga była wolna. Mona nie należała do tych, które się opierały – takie było powszechne przekonanie. Czuła dłonie na swoim ciele, błędziły spocone, coraz bardziej natarczywe. Pod płonącymi spojrzeniami rozbierała się i pokazywała piersi. Pozwalała na to, aby choć przez chwilę poczuć ciepło i uznanie. Bezsilnie patrzyła później, jak wymieniają znaczące spojrzenia, przewracają oczami i szepczą. Szepty i wyzwiska wygłaszane chyłkiem za jej plecami, aluzje, z rzadka wypowiedane otwarcie słowa: dziwka, szmata, wywłoka.

Była impreza u Henrika. Jego rodzice przebywali na stałym lądzie. Grupa chłopców chciała jej coś pokazać na stogu siana. Mona niechętnie pozwoliła się przekonać. Henrik został w kuchni, z dwiema dziewczynami, które chodziły do liceum w Visby. Trwała gorąca dyskusja o wadach i zaletach energetyki jądrowej. Mona wypła trochę. Bimber nie był towarem deficytowym. Miała nadzieję, że Henrik będzie chciał z nią porozmawiać. Nie był taki jak inni. Przerazało ją to i pociągało jednocześnie. W jej wyobraźni często prowadzili poufne rozmowy. Kładł swoją dłoń na jej ręce, tworzyli enklawę wykluczającą innych. Z ust Mony wypływały wiedza i mądrość. We śnie na jawie wyczytywała z jego twarzy podziw i szacunek dla siebie. Rzeczywistość okazała się jednak inna.

Kiedy ociągała się w drzwiach, nadszedł Wilhelm, złapał ją od tyłu za biust i pociągnął za sobą. Dlaczego nie? Co miała właściwie do powiedzenia o energetyce jądrowej? Myśli kłębiły się ociężale w odurzonej alkoholem głowie. Gdy dostrzegła ich szydercze uśmiechy, było już za późno. Za późno zdała sobie sprawę z tego, co miało się zdarzyć tam, na sianie. Była tak pijana, że nie musieli nawet trzymać jej za ręce. Spocone, podniecone twarze migają jej przed oczami. Pchnięcia przeszywały jej ciało, a ona nie była w stanie ich odpierać. Głosy w tle bełkotały, śmiały się, dudniły echem, rozmywając się we mgle bólu i napierającego na nią ciężaru. Później pojawiła się ciemność.

Henrik znalazł ją rano na sianie, na wpół przytomną. Obrzyganą. Zwymiotowała na swoją białą bluzkę i nową spódnicę. Nie chciała, żeby ją zobaczył, skuliła się ze wstydu i ukryła głowę w ramionach.

Siedział przy niej przez chwilę, mówiąc do niej, ale nie dotykając. Później pomógł jej zejść po drabinie. Okropnie bolała ją głowa, zawroty sprawiały, że chwiała się na nogach. Krok za krokiem, szczebel za szczeblem podtrzymywał ją, gdy schodziła ze strychu. Czuła pieczenie w łonie. Udawał, że nie widzi lepkiej cieczy spływającej po jej nogach. Ale przez moment dostrzegł gniew w spojrzeniu Mony. Było to na chwilę przed tym, jak pociemniało jej w oczach i osunęła się na cementową posadzkę.

Powoli udało mu się przeprowadzić ją przez podwórko do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi na zamek i gapiała się na swoją obrzydliwą twarz w lustrze. Chciała krzyczeć, już wtedy życzyła sobie śmierci. Ale tak łatwo się nie wywinęła. Zwymiotowała pigułkę i zaszła w ciążę.

Kilka lat później usłyszała w sklepie, że zrobili losowanie. Wilhelm wyciągnął zwycięski los i przyznał się do ojcostwa. „Ożenię się z wsiową puszczałką” – zadeklarował wszystkim zainteresowanym. Nie śmiała spojrzeć Henrikowi w oczy przez kilka lat. Omijała go szerokim łukiem, aby nie doszło do spotkania. Z Wilhelmem było inaczej. Byli sobie warci. W jego towarzystwie wstyd tak nie ciążył. Czasami Wilhelm ją bił. Myślała, że to łatwiej znieść niż litość, lepiej radziła sobie z tym niż z myślą, że jest tak mało warta.

Wtedy Henrik kupił sąsiednie gospodarstwo. Zaprosił ich do siebie na telewizję, razem z innymi sąsiadami. Jakby nie istniał wstyd. Pod tym względem Henrik był dość szczególny.

Mona upuściła skalpel. Odbił się od stołka i spadł na podłogę. Trwało chwilę, zanim go podniosła i rozcięła nogę. Powstała okropna rana, ale popłynęło mniej krwi, niż się spodziewała. Myślała, że jad węża to żółta ciecz, której można się pozbyć. Może zastosowała złą metodę. Kiedyś truciznę się wysysało. „Ale to zdawało się nierozsądne, biorąc pod uwagę wszystkie bakterie w ustach” – myślała Mona, nawlekając igłę. Miała trudności z widzeniem bez okularów. Ciągle leżały na tym samym miejscu przy telewizorze. Tak jakby nie mogła ich ruszać. Nie ruszać niczego, co miało związek z dniem, kiedy zginął Wilhelm. Swoje ubrania spaliła w piecu: sukienkę, sweter, nawet bieliznę. W obronie przed bólem zacisnęła zęby i przeciągnęła igłę przez skórę, zbierając nicią brzegi rany. Znajdowała w tym pewną przyjemność. W jakimś stopniu zmniejszało to poczucie winy. Jeśli sama się ukarze, może los nie doświadczy jej tak dotkliwie. Poprzez ból wyrówna rachunek zysków i strat. Przylepiła taśmą kilka kompresów i na wszelki wypadek również opatrunek absorbujący. Później zdała sobie sprawę, że nie dotknęła nawet buteleczki ze spirytusem.

Mona Jacobsson okryła się spraną podomką i przyglądała mokre włosy. Choć wyszorowała ciało do czerwoności, wciąż czuła się brudna. Wzięła prysznic, ale pozostało uczucie obrzydzenia. Owinęła pogardę wobec siebie w wyblakły materiał frotté i otworzyła drzwi wejściowe, aby zabrać pocztę. Przyjechali w sprawie rozliczenia mleka, ale skąd miała wiedzieć, ile wziąć od nich pieniędzy? To Wilhelm zajmował się finansami i był odpowiedzialny za wszystkie konta. Mona siedziała wczoraj wpatrzona ze łzami w oczach w formularze unijne. Co to jest „dotacja dla rolnictwa ekstensywnego”? A „wypełnienie warunków kontrolnych”? Musiała opisać każdy najmniejszy areal ziemi i przyporządkować odpowiedni numer na mapie. Wilhelm miał w zwyczaju zrywać się na urząd rolnictwa w Jönköping: „Chłystki, które nigdy nie miały wideł w ręku i nie przepracowały uczciwie nawet jednego dnia”. Nie miała odwagi do nich zadzwonić.

„Wsparcie ekonomiczne jest tym, co przynosi gospodarstwu opłacalność” – zwykł mówić. Ale jak miała to wprowadzić w życie, skoro nie wiedziała, co ma robić? Cyfry i litery zlewały się w niezrozumiały chaos. Po raz pierwszy od czasu poniedziałkowej nocy zapragnęła, aby Wilhelm wrócił. Wszystko ją przerastało. Wyszła do obory i zawołała go, jak lunatyk w koszuli nocnej. Nikt nie odpowiedział. Przestraszona własnym krzykiem gapiała się w chłodną obojętność rozgwieżdżonego nieba. Opuszczona. Olov mawiał, że Droga Mleczna to szlak prowadzący dusze do świata zmarłych. Myśl o Wilhelmie jako małej, świecącej w ciemności kropce wydawała się dziwna. „Mówią, że za każdym razem, gdy ktoś umiera, z nieba spada gwiazda”. Ale nie zobaczyła żadnej spadającej gwiazdy, a później w nocy, kiedy chmury zgęstniały wokół zmarłych dusz, przyszedł deszcz.

W skrzynce było tylko kilka ulotek reklamowych. Mona poszła okreśną drogą wokół ogrodzenia przy pastwisku, aby zobaczyć, jak miewa się cielęca się krowa. Klara zaszyła się głęboko w krzakach. Gdy jakaś inna krowa zbliżała się do niej, stawała bokiem, wyciągała szyję i parsknęła na nią. Mona zbliżyła się ostrożnie i pogłaskała zwierzę po grzbiecie. Wszystko było na dobrej drodze, nastąpiło rozwarcie. Prawdopodobnie wody już odeszły i widać było kopytko i mordkę. Trzeba będzie wepchnąć cielętko z powrotem do środka, aby kończyna, która się odwróciła, mogła wyjść na zewnątrz. Nie było czasu do stracenia, w przeciwnym razie cielę utknie i umrze. Możliwe, że wtedy nie uda się uratować również krowy. Mona nigdy wcześniej tego nie robiła, tylko się przyglądała. Podciągnęła rękawy, zawahała się chwilę i wetknęła rękę w wilgotne ciepło. Było śliskie i śluzowate. Krowa zamuczała i cofnęła się o krok. Rękaw szlafroka się ubrudził. Nie dała rady porządnie złapać. Spróbowała ponownie, ale cielak się wyślizgnął. Krowa poruszyła się i parsknęła. Mona czuła, że zaraz się rozplacze, zmrużyła oczy i wsunęła rękę aż po ramię. Nie chciała robić tego sama, ale musiała działać szybko. Nie stać ją

było na weterynarza, za którego trzeba zapłacić gotówką. Skąd miałyby wziąć pieniądze? Gdy ostatnio zmuszeni byli wezwać weterynarza do krowy z paraliżem poporodowym, która musiała dostać cztery zastrzyki, skończyło się to prawdziwą nędzą. Krowa przeżyła, ale rachunek spędzał później Wilhelmowi sen z powiek. Teraz Mona musiała sprowadzić pomoc.

Stała na schodach Henrika w jasnoróżowej podomce z zakrwawionymi rękawami, trzymając w dłoni kawałek sznurka. Na jej ramionach leżały wyschłe na wietrze, splątane w kołtuny włosy. Za nią z ołowianoszarej chmury siąpił deszcz. Dał się słyszeć pierwszy grzmot.

- Można by pomyśleć, że jesteś Torspjäsku we własnej osobie - powiedział Henrik, kiedy otworzył drzwi. Przyglądał jej się przez chwilę. Później się uśmiechnął. Mona patrzyła na niego, nie rozumiejąc. - Żona trolla Bysena, która pojawia się w otoczeniu piorunów i ognia. Nigdy o niej nie słyszałaś? Aby upewnić się, czy to rzeczywiście Torpjäsku, kładło się rozłożone nożyczki na schodach, żeby nie mogła przejść. Jeśli udało jej się dostać do środka, w ślad za nią pojawiał się piorun, który wzniecał pożar domu. Chyba o tym słyszałaś? - Potrząsnęła głową. Dostrzegł panikę w jej oczach.

- O co chodzi, Mona? Coś nowego w sprawie Wilhelma? Policja?

- Klara się cieli. Nie jest dobrze. Potrzebuję pomocy.

Później, kiedy Mona wytarła ciele sianem do czysta z błony i śluzu i małe zaczęło ssać mleko z palców, które umaczała w misce ze świeżym napojem, poczuła radosną ulgę. Łóżysko odkleiło się bez problemu przy dojeniu, dar przyrody dla lisów i kruków. Zapominając o swojej zakrwawionej podomce i rozczochranych włosach, uśmiechnęła się do Henrika.

- Może zaproszę cię na kawę, jeśli masz czas?

- Tak, chętnie. Niecodziennie dostaje się zaproszenie na kawę od damy w podomce.

Mona zaczerwieniła się aż po samą szyję i odwróciła twarz. W tym wspólnym zmaganiu się znalazła bliskość, która pozwoliła jej zapomnieć o tym, kim była. W towarzystwie Henrika czuła dumę, widząc, jak jest świadkiem zwycięstwa Olova i mogąc świecić jego odbitym blaskiem. Teraz cały czar prysnął, a ona stała tam zawstydzona.

- Dobrze nam poszło, Mona. Zadzwoń, jak tylko kawa będzie gotowa - zaledwie kilka słów i zdołał odczarować jej całe zmieszanie. Idąc w deszczu, pogwizdywał sobie pod nosem. Później odwrócił się. - Jeśli będę mógł zrobić dla ciebie coś jeszcze, po prostu daj znać. Obiecuję. Możesz na mnie polegać. Rozumiem, że nie jest ci łatwo.

Mona pozwoliła, aby woda opłukiwała jej twarz, i wydawało jej się, że słyszy głos Wilhelma. Nie lubił, gdy marnowała ciepłą wodę. Ale to ona paliła rano w piecach. Miała nadzieję, że krowa zabierze ciele do siebie. Przy ostatnim cieleniu zwierzę zabodło na śmierć swoje młode. Popychała ciele, aby pomóc mu

stanąć na nogach, a później nie mogła przestać. Bodła coraz mocniej, aż życie, które dopiero co zdążyło się narodzić, zdecydowało się odejść. „Nie ma naturalnego instynktu macierzyńskiego” – powiedział Wilhelm. Ciekawe, że czasami coś takiego się zdarzało. Może miało to związek ze stresem albo z hormonami. Może to był sygnał wysyłany przez matkę do dziecka o tym, że nie warto żyć, brutalny gest w kierunku nowo narodzonego nakazujący mu powrót. To, co zrobiła krowa, nie różniło się niczym od tego, co ona sama zrobiła kiedyś Arnemu. Bolesna myśl. Ale to, co się stało, już się nie odstanie. Mona nie chciała już o tym myśleć. Woda skapywała z jej włosów, spływała po ciele, oczyszczając ją.

Wczoraj Henrik zaproponował, że podwiezie ją do miasta. Samochód Wilhelma zarekwirowała policja, nie zważając na to, jak ona sobie poradzi. Nie miała odwagi spytać ich o niego.

Powoli wracał do niej sen z poprzedniej nocy. Przypomniała sobie ciągle powracający motyw: wjeżdżała samochodem do głębokiej wody i powoli tonęła, zamknięta w środku. Czasami to ona prowadziła, a czasami kierowcą był ktoś inny. Kiedy odebrano jej Arnego, miała ten sam sen i brała w nim na wszelki wypadek taksówkę. Chciała, aby ktoś inny przejął kontrolę. Ale kiedy zbliżali się do okolicy portowej, kierowca zaczynał się śmiać ustami całymi we krwi i jechać po krawędzi nabrzeża. Gardłowy, na wpół stłumiony śmiech. Z tyłu siedziały dzieci. Zrozpaczona pomagała im się wydostać. Ale miała tylko dwie ręce: jedną dla Olova, drugą dla Christoffera. Arnego utraciła w głębokiej wodzie, u obcych ludzi. We śnie poprzedniej nocy to ona prowadziła. Obok niej na siedzeniu leżało Ak 4 Wilhelma. Myśl uderzyła ją jak piorun: Ak 4 Wilhelma! Musi się go pozbyć, zanim policja zażąda rewizji domu. Jak mogła o nim zapomnieć? Powinien leżeć w samochodzie. Co z nim zrobić? Wilhelm przechowywał magazynek i naboje zamknięte na klucz w swoim gabinecie, widziała je tam. Ale gdzie konkretnie? Sama broń wisiała za piecem w piwnicy.

Czuła się dziwnie, wyjmując klucz z szuflady szafki kuchennej i otwierając drzwi do gabinetu Wilhelma. Do tej pory Mona widziała zaledwie kawałek brązowej tapety w pokoju, gdy któregoś razu Wilhelm uchylił drzwi, kiedy przyniosła mu kawę. Miała wrażenie, jakby w każdej chwili mógł pojawić się za jej plecami. Oskar II i jego rodzina patrzyli na nią z góry ze złotej ramy. Cena obrazu zapisana była ołówkiem w dolnym rogu: jedna korona i czterdzieści pięć öre.

Mona podeszła do biurka. Brudna filiżanka z plamą od kawy z prawej strony brzegu, zupełnie jakby Wilhelm dopiero co ją odstawił. Krzesło stało obok biurka. Na podłodze leżały dwie grube skarpety ze zbyt luźno wszytą gumką, jej pierwszy prezent dla niego. Tak jakby zrzucił z siebie skórę i została po nim zaledwie para szarych wełnianych skarpetek, opuszczonych i bez życia, od kiedy zmienił postać. Mona przesunęła dłońią po wilgotnym bandażu na swojej nodze. Wyprostowała się, zmusiła do opanowania i przeszukała szuflady. W środku



leżały opakowania z nabojami. W każdym było ich czterdzieści. Zostało mu przydzielone czterdzieści naboji, słyszała o tym, kiedy rozmawiał z Andersem przez telefon. Mona przeszukała następną szufladę. Była pusta, nie licząc małego kluczyka. Wyglądał, jakby pasował do sejfu albo dużego nesesera. Włożyła go do kieszeni podomki i szukała dalej magazynka. Kiedy w kuchni zadzwonił telefon, upuściła naboje na podłogę. Podparła się obiema rękami na biurku, próbując złapać oddech. Dopadła telefonu po trzecim sygnale.

- Znaleźli Wilhelma i są już na pewno w drodze do ciebie. Słyszałem w radiu. Masz milczeć. Ani słowa, inaczej zabiję! Na pewno przeszukają cały dom.

- Właśnie szukałam magazynka Ak 4.

Przez chwilę zapadła cisza.

- Do kurwy nędzy! Musisz się go pozbyć. Pospiesz się, do cholery!

- Gdzie? Szukałam wszędzie! - Mona była teraz bliska płaczu. Musiał wyczuć to w jej głosie, bo mówił dalej przyjaźniejszym tonem:

- Obraz z Oskarem II, jest za nim ukryty sejf. Słyszałem, jak o nim mówił, kiedy był naprawdę napruty.

Mona biegła bosą wzgórzem z bronią ukrytą pod podomką. Po deszczu na podwórku zrobiła się błotnista breja. Nie włożyła bielizny, ale teraz było za późno, żeby zawrócić. Policja mogła tu przyjechać w każdej chwili. Mona okrążyła oborę, potknęła się i upadła kolanem w gliniasty szlam. Podniosła się i biegła dalej, minęła kurnik i ruszyła w górę schodami ku wejściu kuchennemu.

Henrik otworzył.

- Czy możesz się tym zaopiekować? - Podała mu broń. - To Wilhelma. - Henrik przyglądał się jej przez chwilę, później spuścił wzrok.

- Proszę, Henriku... Policja...

Skinął głową i wziął broń.

- Możesz na mnie liczyć. Przecież mówiłem.

Stali na schodach, obserwując ją. Mona zwolniła kroku mimo deszczu. Nie śmiała myśleć o tym, jak mogła wyjść w zakrwawionej i ubłoconej podomce. Próbowwała obiema rękami wciśniętymi w kieszenie powstrzymać unoszenie się szlafroka na wietrze. Prawą dłonią dotknęła zimnego metalu. Macała przedmiot, klucz z szuflady Wilhelma. Ścisnęła go mocno. Niebo przecięła błyskawica, rozległ się grzmot. Cały ogród zatopiony był w szaroliliowym mroku, apokaliptycznej ciemności. Nadszedł sądny dzień.

Pod dachem werandy stali mężczyzna i kobieta. Przyjechali białym fordem. Policja? Nie było wątpliwości. Podejście do grupy ludzi tworzących wspólnotę było trudne nawet w normalnych warunkach, w obecnej chwili było wręcz nieludzkie. Ruchy stały się sztywne, myśli odpływały w nicość, czuła zawroty głowy. Ostry, uporczywy dźwięk, który utrzymywał się w jej głowie, nasilał się i był coraz wyższy. Policjant krzyknął do niej przez ulewę. Ale ona nie odpowiedziała, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Kobieta o długich blond włosach wyłoniła się z ciemności i podeszła do niej w deszczu. Jej ruchy były pewne i spokojne, światło odbijało się w jej włosach i ubraniu. Mona nie widziała jeszcze twarzy. Potrzebowała okularów. Ogarnęło ją pragnienie, aby widzieć i być jednocześnie niewidoczną. Obnażenie własnej bezbronnej twarzy i niemożność odczytania reakcji były dla niej zbyt trudne. Zaczęła uciekać. Pobiegła w panice przez błotniste podwórko do obory, gdzie przycupnęła w boksie. Bicie serca dudniło w całym ciele, tętno szumiało w uszach. Przez deszcz uderzający o szybę usłyszała ciche, głuche stukanie obcasów na cementowej posadzce. Zobaczyła migające między szczeblami białe nogawki.

- Mona, jest pani tam? - W niskim, łagodnym głosie był cień niepokoju. Mona zmrużyła oczy i poczuła dotyk dłoni na swojej ręce. Spokojne ciepło, które rozlało się po skórze. Ręka na jej ramionach. Jak długo tam siedziały, zanim pojawił się płacz - nie wiedziała. Pierwszą rzeczą, o której pomyślała, gdy otworzyła oczy, były białe spodnie kobiety, które właśnie ubrudziła. Mona przeniosła wzrok ze swojej ubłoconej podomki na przybrudzone spodnie policjantki i rozkleiła się.

- Wie pani, dlaczego tu jesteśmy - powiedziała kobieta.

Mona przytaknęła.

- Wilhelm nie żyje. Znaleźliście ciało?

- Tak, zgadza się. Jest pani cała przemoczona. Nie jest pani zimno?

- Trochę. - Mona szybko zakryła podomką bandaż na nodze. Nie była pewna, czy policjantka zdążyła go zauważyć, czy nie.

W końcu mogła dać upust łzom, po wielu dniach tłumienia uczuć. Teraz był ku temu uzasadniony powód. Gdy siedziała opatulona w kołdrę i koce, z filiżanką parującej kawy w dłoni, wróciły do niej życie i myśli. Upajała ją wstydliva rozkosz, którą czuła, otoczona pełnym szacunku współczuciem i troską. Nie

mogła nacieszyć się błogością. Policjantka przedstawiła się jako Maria. Jej ręce były takie miękkie, każde jej słowo i gest przepojone dobrocią. Co, jeśli wiedziała... jeśli zdawała sobie sprawę z jej winy? Przed oczami miała teraz szacowną wdowę oplakującą męża. Mona zdała sobie sprawę, że zazdrości sobie głównej roli w tym przedstawieniu. A gdyby rzeczywiście była tą, za którą miała ją Maria? Bez wątpienia siedziała teraz na piedestale. Cóż za zaszczyt, wyniesienie ku czystości. Natchniona weną naśladowała filozoficzne przemyślenia Olova o życiu i śmierci. Wprawiała ich w zadziwienie. W istocie doprowadziła do łez. Znajdowała wielką rozkosz w tym, że mogła sterować ich myślami oraz doświadczać zrozumienia i szacunku w formie cichego aplauzu.

- Czy mamy zawiadomić kogoś, aby przyjechał do pani?

- Moich synów. I siostrę Wilhelma, Sofię, ona też musi się dowiedzieć. Mieszka w domku przy plaży, w pobliżu wioski rybackiej w Eksta. - Z oczu Mony ponownie popłynęły rzęsiste łzy. - Nie dam rady z nimi porozmawiać.

Słuchając głosu Marii rozmawiającej przez telefon, czuła się jak w przedstawieniu teatralnym, w którym sama zmuszona była uzupełniać brakujące kwestie. W pierwszej kolejności Maria rozmawiała z Christofferem. Odpowiedzi wywnioskowała ze skrępowanego tonu policjantki wskazującego na to, że Christoffer żartował, i późniejszej szybkiej wymiany zdań. Rozmowa z Olovem była zdecydowanie mniej chaotyczna. Miał natychmiast przyjechać.

- Czy siostra Wilhelma ma telefon? - Mona nie musiała zastanawiać się długo nad odpowiedzią. Gdy siedziały wcześniej przy stole w kuchni, rozmawiając w cztery oczy, Sofia odebrała swoją komórkę cztery razy. Chciała usłyszeć najświeższe ploteczki z okolicy, zanim pojechała do domku. Czterokrotnie wyraźnie dała Monie do zrozumienia, że rozmowy ze sprzedawcą telefonów, znajomymi na urlopie i ludźmi omyłkowo wykręcającymi jej numer są dla niej ważniejsze niż rozmowa z bratową. Żadna nowość, choć było to trochę upokarzające - kilka razy z rzędu być nastawionym na tryb *stand by*.

- Ale nie znam numeru - powiedziała Mona.

- Zostanę tu do czasu, gdy pojawi się pani syn. Hartman pojedzie zawiadomić siostrę Wilhelma.

Mona była zadowolona z takiego podziału obowiązków.

Tomas Hartman zamknął drzwiczki samochodu i wziął głęboki wdech. Atmosfera w kuchni Mony Jacobsson ścisnęła go za gardło. Z ulgą wsiadł do auta. Nie wiedział, jak będzie wyglądało spotkanie z siostrą Wilhelma, ale nie mogło być gorsze niż spotkanie z wdową. Przez krótką chwilę myślał, że Mona zupełnie straci kontakt z rzeczywistością. Z bezpiecznej odległości podążał za jej myślami do samej krawędzi nad przepaścią - do miejsca, do którego zawiodły go jego własne myśli w odpowiedzi na pytania o sens życia i śmierci. Frapowało go to i napełniało większym przygnębieniem, niż gdyby po prostu płakała.

Smagane wiatrem ołowianoszare fale uderzały o pomost. Nad morzem

słysząc było coraz bardziej oddalające się głucho grzmoty. Targane przez wiatr karłowate sosny uginały się i wiły jak w katuszach. Pierwszą rzeczą, która przykuła jego wzrok, kiedy wszedł na podwórko, był zwisający w deszczu na patykach jałowca kolorowy, ciężki od wody dywanik. Hartman postawił kołnierz płaszcza i spojrzał na drewniany domek. Przez cienką, błękitną zasłonkę w oknie przebijały delikatnie czyjeś postacie. Kontury obu twarzy wyglądały jak gra cieni, blisko i intymnie. Mimo wiatru, odgłosu fal i deszczu padającego na gontowy dach był w stanie usłyszeć niewyraźne głosy. Nie powinien podsłuchiwać, ale nie czuł się jeszcze gotowy, aby zapukać. Słowa były pieścizotliwe i przesycone erotyzmem. Czuł mimowolną fascynację, choć patrząc na siebie z boku, wstydził się, że uczestniczy w czymś tak osobistym. Pocieszeniem było jednak to, że Sofia nie była sama, że ktoś obejmie ją, gdy wypowiedziane zostanie to, co nieuniknione. To jedna z trudniejszych rzeczy – wstrząsnąć czyimś światem wiadomością o śmierci i później odejść. Nie ma możliwości, aby odbudować to, co runęło, a nie można wiecznie trwać przy kimś, zapewniając mu pocieszenie. Jedynym sensownym wyjściem jest wycofać się po tym, jak ktoś inny przejmie pałeczkę. Podniósł rękę i zapukał.

- Inspektor Hartman. - Drzwi otworzyły się przed nim na oścież i wszedł do środka. Natychmiast gwałtownie mu przerwano.

- Świetnie, że mógł pan tak szybko przyjechać. W Sztokholmie wygląda to zupełnie inaczej, policjanci nie mają tam czasu, aby przyjeżdżać do tak rutynowych spraw. Nie mają po prostu na to środków. Bardzo się cieszę, że pan przyjechał.

Hartman patrzył skonsternowany na stojącą przed nim kobietę. Miała sterczące ciemne włosy i okulary w czarnych oprawkach. Nic w jej powierzchowności nie świadczyło o wycofaniu. Przeciwnie, nie mogła być bardziej bezpośrednia i wygadana. Koło kuchenki stała jej trochę bardziej krągła kopia i mieszała w miedzianym garnku. Stół przy oknie był nakryty – dwa talerze, kieliszki, polne kwiaty i zapalone świece. Hartman czuł się jak intruz.

- Która z pań to Sofia?

Kobieta przy drzwiach wyciągnęła do niego dłoń i skinęła głową.

- Nie mogę pojąć, kto mógł zrobić coś takiego? Co im z tego przyszło? Wydaje się to zupełnie bezsensowne. - Jej głos był wysoki i lekko poirytowany, daleki jednak od rozpacz. Przez chwilę Hartman nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Czy wiedzą panie, dlaczego tu jestem? - zapytał.

Sofia cofnęła się o krok i patrzyła na niego.

- To ja zawiadomiłam policję.

- Nie bardzo rozumiem.

- To ja zgłosiłam włamanie czy jak mam to właściwie nazwać. Drzwi były otwarte, kiedy przyszłyśmy, i ktoś wyrzucił dywanik przy pomoście. Był wypełniony kamieniami. Może sobie pan wyobrazić moje zdziwienie, kiedy wskoczyłam do wody i zobaczyłam na dnie stary dywanik. Może myśli pan, że to

nie powód, aby kontaktować się od razu z policją, ale ten dywanik ma dla mnie dużą wartość sentymentalną. Tak, dla Wilhelma również. Jest w nim suknia ślubna mojej prababki i wiele innych wspomnień. Zabrali również haczyk do fajerek. Nie mogę go znaleźć.

Hartman pocierał skronie, próbując ubrać myśli w słowa, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo Sofia nie przerywała.

- Nie rozumiem, co im z tego przyszło. Wandale. Na dywaniku jest wielka plama. Próbowałam ją wyszorować zielonym mydłem, a później zaczął padać deszcz. To wygląda jak krew. Możliwe, że kot sąsiada przywlókł jakieś zwierzę i je wypatroszył. Raz przyciągnął tu srokę bez głowy, a innym razem szczura. I nie mam na myśli myszy, tylko całego szczura. - Sofia pokazała rękami, jak był duży. - Może to jest to, co się wydarzyło. Ale to nie powód, aby zaraz wyrzucać cały dywanik do morza. Pytałam wśród sąsiadów. Ale nic nie wiedzą. Nikt nic nie widział. Nikt nic nie słyszał. Jak gdyby nigdy nic. Moja przyjaciółka powiedziała, że być może ten wandalizm ma związek z konfliktem wokół dzierżawy. Wilhelm ma zatargi z większością. Raz zburzył całą suszarnię. Takie rzeczy długo żyją w ludzkiej pamięci. Niech pan nie myśli, że Wilhelm jest agresywny tak sam z siebie, ale jeśli zostanie doprowadzony do ostateczności, może mieć nieciekawy humor. Mimo to można powiedzieć, że miał anielską cierpliwość do swoich bliźniaków. Niełatwo jest przygarnąć krowę z cielęciem, później urodziły mu się jeszcze dodatkowo bliźniaki. Kto wie, czy tak naprawdę są jego. Latem, kiedy chłopcy byli mali, każdej niedzieli zabierał ich na ryby, w drodze powrotnej wstępowali na śniadanie. Pełna harmonia. Całkowita cisza. To nieczęsto spotykane, żeby dzieci w tym wieku zachowywały się tak spokojnie. Wilhelm chwalił je, szczególnie Christoffera, mówiąc mu, że wkrótce będzie dużym chłopcem. Może mówił tak specjalnie, bo widział, że Olov był bardziej postawny. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu, gdy chłopcy się bili. Olov był dużo silniejszy i Christoffer zawsze lądował na dole. Ale nigdy się nie poddawał. „Poddaj się” - mówił do siedzącego na nim Olova. To było przekomiczne.

- Nie przyjechałem tu w związku z pani zgłoszeniem - powiedział Hartman, kiedy Sofia przerwała, aby spróbować sosu, który przyjaciółka podała jej na łyżeczce. - To, co mam do przekazania, to kwestia dużo poważniejsza. Słyszały panie chyba, że Wilhelm nigdy nie dotarł na stały ląd?

- Nie, Mona nic nam o tym nie mówiła. Miał chyba wrócić jakoś dziś wieczorem.

- Wilhelm nie żyje. Najprawdopodobniej został zamordowany. Znaleźliśmy jego ciało kilka godzin temu pod stosem kamieni w Vallekviør.

Kiedy zabezpieczono teren wokół domków i jeden z techników wziął pod lupę dywanik, Hartman wrócił do samochodu. Obie kobiety na tylnym siedzeniu nadal chlipały, zagłuszane przez monotony skrzek kakadu. Hartman pomyślał, że tak właśnie musi się czuć człowiek cierpiący na szum uszny.



Trygvesson siedział w swoim służbowym pokoju i patrzył bezmyślnie na krople ulewnego deszczu uderzające o asfalt. Otworzył rejestr przestępców w poszukiwaniu Wilhelma Jacobssona, choć wiedział już, co znajdzie. Jacobsson figurował tam. Dwumiesięczny wyrok za pobicie dziecka zakończył się zwolnieniem warunkowym. Kilka suchych wersów kryjących prawdziwe piekło. Obrażenia dziecka były opisane i dokładnie zilustrowane za pomocą kolorowych zdjęć. Przestraszone okrągłe oczy spoglądały prosto w obiektyw kamery, prosto w oczy osoby patrzącej na fotografię.

Pół godziny później Trygvesson zwołał wszystkich na odprawę. Przez chwilę ból głowy pozbawił go tchu. Później szmer rozmów ucichł i Trygvesson zdołał skupić na sobie uwagę reszty.

- Jak poszło w Eksta? Czy udało się zorganizować miejsce, w którym Mona będzie miała gdzie się podziać, kiedy tam się znajdziemy? Słyszałem, że nie chce być wtedy w domu. - Trygvesson wykrzywił się, połykając jednym haustem rozpuszczone treo<sup>[3]</sup>.

- Jest pewnie jakiś pokój służbowy w szpitalu, w którym pracuje. To nie jest dobre rozwiązanie, ale nie było nic lepszego do dyspozycji. Nie chce iść na zwolnienie, a powinna mieć blisko do pracy, skoro nie ma samochodu. Mogłaby też zamieszkać z synem w Martebo. Anselm dostał tymczasowo miejsce w domu opieki. - Maria wyciągnęła długopis z torebki i otworzyła notatnik na zapisanej gęsto stronie. - Mamy techniczną ekspertyzę z domku przy plaży. Na dywaniku i na drewnianej podłodze znaleziono krew, która zgadza się z grupą krwi Wilhelma Jacobssona - A Rh+. Nie było jeszcze analizy podgrupy. Materiał został wysłany do badania DNA. Prawdopodobnie Jacobsson został zamordowany w swoim domku. Ilość krwi wskazuje na to, że jeszcze żył, gdy się w nim znajdował, że krew nadal krążyła. Ślady krwi w bagażniku były zdecydowanie bardziej skąpe. Później Jacobsson został przeniesiony na kamienie w Vallekviör. Według żony opuścił dom o piątej czterdzieści pięć. O szóstej dwadzieścia pięć świadek widział samochód ofiary z innym człowiekiem za kierownicą. O szóstej czterdzieści pięć prom odpłynął. Nadal nie mamy narzędzia zbrodni.

- Mamy tu wstępny protokół z sekcji. - Trygvesson przebiegł wzrokiem papier, poruszając wargami. - Tępy cios zadany z lewej strony czaszki... narzędziem wbitym na głębokość sześciu milimetrów, wyraźnie odznacza się od reszty tkanki, z boku bardziej rozlany... Co to mogło być? Klucz francuski lub podobny przedmiot. Jakież pomysły?

- Co znajduje się w domku letniskowym: kominek, antresola, piec, sieć? - Ek zrobił szkic w swoim bloku. - Coś z wyposażenia kuchni albo sprzętu wędkarskiego?

- Haczyk do fajerek? - zaproponował Arvidsson. - Był tam piec.

- Brakowało go - zgodził się Hartman - Siostra o tym mówiła. Co facet robił w domku, skoro był już spóźniony na prom?

- Żaden z właścicieli domków, z którymi rozmawialiśmy, nie słyszał ani nie widział go tego ranka. Wilhelm parkował najczęściej samochód między budką a wioską rybacką, rzadko na parkingu od strony morza. To wszystko, co mamy do tej pory - oznajmił Trygvesson.

- Powinien zabrać ze sobą Ak 4 na ćwiczenia - zauważył Hartman.

- Żona utrzymuje, że na pewno miał ze sobą karabin - powiedziała Maria - nie było go w domu.

- Nie było go też w oplu, gdy przybył do Nynäshamn - dodał Hartman.

- Ona nadal nie jest w stanie przypomnieć sobie, jak był ubrany mąż? - Trygvesson dotknął zarostu na brodzie i pociągnął za uwierający go na szyi golf.

- A ty wiesz, co ma dziś na sobie twoja żona? - zapytała Maria.

- To nie to samo - syknął Trygvesson.

- Doprawdy? - spytała Maria i spojrzała z zaciekawieniem na Trygvessona. Ton był ostrzejszy, niż się spodziewała. Wstąpiła na niebezpieczny grunt, był to jakiś czuły punkt. Trygvesson popatrzył za okno. Jedyne, co sobie przypominał, to srebrna bransoletka, którą podarował Lillemor poprzedniego wieczora. Lillemor wyglądała tak dziwnie. Tak jakby miała się zaraz roześmiać albo rozplakać. Założyła bransoletkę, kiedy jedli kolację późnym wieczorem. Nie miał jednak zielonego pojęcia, w co była ubrana. W spódnice czy długie spodnie? Nie, stała się dla niego tak niewidoczna, że dostrzegał tylko bransoletkę. Nagle zdał sobie sprawę, że inni patrzą na niego, i odchrząknął.

- Jak myślicie, jaki mógł być motyw? Pieniądze, walka o pozycję, szantaż, zazdrość, ktoś miał broń, przemoc bez powodu?

- Jeśli to przemoc, której motywem jest tylko zwrócenie uwagi przez samotnego szaleńca na smutek i beznadziejność życia, raczej nigdy go nie złapiemy - powiedział zmęczony Hartman.

- Skontaktowałem się z urzędem podatkowym i sprawdziłem konto w banku - zaczął Arvidsson. - Wygląda na to, że żyli na granicy ubóstwa. Wszystkie ich dochody pochodziły z gospodarstwa. Na opla szkoda nawet wizyty w myjni. Czort wie, jak ten wóz przeszedł pozytywnie przegląd.

- Ja wiem - odezwał się Ek. - Rozmawiałem z technikiem w Nynäshamn. Powiedział, że znak kontroli był podrobiony - domowa robota, podobnie jak większość przeprowadzonych napraw. Czy jest coś na niego w rejestrze?

- Proces dotyczący sporu o ziemię, na którym znajduje się domek przy plaży. Zgłoszenie dokonania szkody w wiosce rybackiej. Podobno wpadł w dziki szał po przegranej w sądzie. Poza tym miał też wyrok w zawieszeniu za pobicie dziecka w siedemdziesiątym ósmym. Kary cielesne zostały zabronione w siedemdziesiątym dziewiątym. Gdyby nie to, nie uszłoby mu to tak łatwo płazem. Mona Jacobsson ma syna z poprzedniego związku. Został umieszczony po pobiciu w domu dziecka. - Trygvesson zauważył, że głos mu się zacinał. Nie był w stanie wspomnieć o zdjęciach dotyczących tej sprawy.



- Ja też przyjrzałam się trochę tym informacjom - powiedziała Maria. - Chłopiec miał zwichnięte ramię i nabawił się zapalenia płuc, po tym jak wepchnięto mu głowę w brudną wodę do picia dla zwierząt. Na widok pozostałych obrażeń widocznych na zdjęciu można się rozplakać.

Trygvesson podszedł do okna, otworzył je i zamknął oczy. Łatwiej mu się oddychało, gdy stał plecami do innych. Powinien zrezygnować z prowadzenia śledztwa, ale nie potrafił się na to zdobyć, jeszcze nie teraz. Co powiedziałyby Lillemor?

- Myślę, że wiele przemawia za zabójstwem - stwierdził Hartman. - Tak jakby pojechał do domku pod wpływem nagłego impulsu. Przyłapuje kogoś na kradzieży i zostaje pobity. Chociaż kto włamałby się do domku letniskowego? Nie mogło tam być zbyt wiele rzeczy do zabrania.

- A może umówił się z kimś? Na szybkie spotkanie - zaproponował Arvidsson. Trygvesson usiadł ponownie przy biurku. Na jego plecach widniała wielka, ciemna plama potu. Czuł, że się trzęsie. Jego myśli chciały opuścić ten pokój i trwające w nim przesłuchanie. Lillemor odeszła w nocy. Kiedy obudził się o północy, już jej nie było. Nici ze śniadania. Siedział w kuchni, nie wiedząc, co ma robić. Zastanawiał się, gdzie mogła być.

- Możemy chyba wykluczyć, że Jacobsson wziął jakiegoś autostopowicza. Tak wcześniej myślałam, ale to się nie trzyma kupy, jeśli później został zamordowany w domku - powiedziała Maria. Zdała sobie sprawę, że przygryzła kciuk - stary nawyk, który często dawał o sobie znać, gdy sytuacja za bardzo się komplikowała. - Może w pierwszej kolejności powinniśmy sprawdzić rodzinę i najbliższych krewnych. Zgadzam się z Hartmanem: jeśli to jakiś nieznajomy, który zdecydował się użyć przemocy pod wpływem chwili, raczej go nie znajdziemy. Pytanie tylko, czy nieznajomy dołożyłby takich starań, żeby ukryć ciało. W pewnym sensie Wilhelm dostąpił pogrzebu na miarę wodza.

- Co teraz? - Trygvesson położył łokcie na stole i ukrył głowę w dłoniach. - Arvidsson i Ek porozmawiają z najbliższymi sąsiadami. Nic nie poradzimy na to, że będziecie musieli to zrobić po godzinach pracy.

- Nikt nie robi sobie złudzeń po dziesięciu latach pracy w zawodzie - mruknął Arvidsson, wstając od stołu. - Miałem w planach wycieczkę do jaskini, ale na atrakcje turystyczne przyjdzie czas później. Dobrze, że nie zdążyłem kupić biletów. To może jeszcze potrwać.

Kiedy przeżyło się razem ponad dwadzieścia lat, ma się przecucie, zanim wszystko zaczyna się walić. Trygvessonowi towarzyszyło przez cały dzień jak tępy ból. Widział, jak Hartman unosi brew, zirytowany jego brakiem inicjatywy i problemami z koncentracją. Warknął do aspiranta w recepcji, rozzłoszczony jego nachalnością i nieśmiałą próbą podpytania o posadę w patrolu. Kiedy teraz o tym myślał, żałował. Przez zwykłą nieuczynność kazał mu zająć się komórką na rowery. Na pewno poskarży się innym i zyska ich poparcie. Trygvesson to cholerny dupek, stary pryk, który powinien przejść na emeryturę. Niepotrzebnie

zachował się w ten sposób.

Lillemor zostawiła go w chwili, gdy termin rozprawy dotyczącej podziału majątku był nieznany. Nie można w nieskończoność milczeć i nie pęknąć. Kiedy się obudził i zobaczył bransoletkę i pierścionek zaręczynowy na stole, nie był właściwie zdziwiony. Spodziewał się tego. W rzeczywistości poczuł nawet ulgę. Wyraziła swoje zdanie bez słów. Położyła je na stole. Tak chce żyć. Ale nie została, nie czekała na odpowiedź. Może dobrze się stało. Stwierdził, że tak będzie lepiej. Mimo to nie mógł zasnąć. Łóżko obok niego było tak krzycząco puste, kiedy zbliżał się świt. Wbrew własnemu przekonaniu nasłuchiwał dźwięku klucza przekręcanego w drzwiach, kroków, które nigdy się nie rozległy. Kiedy brzask przebijał się między żaluzjami, jeszcze nie spał. Nadszedł kolejny dzień pracy.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby to któryś z synów zatłukł faceta. Było chyba wiele krzywd, za które mogli mu odpłacić - stwierdził Arvidsson, kiedy zatrzymali się obok supermarketu Konsum w Klinte, ponieważ Ek musiał kupić parę skarpetek.

- Znęcanie się nad dziećmi zdarzało się zawsze. Ale chyba nie tak często prowadzi do zemsty i morderstwa? Nie wydaje mi się - powiedział Ek.

- Nie wiem. Nie chodzi chyba o to, że od razu napadają na swoich ojców, ale po tym, na co byli narażeni, są bardziej skłonni do rozwiązywania konfliktów, używając przemocy.

- Tak chyba było zawsze?

- Pojęcie znęcania się nad dziećmi, samo w sobie, nie istnieje bardzo długo. Oczywiście było coś takiego jak fabrykantki aniołków i morderstwa dokonywane na noworodkach, kiedy dzieci były własnością dorosłych, ale nie sądzę, aby mówiono o znęcaniu się, zanim pojawiła się możliwość prześwietlenia kręgosłupa rentgenem. W latach czterdziestych mówiono o syndromie Caffeya.

- Był rentgenologiem?

- Tak, razem z kolegą analizował złamania rąk i nóg oraz wylewy podtwardówkowe w mózгах u dzieci. Złamania były w różnych stadiach gojenia się. Jednocześnie wykluczano kiłę, szkorbut czy krzywicę. Myślano, że odkryto nową chorobę: syndrom Caffeya. Dzieci były blade i niedożywione, miały gorączkę i anemię. Znamienne jednak, że polepszało im się, gdy przebywały w szpitalu, a wracały do poprzedniego stanu - albo nawet ulegał on pogorszeniu - gdy tylko zabierano je do domu. Dopiero w latach pięćdziesiątych odkryto prawdę, że chodziło o regularne znęcanie się, a nie o jakąś tajemniczą chorobę.

- Dziwne, że dzieci nie opowiadały o tym, jak było naprawdę.

- Chyba nie miały odwagi albo też nikt im nie wierzył. Odkrycie prawdy nie jest niczym przyjemnym, szczególnie jeśli wymaga to, by zająć stanowisko i przedsięwziąć jakieś kroki.

Kiedy Ek zdecydował się na parę skarpetek w łosie i drugą w króliczki, pojechali dalej w kierunku Eksta. Na Gotlandii nie ma łosi, tylko skarpetki w egzotyczne zwierzęta. Według Trygvessona kilka lat temu ktoś przesiedlił sarny na tutejszy grunt. Nastąpił wtedy import wypadków do regionu, któremu wcześniej udało się uniknąć tej bolączki.

Pod wieczór zaczęło się przejaśniać i woda zebrana w szczelinach asfaltu mieniła się na różowo w ciepłych promieniach wieczornego słońca. Zachód słońca był tak niesamowicie piękny w swojej grze kolorów, że według Arvidssona wystarczyło to jako rekompensata za długi szary dzień.

- Może nie ma go w domu - powiedział Ek, kiedy zapukali w drzwi Henrika Dune. W domu było ciemno, ale zarówno koparka, jak i mercedes stały na podwórku. - Diesel, a cóż by innego? Wygląda na to, że ptaszek wyfrunął z gniazda.

- Zastanawiam się, jak długo jeszcze będą trwały te roboty drogowe w Tofta.  
- Arvidsson miał właśnie zamknąć za sobą drzwiczki samochodu, gdy zobaczył, jak drzwi na południowym szczycie domu powoli się otwierają.

- Nigdy nie zdarzyło mi się, żeby tak mili goście wchodzili do mnie przez kuchnię. Proszę wejść. - Henrik otworzył drzwi na oścież i zaprosił ich do środka. - Co mogę dla panów zrobić?

- Chcieliśmy zadać kilka pytań w związku z Wilhelmem Jacobssonem. Możemy wejść?

- Tak myślę. Proszę. Jedli już panowie kolację? - Z wnętrza dochodził przyjemny zapach smażonych grzybów. - Jeśli to chwilę potrwa, to załapią się panowie na poczęstunek. Jest tyle, że wystarczy dla wszystkich. To dumna czubajka kania. Jeden kapelusz wystarczy na cały obiad. Chleb żytni dostałem od Mony. Pomogłem jej w przyjęciu cielaka. Rozpoczął życie w pozycji odwróconej. Ale wszystko dobrze się skończyło. Próbowaliście już napoju gotlandzkiego?

- Nie, ale nie trzeba mnie długo przekonywać - odparł Arvidsson, rozglądając się po przestronnej kuchni.

Zamiast zasłonek wzdłuż okiennic wił się bluszcz, stół był zrobiony z masywnego dębu i nie leżał na nim obrus ani nic, co świadczyłoby o kobiecej ręce. Wszystko było tu proste i funkcjonalne, nawet ułożone w stosy gazety na krzesłach. Dzięki nim siedzenie było miękkie i nie brudziło się. Sposób na przechowanie gazet i poduszka - dwa w jednym. Wystarczyło przewrócić stronę, jeśli coś się rozlało.

- Pachnie fantastycznie - powiedział Ek, który uważał, że każdy, kto potrafi usmażyć kiełbasę, nie przypalając jej, jest mistrzem kuchni. Henrik postawił na stole szklanki i talerze, jednocześnie wyrażając ubolewanie nad okropieństwem, które się wydarzyło.

- Co się z nią stanie? Jak poradzi sobie ze wszystkim sama? - westchnął Henrik. Domyślili się, że miał na myśli Monę. - Obiecałem, że zajmę się oborą, kiedy będziecie prowadzić tu śledztwo. Ale później... nie sądzę, żeby któryś z synów chciał przejąć gospodarstwo. - Henrik zrobił gest zapraszający do stołu.

- Jeśli jesteśmy dobrze poinformowani, to należy pan do tej samej grupy w formacji samoobrony. Ale tym razem nie pojechał pan z nimi na zawody - stwierdził Arvidsson.

- Nie, musiałem zająć się pracami drogowymi w Tofta. To nie mogło poczekać. Roboty drenażowe. Sami widzieliście. Mam zdecydowanie za dużo pracy. Trzeba, jak to mówią, ruszyć tyłek i wziąć się do roboty. Będę musiał kogoś zatrudnić. Ale wiecie, z czym to się wiąże, cholerne papiery. Na pewno nie oszczędza się czasu, wypełniając masę formularzy, prowadząc negocjacje ze związkami i tak dalej.

- Kiedy ostatnio widział pan Wilhelma? - zapytał Ek, biorąc nóż do masła.  
- Spodziewałem się, że panowie o to spytają, więc myślałem o tym. To było

wieczorem przed jego wyjazdem na zawody. Widzieliśmy się w wiosce rybackiej. Miał właśnie wypłynąć łodzią, kiedy wyszedłem na ląd. Strasznie kaszlał i pluł na ziemię. Wydaje mi się, że spluwał krwią. Na pomoście były plamy krwi. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Rzadko rozmawiamy. Tylko jeśli to konieczne.

- Dlaczego?

- Kiedyś zamknąłem go w wychodku. Był pijany i stracił kontrolę nad sobą, chciał iść do domu i stłuc swoją żonę. To było chyba dziesięć lat temu, ale jest pamiętliwy. Najbardziej dotknęło go to, że Mona go nie szukała, gdy tam siedział. Płakał jak dziecko, że już jej nie obchodzi. Proszę spróbować napoju. Sam go zrobiłem. Nie jest zły. - Twarz korpulentnego operatora koparki rozpromienił dumny uśmiech. - Tak - mówił dalej, gdy Ek, wykrzywiając się, pociągnął łyk. - Tak się zaniepokoił tym, że go nie szukała, że poszedł na łąkę i nazbierał dla niej kwiatów, kiedy go wypuściłem. Rozeszłoby się to pewnie po kościach, gdybym nie przyłapał go na zbieraniu. Kiedy mnie zobaczył, wrzucił zielsko do rowu i podeptał je. To był dla niego zbyt duży wstyd. Od tego czasu nie rozmawiał ze mną.

Henrik roześmiał się głośno i dolał napoju Arvidssonowi. Jego twarz i czubek głowy lśniły od ciepła i smażonego tłuszczu. Patelnia duszonych grzybów wylądowała po chwili na stole na służącej za podkładkę gazetce.

- Słyszał pan, jak Wilhelm odjeżdżał rano?

- Nie, byłem na wzgórzu i stawiałem ogrodzenie przy owczarni, później miałem jechać na budowę. - Henrik podwinął rękaw koszuli, pokazując długą szramę po wewnętrznej stronie ręki. Była zaczerwieniona i wyglądała na podrażnioną. - Skaleczyłem się o drut kolczasty, zaczął rdzewieć i trzeba było go wymienić. Kiedy przyszedłem do domu, na górze u Anselma jak zwykle świeciło się światło.

- Która mogła być godzina?

- Może siódma. Mona na pewno zdążyła już pojechać do pracy. Nie stała w każdym razie na przystanku. Tak, w nocy... nie wiem, która była godzina... w środku nocy usłyszałem, jak Anselm wyje jak jakiś buczonek przeciwmgielny. Muszę powiedzieć, że drze się bardziej niż mój nowy kogut. Dzieje się tak wtedy, gdy ma sny o wojnie.

- Wie pan, czy Wilhelm zabrał ze sobą jakąś broń na zawody? - zapytał Ek.

- Musiał mieć ze sobą swoje Ak 4.

- Czy wie pan, gdzie zazwyczaj trzymał broń w domu?

- Nie mam zielonego pojęcia. Nigdy nie byłem w ich domu.

- Nigdy nie był pan w domu najbliższego sąsiada? - Arvidsson odstawił szklanekę i popatrzył ze zdziwieniem na gospodarza.

- Nie. Nie sądzę, aby oni zadawali się z kimkolwiek z wyjątkiem Svei - rejonowej pielęgniarki. Svea już nie żyje. Dziś rano czytałem nekrolog. To dopiero była kobieta. Próbowałem zapraszać do siebie Jacobssonów kilka razy, ale nigdy nie przyjęli zaproszenia.

Henrik pokroił resztę chleba dużym nożem myśliwskim i podał każdemu po grubej pajdzie.

- Chociaż spędzaliśmy miło czas podczas zjazdów formacji. Można powiedzieć, że nasze ostatnie ćwiczenia na wyspie Fårö wykraczały ponad standard. Podzieliliśmy się na dwie flanki, żeby dostać się na tereny wroga na mokradłach Limmoträsk. Jest tam mnóstwo ptaków i bujnie kwitnących terenów. I się, cholera, prześlizgnęliśmy. Cicho jak cienie. Wilhelm szedł ze wschodu, a ja z zachodu, żeby ich otoczyć. Wiedzieliśmy, że tłoczą się tam na górze w jakimś zagajniku. Słyszeliśmy, jak się naradzają. Szepczą. Knują spisek. Słuchaliśmy uważnie z naszej kryjówki. Kiedy zobaczyłem Wilhelma, ruszyliśmy do ataku. Otoczyliśmy wroga bezszelestnie, przewidując ich poczynania. Wtedy Wilhelm wystrzelił w powietrze, a oni wyskoczyli ze swojego miłostnego gniazdka nadzy, jak ich Pan Bóg stworzył. To była nauczycielka z Visby i radny, którzy pobłądzili. Jeśli potrafisz się zacząć na parę kochanków splecionych w objęciach zdrady, można się mianować prawdziwym żołnierzem.

Henrik podniósł ceber i nalał Ekowi, który chyba przyzwyczył się do smaku.

- Zdarza się, że od czasu do czasu otrzymujemy w policji zgłoszenie o stojącym gdzieś opuszczonym samochodzie. Jeśli szyba jest zaparowana, zazwyczaj odczekujemy chwilę, zanim wkraczamy. Kto wie, ile odwagi ich kosztowało, żeby do tego doprowadzić - powiedział Ek ze śmiertelną powagą.

- To prawda, życie w tandemie nie jest zbyt łatwe - zauważył Henrik i pokrył obficie kromkę chleba duszonymi grzybami.

- Pan nie był nigdy żonaty? - Arvidsson próbował przypomnieć sobie informacje, które znalazł w spisie powszechnym przed ich wyjazdem.

- Nie, kiedyś chciałem, ale jednak nic z tego nie wyszło. A panowie?

Arvidsson napił się. Nie spodziewał się takiej riposty. Ek roześmiał się głośno bez skrępowania.

- Jest pan w towarzystwie zatwardziałych kawalerów, Henriku Dune.

- To, czego mi chyba najbardziej brakuje, to dzieci. Syna. Kiedy chłopcy Mony byli mali, czasami wpadali do mnie. Najczęściej Olov. Od południowej strony zasadziłem dla każdego z nich po drzewie, aby mogli się nim opiekować. Gruszę dla Arnego, śliwę dla Olova i jabłoń dla Christoffera. Minęliście je, gdy weszliście przez drzwi kuchenne. Wilhelmowi się to nie podobało. Próbował rozwalić drzewo Christoffera, gdy któregoś dnia mały przyniósł do domu jabłko. Nigdy nie zagoiło się do końca od tamtego czasu. Zastanawiam się, czy zdoła przetrwać zimę. Liście zdążyły już żółknąć. Zdarza się, że Olov ciągle jeszcze tu zagląda, kiedy jest w domu. Ale niezbyt często. On i Wilhelm ostatnio nie dogadywali się najlepiej. Kiedy Olov był dzieckiem, Wilhelm nie miał czasu, aby odpowiadać na jego pytania. Inaczej rzecz się miała z Christofferem - tego zabierał wszędzie, żeby uczynić z niego mężczyznę. Christoffer był starszy i Wilhelm zdecydował, że to on przejmie gospodarstwo. Czasami tracił kontrolę nad sobą. Ale poza tym był porządnym facetem. Nie powinno się mówić źle o zmarłych. Wilhelm dotrzymywał słowa. Pod tym względem był w porządku.

Obietnica to obietnica, a uścisk ręki to uścisk ręki. Ale poczucia humoru to on nie miał.

Henrik dolał napoju i zdjął patelnię ze stołu, żeby zrobić więcej miejsca dla swoich rąk.

- Ostatnimi czasy Olov stawał się coraz bardziej przygnębiony. Kiedyś, kiedy jeszcze był z Birgittą, miał się lepiej. Wtedy często przyjeżdżał do domu. Birgitta miała podejście do Wilhelma. Czasami nawet potrafiła go rozśmieszyć. Słyszałem ich, gdy siedzieli w altanie. Chwaliła umiejętności i wiedzę Wilhelma. Myślę, że naprawdę jej imponował. Pytała go o radę co do wszystkiego, co na ziemi i w niebie, a on - aż trudno uwierzyć - miał zdanie o damskiej modzie, muzyce dysko i gwiazdach telewizyjnych. Nie można było się nie dziwić. Myślę, że był w niej trochę zadurzony. Jeśli Mona czuła się zazdrosna, to nie pokazywała tego po sobie nawet grymasem. Trudno rozgryźć Monę. Ogólnie kobiety. Co sobie myślą. Sądzę, że powód, dla którego Birgitta zostawiła Olova, to jego ciągle rozmyślanie. Olov był kierowcą karetki i chyba to, co widział, okazało się ponad jego siły. Podobnie jak w wypadku jego dziadka, Anselma. Facet jest bardziej wrażliwy, niż można przypuszczać.

- Czego dotyczyły te przemyślenia?

- Były tak głęboko filozoficzne, że czasami nie nadażalem. Myślę, że czułem się tym trochę zawiedziony. Dotyczyły życia i śmierci. „To, dla czego warto żyć, warte jest również tego, aby za to umrzeć” - mówił czasem, nie tłumacząc tego dalej. „To byłoby tak proste, gdyby był jakiś sens. Jeśli nie ma dla czego umierać, nie ma też dla czego żyć. Czy jest w ogóle jakiś sens w życiu?” - potrafił tak gadać i gadać, aż mieszało się w głowie. „Może dopiero w cieniu śmierci życie zyskuje swój sens” - mawiał. Niepokoiło mnie to, muszę powiedzieć. Nie wiedziałem, jak mam reagować, i częstowałem go wtedy jednym głębszym.

- Czy to, co pijemy, to jest zwykły, słaby trunek? - zapytał Arvidsson, odmawiając dolewki. - Może mi się wydaje, ale nie czuję się całkiem trzeźwy.

- Proszę się nie obawiać. Nikt jeszcze nie wylądował na tamtym świecie po wypiciu napoju gotlandzkiego. *À propos* jazdy po pijaku, to powiem panom, że na promie ostrzegają się wzajemnie, gdy policja znajduje się w drodze na prom. W tym kraju panuje całkowite bezprawie. Trzymają przeciw siłom porządkowym. Czy Trygvesson o tym nie opowiadał?

- Nie - odparł Ek, który przeprowadzał właśnie prosty test alkoholowy polegający na złączeniu dwóch wskazujących palców.

- Przyjechali na Fårö tej wiosny i zobaczyli całkowicie zdemolowany samochód w rowie. Nikt nic nie widział. Nikt nic nie słyszał, a właściciel nic nie rozumiał, kiedy przyjechała policja. Ale ja wiem, jak do tego doszło - powiedział Henrik i zamyślił się.

Ek, którego palce wskazujące minęły się o ponad dziesięć centymetrów, wyglądał jednak na bardziej zamyślonego.

- Właściciel samochodu był na przyjęciu - ciągnął Henrik. - Napój gotlandzki

łał się strumieniami. W Skär rzadko kiedy schodzą poniżej siedemnastu procent. Imprezowanie skończyło się tak fatalnie, że samochód wylądował w rowie. Facet wyczołgał się z wozu i poszedł do domu. Ale chciał przyprowadzić auto z powrotem. Tak więc usiadł za kierownicą swojej ładowarki i pojechał na miejsce wypadku. Próbował wydostać samochód za pomocą widelców, ale upuścił go z powrotem do rowu. Spróbował ponownie. Nie poszło ani trochę lepiej. Wtedy tak się wkurzył, że podniósł maksymalnie widelce i opuścił je z powrotem do rowu na dach samochodu, tak że zupełnie go zgniótł. Powtarzał to raz za razem, tak jak robi się piure ziemniaczane. W takim stanie znalazł samochód Trygvesson. Ale nikt, jak już mówiłem, niczego nie widział.

- Co my teraz, kurczę, zrobimy, Arvidsson? - zarechotał Ek. - Będziemy musieli chyba zostawić samochód tutaj. Jestem zupełnie pijany.

- Mogę panów podwieźć do Visby - zaoferował się gościnnie Henrik.

- Nie, proszę się nie kłopotać z naszego powodu - powiedział Arvidsson i wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Ekiem. - Musimy znaleźć inne rozwiązanie. Tylko w tej chwili myśli mi się odrobinę ciężko.

- Możemy poprosić Wern, żeby po nas przyjechała. Ona nic nie powie. - Ek leżał na stole i śmiał się, aż z oczu płynęły mu łzy.

- To nie jest aż tak cholernie zabawne! - obruszył się Arvidsson i szturchnął go. - Zostaw ten telefon. Zamienisz choć słowo z Wern, a uduszę cię twoim własnym krawatem.

- Możecie tu przenocować. Jest mnóstwo miejsca.

- Jesteśmy, do diabła, na służbie. Co, jeśli będziemy musieli jechać na jakieś wezwanie? - Arvidsson podniósł się gwałtownie i chodził w tę i z powrotem chwiejnym krokiem. Od czasu do czasu rzucał poirytowane spojrzenie Ekowi, który nie mógł opanować rechotu.

- Jeden z was może pożyczyć mój rower. Nikt jeszcze tu nie wpadł z powodu jazdy na rowerze po pijaku.

- Możesz podrzucić mnie do miasta, Arvidsson, mogę cię objąć w twojej cienkiej talii. Mój ty Rycerzu Stalowego Konia, zabierz mnie bezpiecznie do Kneippbyn.

- Zamknij się! Nie ma pan jeszcze jednego roweru do pożyczenia?

- Możemy sprawdzić w szopie Mony. Tam powinno być ich kilka do wyboru. Choć może to jest już teren zamknięty, zabezpieczony przez waszych kolegów. Niech panowie sami go przyprowadzą. Szopa nie jest na pewno zamknięta na klucz.

- Przejażdżka rowerem w świetle księżyca. Zdarzały się gorsze rzeczy w życiu. - Ek jechał obok Arvidssona na rowerze Henrika. Arvidsson znalazł przedpotopowy męski rower z wielkimi kołami i skrzynką na narzędzia pod bagażnikiem. Rower należał do Anselma. „Z dwiema amputowanymi nogami raczej nie będzie za nim tęsknił” - jak cynicznie zauważył Henrik.

- Wiesz, co mi powiedział Henrik Dune, gdy wyszedłeś?



- Nie. Zapewne nie wiem - mruknął wciąż naburmuszony Arvidsson.
- Że zawsze miał lekką słabość do Mony. To może motyw dobry jak każdy inny, żeby kogoś zamordować.
- Nie w kraju, w którym rozwody są raczej regułą niż wyjątkiem.
- Zakładając, że chciała się rozwieść - odparł Ek.
- Henrik był zdecydowanie lepszą partią niż Wilhelm, uważam. Może ona nie wiedziała, że istniała taka możliwość.
- No. Właśnie tak. On nie odważył się, aby jej to wyznać. Przez dwadzieścia pięć lat. Brawo, Arvidsson. Jesteś bardzo blisko rozwiązania zagadki.

Anselm siedział owinięty kołdrą i rozglądał się zamglonym wzrokiem, z zaciętą miną. Nasłuchiwał odgłosów w nowym otoczeniu.

- Przecie mówiłem, że chcę mieć swoje ubrania, ale wiedźma mianująca się przewodniczącą ukradła moje portki - powiedział podniesionym głosem, gdy usłyszał dobrze mu znane kroki Mony w pokoju. - Spytałem, czy nie chce wślizgnąć się mnie do łóżka i mnie trochę ogrzać, ale wydeła tylko usta i wyszła. Obaj tu byli, Christoffer i Olov.

Kolega z łóżka naprzeciwno z podekscytowanym uśmiechem usiadł na posłaniu. Bałagan i tumult, jaki spowodował w ciągu dnia Anselm, stanowiły niewątpliwie najlepszą rozrywką od czasów, kiedy z okazji świętej Łucji odwiedził ich chór żeński Lilje Saronu. Algotowi, który pojechał do domu w zeszłym tygodniu, wydawało się, że wylądował w niebie, gdy zobaczył światło i białe stroje. Na widok chóru wybuchnął płaczem. Uspokoił się dopiero, gdy włożono mu okulary. Później ogarnął go strach przed czymś zgoła przeciwnym. Doznawszy religijnego uniesienia, poczuł, że czas już pojechać do domu, spisać testament i przekazać swe oszczędności najbardziej potrzebującym w parafii. Anselm jako współlokator obiecywał równie dobrą zabawę.

- Chodź tu, Mona, i zróbże coś, bo zaraz odmrozi mi tyłek.  
 - Myślę, że zabrali spodnie do prania, tato.  
 - Nikt przecie nie prosił ich o moczenie mojego odzienia. Osobiście napiszę list do Bengta Westerberga. To jakieś bezprawie.  
 - Nie jest już przewodniczącym partii - poinformował go współlokator.  
 - Nie? To dobrze, bo będzie miał czas, by tu przyjechać i zobaczyć, jak się obchodzą z moją własnością. Nie myślę zostać tu ani minuty dłużej. Dzwonźże po taksówkę, Mona!

- Mogę przynieść ci kawę i włączyć radio, jeśli chcesz.

Anselm zamruczał coś niewyraźnie, a kolega z pokoju wyglądał na zawiedzionego, widząc, że przedstawienie, które wydawało się tak obiecujące, miało się teraz zakończyć za obopólną zgodą.

- Przynieś mu cukier do kawy - powiedział prowokującym tonem współlokator. Mona udawała, że nie słyszy. Specjalnie umieściła Anselma na oddziale tak odległym od jej własnego, jak to możliwe. Mogła go odwiedzać, ale nie musiała być za niego odpowiedzialna. Była to dla niej duża ulga.

- Mona, tu jesteś.

Mona zobaczyła zmierzającą szybkim krokiem w jej stronę oddziałową, lawirującą pomiędzy metalowymi wózkami z pieluchami i nerkami. Nie było gdzie uciec. Najprawdopodobniej sprawa dotyczyła tych przeklętych studiów pielęgniarских. Tak jakby nie wystarczyło jej to wszystko, czego doświadczyła w szkole jako dziecko. Dlaczego musiała ponownie przechodzić przez to jako dorosła? Mona zauważyła w rękach oddziałowej papierową torbę. Kołysała się z każdym jej krokiem. Nie wyglądała jak torba z książkami. Raczej jak torba,

do której pakuje się rzeczy pozostałe po zmarłym, zanim zostaną przekazane rodzinie.

- Co za szczęście, że udało mi się cię znaleźć. Słyszałam, że położyli tu twojego ojca. Bardzo mi przykro z powodu Wilhelma. To naprawdę straszne.

- Tak. - Mona czekała z uwagą na ciąg dalszy.

- Wiem, że byłaś blisko ze Sveą z dwunastki.

Mona próbowała ukryć strach, patrząc na zegar, tak jakby strasznie się gdzieś spieszyła. „Co też powiedziała im Svea?”

- Rozmawiałam z córką jej kuzyna. Trudno było się z nią skontaktować. Nikt nie chce zabrać ubrań Svei. Może ty mogłabyś się nimi zająć? Jeśli ich nie chcesz, wystarczy wysłać je do sklepu z używanymi rzeczami. Co ty na to? Rozumiem, że to może nie jest odpowiedni czas, ale chciałam cię spytać, zanim wyrzucę je do zsypu.

Mona pokiwała głową. Nie była w stanie odpowiedzieć. Bez słowa wzięła torbę, odwróciła się i poszła w kierunku klatki schodowej. Ubrania Svei w zsypie. Tej, która tak bardzo dbała o swój ubiór. Mona zajrzała do torby. Wspomnienia opanowały ją silniej, niż się spodziewała. Widziała jak przez mgłę. Chciała zostać sama. Szybkim krokiem ruszyła do pokoju służbowego, który miała do swojej dyspozycji na czas, gdy policja przeszukiwała jej dom. Noga bolała ją przy każdym kroku, czuła pulsujące rwanie w łydce. Rano zdjęła bandaż, żeby zobaczyć ranę. Była bardzo zaczerwieniona, podrażniona i obrzęknięta. Prawdopodobnie wdało się zakażenie. Powstał ropień. Będzie musiała znowu ją otworzyć i upuścić trochę ropy, zanim sytuacja się pogorszy. Miała na górze butelkę spirytusu i żyłkę.

Pokój służbowy znajdował się po przeciwnej stronie strychu. Monie zupełnie nie podobało się to, że musiała tam zamieszkać. Pokój był dobrze wyposażony. Jarzeniówki na suficie, łóżko, stół i ekspres do kawy. Pomalowane na biało ściany. Światło przy wejściu na strych nie działało. Nie dalej niż wczoraj wieczorem rozmawiała o tym z dozorcą, ale miał kilka innych rzeczy do zrobienia. Drzwi wejściowe na strych były ciężkie. Mona musiała postawić torbę na podłodze i pociągnąć obiema rękami. Gdy udało się uchylić drzwi, dalej było już lżej. Skąpe wieczorne światło wpadające przez brudne okno na suficie ukazało osobliwy widok starych wózków inwalidzkich, skórzanych protez nóg, starych foteli bujanych i otwartej skrzyni z zestawem do mycia ze stali nierdzewnej. Tak wiele ludzkiego cierpienia kryło się w tych przedmiotach.

Deski podłogowe trzeszczały, kiedy po nich szła. Strych podzielony był na boksy dla każdego oddziału. Ozdoby świąteczne i wielkanocne wymieszane były z butlami tlenowymi, przenośnymi sedesami i metalowymi barierkami łóżek, które trudno było rozróżnić w ciemności. Mona szła ostrożnie, dotykając rękami chropowatego drewna. Za jej plecami rozległ się cichy szelest, który sprawił, że po karku przeszedł jej dreszcz. Bała się odwrócić. Ostatnimi czasy tak często wydawało jej się, że słyszy oddech Wilhelma. Świszczący dźwięk w klatce piersiowej, kiedy upadł na ziemię. Teraz słyszała go znowu i wydawało jej się,

że z rogu wyłaniają się cienie i wchodzi jej pod skórę. Jeszcze kilka kroków i będzie przy drzwiach dyżurki, gdzie zapali światło. Jak przyjemnie będzie zamknąć drzwi i zostawić za sobą ciemność strychu. Coś zabręczało i Mona poczuła na ustach silną dłoń. Ktoś przywarł do niej i popchnął ją gwałtownie ku drzwiom do pokoju. Rozpoznała jego zapach.

- Bałem się, że zaczniesz krzyczeć - powiedział, gdy zamknął za sobą drzwi na klucz.

- *Zabiłeś Sveę* - wyszeptała z goryczą. - Jak mogłeś to zrobić? Czy nie lepiej powiedzieć, jak było naprawdę? Że to, co zdarzyło się w domku, to był wypadek? Przecież nie chciałeś tego. Potwierdziłabym, gdybyś o to poprosił.

- Czy kogoś zastanowiła ta śmierć? Powiedziałaś, że nie będzie sekcji. Czy zmienili zdanie?

- Nie, ale unieszczęśliwiasz się w ten sposób - zaśmiała się sucho.

- Co zrobiłaś z haczykiem? Wyrzuciłaś go do morza, tak jak prosiłem? - Mona nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. - Co z nim zrobiłaś?

- Włożyłam go do skrzynki pod siodełkiem roweru Anselma.

- Co ty, kurwa, mówisz? Co za cholerna głupota. Wytarłaś przynajmniej swoje odciski palców?

- Chyba nie. Co mam zrobić? Rower stał w szopie, a teraz jeden z policjantów jeździ sobie na nim. Odkryją ten haczyk. Czy nie możemy powiedzieć, co się naprawdę stało? Nie dam już dłuższej rady. Nigdy nie dadzą mi spokoju ze swoimi pytaniami. - Mona opadła na łóżko i rozplakała się. - Możemy równie dobrze dać za wygraną. Nie da się zatrzeć wszystkich śladów. Teraz będzie już tylko gorzej.

- Weź się w garść, do cholery! - Popatrzyła na jego stężałą, bladą twarz. Na żyłę na jego czole, która nabrzmiwała, gdy się denerwował. Na oczy i czarne źrenice. Chwycił ją mocno za nadgarstek. - Zabiję cię, jeśli wygadasz.

Mona z trudem łapała oddech. Ujął ją pod brodę.

- Zabiję. - Świdrował wzrokiem jej oczy, czekając na odpowiedź.

- Nic nie powiem - szepnęła.

- Dobrze. Spróbuję załatwić sprawę haczyka. Odezwe się.

Chciała go objąć i zobaczyć, jak jego twarz łagodnieje. Ale nie miała odwagi. Równie dobrze mógł ją uderzyć, jak też przyjąć wyrazy jej czułości. Nic z tego nie wyszło. Zobaczyła, jak zamyka za sobą drzwi na klucz. Przez jeden pełen drżenia moment wydawało się, jakby nigdy go tu nie było. Mona siedziała nieruchomo, gdy zapadał zmrok. Sparaliżowana słuchała monotonnego brzęczenia wiatraka i własnego oddechu. Wolno błędziła wzrokiem po pokoju, aż zatrzymała spojrzenie na torbie z ubraniami Svei. Wysypała zawartość torby na łóżko. Czarna sukienka ze sztucznej tkaniny, granatowy strój z koronkową bluzką, która kiedyś była biała, a także gruby zimowy płaszcz, futerał na okulary i mała torebka z przyborami toaletowymi. To wszystko, co pozostało po całym ludzkim życiu.

Najpierw Svea przeprowadziła się z domu do małego,

dwudziestoczworometrowego mieszkania, później do domu opieki, gdzie wszystko, co posiadała, miało się zmieścić w wąskiej szafie i szufladzie szafki nocnej. Mona pogładziła dłonią niebieski żakiet z wyszywanym perłami kołnierzykiem. Do tego materiału przytknęła kiedyś głowę i rozplakała się. Płakała ze smutku i bezsilności, kiedy odebrano jej Arnego. Tak samo płakała również, gdy Olov siedział zamknięty w nocy w piwnicy. A także kiedy Christoffer zemdlął ze zmęczenia na ganku po całym dniu pracy w lesie; również wtedy Svea tam była.

O jakich to tajemnicach szeptała Svea? Czy jej dni stawały się mniej szare dzięki fantazjowaniu? Za niezachowanie milczenia została ukarana śmiercią. Czy miała jeszcze jakieś inne sekrety? Mona wzięła do ręki wełniany płaszcz. Plastik na guzikach zniszczył się i częściowo podpadał. Materiał na łokciach przetarł się tak, że prześwitywała przez niego wiśniowa podszewka. W dolnym rogu przyszyta ręcznie lamówka była wyraźnie grubsza. Gdy Mona ją ugniatała, szeleściło cicho, jakby znajdował się tam papier. Może pieniądze? Być może gdy całe istnienie kurczy się do rozmiarów papierowej torebki, ma się większą skłonność do ukrywania resztek swoich zasobów.

Mona przyniosła żyletkę i rozpruła szew, mając nadzieję na znalezienie pieniędzy. Wyjęła coś, co wyglądało jak zwinięty w rulon kawałek gazety. Ostrożnie rozwinęła stronę tytułową gazety „Gotlands Allehanda” z datą czwartego kwietnia 1921. Pierwsza połowa tekstu na stronie zakreślona była czerwonym kółkiem. Dalsza część artykułu znajdowała się na następnej stronie sklejonej z poprzednią. Mona rozdzieliła je ostrożnie żyletką. Zdarzył się tragiczny wypadek na porębie w Buttleskogen. Mężczyzna wpadł pod walące się drzewo i zginął. Rozpoznała imię dziadka Wilhelma, który znalazł w nocy martwego brata. Pracowali ramię w ramię przez cały dzień, ale dziadek Wilhelma pojechał rowerem do domu nieco wcześniej. Na pożółkłym zdjęciu widać było starego Jacobssona z pochodnią w rękę; tak bardzo przypominał swoimi ostrymi rysami Wilhelma. Zmarły brat nie miał żadnych dzieci na utrzymaniu.

Następna strona miała jeszcze wcześniejszą datę i w jej lewym rogu widniała zaledwie krótka notka. Była to piętnasta strona gazety z dwudziestego marca 1921 roku. Notka dotyczyła sporu o spadek - o kawałek ziemi niedaleko wioski rybackiej Kronvalls w Eksta. Stronami były stary Jacobsson i jego brat. Wyrok sądu zapadł na korzyść brata. Ostatnia kartka na samym dole była prawie nieczytelna. Przy większym wysiłku można było domyślić się niektórych części, pochodziła z siódmego listopada 1937 roku. Jeszcze jeden tragiczny wypadek. Dziadek Wilhelma jechał konno. Koń przestraszył się i spłoszony wpadł do rowu. Jacobsson zostawił po sobie wdowę i syna w gospodarstwie w Martebo. Mona zawiedziona złożyła razem strony gazety. Nic, czego by wcześniej nie wiedziała. Wilhelm niechętnie mówił o swoim dziadku, o swoim ojcu właściwie też. Raz spytał, skąd stary Jacobsson wziął pieniądze na kupno gospodarstwa w Martebo. Svea powiedziała, że zapłacił za nie gotówką. Wilhelm nie

zareagował na to. Przez cały dzień milczał. Ona nigdy więcej nie poruszyła tego tematu.

Mona przygotowała się do spania. Wszystko, co zabrała ze sobą z domu w Eksta, zapakowała w asyście policji pod ich baczna kontrolą. Nic nie uszło ich uwadze, poza kluczem do sejf, który ukryła w staniku. Poczucie przyzwoitości nie pozwoliło im na rewizję bielizny wdowy w żałobie. Wyjęła go i zamyśliła się, obracając w palcach. Czy policja zorientuje się, że Wilhelm miał swój własny sejf w banku? Prawdopodobnie. Czy będą mieli pozwolenie na przeszukanie jego zawartości? Sądziła, że tak. Ona sama nigdy nie była w banku. Wilhelm zajmował się tym wszystkim. Miała tylko podpisać pełnomocnictwo i później nie musiała zawracać sobie głowy liczbami. W ten sposób stała się niewolnicą własnej ułomności. „Dyskalkulia” - jak orzekł dyrektor, potrząsając głową, w odpowiedzi na jej nierealistyczne plany dotyczące dalszych studiów pielęgniarstwa. Liczby nigdy jej nie kochały. Nawet w chwili obecnej sprawiały jej zawód. Jaki był szyfr do sejf? Przy odrobinie szczęścia mogło się okazać, że Wilhelm odłożył trochę pieniędzy. Nie zostało jej ich wiele, a do następnej wypłaty było jeszcze daleko.

- Proszę popatrzeć na te talerze. Już po raz trzeci zamawiam dostawę do domu i to ma być najlepszy sort! - Vega rzuciła papier z opakowania na podłogę i podniosła biały talerz z kwiecistym wzorem. - Kupiłam na prezent ślubny Birgittie cały serwis, ale na szczęście otworzyłam pudło przed zapakowaniem. Może sobie pani wyobrazić? Jedna trzecia serwisu miała jakieś usterki. Oddałam go więc z powrotem do sklepu i zamówiłam nowy. Kiedy po raz drugi pokazałam go sprzedawcy, obejrzał talerze z każdej strony. Na glazurze były pęcherzyki i nierówności. Jeden z talerzy wyszczerbiony z boku. „Usterki to kwestia subiektywna!” - tak powiedział. Jakby to było kwestią gustu, czy chce się kupić uszkodzoną zastawę, czy nie. Muszą przyjąć ten zwrot, a następnym razem zamierzam zostać w sklepie i przy nich rozpakować naczynia, żeby zobaczyli, że nie uszkodziłam ich sama dla zabawy.

- Naturalnie - wtrąciła Maria, kiedy zauważyła, że Vega oczekuje na jej reakcję.

- W dodatku nie wiem jeszcze, co będę miała na sobie na weselu. Pewnie jakiś stary łach. Kiedyś nosiłam plisowaną spódnicę i miałam gładką twarz, teraz jest dokładnie odwrotnie. Gładka spódnica i zmarszczki. Ale trzeba się zestarzeć, żeby zobaczyć przyszłość. Gdybym nosząc kapelusz, nie wyglądała jak obgryziony paznokieć na kciuku, pewnie myślałabym, że wyglądam elegancko. Nie zmieszczę się już w strój ludowy.

- Słyszałam, że ślub został przesunięty.

- Tak, na przyszłą sobotę. Wielkie szczęście, że udało się przełożyć rezerwację w pensjonacie Fridhems.

- A co się stało? - spytała Maria.

- Oficjalnie Birgitta ma grypę. Ale myślę, że to coś poważniejszego. Nie chce o tym mówić. Myślę, że rozważa swój wybór, a teraz wszyscy już kupili prezenty, lokal jest wynajęty, suknia gotowa. To niełatwe. Martwię się o nią. Gdy była mała, wszystko mi mówiła. Zawsze była bardzo otwarta. A teraz milczy. To trudne patrzeć, jak źle się z tym czuje. Nawet nie odbiera telefonu.

- Rozumiem, że się pani niepokoi.

- Słyszałam od jej matki, że wybiera się do Gutekällaren dziś wieczorem. Ja, stara baba, raczej nie pójdę na dyskotekę, ale pomyślałam sobie, że może pani... mogę zafundować wstęp. Proszę, to tak wiele dla mnie znaczy, żeby dowiedzieć się, co u niej. Wiem, że jestem starą wariatką. - Vega wykręcała dłonie na kolanach i patrzyła błagalnie na Marię. - Bardzo proszę.

Noc była jeszcze młoda i Maria przechadzała się po zaułkach Visby w towarzystwie Arvidssona i Eka. Na Strandgatan był spory tłum. Maria musiała przystanąć przy Starej Aptece, żeby przepuścić dwa wózki z dziećmi. Łatwo było przenieść się myślami do średniowiecza. Oczami duszy zobaczyła strażnika, który trzymając w ręku łuczywo, krzyczał, że wybiła godzina dwunasta, po czym nastawała cisza. Mnich z twarzą zakrytą kapturem

przemykał obok. Pachniało świeżo pieczonym chlebem.

- Dlaczego budowali domy ze szczytami schodkowymi? - zastanawiała się głośno.

- Myślę, że po to, aby zmniejszyć ryzyko pożaru - powiedział Arvidsson. - Chciano powstrzymać szybkie rozprzestrzenianie się ognia między domami. Budynki stały bardzo blisko siebie. Stara Apteka była spichlerzem, używano jej jako magazynu. Spichlerze budowano z oddzielnymi skarbcami, żeby ograniczyć ogień. Pożar w takim miejscu przysporzyłby wielkich strat. Interesujący budynek.

- Zamierzam zafundować sobie trzydaniowy obiad w Gutekällaren - poinformował Ek, który nie był szczególnie zainteresowany kulturą. - Może tam pójdziemy.

- Czy zauważyłeś dom Burmeisterska, który widzieliśmy na początku Strandvägen? - zapytał Arvidsson i zwrócił się ku Marii. - Malowidła na ścianach w domu są naprawdę unikatowe. Namalował je słynny malarz Johan...

- Mam nadzieję, że w Gutekällaren mają napój gotlandzki - przerwał Ek, a Arvidsson posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. Czego się nie robi, żeby uniknąć wykładów o historii kultury.

Birgitta siedziała sama z piwem przy stole. Nieco odchyłona do tyłu śledziła wzrokiem ruchy kelnerów. Maria dała kolegom znak, żeby trzymali się z dala, i podeszła do niej. Birgitta wskazała krzesło przed sobą. Wszystko było w porządku. Mężczyzna przy stoliku obok, któremu nie udało się wstać, kiedy Maria podeszła do stolika, podjął kolejną próbę. Był wysoki i chudy. Kołysał się niepokojąco. W końcu pochylił się nad stołem, wyciągając szyję i mocząc krawat w pianie na piwie Birgitty.

- Czy my się już gdzieś nie spotkaliśmy? - powiedział do Birgitty, utkwiwszy w niej spojrzenie. Jego twarz znalazła się w nieprzyjemnie bliskiej odległości.

- Dlaczego tak myślisz? - spytała znudzona.

- Tak uroczej twarzyczki się nie zapomina. Czy mogę się przysiąc?

- Nie.

- Gdzie pracujesz? Wydaje mi się, że cię znam. Masz fajne cycki, wiesz?

- Pracuje na izbie przyjęć w klinice wenerologicznej - powiedziała Maria.

- Tso?

- Łąduje się tam, gdy niechcący zamoczy się sobie krawat. Czy może pan zostawić nas teraz w spokoju?

Birgitta posłała Marii pełne wdzięczności spojrzenie.

- Kurczę, oni to potrafią być upierdliwi.

- *Trial and error*. Najczęściej *error*. Przydałby mu się kurs podrywu od podstaw u kogoś, kto trochę bardziej zna się na relacjach międzyludzkich. - Maria zamówiła lampkę białego wina i sałatkę.

- Powinien wytrzeźwieć. Normalnie chyba nie jest taki mocny w gębie. Znam ten typ. Jest pani policjantką, prawda?



- Tak, jestem tu na wyspie na letnim zastępstwie. Założenie było takie, że dołączy do mnie moja rodzina. Ale tak się nie stało.

- Problemy w związku? Myślicie o separacji?

Maria popatrzyła zdziwiona na Birgittę, po chwili dotarło do niej to, co powiedziała dziewczyna.

- Być może - przyznała. - Czasami dobrze jest spędzić trochę czasu oddzielnie i przemyśleć sobie, czego tak naprawdę się chce. Czego oczekuje się od związku. Jakie będą koszty. Dużo myślałam przez ostatnie tygodnie. Czasami dobrze jest wziąć *time out* na przemyślenia.

- Kocha go pani? - spytała Birgitta z ożywieniem.

- Tak, chyba tak. Choć martwi mnie, gdy w pierwszej kolejności myśli o sobie, a dopiero później o rodzinie. Nie jest łatwo z nim żyć. Myślę, że również mnie kocha. Ale swoją wolność kocha jeszcze bardziej - wyznała Maria ze szczerością, która zaskoczyła ją samą.

- Ja chyba też taka jestem. - Birgitta obróciła szklanekę i upiła łyk. - Myślę, że mam potrzebę większej wolności, niż Arne jest mi w stanie dać.

- Co ma pani na myśli?

- Nie pozwala mi przyjaźnić się z mężczyznami. Dzwoni do moich przyjaciół, żeby sprawdzić, czy jestem tam, gdzie powiedziałam, że będę. Czasami nagle się pojawia, choć wiem, że powinien w tym czasie pracować. Kiedy próbuję z nim o tym rozmawiać, milczy.

- Jest duża różnica między potrzebą wolności pani i Kristera. - Maria oparła głowę na rękach. - Mój mąż chce być wolny od odpowiedzialności, chce podążać za swoimi impulsami i mieć możliwość przychodzenia i odchodzenia, kiedy chce. To, co pani opisuje, wydaje się zazdrością nie do zaakceptowania. Czy dlatego przełożyła pani ślub? - Maria wstrzymała oddech. Może posunęła się trochę za daleko.

- Vega pani to powiedziała?

- Martwi się o panią. Czy ma rację?

- Nie tylko o to chodzi. - Birgitta przygryzła dolną wargę i spuściła wzrok. - Chodzi o wiele innych rzeczy. Wcześniej byłam w związku z Olovem. Kilka dni temu dowiedziałam się, że są przyrodni braćmi, to znaczy Olov i Arne. Czy nie powinnam dowiedzieć się o tym wcześniej? Nie wiem, dlaczego to dla mnie takie ważne, ale dotknęło mnie to. Czuję się skołowana. Myślałam, że znałam Arnego, ale teraz już sama nie wiem. Musi pani wiedzieć, że to dziwna rodzina. W zeszłym tygodniu spotkałam Olova na turnieju rycerskim. Sprawiał wrażenie innego, weselszego i bardziej rozmownego. Prawie takiego, jak wtedy, gdy się poznaliśmy. Opowiedział mi, że był w dużym dołku. W prawdziwej depresji. Nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy, gdy byliśmy razem. Po prostu nic nie mówił i rozmyślał. Upijał się często na umór i zasypiał, zanim zdążyliśmy porozmawiać. Myślałam, że to moja wina. Że już mnie nie kocha.

- Co zamierza pani teraz zrobić?

- Nie wiem. To, co się stało z Wilhelmem, jest takie straszne. Arne musi

teraz przemyśleć wiele spraw. Jest rozdarty i poirytowany. Chciał powiedzieć Wilhelmowi tyle rzeczy, a teraz już nie ma tej szansy. Nie będziemy w każdym razie mogli się pobrać, zanim nie odbędzie się pogrzeb. W tym całym okropieństwie ta zwłoka napawa pewną ulgą.

- Jak dobrze znała pani Wilhelma?

Wzrok Birgitty powędrował w stronę okna.

- Traktował mnie jak własną córkę. Mieliśmy bardzo dobry kontakt. Na początku był trochę nieśmiały, ale później stopniowo się otwierał. Potrafił być naprawdę zabawny. Utrzymywaliśmy kontakt, od kiedy zerwałam z Olovem. Było mu oczywiście przykro z powodu tego, co się stało, ale tak jak powiedział: „Po co jeszcze pogarszać sprawę?”.

- Kiedy pani z nim ostatnio rozmawiała?

- Właściwie to rozmawialiśmy przez telefon w wieczór przed jego wyjazdem na zawody na stały ląd.

- Mówił coś szczególnego?

- Miał jechać na ryby. Siedział w biurze cały dzień i chciał się stamtąd wyrwać.

- Jest pani tego całkiem pewna? Że miał jechać wieczorem na ryby?

- Tak. Chciał pobyć w spokoju i pomyśleć. Chyba myślał o tym, że chce sprzedać gospodarstwo i odciążyć Monę. „Czuję się, jakbym kochał się ze zwłokami” - powiedział raz do mnie, gdy zbieraliśmy kurki i spytałam, co tam u nich. Było widać, że nie jest między nimi dobrze. Cały czas docinała mu w dwuznaczny sposób, ale nigdy nie patrzyła mu w oczy. Żadnych uśmiechów, żadnych sympatycznych spojrzeń. Żyli obok siebie, jak dwoje dwulatków w piaskownicy.

- Nie wie pani, czy miał się z kimś spotkać przy wiosce rybackiej?

- Tak przypuszczam. Musiał tam jechać na konkretną godzinę. Wspomniał coś o tym, że życie jest krótkie i że już czas zapłacić rachunek i odejść. Nie wiem, co miał na myśli. Mona była w każdym razie w domu. Słyszałam, jak poprosił ją, żeby się przesunęła, by mógł usiąść. Był zdyszany, jakby biegł do telefonu. To ja do niego zadzwoniłam.

- Powiedziała pani, że myślał o separacji. Czy to możliwe, że spotkał inną kobietę?

- Gdyby tak się zdarzyło, byłby pewnie weselszy. Można to wyczuć. Nie. Wydawał się smutny, gdy rozmawialiśmy ze sobą ostatnimi czasy. Mówił tak jak zwykle, ale melodia opadała na końcu zdania. Rozumie pani, co mam na myśli? Kiedy się brało lekcje śpiewu, zwraca się większą uwagę na takie rzeczy. Niektórzy ludzie mówią z tak wyraźną melodią, że można to zapisać nutami. Chociaż byłabym w stanie go zrozumieć, gdyby się za kimś rozglądał. Mona nigdy nie starała się podobać innym. Nosi zawsze bluzki obszerne jak namioty, z długimi rękawami i zapięte pod szyję. Nie maluje się, a włosy wiąże w kitkę, zamiast zafundować sobie ładną fryzurę. Nigdy nie obdarza go czułym gestem ani miłym słowem. Czy to nie jest oznaka chłodu, gdy kobieta zachowuje

się w ten sposób w małżeństwie? Byłabym pierwsza, która by mu pogratulowała, gdyby znalazł sobie kogoś, kto polubiłby go za to, kim jest. Wie pani, myślę, że ona patrzyła na niego z góry. I myślę, że on to wyczuwał.

Arvidsson czekał na nią przed wejściem, kiedy pożegnała się z Birgittą. Maria rozpromieniła się, gdy go zobaczyła, i zaczęła wypatrywać w tłumie na rynku Eka.

- Zniknął przed godziną z rudowłosą akupunkturzystką zajmującą się pomaganiem w rzucaniu palenia - poinformował Arvidsson. - Nigdy wcześniej nie widziałem go tak zdeterminowanego. Był chyba zdecydowany poddać się indywidualnej terapii. Skończy się pewnie na nocy spędzonej na macie z kolcami. Pojadę z tobą do Österport, jeśli chcesz.

- Zamierzam jeszcze wpaść na chwilę do portu, nie sądzę, żebym mogła teraz zasnąć. Mam głowę pełną myśli, jestem poruszona rozmową z Birgittą. Możesz się przyłączyć - powiedziała Maria, widząc zawód na jego twarzy.

Noc była chłodna i zaułki miasta tętniły życiem. Taneczna muzyka mieszała się z odgłosem łagodnego wiatru. Zapachy z restauracji kusiły. Pnącza róż mieniły się ciepłymi kolorami w świetle latarni i bijącego od domów oświetlenia. Arvidsson przystanął i objął dłonią świeżo zakwitłą żółtą różę.

- Powąchaj - powiedział i Maria schyliła się, by zapach mógł wypełnić jej nozdrza. Jej włosy musnęły jego wargi. Nie zauważyła tego. On poczuł to w całym ciele. Dostali się na Strandgatan. Przy knajpie Burmeister tłoczyła się grupa ludzi w średnim wieku ubranych w skóry. Nie sprawiali wrażenia, jakby chcieli wejść do środka, raczej jakby umówili się tu na spotkanie. Jeden z nich próbował wciągnąć Marię w tłum, głośno chełpiąc się swoim HD i psiocząc na sukinsynów, którzy zatrzymali go za przekroczenie szybkości.

- Teraz zamierzam, kurwa, zamówić kilka piw i do diabła z tym, który spróbuje mnie znowu przyskrzynić - oznajmił śpiewnym, pochodzącym z Norrbotten akcentem. Arvidsson stanął blisko harleyowca i popatrzył mu w oczy. Nie musiał pokazywać legitymacji. Zrozumieli się.

Za dwiema młodymi kobietami w dresach Maria dostrzegła wchodzącego do środka Olova Jacobssona. Wyglądało na to, że się spieszył, nie zauważył ich. Był ubrany w szorty i biały T-shirt.

- Zamówimy piwo? - zaproponowała Maria.

- Może trzeba mieć zarezerwowany stolik? - Arvidsson patrzył na menu. Nic nie wyjdzie z wizyty w Gutekällaren, skoro przez cały czas nie mógł spuścić oka z Marii. - A może pokażemy legitymacje i uznamy to za godziny pracy.

- To byłoby może nawet zgodne z prawdą.

Maria patrzyła na Olova, który usiadł przy stole na samym końcu ogrodu. Rozmawiał z kimś odwróconym plecami w kierunku wejścia - niższym o głowę mężczyzną z krótkimi ciemnymi włosami. Mężczyzna odwrócił się profilem i wstał gwałtownie. Maria złapała Arvidssona za rękę. Podążył za jej spojrzeniem. Olov przyszedł się spotkać z Arnem Folhammarem. Rozmowę

zagłuszyła muzyka, ale Maria zwróciła uwagę na wyraźną mowę ciała – w powietrzu wisiała awantura. Zobaczyli, jak Arne kładzie na stole banknoty, a później idzie za swoim roślącym przyrodnym bratem do wyjścia. Arvidsson objął Marię ramieniem i poprowadził ją do drzwi, gdzie tłoczyli się ludzie. Kiedy wyszli z powrotem na Strandgatan, Arnego i Olova nie było już w zasięgu wzroku.

Zapach słonej wody, róży i nieznananych kwiatów dochodził z nad morza, kusząc jak delikatny chłód nocy. Arvidsson nie zdejmował ręki z ramienia Marii. Na moment rozluźniła się i znalazła bliżej niego. Później wymknęła się z jego objęć, by przyjrzeć się bliżej wystawie. „Wyraźny unik” – pomyślał Arvidsson. Maria nigdy nie interesowała się szczególnie rybołówstwem czy myślistwem. Chciał zebrać się na odwagę i wziąć ją za rękę. Gdyby zrobiła to teraz, nie pragnęłaby niczego więcej od życia. Choć oczywiście jasne, że może liczyłaby na jakiś ciąg dalszy. Maria wcisnęła dłonie w kieszenie kurtki, tak jakby usłyszała jego wewnętrzny dialog. Minęła chwila, zanim przemówiło któreś z nich dwojga.

– Czy wiesz, jak poszło przeszukanie domu Mony? Skończyli już? – zapytała.

– Trygvesson mówił, że znaleźli napis w szafie w jednym z pokoi chłopców. „Mam tak cholernie dość tej rodziny”. – Arvidsson uśmiechnął się szeroko. – Może znak, że czas już wyfrunąć z gniazda.

– Nie zastanawia cię, kto to napisał?

– To dość często spotykane uczucie, kiedy jest się nastolatkiem. – Arvidsson chciał dodać, że on sam jeszcze nie zdążył wyprowadzić się z domu, ale ugryzł się w język. Gdyby nie miał szansy wytłumaczenia się z tego, nie wypadłoby to dla niego korzystnie. – Dostaliśmy od lekarza medycyny sądowej oświadczenie dotyczące Wilhelma Jacobssona. Miał zaawansowane stadium raka płuc. Najprawdopodobniej wiedział o tym albo przynajmniej podejrzewał. Ledwo mógł oddychać.

– Ciekawe, czy poszedł z tym do lekarza. Wiesz, myślałam o tej zmiażdżonej głowie żmii. Czy ktoś sprawdzał w szpitalu i przychodni, czy nie było jakiegoś przypadku ukąszenia przez żmiję? – spytała Maria.

– Trygvesson zlecił to aspirantowi. Czytał kodeks karny przez całe przedpołudnie. Będzie trudno o nazwisko, ale powinni przynajmniej wiedzieć, czy nie zgłosił się ktoś ukąszony. Później trzeba spytać prawnika, co robić dalej. Personel medyczny ma ścisły obowiązek dochowania tajemnicy zawodowej.

– Jeśli dotyczy to morderstwa, można chyba otrzymać nazwisko?

– Można by tak sądzić.

Szli obok siebie w milczeniu w kierunku Almedalen. Zwykła, niezobowiązująca cisza zostawiająca przestrzeń dla myśli. Było prawie bezwietrznie. Kiedy podążali wzdłuż muru, Maria miała wrażenie, jakby mogli znajdować się w jakimkolwiek czasie. Wystarczyło wymienić latarnie uliczne na łuczywa. Uczucie podobne do tego, gdy patrzy się na wodę albo w ogień. Czas, który zatrzymał się tu i teraz. Żadnej przeszłości, żadnej przyszłości, tylko

odpoczynek, stan zawieszenia w wyobraźni.

- Zastanawiam się, czy Wilhelm powiedział Monie, że był chory? Za jej przyzwoleniem możemy chyba wykorzystać jego dokumentację medyczną.

- Nie mam pojęcia. Trygvesson miał się tym zająć.

- Jaki sens ma mordowanie człowieka, nad którym wisi już wyrok śmierci? - zapytała Maria, gdy usiedli na ławce w ogrodzie Almedalen. Czarna woda lśniła w blasku latarni. W oddali na morzu widać było niewyraźnie łódź z białym żaglem.

- Może było to bezlitosne morderstwo? Albo może osoba, która go zabiła, nie wiedziała, że był śmiertelnie chory. Zimno ci? - spytał Arvidsson i ponownie spróbował objąć Marię ramieniem.

- Nie. - Maria popatrzyła na niego i zaśmiała się. - Właściwie to nie.

- Szkoda - powiedział Arvidsson i przełknął ślinę. - Naprawdę szkoda.

- Może tak. Powiadomię cię, gdy coś się zmieni w tej kwestii - dodała i natychmiast spoważniała.

Birgitta obudziła się na długo przed budzikiem. Słońce świeciło i ogrzewało jej twarz. Powinna była zaciągnąć rolety, ale w ciemności nocy nie przyszło jej to do głowy. Nie zdjęła nawet ubrań. Buty leżały przy końcu łóżka, musiała zrzucić je we śnie. Kot, który usłyszał, że Birgitta się rusza, przyszedł z kuchni, mruczając, i wskoczył na kołdrę. Odepchnęła go i przewróciła się na bok. Sama myśl o wstaniu z łóżka przyprawiała ją o mdłości. Czuła, jakby noże przeszywały jej głowę przy każdym ruchu. Jak przez mgłę przypominała sobie, że ktoś walił w drzwi, ale nie otworzyła. Po prostu nie była w stanie podnieść się z łóżka. Nie miała siły myśleć. Ani odwagi. Gdy wróciła do domu, wlała w siebie butelkę rumu nieznacznie rozcieńczonego colą. W połączeniu z wcześniej wypitym piwem nie była to najlepsza mieszanka. Ale przynajmniej zniwelowało to strach i pomogło jej usnąć.

Być może to pytania Marii o śmierć Wilhelma sprowadziły jej myśli na inne tory. Nagle coś ją tknęło i pobiegła przez rynek do domu. Pewne straszne podejrzenie i wszystko ułożyło się w spójną całość. Morderca Wilhelma mógł czaić się wszędzie. Przez jeden przerażający moment wydawało jej się, że widzi jego twarz z profilu. Jeśli wiedział o jej tajemnicy, jej życie mogło okazać się niewiele warte. Zastanawiała się, co powiedział mu Wilhelm w domku przy plaży. Czy mogła mieć nadzieję, że Jacobsson zachował milczenie? Całe jej życie zależało teraz od tych kilku słów, które zostały wypowiedziane. Niepokój powoli ogarniał ją już podczas rozmowy z Marią, ale jeszcze nie zdążył się w niej zakorzenić. Jeszcze nie wtedy. Ta myśl dopiero nabierała kształtu, czekała na nią, gdy Birgitta zniknęła za rogiem w nocy. Odmierzała czas w zaułku, aby dopaść ją samą i bezbronną. Ostatni kawałek Birgitta przebiegła, bojąc się obejrzeć za siebie. Oczekiwała, że jego postać wyłoni się zza kolejnego zakrętu. Kiedy zdenerwowana próbowała otworzyć bramę kluczem, zdawało jej się, że w każdej chwili może poczuć dotknięcie jego dłoni na ramieniu. Czy w pobliżu jest ktoś, kto usłyszy jej krzyk? Może czekał na piętrze za drzwiami do komórki? Jej kroki rozległy się echem na schodach. Jak miała usłyszeć oddech kogoś innego, jeśli nie potrafiła nawet stłumić odgłosu własnych kroków? Kiedy w końcu znalazła się w mieszkaniu i zamknęła za sobą drzwi na klucz, przeszukała każdy kąt, a następnie zagłuszyła swój niepokój tym, co oferował barek.

Birgitta usiadła na brzegu łóżka. Rozsadzało jej pęcherz, a pokój wypełniały niezdrowe opary kwaśnego potu, alkoholu, stęchłego dymu i perfum. Czuła się naprawdę okropnie. Kiedy spróbowała się podnieść, straciła grunt pod nogami i opadła z powrotem na poduszki. W miarę jak trzeźwiała, stopniowo pojawiał się strach. Dopóki morderca Wilhelma był pewny, że nie znała jego tożsamości, zostawi ją w spokoju. Ale jeśli zacznie się domyślać... Birgitta nie chciała nawet się nad tym zastanawiać. Jedyne sposoby, aby nie wzbudzić jego podejrzeń, to zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Ale jak? Za cenę jakiego piekła?

Krztuszący się, przerywany dźwięk w korytarzu sprawił, że zsunęła się z łóżka. Nie mogła skupić wzroku. Szła trzymając się ścian i powłócząc nogami. W korytarzu zobaczyła kota przyjaciółki, którego wzięła pod opiekę na jakiś czas. Nieszczęsny kocur stał rozkraczony na dywanie i wymiotował szarymi kłakami, piórami i kawałkami szkieletu. Birgitta pobiegła do toalety i opróżniła żołądek. Łzy sprawiły, że wczorajszy makijaż spłynął. Spojrzała na siebie w lustrze. Jej badawczy wzrok napotkał wychudzonego klauna z jasnymi strąkami zamiast włosów. Cholera! Tak bardzo tęskniła za tym, aby ktoś ją objął, po prostu przytulił, nie zadając żadnych pytań.

Kiedy później w porze kolacji stała pod prysznicem, złe nocne myśli prawie rozplynęły się w powietrzu. Wilhelm został zabity przez autostopowicza. Koniec, kropka. To naprawdę śmieszne, że tak poniosła ją fantazja. Wyrzuty sumienia, które kazały jej widzieć złe uczynki również u innych ludzi, spletały jej okrutnego figła. Tak jakby już teraz nie miała dość kłopotów. Dlaczego nie mógłby to być autostopowicz, który zauważył broń w samochodzie? Desperat na głodzie narkotykowym? Dlaczego miałyby myśleć inaczej? Dobrze znane głosy z radia, dźwięk odkurzacza z mieszkania piętro niżej i ciekący kran w kuchni potwierdziły, że wszystko było tak jak zwykle. Na dole na podwórku słychać było brzęk opróżnianych przez śmieciarkę kontenerów. Zmarnowała pół dnia, po tym jak utopiła swoje lęki w alkoholu. Najwyższy czas wziąć się do roboty. Powinna jechać do kuźni i wymyślić nowy wzór biżuterii. Zawsze było jej łatwiej stworzyć go rękami niż w głowie. Odlewanie średniowiecznej biżuterii przynosiło jej pieniądze, ale nie było tym, za czym tęskniła jej artystyczna dusza. Z prądawnej srebrnej materii chciała stworzyć nową formę, coś unikalnego, coś, czego jeszcze nigdy wcześniej nie było. Miała w sobie ogromną tęsknotę za tym, ale również męczyła ją myśl, że może się to nie udać. A kiedy odnajdzie sposób na wyrażenie siebie, poczuje wielką radość, którą zrozumieć i dzielić z nią będzie mógł jedynie jej ojciec. Podobnie jak z muzyką perfekcyjny technicznie utwór rzadko kiedy porusza serce w takim samym stopniu, jak ten niedoskonały, z delikatnym defektem, który nadaje pięknu osobowość. Takiej formy nie można produkować na masową skalę. Każdy egzemplarz będzie niepowtarzalnym rękodziełem. To, co wyjątkowe i wymagające największej koncentracji, było męką i spełnieniem.

Birgitta włączyła ekspres i oparła się odruchowi, aby zadzwonić do Arnego. Włożyła do tosterka dwie kromki chleba. W oczekiwaniu na poważną rozmowę o przyszłości nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia. Kilka grzecznościowych zdań. Czy chcesz kawy? Tak, proszę. Dzwonił twój ojciec, pozdrawia. Dziękuję. Wielkie pytanie odbijało się w jego oczach, kiedy obserwował ją przestraszony i zraniony. Jej odpowiedzią był odwrócony wzrok. Jeszcze nie, nie wiem jeszcze. Jednak w głębi serca wiedziała, że czeka, aż wydarzy się coś nieoczekiwanego, aż czas sprawi, że zdarzy się cud. Włożyła kurtkę i wyszła. Od morza wiał silny wiatr. Na wieży katedry biły dzwony, gdy prowadziła rower przez rynek.

Birgitta popatrzyła na morze barwy lodowego błękitu i przycisnęła filiżankę

obiema rękami do piersi. Jadąc tu, do kuźni w Brissund, pedałowowała pod wiatr. Teraz przez duże, wychodzące na zachód okna widziała, jak przechodzące jedna w drugą pory roku odbijają się w morzu: topniejący lód, białe gęsi sunące wiosną po leniwie zielonej wodzie i stalowoniebieski gniew jesiennej burzy. Zimne światło dnia padało na dębowe pieńki z kowadełkami i fotel z narzutą z owczej skóry, na którym siedziała Birgitta. Szare światło nie sięgało wnętrza kuźni, stołu do pracy i wyposażenia. Nie chciała zapalać górnego oświetlenia. Żółte świece paliły się w żelaznym świeczniku na podłodze. Na jednej z dłuższych ścian wisiały udrapowane jedwabne materiały w batikowy wzór. Kawałek przymocowany był do sufitu i zwisając luźno, powiewał lekko w przeciągu, mieniając się jak morze żółtymi i czerwonymi odcieniami. W wysokiej przeszklonej szafce przechowywała swoje wyroby, diadem panny młodej z kryształami górskimi błyszczącymi jak krople wody w na wpół zamkniętych płatkach kwiatów, kilka kasztanów i makówek, które zebrała jako inspirację, szkice. Jej wzrok spoczął na kolekcji z przywrotnikiem, która tak bezpardonowo została odrzucona przez galerię w Sztokholmie. Motywowano to tym, że charakter twórczości nie był wystarczająco spójny. „Nieharmonijna forma” – tak było napisane. Ale ona im jeszcze pokaże. W przyszłym roku zaprezentuje perfekcyjną formę o najwyższej artystycznej jakości. Najwyraźniej nie zrozumieli myśli stojącej za przywrotnikiem. Według alchemików któregoś dnia z nieba spadnie kamień filozoficzny, wtedy nastanie wszechwiedza i wszelkie choroby zostaną uleczone. Kamień filozoficzny będzie zupełnie przezroczysty, jak kropla rosy spadająca na ziemię. Jak będzie można go znaleźć, jeśli spadnie na przywrotnik? Myśl o tym, że każdy kwiat przywrotnika może być potencjalnym nosicielem, sprawiła, że roślina stała się jednym z najcenniejszych darów. Birgitta uformowała srebro w kształt przywrotnika z kryształem górskim na końcu liścia. Pragnienie i tęsknota za spełnieniem przyświecały jej myśli o perfekcyjnej formie. Ale także próba znalezienia symbolu dla tego, co kobiece i przyziemne. Dziewica mogła ugotować z niego wywar, aby zachować dziewictwo, starsza kobieta zaś posmarować się tą samą substancją, aby ujędrnić biust. Działał również na menopauzę i trądzik. Później Birgitta dowiedziała się, że ta mała kropla w środku to nie rosa. Roślina wydziela nadmiar wody, nazywa się to gutacją. Dziewicze ziele przeobraziło się w spoconą roślinę. Gdzie podziały się piękne baśnie? To, czego niegdyś pragnęliśmy i o czym marzyliśmy?

Birgitta podniosła się z wysiłkiem i wyciągnęła z ciemności skrzynkę. Podniosła wieczko i popatrzyła na srebro, które dostała od Wilhelma. Były to głównie srebrne monety, ale również broszki i wisiorki, bransoletki i kłamry. Wzięła do ręki sztukę srebra i podgrzała ją w tygielku nad palnikiem gazowym. Srebro dobrego gatunku, miękkie i łatwe w formowaniu. Początkowo chciała odlać je według własnych form, ale wtedy musiałyby zabrać je do oczyszczalni, żeby odciągnąć powietrze z metalu. To wzbudziłoby podejrzenia, było więc wykluczone. Poza tym sprzęt potrzebny do odlewania sporo kosztował. Teraz



potrzebowała szybko pieniędzy, żeby zapłacić przedsiębiorcy budowlanemu. Dlatego zdecydowała się, że wywalcuje srebro Wilhelma i potnie je na pierścionki, kolczyki i bransoletki. Sama narysowała wzory: pnącza róż, bluszczu i węże. Dobrze się sprzedają. Ślusarz narzędziowy nie zadawał żadnych pytań, gdy zamówiła walec do wzorów. Była zarejestrowanym rzemieślnikiem i pilnowała, aby jej produkty miały stempel z nazwiskiem, miejscowością, datą i próbą. Do swojej artystycznej pracy zamówiła blachę i drut z oczyszczalni, ale do biżuterii sprzedawanej na rynku musiało wystarczyć srebro Wilhelma.

Dlaczego podjęła takie ryzyko? Czasami sama się temu dziwiła. Wszystko zdarzyło się tak szybko. Nie zdążyła tego przemyśleć. Srebro, które Wilhelm na nią roztrwonił, miało właściwie zostać odziedziczone przez Christoffera. Z ojca na syna, jak to było przez pokolenia. Dziadek Wilhelma i jego brat znaleźli srebrne monety w glinianej donicy, kiedy kopali rów w Eksta. Nic szczególnego znaleźć kilka pojedynczych monet w ziemi. Ale to był tylko początek. Skarb okazał się dużo większy, niż mogli sobie wymarzyć. Kiedy stary Jacobsson wszedł w jego posiadanie, przeniósł kosztowności do Martebo i umieścił je w podziemnym korytarzu, gdzie w połowie drogi znajdował się stabilny występ. Tam zorganizował kuźnię i stopniowo przetapiał srebro, żeby sprzedawać je później, nie wzbudzając podejrzeń. Oczywiście byli tacy, którzy widzieli, jak z ognia w kuźni wraz z dymem wydobywa się światło. Dziwna konstelacja, która wznosiła się nad mokradłem. Ale wieść o tym oraz o piorunach kulistych trzymano w tajemnicy przed ciekawskimi i niewtajemniczonymi. Błędne ognie, o których szeptali ludzie, nazywano „smokiem Jacobssonem”, który pilnował swego skarbu przed obcymi. Wilhelm śmiał się, gdy opowiadał jej historię o tym, jak Oskar Jacobsson palił magnez, aby przestraszyć mieszkańców Knutstorp i zmusić ich do ucieczki. Kiedy to nie podziałało, wysmarował twarz krwią z nosa, uczesał włosy w rogi i zaglądał im do okien o zmroku. To przyniosło pożądaną skutek. Parcela stoi pusta po dziś dzień. Przez wiele pokoleń po bagnie przechadzały się „świejące ludki”, zabierające ze sobą do domu po kawałku srebra. Wilhelm nie uważał, aby Christoffer był go godzien. Zawiedziony oddał srebro Birgitcie, ale informację o miejscu, gdzie zakopano skarb, zabrał ze sobą do grobu. „Gdzieś na mokradłach Martebo, w czeluści, skąd droga prowadzi do podziemnych korytarzy” – tak jej powiedział i przeczytał jej wiersz. Nie pamiętała całości, ale to, co sobie przypomiwała, przyprawiało ją o gęsią skórkę.

*wszystko co obiecują sny  
wszystko to czym gwiazd blaski kuszą  
wszystko to czego uszy nie usłyszą  
do żalobnego cię wieńca przymuszają...  
- kiedy bić zaczną głuche dzwony  
zabrawszy w drogę bogactwa swe*

I tak też się stało. Wilhelm powiedział, że zbliża się czas, by odejść. Jeszcze nie teraz, ale wkrótce. Chciał, żeby podzieliła się tajemnicą z Olovem. Ale najpierw musieli się pojednać. Ojciec i syn. Tego życzył sobie od życia, zanim jego płomień zgaśnie. Teraz było za późno. Birgitta rozmawiała z Olovem. Powiedziała mu, że w ostatnich chwilach Wilhelm dobrze o nim myślał. Jednak Olov nie potrafił wybaczyć ojcu, nawet po jego śmierci. Dlatego nie powiedziała mu całej prawdy, o skarbie nie wspomniała nawet słowem. Pełen złości, nieprzejednany Olov nie był odpowiednią osobą, aby go wtajemniczyć.

Dlaczego podjęła to ryzyko? Dlaczego skalała swe palce czarnym srebrem? Wiedziała, ale prawda nie była zbyt piękna. Trudno jest dwóm artystycznym duszom rozwijać skrzydła pod jednym dachem. Chciała być samodzielna. Stać na własnych nogach i osiągnąć sukces. Jej ojca wpuszczono na salony. Birgittie tego odmówiono. Przez całe życie przyzwyczajona była do luksusu. Mając wszystko, nie miała pojęcia, jak trudno żyje się na granicy nędzy. Prośbienie ojca o pieniądze było nie do pomyślenia. Prezent od Wilhelma spadł jej z nieba. Birgitta odcięła walcowany pasek nożyczkami do blachy i podzieliła go na odpowiedniej długości bransoletki, następnie zlutowała je. Cisza dzwoniła jej w uszach. Włączyła radio. W tej samej chwili na podwórko wjechał samochód. Kiedy klamka się poruszyła, trzeszczący dźwięk w uszach Birgitty ucichł. Kiedy usłyszała kroki na kamiennej posadzce, było za późno na reakcję. Gdy się odwróciła, stał tuż za nią.

- Było otwarte - powiedział.  
- Przestraszyłeś mnie, Arne.  
- Nie chciałem. - Podniósł rękę, żeby jej dotknąć, ale zmienił zdanie, gdy zobaczył wyraz jej twarzy.

- Pracuję.  
- Wiem. - Podeszedł do szklanej szafki i przebierał palcami na sztancy. Czują, jak wzbiera w niej poirytowanie i powraca ból głowy. Nie mogła patrzeć na jego smutny wzrok i uniozoną postawę. Nie miała dla niego czasu. Podniósł diadem panny młodej, ale nie odezwał się. Obrócił go, pozwalając, aby światło odbiło się w metalu i kamieniach. „Co teraz będzie?” - pytało jego ciało. Wzięła głęboki oddech, wskazała mu fotel i usiadła naprzeciwko niego. Między nimi znajdował się mały, wąski stolik, nie większy niż podnózek, a także morze niewypowiedzianych pytań.

- Napijesz się herbaty? - Wstała, nie czekając na odpowiedź. Minęła wieczność, zanim wróciła z dwoma ceramicznymi kubkami z parującym napojem. On zdążył usadowić się głęboko w fotelu, ale kiedy tylko pojawiła się z powrotem, wyprostował się. Zmieniając pozycję, dostrzegł otwartą skrzynkę. W zamyśleniu wziął do ręki kubek. To, co zobaczył, było po prostu niewiarygodne.

- Co to jest? - Spojrzała za siebie i zamarła. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Wstał i ukląkł przed drewnianą skrzynią. Wziął do ręki garść monet. Wybrał jedną, wypuszczając resztę między palcami. Słyszała, jak głośno oddychał, ale nie widziała jego twarzy. Odwrócił się gwałtownie:

- Skąd to masz?

- To nie twoja sprawa. - Czuła, jak irytacja przeradza się w palącą złość. Kto dał mu prawo, żeby się w to mieszać?

- Nie moja sprawa! Czy wiesz, co to jest?

- Srebro. Materiał. Moja przyszłość.

Wstał i podszedł do niej z monetą w dłoni, trzęsącą się ręką podsunął ją Birgicie przed nos.

- Wiesz, co to jest? Rozumiesz, co zrobiłaś? Poniesiesz za to odpowiedzialność.

- I ty mi mówisz o odpowiedzialności...

- Ta moneta została wybita przez przeora Henrika z Correi. Stał na czele zakonu w latach 1359-1360. Splądrowanie Visby miało miejsce w 1361 roku. Skąd masz to srebro?

- Z wioski rybackiej Kronvalls w Eksta. Nic więcej nie wiem.

- Co ty do cholery zrobiłaś, Birgitto? Co my teraz zrobimy? - Upadł na kolana i oparł głowę na jej brzuchu. Birgitta ledwie powstrzymała się, by go nie odepchnąć.

Plaża, gdzie piasek jest miękki jak surowe ciasto na babkę - tak opisała piasek na plaży Sudersand na wyspie Fårö Vega. „I miała całkowitą rację” - pomyślała Maria, przesypując między palcami ziarenka piasku. Ciekawe, jak by to było, gdyby Emil i Linda tu przyjechali, jak świetnie by się bawili, skacząc przez fale. Maria tęskniła bardzo za dziećmi. Tak wiele rzeczy chciała im pokazać: ruchome piaski na Ulla Hau z mrówkolwami czekającymi na mrówki w zastawionych przez siebie pułapkach. Owce z rogami jak obwarzanki pasące się na nieurodzajnym polu. *Lambgiftar*, pokryte kłocią wiechowatą paśniki dla owiec, i *stentunar*, wykładane warstwami płaskich i okrągłych kamieni przydrożne murki. Strome skały *raukar* do wspinania i mieniące się intensywnym niebieskim kolorem żmijowca pola do biegania. Tak wiele omijało Emila i Lindę, tylko dlatego, że babcia była taką egoistką.

Wolny dzień, jedyny. Niebo było bladoniebieskie, a woda o kilka odcieni ciemniejsza. Słońce wysyłało swój najcieplejszy uśmiech, oświetlając to, co dobre i złe, ze zmiennym rezultatem. Arvidsson nie poddał się czarowi. Siedział naburmuszony w prażącym słońcu pod parasolem. Miał na sobie T-shirt i czytał *Proces* Kafki. Marii wydawało się, że zerka na nią od czasu do czasu, i czuła się zawstydzona z powodu wałków na brzuchu. Właściwie wolałaby usiąść i popatrzeć na morze, ale oponki były mniej widoczne, gdy leżała na plecach albo najlepiej na brzuchu. Dlatego leżała na brzuchu. Z pewnością mieszkanie u Vegi Kraft nie szło w parze z utratą wagi. Pytanie, czy w ogóle istnieje taka rozrywka, która nie zachęca jednocześnie do przyjmowania pokarmu. Kino - torebka cukierków. Wycieczka - prowiant. Wyjście do klubu - piwo lub dwa. To jakby siła wyższa. Co zmieniała sałatka czy dwie, jeśli po chwili pojawiała się nieodparta czekoladowa pokusa. Kto raz został czekoladoholikiem, na zawsze nim pozostanie. Na dodatek jeszcze ciastka Vegi. Maria zniechęcona przesunęła się w kierunku koszyka i wyjęła z niego kawałek czekoladowego wafła.

Ek zdążył już znaleźć nową towarzyszkę zabawy. Siedział dwa koce dalej, smarując olejkami plecy chudej jak patyk blondynki. „Uważaj, żebyś się nie sparzył” - pomyślała Maria z przekąsem. Nikt nie wiedział, gdzie podzielała się akupunkturzystka, którą poderwał w Gutekällaren. Ek nie chciał o tym mówić. Teraz zapalił papierosa. Rzucenie palenia okazało się chyba ponad jego siły. Maria poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Arvidsson wręczył jej loda.

- Twój ulubiony, jeśli dobrze pamiętam. - Miał całkowitą rację. Czekolada z chrupkami, lody śmietankowe i orzechy. Właściwie życie nie było aż tak ciężkie. Maria usiadła, nie przejmując się swoim wypukłym brzuchem. Trudno jest jeść lody, leżąc na brzuchu. Arvidsson usiadł na kocu obok niej.

- Tęsknisz za domem? - spytał.

- I tak, i nie. Choć oczywiście tęsknię za dziećmi.

- A za mężem? - spytał Arvidsson i popatrzył na morze. Maria zastanowiła

się przez chwilę. Pozwoliła najpierw, aby gniew, który się pojawił, minął.

- Nie wiem - odparła. - To dlatego powiedziałam i tak, i nie.

O zachodzie słońca popłynęli promem Bodilla przez cieśninę Fårösund. Statek został ochrzczony imieniem barwnej kobiecej postaci z połowy XIX wieku, która nazywała się Bodilla Christina Jacobsdotter i utrzymywała się z połowu ryb. Aby dostać się na statek, chodziła siedem i pół kilometra do wioski rybackiej Helgomannen, jak wyczytał Arvidsson w przewodniku po Gotlandii. Maria kupiła torebkę prażonych migdałów, czekając w kolejce samochodów, i skończyła ją, zanim znaleźli się po drugiej stronie.

- Chciałabym rzucić okiem na mokradła w Martebo - powiedziała, gdy zbliżali się do Tingstäde. - Czy możemy jechać do Visby drogą wzdłuż wybrzeża?

- Chciałaś zobaczyć, gdzie mieszka Olov Jacobsson?

- Między innymi.

W oddali widać było szklarnię i wzgórze z koźmi. Sam dom był bardzo niepozorny i ukryty w krzakach bzu.

- Zamierzasz wejść do środka i porozmawiać z nim? - spytał Arvidsson.

- Tak, jeśli jest w domu - odparła Maria i wysiadła z samochodu, który zaparkowali przy wąskiej drodze w lesie. Zapięła zamek swojej cienkiej kurtki. Szybko się ochładzało, gdy słońce zachodziło.

- W oknie na dachu pali się światło. Idziesz z nami, Ek? Ek? - Arvidsson wychylił się w kierunku tylnego siedzenia i wyjął z ucha Eka jedną z zatyczek. - Idziesz? - zapytał poirytowanym tonem.

- Nie, zostanę tu. - Ek wyglądał, jakby za chwilę miał usnąć. Maria szła już w kierunku domu. Ostatnie promienie słońca rzucały czerwony cień na osuszone mokradło, las i drogę biegnącą wzdłuż kanału. Włosy Marii przybrały zupełnie nowy, różowy odcień.

- Tam na końcu drogi zobaczyli światło. - Maria poczekała, aż Arvidsson ją dogoni i pokazała ręką. - To miejsce jest jakieś niesamowite. Nie wiem dlaczego, ale po prostu jakoś dziwnie się czuję.

- Duchy, które nie mogą zaznać spokoju. - Arvidsson uśmiechnął się i ledwie się powstrzymał, aby nie objąć Marii ramieniem.

Zapukali do drzwi Olova Jacobssona, ale nikt im nie otworzył. Panowała całkowita cisza. Ponownie zapukali, a dźwięk rozległ się echem w ich uszach. Maria obeszła pół domu i zajrzała przez okno na ganku. Ściany pokryte były fotografiami. Zdjęcia przyrody w dużym powiększeniu. Na większości z nich widniała Birgitta. Nie było mowy, aby jej nie rozpoznać, bez względu na to, czy miała naciągniętą na uszy zrobioną na drutach czapkę, czy też tańczyła boso w białej sukience na szczycie skały, z długimi włosami powiewającymi na wietrze. Wyglądało to jak wystawa na jej cześć. Na największej fotografii ubrana była tylko w bluszcz - ubrana, choć jednak naga.

- Dlaczego te zdjęcia ciągle tam wiszą, skoro oni już nie są ze sobą? - zastanawiał się Arvidsson. Maria nie słyszała, co powiedział. Była już przy szklarni.

- Najwyraźniej nie ma go w domu - stwierdziła, rozglądając się po stajni. - Chyba już pójdziemy.

W oddali zobaczyli nadchodzącego Eka. Miał dziwny wyraz twarzy.

- Dziwnie się czułem, siedząc tam w samochodzie. Oczywiście duchy nie istnieją, ale sam nie byłbym w stanie się obronić, gdyby ktoś próbował mnie zaatakować tam w ciemności.

Maria zaśmiała się i objęła go.

- Tak mówisz? Olova nie było w domu, więc następny przystanek to Visby. - W ciemności podeszli do samochodu. Ek usiadł za kierownicą. Gdyby ktoś z nich odwrócił się wtedy, może zobaczyłby przemykającą między ciemnymi pniami białą sukienkę i jasne włosy w zaroślach przy parceli Knutstorp.

Muzyka organowa spływała z podium dla chóru w kościele w Eksta jak szumiący wodospad. Maria wędrowała wzrokiem po bielonych wapnem ścianach od krzyża na dłuższej ścianie, „podarowanego przez Elisabett Kolmodin urodzonej w Zachs w 1787 roku”, do postaci widniejących na ambonie. Jedną z nich, Jakub, poławiacz ludzi, ubrany był w płaszcz przeciwdeszczowy i złotą czapkę rybacką. Każdy czas ma własne interpretacje i obrazy historii chrześcijaństwa. Odzież chroniąca przed deszczem produkowana przez Helly-Hansena raczej nie była obecna na rynku, kiedy Jezus powoływał swoich apostołów. Mimo to atrybut spełnił swoją funkcję. Nie pozostawiał wątpliwości, że Jakub był rybakim.

Vega podziękowała za podwiezienie. Zanim zdążyły wejść na drogę, Birgitta złapała Marię za rękę.

- Chciałabym z panią porozmawiać. Czy możemy zobaczyć się jutro wieczorem o dziewiątej u mnie? Proszę, to ważne. - Birgitta włożyła do kieszeni Marii swoją wizytówkę.

- Nie ma pani czasu dziś po pogrzebie? - szepnęła Maria.

- Nie, nie mogę. - Birgitta rozejrzała się przestraszona i uśmiechnęła się do Vegi, która nie spuszczała z niej wzroku.

- W takim razie przyjdę jutro.

„Proszę powiedzieć, czego się pani boi” - chciała jeszcze dodać. Odeszła na bok i pozwoliła przejść innym przybyłym na pogrzeb. Z przodu pomiędzy Olovem i Christofferem siedziała Mona. Maria zastanawiała się, czy pojawił się również Arne, ale nie widziała go, choć kilka razy dyskretnie odwracała głowę.

Tego letniego dnia w kościele w Eksta zebrała się niewielka grupa ludzi. Słowa pastora rozbrzmiewały w pustych rzędach ławek. „Gdzie jest twój skarb, tam będzie też serce twoje”. Na samym dole siedział Henrik Dune wraz z kolegami z formacji. Maria rozpoznała Andersa Öhrna i pozdrowiła go. Obok niej siedziała Iris - kobieta, która prawdopodobnie nakłoniła go do rzucenia palenia. Wyglądała na dość przygnębioną.

Słońce oblewało promieniami cmentarz, kiedy szli w procesji, towarzysząc Wilhelmowi Jacobssonowi w jego ostatniej drodze. Cichy ptasi świergot dał się słyszeć poprzez odgłos kroków na żwirze. Ledwo słyszalny, niemal nabożny szelest w liściach kasztanowca. Mona szła na przedzie. Wyglądała mizernie w swojej długiej czarnej sukience. Czerwone róże gorączki zakwitły na jej policzkach. Włosy miała związane ciasno w kucyk czarną aksamitną wstążką. W dłoni trzymała okrągły biały kamień z wgłębieniem, w które włożyła kciuk, skamielina wielkości świeżej figi. Mocno ścisnęła go w dłoni, aby pomóc sobie w dalszej wędrówce do otwartego grobu. Krok za krokiem, oddech za oddechem, myśl za myślą.

Mona myślała o kamieniu, o tym letnim dniu, kiedy Wilhelm włożył jej go do ręki. O jego głosie. „Zobacz, co znalazłem w wodzie!” Spacerowali wzdłuż

skął w okolicy rezerwatu Digerhuvuds. Wilhelm szedł przodem, zawsze pięć kroków przed nią, brzegiem morza. Ona sama niosła koszyk z jedzeniem. Uchwyt wpijał się jej w dłoń. Zachód słońca nad granatową wodą zapierał dech w piersiach. W wieczornym świetle widać było sylwetki wapiennych rzeźb – dzieła przyrody. Z tego, co pamiętała, wiał delikatny wiatr. Wilhelm odwrócił się do niej prawie z czułością i postawił na ziemi koszyk, który niosła. Jego ciemną sylwetkę otaczały promienie słońca. „Wyciągnij dłoń i zamknij oczy” – powiedział i włożył jej kamień w rękę. „To na pamiątkę dzisiejszego dnia”.

Na pamiątkę tego dnia, kiedy poczuła jakieś ciepło między nimi, Mona niosła w dłoni kamień, aby pożegnać się z Wilhelmem. Ale kiedy znalazła się przy trumnie, zrozumiała, że będzie to niemożliwe. Nie potrafiła upuścić kamienia na trumnę, jeśli tylko ona wiedziała, co on znaczył. Kamień uderzy z brzękiem o wieko trumny. Wzbudzi to zdziwienie i przestrach zgromadzonych. Nie była w stanie trzymać dalej kamienia. Palił wewnątrz jej dłoni. Zdecydowanie za długo czuła jego dotyk. Birgitta, była dziewczyna Olova, stała tuż obok. Miała podkrążone oczy i wyglądała blado w swoim czarnym stroju; jej twarz była spuchnięta, jakby Birgitta płakała całą noc. Może ona jedyna tak naprawdę lubiła Wilhelma. Mona czuła na sobie spojrzenie innych, czekali, aż rzuci różę do grobu. Otworzyła dłoń Birgitty i zamknąwszy ją na kamieniu, ujrzała zdziwione spojrzenie dziewczyny.

– Od Wilhelma – szepnęła i zrobiła krok do przodu. Zachwiała się lekko, patrząc w dół, i wypuściła z ręki czerwony kwiat. Zobaczyła, jak kołysze się w powietrzu i opada na wieko trumny. Stała bez ruchu jeszcze przez chwilę.

Kiedy pozostali przeszli do domu kultury, by napić się kawy, Birgitta otworzyła dłoń. Słońce oświetlało kamień. Okrągły kształt z małym wgłębieniem. Nieregularne koło złamane miękką linią. Birgitta poczuła, jak dreszcz przebiega przez całe jej ciało. To była forma, której szukała. Idealna forma na biżuterię.

Mona Jacobsson wyjęła torbę z bagażnika i poszła przez podwórko w kierunku domu. Koty wybiegły jej na spotkanie i zostawiły białą sierść na jej czarnej sukience. Przyjemnie było znaleźć się z powrotem w domu. Ale to nie koniec – czekało ją jeszcze kilka rozmów z policją. Jednak nic nie znaleźli. Nie była oskarżona. Jeszcze nie. Czuła, jak pali ją gorączka. Prawie upajające uczucie. Zawsze dziwiło ją, gdy ludzie mówili, że źle się czują z powodu gorączki, że boli ich głowa i stawy. Mona czuła prawie euforię, łagodne, przytłumione poczucie istnienia. Na oddziale psychiatryczno-geriatrycznym ciągle dyskutowano nad kwestią, czy powinno się zbijać gorączkę lekami. Mona nigdy nie rozumiała, w czym problem. Dlaczego miano by pozbawiać kogoś takiej przyjemności? Zainfekowana rana na nodze pulsowała, ale Mona nie czuła już bólu albo też było jej to obojętne. Nie męczyły ją już nawet wyrzuty sumienia z powodu Anselma. Nie chciała wziąć go na pogrzeb, nie miała siły brać odpowiedzialności za jego reakcje, skoro nie potrafiła nawet panować nad swoimi. Pozatym wciąż był na nią zły od czasu rozmowy na temat tego, kto ma



się nim zajmować – kiedy dowiedział się od opiekuna społecznego, że ma zostać w domu opieki. Mona czuła, że zachowała się samolubnie i podle. Mimo to w głębi serca wiedziała, że zaczęło mu się tam podobać. Chociaż pewnie raczej połknąłby trutkę na szczury, niż to przyznał. „To szpitalne żarcie jest całkiem niezłe” – powiedział do kolegi z pokoju. A po paru dniach wszystko było całkiem niezłe lub nawet niezłe, trochę w zależności od tego, kto akurat się nim zajmował.

Teraz Mona siedziała i czuła niezachwiany spokój. Rodzące się w gorączce myśli były groteskowe. Naprawdę miała kłopot z powstrzymaniem się od śmiechu w obecności przedsiębiorców pogrzebowych. Jeden z nich wyjaśnił jej to dokładnie: cała ich wspólna własność należała teraz do niej. Zaoferował się, że pomoże jej później z podziałem spadku. Niepodzielność majątkowa oznaczała, że Mona mogła wchodzić do gabinetu Wilhelma, kiedy tylko jej się żywnie podoba. Wrażenie, jakby robiła coś zakazanego, jeszcze nie całkiem ją opuściło. Wciąż czuła łaskotanie w żołądku, gdy otwierała drzwi do niewietrzonego pokoju. Włożyła ręce do kieszeni i namacała klucz do sejfu. W obecnej sytuacji mogła z pewnością poprosić kogoś w banku, by dowiedział się, jaki jest szyfr do sejfu, ale nie umiała się na to zdobyć. Ci ludzie w banku należeli do innego gatunku. Tylko by się wygłupiła. Gdyby spytała, byłoby widać czarno na białym, kim jest ona sama... To znaczy kim? Innym gatunkiem. Tak myślała, stojąc przed portretem Oskara II w otoczeniu rodziny. Patrzyła na ornamenty na obrazie. I pomyśleć, że kosztował kiedyś 1,45. Jedyńka wyglądała jak jedynka napisana przez Wilhelma, prawie jak siódemka z zakreśloną końcówką. Piątka też wyglądała tak, jakby to on ją pisał. Jeśli miała szczęście, prawdziwe szczęście, to był to szyfr do sejfu. Warto spróbować.

Podnosząc słuchawkę i dzwoniąc do niego, Mona od razu odniosła wrażenie, że w jej głowie czai się nieprzyjemne uczucie. Gdyby tylko potrafiła przewidzieć, że doprowadzi to do kolejnego mordy, nigdy w życiu nie dotknęłaby tych okropnych cyfr na telefonie. Teraz czuła się mała i przestraszona. Bała się iść sama do banku, marmurowego pałacu cyfr, nie wiedząc, jak powinna się tam zachować. Nadal miała na sobie czarną sukienkę, mimo że świeciło letnie słońce i było gorąco. Może da im do zrozumienia tym czarnym strojem, żeby postępowali z nią ostrożnie. Poza tym sukienka pasowała jej bardziej niż cokolwiek innego. Ciemne brwi i rzęsy zostały wyeksponowane, a jej figura wyglądała podobnie do tej na modelkach z katalogów wysyłkowych. Nigdy nie odważyła się pokazać sukienki Wilhelmowi, nie po awanturze, która wybuchła, kiedy Mona zamówiła tak wiele niepotrzebnych rzeczy.

Teraz widziała jego postać przemykającą pośród drzew. Poczułaby się lepiej, gdyby ktoś jej towarzyszył w wyprawie do banku.

Choć był z nią i obejmował ją ramieniem, jej dłoń trzęsła się, gdy wpisywała numer i składała podpis na kartce, którą wręczyła jej kasjerka. Właściwie Mona

miała święte prawo, aby tam być, sejf był ich wspólną własnością. Ale jednocześnie była to domena Wilhelma, Mona przekraczała granicę, zaglądając do jego tajemniczego pokoju. Co w nim znajdzie? Wpis hipoteczny własności nieruchomości, swoje marne świadectwo z podstawówki i być może trochę pieniędzy albo jeszcze coś innego, co nigdy nie przyszłoby jej do głowy. A co, jeśli wpisała zły numer? Właściwie podejrzenie, że cyfry na obrazie stanowiły szyfr do sejfu, było bezpodstawne. Powiedział, że nic się nie stanie, jeśli wpisze błędny szyfr, ale mimo to się bała. Miała poczucie, że będzie to podłe, jeśli szyfr okaże się zły. Napawające wstydem i demaskujące ją.

- Czy mogę prosić o dowód? - Mona otworzyła swój zniszczony portfel z imitacji skóry, wetknęła do środka kilka wystających nitek i pokazała prawo jazdy. Bramka otworzyła się i weszli do skarbcza, on przodem, Mona tuż za nim. Pomyślała, że bank wygląda jak więzienie ze swoimi zimnymi, białymi ścianami i kamienną kolumną. Odgłos zamkniętej za nimi bramy rozległ się echem. Byli sami. Założył rękawiczki i wyjął jej z dłoni klucz, gdy miała otworzyć sejf. Oczywiście trzęsły jej się ręce, ale chciała zrobić to sama. Wyciągnął czarną skrzynkę i szybko rozejrzał się wokół, zanim podniósł wieczko. Mona pochyliła się, by zobaczyć, co jest w środku, i o mało nie usiadła, gdy zobaczyła pliki tysiąckoronowych banknotów. Na samym wierzchu leżał list zaadresowany do Birgitty. Nie był zaklejony. Dziwnie się czuła, trzymając go w dłoni. Dziwnie się czuła, patrząc na pismo Wilhelma i imię Birgitty napisane z takim staraniem i fantazją.

- Daj mi list - powiedział, a ona mechanicznie wykonała jego polecenie. W środku były pieniądze, ale także arkusz zapisany ręcznym pismem. - Zajmę się tym - oznajmił i wsunął go do kieszeni, zanim zdążyła przeczytać początek.

- Co mam zrobić z pieniędzmi?

Zaśmiał się krótko i nienaturalnie.

- Mnie się pytasz? Schowaj je w domu i wydawaj po trochu i z rozwagą.

Mona podążała wzrokiem za koparką. Głowa kobiety unosiła się i opadała jak igła w maszynie do szycia, kiedy Henrik podnosił ziemię i kamienie i upuszczał je na stos. „Rzeźbienie zbocza tak, aby nadać mu naturalny wygląd, to prawdziwa sztuka” – powiedział, „to jak formowanie kobiecego ciała o miękkich kształtach”. Gigantyczna koparka była posłuszna każdemu najmniejszemu ruchowi. Robił to z taką precyzją, jakby stanowiła ona protezę jego ręki. Mona obserwowała każdy gest. Henrik załadował właśnie duży kamień i wyprostował czerpak. Maszyna zacięła się. Kamienie wirowały nad czerpakiem i wpadały do niego z powrotem. Mona, poruszając głową, śledziła podskakujące kamienie, aż w końcu zdała sobie sprawę, że nabija się z niej. Zaśmiał się tak, że jego białe zęby zaśniły na tle zakurzonej twarzy. To komiczne, że za pomocą biegów, którymi sterował koparką, potrafił także kierować ruchami jej głowy. Powinna być zawstydzona, ale jego wzrok był taki łagodny, a śmiech taki przyjazny, że czuła, jakby sama brała udział w tym żarcie.

- Chcesz spróbować? – Henrik otworzył furtkę i stanął obok.

- Mogę? – Nie musiał prosić jej dwa razy.

- Nachylenie musi być jeden do dwóch. Pamiętasz, jak pokazywałem ci na wędzisku? – Mona przytaknęła i powstrzymała uśmiech, który w przeciwnym razie rozpromieniłby całą jej twarz.

- Dobrze, że masz lekką rękę. Masz, kurka wodna, talent. Właściwie to dziwne, że tak niewiele kobiet jeździ koparkami. Twoja praca w szpitalu musi być fizycznie dużo cięższa.

- Nienawidzę tego.

- Pracy ze zniedołężniałymi staruszkami?

- Studiowania. Muszę iść na kurs pielęgniarstwa, żeby utrzymać posadę. Nie dam rady. Powinnam od razu zrezygnować. Całe te obliczanie dawek. Nic z tego nie rozumiem. Cholera! – Mona przygryzła dolną wargę i poczuła, jak nieprzyjemny rumieniec oblewa ją aż po szyję. – Poza tym mam już dość ciągłego pomiatania. „Mona... basen! Mooona, gdzie moja kawa? Co to za beznadziejna obsługa?” Wiesz, kiedy widzę staruszkę na wózku inwalidzkim, przechodzę na drugą stronę ulicy. Jestem tym wszystkim taka zmęczona. Mam jedynie nadzieję, że któregoś dnia awansuję na oddziałową na urologii, jeśli mimo wszystko uda mi się zaliczyć kurs.

Henrik zaśmiał się.

- Dlaczego w takim razie nie zmienisz pracy?

- Jak to? Co miałabym robić? Dam sobie rękę uciąć, że trzeba znać angielski, żeby nawet sprzątać toalety na promie.

- Mogłabyś kopać moją koparką.

- Żartujesz?

- Nie, są intensywne kursy, na których można zdobyć uprawnienia. To trochę kosztuje, ale można nauczyć się podstaw. Później to już zależy tylko od ciebie,

jak biegła i dokładna będziesz w swojej pracy. Sama budujesz sobie opinię. Najlepsi dostają zatrudnienie. Ja jestem samoukiem. Za moich czasów wystarczyło zaświadczenie, że przepracowało się tysiąc godzin. Jeśli chciało się zdobyć złotą gwiazdę, trzeba było wsunąć czerpakiem szufladkę od pudełka zapalek, nie poruszając przy tym samym pudełkiem. Tak, Mona. To się nazywa biegłość zawodowa. Ale myślę, że niewiele ci do tego brakuje. Masz, kurczę, talent. Pokazać ci, jak działa silnik? Tam na dole są pompy. To samo serce maszyny. To są zawory. Otwiera się je i zamyka za pomocą biegów. Czasami trzeba dostarczyć jej trochę krwi, staremu Catowi, tutaj wlewa się olej. Ma też sztuczną szczękę. Zupełnie jak twoi staruszkowie. Przybija się te zatyczki młotem do czerpaka, jeśli ma zżerać trawę.

- Mówiłeś poważnie?

- Że możemy razem pracować? Jasne. Nie wyrabiam się teraz z robotą. Chcę mieć czasami wolne, a maszyna jest zbyt droga, żeby po prostu stać na wzgórzu i żeby ludzie mieli ją tylko oglądać. Teraz pokażę ci, jak się tankuje. Tamten zielony bak to zbiornik. Stąd wyjmujesz wąż...

Mona stała przed lustrem i patrzyła na swoją twarz. Henrik dotknął jej wcześniej. Załedwie musnął jej policzek czubkami palców, kiedy miała wejść do domu. Odtworzyła jego ruch, czuła, jakby jej dłoń była jego dłonią. Próbowowała popatrzeć na siebie jego oczami, w sposób, jaki on ją postrzegał. Może miał w oczach filtr, który redukował całą brzydotę. Zmrużyła oczy i zaczerwieniła się. Jego dotyk bardzo jej się podobał.

Mona poskładała ubrania Wilhelma i włożyła je do torby przeznaczonej na zbiórkę odzieży. Garnitur, który ostatnimi czasy stał się za mały, jednolite jaskrawe koszule, przy których kupnie się upierał. Wciąż czuła irytację na myśl o tym, jak żałośnie w nich się prezentował. Rozpięte na piersi, w połączeniu z grubym złotym łańcuchem na szyi, sprawiały, że wyglądał jak alfons - alfons z Eksta wraz ze swoją wsiową puszczałką. Ciszę przeciął dzwonek telefonu.

- Birgitta! Jak miło, że dzwonicz... Olov? Nie, nie ma go tu... Christoffera też nie ma... Co słyhać? Jesteś smutna?... Dobrze. Powiem, żeby zadzwonili do ciebie, jak się do mnie odezwą... Nie chcesz?

Po skończonej rozmowie Mona stała przez jakiś czas ze słuchawką w dłoni. Musiała pojechać do miasta, jak najszybciej. Musiała zamówić taksówkę. Myśli, które zepchnęła głęboko między swoje najstraszniejsze fantazje, momentalnie pojawiły się na nowo w jej głowie. Nic złego nie może przydarzyć się Birgittcie. Przez moment rozważała telefon na policję. Ale zrezygnowała z tego z obawy przed reperkusjami. Czy dowiedział się, że się z nimi skontaktowała... Mona nie chciała o tym myśleć. Ale musi z nim porozmawiać, bez względu na to, ile miało ją to kosztować.

Rozkład jazdy autobusów był zerwany. Nie miało to znaczenia. Nigdy nie potrafiła dojść do tego, o co w nim chodzi. Stała sama na przystanku. Gdyby czekali też inni ludzie, byłoby bardziej prawdopodobne, że autobus zaraz się

pojawi. Wychyliła się na drogę i zaczęła wypatrywać. Powinna była zabrać ze sobą okulary. Ale salon został jakby zamrożony. Nic tam w środku nie mogło być ruszone od wieczora, kiedy była świadkiem zamordowania Wilhelma. Nie potrafiła tego wytłumaczyć sama przed sobą. Tak po prostu było. Magiczne wyrzeczenie, aby nie zakładać okularów i nie oglądać telewizji, najlepiej nawet tam nie wchodzić. Kwiaty w środku zwiędły. Nie mogła nic z tym zrobić. Pokój wyglądał jak wnętrze grobu.

Autobus nie kwapił się, aby nadjechać. Mona właśnie zdecydowała, że wróci do domu i zadzwoni po taksówkę, kiedy zobaczyła samochód Henrika. Stała za wiatą i przylgnęła do niej. Nie mógł jej zauważyć i spytać, dokąd się wybiera.

Birgitta skubnęła kilka żółtych płatków pelargonii z doniczki na balkonie i weszła do mieszkania. Słońce stało nisko i wypełniało wnętrze kuchni żółtym, oślepiającym światłem. Wyjęła naczynia ze zmywarki i postawiła na stole dwa ceramiczne kubki. Zostało pół godziny do przyjścia Marii. Szum dobiegający z rynku przebijał się przez ciche dźwięki *Shepherd Moons* Enyi. Płyta była prezentem od Olova. Kiedyś słuchała jej codziennie.

Na klatce schodowej słychać było śmiech i rozmowy. Drzwi wejściowe trzaskały raz po raz. Birgitta wyszła na korytarz i nasłuchiwała. Zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Wychudzone ciało w wiszących luźno ubraniach. Jak bardzo straciła na wadze w ostatnim miesiącu? Oczy były podkrążone, zapadnięte nad podkreślonymi kośćmi policzkowymi. Włosy zebrała w cienki kucyk. Podobieństwo do Mony Jacobsson stało się w tej chwili wyraźne nawet dla niej samej. Może nie dotyczyło ono tyle samego wyglądu, ile postawy ciała i wyrazu twarzy. Birgitta usłyszała, że woda się gotuje, i poszła do kuchni, aby wyłączyć kuchenkę. Zdecydowała, że opowie wszystko Marii Wern. Policjantka wydawała się kompetentna i wystarczająco bystra, żeby zrozumieć powagę sytuacji. Birgitta wiedziała, kogo Wilhelm spotkał w domku przy plaży. Wiedziała, co się kroilo. Mona również wiedziała. Stała tuż obok Wilhelma, kiedy o tym wspomniał. Niemożliwe, aby jej to umknęło. Stała tak blisko, że Wilhelm poprosił, aby się przesunęła. Mona zdecydowała się nie powiedzieć nic policji. Nietrudno było domyślić się dlaczego. Birgitta usiadła na ławie w kuchni. Powinna była chyba opowiedzieć wszystko Marii, gdy spotkały się w Gutekällaren. Ale wtedy Arne nie wiedział jeszcze o srebrze. Mogła poradzić sobie sama. Teraz nie było wyjścia.

Przeszywający dźwięk dzwonka sprawił, że Birgitta wstała. Wciąż mogła jeszcze zmienić zdanie. Jeszcze przez minutę. Nie, podjęła decyzję. Gwałtownie otworzyła drzwi i zobaczyła zamaskowane twarze. Cały widok wypełniły pary oczu w czarnych maskach i okazałych strojach: mnich, piekarka, burmistrz z żoną, rosyjski kupiec, trędowaty, szczur i uliczna sprzedawczyni. Błazen zrobił krok do środka.

- Przyjmij nasze pozdrowienia, piękna niewiasto, i pozwól, że wypiję twe zdrowie. Czczę twe piersi, pani, jak pardwy. Trzymaj je wysoko i nie pozwól, by łaknące jądła dziatki sprawiły, że obwisną. - Skłonił się, zdjął ze stopy Birgitty prawy but i napełnił go napojem ze swojego rogu. Upił łyk i podał but mnichowi, który krzywiąc się, wypił zawartość.

- Przyszliśmy tu razem, aby powstrzymać cię przed wstąpieniem w stan małżeński. Bo czym innym jest zakochanie aniżeli tylko psychotyczną fiksacją na niewartym afektu przedmiocie, stanem zawirowania, pomieszaniem zmysłów? Weź w cugle swój rozum, zapomnij się i udaj się z nami na błogosławione łono Matki Natury, daleko na upajające zapachem kwitnące łąki. Z dala od rzeczywistości dla uzdrowienia i polepszenia nastroju.

- Jeśli dziś zaślubimy cię wędrującej zjawie Waldemara Atterdaga, nie będziesz mogła dopuścić się w sobotę bigamii, czyż nie? Chodź, przebierzemy cię za pannę młodą - rzuciła piekarka z zaróżowionymi policzkami i wskazała w kierunku sypialni. - Panom wstęp wzbroniony... Nie, błaznom również. Przestań, Christofferze.

- Zawiążemy ci oczy, w przeciwnym razem pęknie z pychy, kiedy ujrzysz się lustrze. Będziesz tak olśniewająco piękna w swoim stroju, że słońce przy tobie zblednie. Ale najpierw: twoje zdrowie, Birgitto, zdrowie wolności!

Żona burmistrza zaprowadziła Birgittę do sypialni i zatrzasnęła drzwi przed nosem mnicha i błazna. Birgitta wypła łyk ze szklanki, którą jej podano. Oranżada Christoffera, jak się domyśliła.

- Co robicie? - Birgitta próbowała stawić łagodny opór, ale zrećcznie została rozebrana i na powrót ubrana, od stóp do głów. Majtki sięgały jej do kolan, miały wiązanie w talii i rozcięcie w kroku, żadne obcisłe spodnie nie wchodziły w grę. Czowała, jak ktoś wkłada jej coś na głowę.

- Czy to zrobiona z marchewek korona świętej Łucji? Chcę wiedzieć.

- Nie, moja piękna. To hot dogi w kondomach. Seks z pozdrowieniami od ministerstwa zdrowia. Wypij swój puchar i bądź grzeczną dziewczynką.

Poczuła wyzwolenie, tracąc nad sobą kontrolę. Po jednej kolejce świat przestał być taki straszny, po dwóch stał się nawet całkiem sympatyczny.

- Musisz unieść sukienkę, jak będziesz szła po schodach. Jest na ciebie za długa. Wzięłaś tabletki przeciwwymiotne, skoro wyruszasz z Waldemarem na wyprawę do Danii?

- Tylko mnie nigdzie nie zamykajcie. Nie wytrzymuję w ciasnych pomieszczeniach. Spytajcie Olova, on dobrze o tym wie. Wpadnę w panikę i zacznę się wydzierać. Wolę pływać pontonem po morzu albo rozdawać pocałunki za opłatą. Co zamierzacie ze mną zrobić?

Birgitta nie była przekonana, czy ktoś ją słyszał. Nie była nawet pewna, czy jeszcze tam byli. Gdy próbowała poluzować opaskę na oczach, usłyszała w uchu syk Olova.

- Zachowasz dziewictwo tylko wówczas, jeśli nic nie zobaczysz. - Wziął ją pod rękę.

- Gdzie idziemy? Boję się, że wejdę na jakiś słup.

- Weź łyk napoju zapomnienia. - Przyłożył jej do ust swój róg, a ona upiła łyk. Trudno było rozróżnić głosy. Olov wydawał komendy: w prawo, w lewo, teraz w lewo, uwaga spadek. Birgitta miała zawroty głowy, jakby ktoś ją w nią uderzył. Zwymiotowała. Usłyszała plusk na bruku.

- Trochę za mocny trunek - Birgitta rozpoznała głos mnicha. - Byłaś na czczo?

Nie miała pojęcia. Czowała, jakby brodziła w bawelnie, mdłości sprawiły, że się spociła, diadem wpijał się jej w czoło. Wszystko wirowało przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, okrążenie za okrążeniem. Była wdzięczna za panującą ciemność, szczęśliwa, że nie musiała widzieć ich twarzy. Ktoś pomógł jej usiąść.

Nie miała siły siedzieć bez podparcia. Słaniała się, a jej głowa tętniła, rozsadzając czaszkę. Ktoś podniósł obie jej nogi na tę samą wysokość.

- Zdejmij jej na chwilę opaskę. Może zawroty głowy się zmniejszą, gdy będzie mogła zatrzymać na czymś wzrok - głos piekarki. Birgitta przymknęła oczy. Chciała pozostać w ciemności, ale została jej ona zabrana, gdy leżała na ławce. Róże tańczyły jej nad głową nad belkami na dachu między wapiennymi filarami w rosarium jak czerwone, szerokie obłoki. Na dole kwitły różowe hortensje, białe róże i ostróżki. Mur osłaniał od ostatnich promieni wieczornego słońca i chronił przed wiejącym od morza wiatrem. Byli w Ogrodzie Botanicznym. Tu spędziła wiele nocy z Olovem w altanie. Szli wzdłuż plaży, przeszli przez Bramę Miłości i przecinając ulicę, doszli do Ogrodu Botanicznego, przez ogród różany i w górę do świątyni na wzgórzu. Sama rozpoznała drogę i powtarzała nazwy róż, tak jak wcześniej on ją tego nauczył: Ingrid Bergman, Astrid Lindgren, Peer Gynt. Jak miło. Maria Callas i Carl Philips. *So glad to meet you!*

Birgitta czuła, jak po policzkach spływają jej łzy, ale nie miała siły ich powstrzymać. Tutaj ganiała się z Olovem, który chytał ją w ramiona. Bawili się jak dzieci, chowali ubrania w krzakach róż i kąpali się w stawie pośród nenufarów w środku nocy. Chciał się z nią kochać pod wierzbą płaczącą. Odmówiła, choć prawie nie mogła powstrzymać pożądania. Wtedy cienie pod sosną były zwyczajne, teraz wyglądały groźnie w zielonej ciemności. Chciała wrócić, ale wszystkie drogi prowadziły prosto w nieznanne. Maria Wern czekała już pewnie na nią i zastanawiała się, co się stało.

Birgitta słyszała, jak pozostali wygłaszają swoje przemyślenia. Słowa „rycerz” i „dziewica” padały wiele razy. Założyli jej z powrotem opaskę na oczy i kobiety wyprowadziły ją z ogrodu rozkoszy. Nie wiedziała, gdzie podziały się szepczące głosy. Wydawało się, jakby dochodziły z oddali, pojawiały się samoistnie. Panował chłód i miała trudności z utrzymaniem równowagi na wysokich obcasach. Wciąż źle się czuła. Inni śmiali się i przekrzykiwali wzajemnie, mówiąc o mękach małżeńskich i osaczeniu w związku. Ktoś opowiedział historię o mężczyźnie piekącym cynamonowe bułeczki. Zajęło mu to cztery godziny. Przez cztery godziny wałkował płaty ciasta, następnie smarował je masłem i posypywał cukrem i cynamonem. Birgitta czuła się zamroczone i trudno było jej zrozumieć humor sytuacyjny. Najchętniej zwinęłaby się w kłębek tam, gdzie leżała, i zasnęła na ławce. Pragnęła, aby Olov objął ją i powiedział, że nic jej nie grozi.

- Teraz możesz zdjąć opaskę i wspiąć się na górę. Pomożemy ci. Możesz trzymać mnie za rękę, później oprzyj się na mojej głowie - powiedziała piekarka.  
- No, dawaj. Jesteś dziewczycą w wieży i wkrótce przybędzie Waldemar, żeby cię uratować.

- Muszę?

- Jeśli chcesz zostać królową Danii.

- Nie jest to chyba konieczne - odparła Birgitta, ale słowa, które padły z jej ust, nie zabrzmiały tak, jak miały zabrzmieć.



- Wyciągnij się i chwyć tutaj ręką. Złap mocno, a później postaw stopę na tym wystającym kamieniu. Dawaj! Pójdzie gładko, tylko zdejmij buty. Rzuć je tutaj. O tak. Tu jest drabinka. Teraz zostań tu, a my wezwiemy twojego rycerza wybawiciela.

Żona burmistrza zniknęła, w ślad za nią również głosy. Pozostały tylko dźwięki nocy: wiatr, fale i skrzeczące w oddali mewy. Birgitta położyła się na podeście. Światło latarni padało na część wieży. Tuż przy jej twarzy leżała mokra, rozłożona gazeta i gołębie białe pióro. Jej wzrok powędrował w kierunku korony wieży, tam gdzie spotykała się z ciemnym niebem. Birgitta poczuła bezwład, kiedy przymknęła oczy i czując zawroty głowy, odpłynęła w sen. Nie słyszała kroków na asfalcie w dole. Ani stóp, które wspięły się po murze, i kogoś, kto wskoczył na podest. Być może wzdrygnęła się lekko, gdy igła przeszła jej skórę na tętnicy szyjnej.

Kiedy zeskokczył z powrotem na ziemię, zobaczył Monę. Patrzyła na niego blada jak ściana. Odskokczył, jakby ktoś strzelił go po twarzy.

- Co zrobiłeś! - szepnęła. - Co zrobiłeś!

Zaczęła uderzać go pięściami, ale on jakby nic nie czuł.

- Nie mieliśmy wyboru. - Złapał ją za szyję. - Rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie mieliśmy wyboru.

- Nigdy więcej nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! - Odepchnęła go, gdy rozluźnił uścisk.

- Nie będziesz musiała, jeśli będziesz trzymać język za zębami.

Zobaczyła tylko jego plecy, kiedy zniknął za Murfallet. Stała w bezruchu, kiedy usłyszała, że wraca towarzystwo.

- Mogłeś wysikać się pod pierwszym lepszym drzewem, nie jesteś chyba czarownicą. - Mnich świdrował wzrokiem króla Waldemara, który nadszedł, zataczając się, od strony budki, gdzie zrobił dziurę służącą mu za wychodek.

- My, szlachetnie urodzeni, chronimy swoją prywatność. Czy zaprowadziliście już Birgittę do wieży dziewiczej?

- Rozjuszony tłum *zamurował* ją w wieży dziewiczej - odparł poirytowany mnich. - Jeśli chcesz zabrać ją w podróż swego życia, musisz uwolnić ją od wódczanego smoka. To chyba stanowi obecnie problem.

- A więc nie może sama zejść? Cholera, będzie ciężko! - Arne przebrany za Waldemara, z podartą koroną z papieru na głowie i ciągnącym się aksamitnym trenem rozejrzał się, próbując wyczytać odpowiedź z twarzy pozostałych.

- Nie wydaje mi się - powiedział Olov, usiadł na ziemi i oparł głowę o mur. Był przebrany za trędowatego i jego opatrunki zaczynały gdzieś odpadać. Christoffer obszedł grupę i zadał w swój flet. Rozległ się falsetowy ton.

- Przestań, do diabła! - syknął mnich. - Nie musisz od razu obalać muru tym dźwiękiem, żeby mu pomóc w zabraniu jej z wieży.

Christoffer zarechotał i wetknął flet pomiędzy nogi dominikanina, tak że jego kapota załopotała na wietrze.

- Sam byś ją chętnie przyprowadził, ale nie masz do tego uprawnień.

- Waldemar jest na wieży już od dłuższego czasu. Czy ktoś może sprawdzić, co tam robią? - powiedziała piekarka, stojąc na palcach.

- Albo śpią, albo się migdałą. Idziemy do domu? - rzucił Olov i podniósł się, chwiejąc się na nogach.

- Halo, tam na górze! Idziemy już do domu - zapiszczał cienkim głosem mnich.

- Gołąbeczek ma to w nosie - powiedział Christoffer, wywijając fletem. Mnich zrobił unik w bok ku rozbawieniu dam.

- Arne, idziemy! - zawołał Olov, który stanął na samym dole przy wieży. Na górze ukazała się twarz i tułów Arnego.

- Dobry wieczór, piękna masko. - Christoffer skłonił się dwornie.

- Nie chce się obudzić. Jakby nie było w niej życia - wybuchnął Arne.

- Niedobry omen na noc poślubną. - Piekarka podparła się pod boki i zmrużyła oczy, patrząc w górę wieży.

- Nie żartuję, cholera. Nie chce się obudzić.

Olov oprzytomniał w jednej chwili i wspiął się kilkoma susami na wieżę.

- Odsuń się - rozkazał.

- Chyba nie żyje - szepnął Arne i chwycił Olova za ramię. Olov uwolnił się z uścisku, sprawdził puls na jej szyi, ale go nie wyczuł.

- Dzwon po karetkę! Już! - Olov pochylił się nad Birgittą i zaczął reanimację. Uciski, wdechy, znowu uciski i znowu wdechy, podczas gdy inni obserwowali

bezsilnie jego starania. Christoffer zadzwonił na numer alarmowy i schował telefon do skórzanej sakwy.

- Już tu jadą.

Trwający wieczność wstrzymany oddech. Dopiero gdy pojawiła się karetka, Christoffer zauważył matkę. Stała obok niego. Nie miał pojęcia, jak długo mogła się im przyglądać.

- Co ty tu, do diabła, robisz?

Nie odpowiedziała mu. Trupioblada spoglądała w kierunku korony wieży. Kiedy Olov zszedł, trzymając bezwładne kobiece ciało, Mona osunęła się na ziemię przy stopach Christoffera.

Maria Wern skontaktowała się ze strażnikiem już o wpół do dziesiątej wieczorem, kiedy Birgitta Gullberg nie otworzyła drzwi o umówionej porze. Czekając na Arvidssona, przyniosła z samochodu narzędzia, żeby wyłamać zawiasy. Brokat i kwiatowy pączek rzucony na schody świadczyły o tym, że wcześniej miało tu miejsce jakieś świętowanie.

- Dobrze, że udało ci się tak szybko przyjechać - powiedziała, gdy dostrzegła przy bramie czerwoną czuprynę Arvidssona.

Po kilku mocnych uderzeniach udało się wyważyć drzwi. Ślady jednoznacznie wskazywały na to, że na miejscu odbyła się impreza, stereo było włączone, wszędzie stały szklanki, puszki po piwie, na stole i podłodze porozrzucone były niedopałki i pokruszone chipsy. W sypialni leżał stos ubrań: džinsy, T-shirty, kamizelka i rajstopy. Impreza musiała mieć gdzieś swój ciąg dalszy. „Przypuszczalnie wieczór panieński” - pomyślała Maria i zmarszczyła czoło. Być może wyważenie drzwi nie miało za bardzo sensu. Obrazy pobitej, nieżywej Birgitty wirowały w jej głowie, kiedy majstrowała przy zawiasach. Birgitta wiedziała coś o mordercy Wilhelma Jacobssona. Ten, kto ma odwagę odciąć palec zwłokom, aby zostawić odciski palców dla zmyłki, może równie dobrze posunąć się do pozbycia się świadka. Przerazenie na twarzy Birgitty świadczyło na pewno o tym, że zmagala się z jakimś problemem, który powodował jej paniczny strach. „Jedne drzwi mniej lub więcej nie stanowiły w tej chwili szczególnej różnicy” - pomyślała Maria, kiedy usłyszała sygnał swojego pagera.

- Słyszałem od strażnika, że jesteś w mieszkaniu Birgitty Gullberg - powiedział niewyraźnie Ek wśród hałasu przejętych głosów w tle.

- Nie ma jej tu - oznajmiła Maria.

- Wiem. Jesteś na służbie?

- Można tak powiedzieć.

- Przyjedź i pomóż mi w izbie przyjęć. Około godzinę temu przywieziono tu Birgittę Gullberg. Nie żyje. Mona Jacobsson przyjechała w następnej karetce. Nie wiem co z nią. Musimy zabrać na posterunek i przesłuchać całą bandę przebierańców. Są tu rodzice Birgitty i twoja gospodyni. Panuje ogólny chaos. Przyjedziesz?

- Czy mogę wejść i przesłuchać Monę Jacobsson? - spytała Maria, kiedy w końcu udało jej się porozmawiać z lekarzem, który przez ostatnie pół godziny był zajęty mężczyzną po wypadku na motocyklu. Lekarz wyglądał na młodego i poirytowanego.

- Tylko krótko i ostrożnie - powiedział i z głębokim westchnieniem usiadł za biurkiem. Maria zdecydowała się postać.

- Czy może mi pan opowiedzieć, co się wydarzyło?

Mężczyzna przy biurku przymknął oczy.

- Mona Jacobsson ma zakażenie. Została ukąszona przez żmiję i próbowała pozbyć się jadu, w wyniku czego wdała się poważna infekcja.

- Ile czasu mogło minąć od ukąszenia?

- Trzy tygodnie, twierdzi, że tyle z tym chodziła. Później ponownie zemdląca. Była oczywiście świadkiem tego wypadku w wieży dziewiczej. Proszę być ostrożną, gdy będzie z nią pani rozmawiała. Ma gorączkę.

- Oczywiście. Przywieziono tu Birgittę Gullberg. Poinformowano nas, że nie żyje. Czy jest pan w stanie stwierdzić, co się wydarzyło?

- Była już martwa, gdy przywieziono ją na izbę przyjęć. Ratownik z karetki, który próbował ją reanimować w wieży, powiedział, że już wtedy nie wykazywała oznak życia. Dużo wypła i wymiotowała. Najbardziej prawdopodobne jest, że się zachłysnęła, dostało się to do jej płuc i udusiła się.

- Nie było śladów przemocy?

- Nie potrafię udzielić odpowiedzi na to pytanie. Jak już powiedziałem, nie żyła, gdy ją tu przywieziono. Byłem zmuszony zająć się następnym pacjentem, ratować życie, które ma szansę zostać uratowane. To straszne, ale tak to już jest! Proszę mi wybaczyć, muszę porozmawiać teraz z rodzicami Birgitty Gullberg. Jeśli chce ich pani później przesłuchać, można to zrobić w tym pokoju.

- Dziękuję. Wygląda na to, że miał pan ciężki dyżur.

- Pracuję od ósmej rano i kończę jutro rano o tej samej porze po dwudziestu czterech godzinach pracy. Czasami jest to nieludzkie. Pacjent, który pojawi się tu jutro o ósmej, oczekuje, że będzie traktowany z takim samym zaangażowaniem jak ci, którzy pojawili się tu na początku mojej zmiany, bez względu na to, czy utknął im w uchu czosnek, czy też rąbnęli się w nogę. Jeśli coś jeszcze wydarzy się tej nocy, popełnię harakiri.

Olov podniósł się niechętnie, aby zrobić miejsce dla Marii przy posłaniu Mony. Mona, drobna i blada, leżała zwinięta w kłębek. Jej ręka spoczywała wyciągnięta na żółtym kocu. Wyglądało na to, że kobieta śpi. Maria usiadła na krześle przy łóżku. Olov podszedł do okna. Widział, jak twarz Marii odbija się w ciemnej szybie. Jej oczy błyszcząły. Przymknął powieki, przyciskając dłonie do szyby. Nadal miał na sobie kostium ze szmat. Większość wisiała w okolicach stóp, u góry prześwitywały czerwone bokserki. Włosy miał rozczochrane, a na twarzy rozmazany brud i łzy.

- Czy to nie może poczekać? - odezwał się gwałtownie, kiedy Maria ostrożnie dotknęła ramienia Mony i wypowiedziała jej imię.

- Rozumiem, że pan tak uważa, ale nie mamy czasu. Chodzi o morderstwo, które może się powtórzyć. Czy mogę prosić o oczekiwanie na zewnątrz? Przyjdę do pana do poczekalni za pół godziny.

- Będę siedział w pokoju kawowym - syknął i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Maria ujęła ciepłą, wilgotną dłoń Mony.

- Mona, słyszy mnie pani? Mona!

- Tak. - Kobieta poruszyła się, ale nie otworzyła oczu.

- To ja, Maria Wern z policji. - Powieka Mony zadrżała. - Ukąsiła panią żmija.

- To Wilhelm...

- Wilhelm?

- Wzięłam kamień ze stosu. Wtedy żmija wbiła się w moją łydkę. To nie ja prowadziłam samochód. On trzymał kierownicę i jechał brzegiem kei. Moje dzieci. Matka robi wszystko dla swoich dzieci. Wszystko! Nie może się utopić. Straciłam kontrolę. Dałam mu Ak 4. Co innego miałam zrobić z bronią? I pobiegłam przez mokradła...

- Nie bardzo rozumiem.

- Majaczy w gorączce - powiedziała pielęgniarka, która weszła bezgłośnie do sali, żeby sprawdzić kroplówkę.

- Mona, czy wie pani, co się stało Birgitcie? - nie dawała za wygraną Maria.

- Musiał ją zabić.

- Kto? - spytała Maria i wstrzymała oddech.

- Wąż - szepnęła Mona.

- Powinna chyba odpocząć - odezwała się pielęgniarka. - Jutro na pewno będzie bardziej komunikatywna. Olov czeka na panią w pokoju kawowym. Wścieka się, że nie zostawicie jej w spokoju, kiedy jej mąż właśnie zginął i w ogóle. Nie można robić tego na siłę.

- Nie robię. Z uwagi na zaistniałą sytuację poproszę o nadzór policyjny nad Moną dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dla jej własnego bezpieczeństwa. Mogła być świadkiem morderstwa. Nie wiemy, co planuje morderca. Chcę

porozmawiać z nią na temat najważniejszych kwestii, jak tylko wróci do siebie.

- Co pan o tym myśli, Olovie? Musi pan mieć jakieś przemyślenia na temat sprawcy tego wszystkiego. Pana ojciec i była narzeczona nie żyją. Proszę powiedzieć, co pan myśli - zaczęła Maria, kiedy Olov opowiedział o zdarzeniach minionego wieczoru.

- Ja to zrobiłem, do cholery. Wlałem w nią więcej alkoholu, niż była w stanie wypić. Byłem wściekły, że zmarnuje sobie życie z tym lalusiowatym antykwariuszem. Chciałem zobaczyć, jak rzyga. Do cholery. Wszystko to moja wina. Nie chciałem, żeby straciła przytomność i udusiła się własnymi wymiocinami.

- Nadal nie wiemy, z jakiego powodu umarła - powiedziała Maria, próbując uchwycić wzrok Olova.

- Od czego innego mogła umrzeć? Była młoda i zupełnie zdrowa.

- Jak długo was nie było, kiedy poszliście po Arnego?

- Nie wiem. Pół godziny, może trzy kwadransy. Nie, to musiało trwać dłużej. Poszedł do toalety i nie było go co najmniej przez dwadzieścia minut.

- Czy ktoś z was obserwował wtedy wieżę?

- Nie, siedzieliśmy wszyscy razem w altanie w Ogrodzie Botanicznym.

- Czy ma pan jakieś przemyślenia na temat tego, co stało się z pana ojcem?

- Oczywiście, że mam. Jednym z nich jest to, że może to dotyczyć dzierżawy. Pokłócił się z jednym z facetów we wsi. Mogło dojść do rękoczynów. Zabójstwo. Kogoś ogarnął strach i ukrył ciało na stosie w Vallekviör.

- Co robiła Mona przy wieży dziewiczej?

- Nie wiem. Musiała iść za nami od samego Rynku Głównego, w przeciwnym razie nie wiedziałyby, gdzie jesteśmy. Skąd mogę wiedzieć?

- Czy jest ktoś, kto ją widział w pobliżu miejsca zamieszkania Birgitty?

- Nie sądzę. Myślę, że zauważylibyśmy ją.

- Czy wiedziała, że będziecie urządzali wieczór panieński?

- Chyba wspominałem o tym, gdy rozmawialiśmy ostatnim razem przez telefon.

- Kiedy to było?

- Wczoraj. Starłem się dzwonić do niej codziennie, od kiedy została sama.

Szary na twarzy i nieogolony Trygvesson usiadł przy stole. Worki pod oczami świadczyły o nieprzespanej nocy. Patrzył przed siebie i nie mówiąc ani słowa, obracał w palcach łyżkę. Maria Wern przerwała ciszę.

- Uważam, że Mona Jacobsson potrzebuje całodobowego nadzoru. Ek siedzi u niej na oddziale zakaźnym i czeka na twoją decyzję. Dziś rano zabrano ją z izby przyjęć.

Trygvesson kręcił się nieswojo i upuścił łyżkę, która odbiła się od stołu i upadła na podłogę.

- Nie sędzę, żebyśmy mogli sobie na to pozwolić. Już w obecnej sytuacji wszyscy pracują po godzinach. Jest przy niej przecież personel medyczny, to powinno chyba wystarczyć? Tuż przy łóżku ma dzwonek alarmowy. Nie pozostaje sama w pokoju przez dłuższy czas. Co wynika z waszej rozmowy wczoraj w nocy? Czy ona sama ma wrażenie, że jest narażona na niebezpieczeństwo? - zapytał Trygvesson, obserwując Marię spod na wpół przymkniętych powiek.

- Nie. Mona o to nie prosiła. Nie sędzę, by jej myśli mogły podążać takimi torami. Mówiła bez ładu i składu, majaczyła w gorączce, gdy u niej byłem. Lekarz powiedział, że ma zakażenie krwi spowodowane zainfekowaną raną po ukąszeniu żmii. Mówiła, że żmija ukąsiła ją przy stosie kamieni w lesie. Przeklęty ten, który weźmie kamień ze stosu. W miejscu, gdzie znaleźliśmy ciało Wilhelma Jacobssona, znaleziono żmiję ze zmiażdżoną głową. Sędzę, że Mona mogła tam być, towarzysząc przy pochówku. Sama nie dałaby rady zanieść tam ciała, ale przypuszczalnie uczestniczyła w tym. Stała również przy wieży dziewiczej, gdy karetka zabierała Birgittę. Jakby wiedziała albo przeczuwała, co miało się zdarzyć. Myślę, że wie, kim jest morderca, i on raczej nie pozwoli jej tego powiedzieć. Dlatego powinna mieć ochronę.

- Łatwo powiedzieć, jeśli nie jest się odpowiedzialnym za budżet. Wszystkie nadgodziny wiążą się albo z zabieraniem ludziom czasu, albo pieniędzy. Nie możemy zawiesić działalności zimą tylko dlatego, że już teraz wydamy wszystkie nasze środki. Myślę, że powinniśmy się skupić na zwykłej, uczciwej, pozbawionej splendoru robocie dochodzeniowej. Łatwo jest dać się ponieść emocjom, kiedy zdarzy się coś takiego. Musimy pracować metodycznie, taka praca już wcześniej dała rezultaty i będzie je dalej przynosiła. Nic nie wskazuje na to, że biedna dziewczyna została zamordowana w nocy. Alkohol zbiera swoje żniwo. Tak wygląda rzeczywistość. Nie jest to piękne, ale prawdziwe.

Trygvesson chciał wstać, wygłosiwszy swoje przemówienie, ale przyszpilił go wzrok Hartmana. Starszy kolega miał coś do powiedzenia.

- Możemy ocalić ludzkie życie. Myślę, że powinna mieć ciągły nadzór. Jeśli nie damy rady, wykorzystując podstawowy budżet, zwrócimy się do wydziału kryminalnego po dodatkowe fundusze. Bardzo możliwe, że w grę wchodzi dwa morderstwa. Nie wiemy, co się stało. Myślę, że trzeba dmuchać na zimne.

Inni poparli wystąpienie Hartmana. Trygvesson zacisnął szczękę. Nie był przyzwyczajony do kontrataku, jak domyślała się Maria.

- Niech wam będzie - mruknął komisarz. - Myślę, że powinniśmy się powstrzymać od kopania za głęboko, zanim nie wyjaśni się, czy wydarzenia z wieczoru panińskiego były nieszczęśliwym wypadkiem, czy też nie. Coś jeszcze? Co wykazało dalsze śledztwo po przeszukaniu domu Mony Jacobsson?

- Nic, zupełnie nic - powiedział Arvidsson. - Muszę przyznać się do jednej rzeczy. Po przesłuchaniu Henrika Dune pożyczyłem z jego szopy rower. Zwróciłem go następnego ranka.

- Po jaką cholere? - zapytał Trygvesson, który po raz pierwszy od rana sprawiał wrażenie obudzonego.

- Może powinniśmy pogadać o tym później w cztery oczy. - Arvidsson patrzył na Trygvessona z dziwnym wyrazem twarzy, unikając badawczego spojrzenia Marii.

- Czy karabin był w domu? - zapytał komisarz.

- Nie, być może zabrał broń ze sobą do samochodu - odparł Arvidsson. - Trzeba przyjąć, że zaginęła. Myślę też, że Mona wie więcej, niż mówi. Kogo chroni? Co prawda majaczyła, ale z tego, co zrozumiałaś, Mario, to mówiła chyba, że przekazała komuś broń? Powiedziała też: matka robi wszystko dla swojego syna. Dla którego? Czy myślała o konkretnym synu, czy też była to ogólna refleksja?

Arvidsson odchylił się do tyłu i potarł oczy. Trygvesson przymknął powieki. Wyglądało na to, że jego zmęczenie udziela się innym. Hartman ziewnął dyskretnie, zakrywając usta pięścią. Maria była coraz bardziej poirytowana flegmatycznym zachowaniem komisarza. Nie tylko on był przecież zmęczony. Powinien wziąć się w garść, jak wszyscy inni. Maria i Hartman byli na nogach właściwie przez całą noc, wysłuchując płaczu i awantur wszczynanych przez pijaną młodzież - niektórzy nie byli nawet w stanie udzielić odpowiedzi „tak” lub „nie”. Młoda dziewczyna przebrana za piekarkę zwymiotowała z pluskiem na bruk. Maria nawet nie zdążyła zmienić skarpetek. W nocy czuła się jak stara kobieta, kurator albo sprzątaczką, a nie jak policjantka. Trygvesson był na służbie i powinien wykazać się większym profesjonalizmem, niż to, co tu zaprezentował.

- Porozmawiam z Moną Jacobsson, kiedy odzyska pełną świadomość - powiedział, jakby potrafił czytać w jej myślach. - Ciało Birgitty Gullberg zostało przekazane do sekcji. Minie pewnie doba, zanim dostaniemy wstępne orzeczenie. Czy ktoś zdołał przesłuchać jej narzeczonego? Nazywa się Arne Folhammar, prawda?

- Nie, dostał środki uspokajające w izbie przyjęć. Wydaje mi się, że pastor dyżurny zawiózł go do domu. Próbowałem dzwonić do niego kilka razy, ale nikt nie odbierał - odparł Arvidsson. - Zamierzałem tam pojechać, jak skończymy zebranie.



Arne Folhammar stał oszołomiony na środku kuźni. Jego plecy były ciemne od potu po przejażdżce pod wiatr do Brissund. Pedalując na rowerze, wyładował całą swoją złość. Nie było Birgitty. Mimo to tak wyraźnie czuł jej obecność w miejscu, gdzie wcześniej pracowała. Dotknął kowadła, walca i żelaznego młota. Tylko czas powstrzymał ich palce od spotkania się tutaj w miejscu, gdzie pracowała swoimi rękami. Jej palce były tu kiedyś, jego były tu teraz. Gdyby czas zatrzymał się nagle, mógłby jej teraz dotknąć. Podszedł do szklanej szafki i wyjął diadem panny młodej. Obracał go, tak że światło odbijało się w przezroczyстых kamieniach. Czuł, jak pustka ze swoją duszącą tęsknotą narasta i wypełnia pomieszczenie. Właśnie wtedy, gdy doszedł do wniosku, że stało się coś niezwykle ważnego w jego życiu, nagle wyslizgnęło mu się to z ręki. Przydarzało mu się to raz za razem. Przez chwilę czuł, że jest kochany za to, kim jest, ten jeden raz w swoim życiu. Spotkanie z Birgittą przyniosło wybaczenie i wspaniałomyślność, których nigdy wcześniej nie zaznał. Krótka chwila szczęścia i odkupienia rozwiała się w nicość na wietrze.

Arvidsson znalazł Arnego Folhammara po kilku godzinach na podłodze w kuźni. Drzwi były wyłamane, a rower leżał porzucony na wzgórzu. Panowała zupełna cisza i słońce przeświecało przez wielkie, wychodzące na morze okna w szczycie domu. Promienie słoneczne oświetlały kurz, który w przeciwnym razie niezauważony opadałby na podłogę. Duże kawałki materiału przymocowane do sufitu powiewały lekko w przeciągu wiejącym od drzwi.

Wbrew temu, co pomyślał w pierwszej chwili, Arne nie spał. Leżał na boku z nogami przyciągniętymi do ciała. Patrzył niewidzącym wzrokiem w stronę morza. Trwał w bezruchu do momentu, gdy Arvidsson położył dłoń na jego plecach. Diadem wypadł mu z rąk i potoczył się po podłodze.

- Jak się pan czuje?

- Nie pojmuję tego. Nie dociera do mnie, że już jej nie ma. Gdybym wcześniej nie trzymał jej w objęciach i nie zobaczył, że nie żyje, myślałbym, że to kłamstwo. Miała w sobie tyle życia. Nie mogę tego pojąć.

- Tak. - Niewiele można było na to odpowiedzieć. Arvidsson podniósł diadem, usiadł na fotelu i czekał.

- To wina tego cholernego Christoffera. To on wpadł na pomysł zrobienia wieczoru panieńskiego. Nie, to nie jest jego wina. To nie była, cholera, niczyja wina. To było takie bezsensowne. Pokłóciliśmy się. Nigdy nie wypiłaby tyle, gdyby wszystko było w porządku. To moja wina. Moja cholerna wina. Nie umiała się zdecydować, z kim chce dzielić życie. Nie chciałem naciskać, ale trudno mi było odpuścić. Tak bardzo chciałem mieć ją przy sobie.

- Czasami straszne rzeczy dzieją się bez niczyjej winy.

- Nic nie ma już znaczenia. Nic z tego, o czym marzyła. Może to jakiś przywilej, umrzeć, kiedy ma się jeszcze marzenia.

- Jakie miała marzenia? - spytał Arvidsson.

- Chciała być sławna, mieć wystawy w pięknych galeriach w Sztokholmie.

Teraz cała jej praca poszła na marne. Wszystko, co chciała osiągnąć. Właśnie znalazła perfekcyjną formę, własny sposób wyrazu. Widzi pan ten kamień w szklanej szafce? Ten okrągły, który wygląda jak świeża figa?

Arvidsson popatrzył przez szybę.

- To skamielina.

- Gdyby tylko pogodziła się z tym, że rozwój artysty ma swoją cenę, że wymaga poświęceń i czasu. Gdyby mi powiedziała. Zrobiłbym wszystko, żeby jej pomóc. Proszę zajrzeć do tej skrzyni. Co pan widzi? - spytał Arne.

- Srebrną biżuterię, monety, łyżki. Skąd to jest? Chyba nie mogła sama tego zrobić. Wyglądają na stare... - Twarz Arvidssona oblała się płonącym rumieńcem, gdy prawda zaczęła do niego docierać. Arne zaśmiał się głucho.

- To ich wspólna mała tajemnica. Jej i Wilhelma Jacobssona. Z początku byłem wściekły z powodu tego, co zrobiła, później mi ulżyło. Wiedziałem, że coś było między nimi. Nie wiedziałem tylko co. Rozumie pan? Prawda mogła okazać się gorsza.

- Może, a może też nie. Czy jest ktoś jeszcze, kto o tym wie?

- Christoffer jest najstarszym synem. Założenie było takie, że przejmie gospodarstwo, i wierzono, że przekaze skarb następnemu pokoleniu. Być może Wilhelm zaproponował to jako pakietowe rozwiązanie. Nie mam pojęcia.

- Myślałem, że to pan jest najstarszy.

- Wilhelm nie jest moim ojcem. Myślę, że nigdy nie przeszło mu przez myśl, żeby mnie adoptować. W akcie urodzenia napisane mam „ojciec nieznany”. Może to i dobrze. Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć, kto jest moim ojcem. Czy mogę zostać teraz sam?

- Chciałbym móc na to pozwolić, ale to, co pan mi właśnie opowiedział, wymaga dokładnego zbadania tu na miejscu. Teraz mogę podrzucić pana na komisariat. Musimy porozmawiać o tym i owym.

Marię obudził dobiegający z podwórka głos Vegi. Z początku brzmiał jak odległe echo w jej śnie, które stopniowo stawało się coraz bardziej natarczywe. Potrzeba porozmawiania o tym, co się wydarzyło, była ogromna. Maria słuchała godzinami, udzielając tylko tych informacji, które mogła udzielić. Vega była niezmordowana, jej głos w korytarzu sprawił, że Marię ścisnęło w żołądku. Zwinęła się w kłębek i naciągnęła kołdrę na głowę. Nie miała już siły. Nie dawała rady. Vega stała już na górze na schodach.

- Telefon do pani. Mąż chciałby z panią porozmawiać.

Maria wzięła telefon z szafki nocnej. Wyłączyła go, gdy się położyła, aby się upewnić, że uda jej się przespać kilka godzin i nikt jej w tym nie przeszkodzi.

- Powiedziała, że pani śpi, ale się upierał. Dzwonił bezustannie przez cały ranek. Nie chciał powiedzieć, czego chce. Telefon jest w kuchni.

- Nie ma potrzeby. Zadzwoń z mojego.

- Aha - w głosie Vegi słychać było zawód. Zawołała Tjelvara, aby mieć towarzysza przy picu popołudniowej kawy. Maria poczuła, jak niemoc ciąży w jej całym ciele.

- Cześć, więc jesteś już w domu - powiedział Krister gorzkim tonem.

- Spałam.

- Aha, a o której się położyłaś?

- Przed trzema godzinami.

- Bujne życie nocne w Visby? Można się nieźle zabawić, gdy nie ma się dzieci na głowie? Vega powiedziała, że wybierałaś się na wycieczkę do jaskini z jakimś Arvidssonem. Dobrze się bawiliście? Może nie powinienem mówić tak głośno. Może śpi.

- Możesz przyjechać tu i sam się przekonać. - Przez moment Maria miała ochotę rozłączyć się w połowie rozmowy z mężem. Nie musiała tego wysłuchiwać.

- Może tak zrobię - mruknął.

- Każdy mierzy własną miarką. Jeden jedyny raz myślałam o zostawieniu cię. Pamiętasz? To było wówczas, kiedy po raz pierwszy spotkałam twoją mamę. Chciała się upewnić, czy jestem *porządną dziewczyną*, czy nadaję się dla jej syna. Powiem ci, że pytania, jakie mi wtedy zadawała, nie padają nawet podczas procesów o naruszenie moralności.

- Nie zapomnę tego do końca życia. Zdążyłaś dobiec do samej stacji, zanim cię dogoniłem.

- Dobrze, że miałaś rower, inaczej poddałbyś się pewnie po stu metrach.

- Pojechałbym za tobą na koniec świata - zaklinał się Krister.

- Zastanawiasz się, czy mimo wszystko trochę za tobą nie tęsknię?

- To jest właśnie chyba to, co chciałem usłyszeć. Wiesz, jak się jest samemu w domu z dziećmi, to różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy.

- Wiem - powiedziała Maria.

- Mama jest już zdrowa.

- A więc czas cudów jeszcze się nie skończył?

- Nie. Kiedy byliśmy na izbie przyjęć, u specjalisty od serca, u chirurga i ortopedy, załatwiono nam spotkanie z kuratorem. Chcieli rozważyć kwestię, czy powinna mieszkać sama w domu, kiedy jest taka osłabiona i potrzebuje pomocy. Kurator zastanawiał się, jak tata da sobie radę z opieką nad nią w domu. On sam coraz bardziej się zastanawiał, czy będzie w stanie wziąć odpowiedzialność za nią, kiedy jest chora. Może powinien pomyśleć o sprzedaży mieszkania i kupnie jakiegoś mniejszego lokum - tak uważa kurator. Jednak sytuacja mamy w końcu się wyjaśniła. Na szczęście znalazło się dla niej miejsce w domu opieki. Rozumiesz, co to znaczy?

- Myślę, że mogę zgadnąć.

- Kurde, ale się wkurzyła. Dziś jest w domu. Napisała list do gazety „Fria Ord”, zadzwoniła do przewodniczącego samorządu wojewódzkiego ze skargą na nonszalancję i brak kompetencji personelu, umyła okna i ugotowała obiad.

- Przyjedziecie tutaj?

- Gdy tylko dostaniemy bilety na prom. Na następny tydzień wszystkie zostały wykupione. Nie chcę jechać do Nynäshamn, licząc na to, że będą jakieś wolne miejsca. Nie z dziećmi. Ale przyjedziemy, jak tylko będzie to możliwe, jeśli nadal chcesz dzielić ze mną pokój. Kocham cię, wiesz o tym.

- Tak myślę. Pozdrów mamę i uściskaj ode mnie dzieci. Są gdzieś w pobliżu, żebym mogła z nimi porozmawiać?

Około godziny osiemnastej Maria wyłączyła komputer po przejrzeniu informacji na temat odstąpienia od wymierzenia kary na portalu Intranet. Tymczasem jej świadomość sprawiła, że wykonała niedopuszczalny ruch. Biurko pełne było papierków po słodyczach - trzech torebkach czekoladowych toffi, wbrew wszelkim planom zrzucenia dziesięciu kilogramów podczas wakacji. Dlaczego było to takie niewykonalne? Maria pojechała do szpitala, żeby zmienić Hartmana. Od morza wiał zimny wiatr, gdy wysiadła z samochodu i poszła w kierunku budynku z czerwonej cegły. W torbie miała duże ciasto czekoladowe i powieść, którą miała nadzieję przeczytać, jeśli Mona Jacobsson będzie spała i wszystko będzie w porządku. Wmawiała sobie, że łatwiej jest nie zasnąć, gdy się czyta. Sama nie wiedziała, ile razy zaczynała już tę powieść. Trudno było złapać wątek, gdy wciąż jej przerywano. Zazdrościła kobietom w wyidealizowanych filmach, które siedziały na słońcu w kawiarniach i czytały książki. Ubrane w dopasowane spódnice i kapelusze wołały kelnera, który przynosił im filiżankę gorącej kawy, następnie przywoływały go ponownie, a on przychodził z ciastkiem albo alkoholem do kawy. Nikt nie przeszkadzał im w czytaniu. Dlaczego w rzeczywistości takie rzeczy się nie zdarzały?

Maria zajrzała do jasnofioletowego pokoju dla personelu na oddziale zakaźnym i przywitała się. Nadszedł czas wieczornej przerwy na kawę. Niektóre dziewczyny siedziały już na sofach z potrójnymi siedzeniami. Drzwi

na balkon były otwarte i wpuszczały do środka wieczorne światło. Słysząc było również dźwięk odjeżdżającego z parkingu samochodu. Marii zaoferowano filiżankę kawy i kanapkę. Prawie tak elegancko jak w kawiarni, choć obowiązywała samoobsługa. Zabrała też na małej tacy filiżankę dla Hartmana, podwójną kanapkę z marmoladą, suchary i okrągłe opakowanie herbatników Mariabakelse – dar od samorządu.

– Przed chwilą zadzwonił jakiś mężczyzna i pytał o Monę Jacobsson. Nie poprosiła o zachowanie tajemnicy, więc poinformowałam go, że jest w sali numer cztery – powiedziała jedna z ubranych na biało kobiet, która nadeszła właśnie od strony dyżurki.

– Przedstawił się? – zapytała Maria.

– Nie. Spytałam, czy mam coś przekazać, ale nie odpowiedział. Brzmiało to tak, jakby miał się tu za chwilę pojawić. Poinformowałam go o stosownych porach na odwiedzinę i powiedziałam, że Mona musi odpocząć.

– Nie wywnioskowała pani, jakie relacje mogły ich łączyć?

– Nie, był bardzo konkretny, mówił po gotlandzku. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Hartman siedział z nosem utkwionym w jakiejś kobiecej gazecie, którą pospiesznie włożył do koszyka na podłodze, gdy Maria otworzyła drzwi. Sala była przestronna i jasna. Okno i drzwi balkonowe wychodziły na morze. Na zewnątrz znajdowała się rampa, dzięki której pacjenci mogli zostać przetransportowani bezpośrednio do swoich pokoi, bez potrzeby przejścia ze swoją infekcją przez cały oddział. Maria podniosła jasną zasłonkę i wyjrzała na parking. Za kilka godzin plac na tyłach budynku pogrąży się w ciemności.

– Śpi? – szepnęła Maria.

– Tak. – Hartman wstał na sztywnych nogach i strzepnął kilka okruszków ze spodni. Bynajmniej nie głodował podczas swojego dyżuru.

– Udało ci się z nią porozmawiać?

– Odpowiada na pytania personelu, ale na moje nie.

Maria wspomniała o telefonie do Mony.

– Co z tym zrobimy? – spytała.

– Zostanę tu. – Hartman upił łyk gorącej kawy i skrzywił się. – Jeśli ten, kto dzwonił, jest bliskim krewnym, powinien chyba jakoś się przedstawić. Na przykład: „Moja matka leży w państwa szpitalu...”. Nie sądzisz?

– Tak. Dlaczego leży w tej sali? To szczególnie dobre strategicznie miejsce.

– Zgadza się z tobą. Według Eka to było jedyne wolne miejsce.

– Jeśli będzie taka możliwość, uważam, że powinniśmy ją przenieść.

– Tak zrobiliśmy w zeszłym roku na pierwszego kwietnia – oznajmiła pielęgniarka, przyglądając się swojemu dziełu. – Przygotowaliśmy pacjentkę z owczej wełny i nylonowej skarpety wypełnionej watą zamiast głowy. Miała też kropłówkę, sznur biegł pod kołdrą do cewnika. Nogi zrobiliśmy ze zrolowanych

koców. Wyglądało to nieźle, prawda? Sama spisałam listę lekarstw: zęby jaszczurki - trzy kapsułki, stopy zaskrońca - dwie na noc. Siostra na rannej zmianie myślała, że to naturalne lekarstwa. Kwietniowa pacjentka miała również sondę ze specjalną kroplówką, która wymagała instrukcji obsługi. A także specjalną mieszanę trzyskładnikowego antybiotyku, o którym nikt nigdy nie słyszał. Jej osobiste życie było dość pogmatwane, bo mąż tymczasowo mieszkał u sąsiadki bez telefonu. Piękny początek dnia dla personelu o świcie pierwszego kwietnia. Faktycznie się na to nabrali. Jej życie trwało prawie całą dobę i przekazywano ją sobie z jednej zmiany na drugą. Jak wyłączymy światło, to będzie wyglądać jak prawdziwy człowiek, prawda?

Hartman uchylił okno, usiadł w ciemności i czekał. Miał głęboką nadzieję, że Trygvesson się o tym nie dowie.

- Dziś wieczorem jest dobry film na czwórcę - powiedziała Maria i zerknęła na Monę, która siedziała na łóżku i piła wieczorną herbatę. - *Dom dusz*. Widziała go pani?

- Nie. - Maria po raz pierwszy dostrzegła odrobinę entuzjazmu w twarzy kobiety.

- Myślę, że się pani spodoba. Opowiada o tym, jak dobre i złe uczynki formują koła na wodzie, fale, które znikając, nigdy później nie wracają. Miejscami jest bardzo romantyczny. Główną rolę gra Meryl Streep.

- Czy to zagraniczny film? Jeśli tak, to nic z tego. Nic nie widzę bez moich okularów. Chcę teraz spać.

Maria pomogła Monie, która pakużywała do toalety, w nocnej koszuli, z kroplówką i ręcznikiem. Mona zachowywała się przez cały czas odpychająco. Z jej ust nie padło żadne słowo ponad to, co było konieczne.

- Ktoś dzwonił i chciał się z panią skontaktować. Czy wie pani, kto to mógł być? Ktoś, kto nie chciał podać swojego imienia?

Mona upuściła szczoteczkę do zębów i pochyliła się wolno, aby ją podnieść. Maria również się schyliła i ich spojrzenia spotkały się na wysokości kolan. Mona odwróciła gwałtownie wzrok.

- Nic nie wiem - odparła chłodnym tonem. - Proszę zostawić mnie w spokoju.  
- Sądzę, że wie pani bardzo dużo. Jeśli pani opowie, będziemy mogli zapewnić ochronę.

Mona przewróciła oczami.

- Przed kim?

- Myślałam, że pani mi to powie. Czy nie pogorszy sprawy, jeśli będzie pani to ciągnąć? Znoszenie tego w pojedynkę musi być bardzo ciężkie.

Mona nie odpowiedziała. Skuliła się, odwróciła plecami do Marii i zgasiła światło. W korytarzu słyhać było szybkie kroki. Do sali weszła pielęgniarka, usiadła na krześle przy Monie i wstrzyknęła jej antybiotyk, przepłukała igłę i włożyła nową kroplówkę. Wychodząc, zawahała się i przywołała ręką Marię, tak aby Mona nie słyszała.

- Myślę, że to trochę nie w porządku.

- Rozumiem, że może pani tak myśleć. Jeśli ktoś będzie próbował się tu dostać, Hartman zaalarmuje mnie i pojawię się w ciągu sekundy. Nigdy nie było tu bezpieczniej - Marii wydawało się, że nie zabrzmiała zbyt przekonująco.

- To prawda.

Zachód słońca trwał niemiłosiernie długo. W końcu w pomieszczeniu zapanowały ciemność i cisza. Oddech Mony uspokoił się i jego rytm wskazywał na głęboki sen. Maria przeniosła się na krzesło w korytarzu, skąd miała widok na łóżko Mony, mimo że ze względu na zakaźność preferowano, aby drzwi były zamknięte. Kilka razy mało brakowało, a zasnęłaby, gdy głowa opadała nagle na pierś, powodując gwałtowne ocknięcie się. Litery w książce zlewały się w zamazaną masę. Czuła swędzenie pod powiekami. Jak ludzie mogą godzić się na pracę w nocy? Godzina za godziną, gdy ciało krzyczy spać, spać, spać, a wszystkie organy wewnętrzne przestawiają się na takie procesy, jak trawienie, regeneracja i produkcja hormonów.

Maria słyszała, jak w sali obok pielęgniarki z niezmordowaną cierpliwością próbują przekonać dziadka z demencją o zaletach pozostania w pokoju. Właśnie zabrały go z sąsiedniej sali, gdzie wślizgnął się do łóżka jakiejś zupełnie obcej damy. Odmówił założenia na siebie czegokolwiek i odgrażał się, że pokaże im, kurde, gdzie raki zimują, bo wszyscy razem to wywłoki i złodzieje. Gdyby Maria miała na sobie mundur, pewnie poszłaby tam i stanęła w obronie honoru ich wszystkich. W oddali dostrzegła dłoń Hartmana przyjmującą wręczaną mu filiżankę z kawą. Była druga. Maria czuła, jak całe ciało boli ją ze zmęczenia. Żadna pozycja, jaką przybierała na krześle, nie wydawała się już wygodna. W tym momencie była skłonna przyznać rację Trygvessonowi, dla którego nadzór był przejawem przerostu ambicji. Za sześć godzin ktoś ją zmieni. Hartman zamierzał się ulotnić, gdy tylko zrobi się jasno. Sześć trwających wieczność godzin! Niedługo będzie zmuszona gryźć się w rękę, aby nie zasnąć.

Maria wstała i przeszła się po korytarzu, próbowała usilnie zebrać myśli i skupić je na dochodzeniu. „Matka robi dla syna wszystko” – powiedziała Mona, mającąc. Żaden z synów nie miał mocnego alibi tego ranka, gdy odebrano Wilhelmowi życie. Gdyby rzeczywiście był to ranek, Mona skłamałaby pewnie o śniadaniu, które jedli wszyscy razem. Arne spał sam w mieszkaniu i przybył do pracy o godzinie dziewiątej. Christoffer nie przypominał sobie imienia kobiety, u której przebywał tej nocy, ani też jej adresu. Beczka i Słoi, z którymi dzielił posłanie w Östergravar, nie byli w stanie dokładnie przypomnieć sobie tego ranka. Ani też, jak się okazało, całego poprzedzającego go miesiąca. O godzinie ósmej rano tego samego dnia pewna przedszkolanka zadzwoniła, prosząc o zabranie pijaczków z placu zabaw. Beczka spał na huśtawce. Słoi zaszył się pod dachem wieży do wspinania. Arvidsson słusznie zabrał ich do izby wytrzeźwień. Zatem nici z alibi.

I w końcu Olov. Był wtedy w Martebo, ale niestety nie znalazł się nikt, kto mógłby to poświadczyć. Miał nocną zmianę w izbie przyjęć i był na miejscu również o wpół do trzeciej przy południowej odprawie. „Dla czego warto żyć, dla tego warto również umrzeć” – tak powiedział Olov do Henrika Dune. Czy to, dla czego warto żyć, jest tym, dla czego warto również zabić? Miłość



do Birgitty? Prawo do życia wolnego od poniżenia? Co innego?

Rozmyślając nad tym, Maria zauważyła, że display na suficie pokazuje alarm w sali numer cztery. „Teraz, coś się dzieje” – pomyślała, czując gwałtowny skok adrenaliny pulsującej aż po same koniuszki palców. Nagle zniknęło zmęczenie. Myśli kotłowały się. Pomyłka? Ktoś wszczął alarm przez pomyłkę? Nie, to był alarm w sali czwartej! Miała nadzieję, że pielęgniarzka, usłyszawszy alarm, natychmiast zadzwoniła po posiłki, tak jak się umówiły. Maria napięła mięśnie i podskoczyła w swojej kamizelce kuloodpornej, trzymając dłoń na broni służbowej. Na ciężkich nogach przeszła w kierunku migającego nad drzwiami pokoju szyldu. Puls tętnił coraz szybciej w jej ciele, kiedy przywarła plecami do ściany i chwyciła oburącz broń. Cicho wślizgnęła się do pokoju, przez chwilę oślepiło ją światło z korytarza, później z ciemności wyłoniły się kontury mebli. Hartman wyłączył alarm. Maria przykucnęła za łóżkiem i poczekała, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Trzasnęły drzwi od samochodu. Cisza. Na zewnątrz na rampie słychać było kroki. Bez wątpienia. Wolno, krok za krokiem, jeśli wyteżyło się słuch. Hartman przywarł do oparcia fotela. Maria przemknęła wzdłuż ściany i stanęła obok otwartego okna. Czuła na twarzy morskie powietrze. Czarny cień na tle ciemnoszarej nocy był coraz wyraźniejszy. Ruchy były teraz płynne i szybkie. Dłoń chwyciła parapet i podniosła ostrożnie okno. Maria wyraźnie słyszała własny oddech, wyczuwała przez skórę puls. Miała tak sucho w ustach, że nie mogła przełknąć śliny. W pokoju pojawił się but. Reszta ciała z dużą trudnością przedostała się przez niewielki otwór. Rozległ się dzwonek w innej sali. Maria usłyszała przyspieszone kroki w korytarzu i szepty. Teraz był już w pokoju. Mężczyzna gabarytów Hartmana. Trzymał coś w dłoni przy nodze, podłużną broń. Somnambulicznym krokiem przedostał się bliżej łóżka i dotknął kołdry.

- Mona! Obudź się! - Pochylił się nad szmacianą lalką.

- Policja! Rzuć broń! - zagrzemiał w ciszy głos Hartmana. Maria, która w sekundzie znalazła się przy intruzie, wytrąciła mu z dłoni broń. Przedmiot nie był ciężki. Upadł lekko na podłogę.

- Co, do diabła! - syknął mężczyzna, gdy Maria wykręciła mu rękę i lampa na suficie zapaliła się. Na podłodze leżał zawinięty w zielony papier bukiet kwiatów. W oddali słychać było syreny policyjne. Maria zgadła, że to Arvidsson i Ek, którzy na tyle, na ile było to możliwe, przebywali niedaleko.

- Jak mogliście spuścić z oczu Monę Jacobsson? - mruknął Trygvesson.

Mimo to wyglądał na zadowolonego z nocnego łupu. Tak uważała Maria. Sposób, w jaki siedział, był nieco inny, jakby bardziej energiczny.

- Mona zażądała wypisania ze szpitala zaraz po tym, jak opuściłam jej pokój. Musiał obudzić ją alarm. Personel nie ma uprawnień, aby przetrzymywać pacjenta wbrew jego woli. Próbowali ją przekonać, ale zerwała z siebie kroplówkę i uciekła. Zdążyła dobiec do Ścieżki Miłości obok szubienicy Galgberget, kiedy Arvidsson ją złapał.

- A teraz jest z powrotem na oddziale zakaźnym? - Trygvesson ukrył uśmiech za zaciśniętą pięścią, ale zmienił wyraz twarzy, napotykając badawcze spojrzenie Marii.

- Tak. Ek zabrał ją do szpitala. Zostanie tam.

- Czy to konieczne, skoro mamy prawo wierzyć, że złapaliśmy podejrzanego?

Maria słyszała szczyptę ironii w głosie Trygvessona, ale była zbyt zmęczona, żeby odpłacić mu tym samym.

- Ocena należy do ciebie. Ja uważam, że istnieje duże ryzyko, że sama zrobi sobie krzywdę albo że zniszczy jakieś dowody - odpowiedziała rzeczowo.

- Rozmawiałem z adwokatem o rewizji domu Henrika Dune. Jest to możliwe. Będziemy musieli też przerwać roboty drogowe w Tofta. Wiem, urząd drogowy ma obiekcje, ale praca policji powinna mieć pierwszeństwo przed wygodą turystów. Mógł ukryć to i owo pod asfaltem. Idź do domu się przespać. Wyglądasz okropnie. Możesz właściwie zabrać ze sobą Hartmana. Rozlał sobie kawę na kołnierzyk. Wygląda średnio reprezentacyjnie.

Maria uśmiechnęła się mimowolnie. W sumie Trygvesson był całkiem równym gościem. Henrik Dune siedział, wiercąc się, na zielonej ławce przesłuchań, ogołocony ze wszystkich należących do niego rzeczy, włącznie z paskiem.

- Znaleźliśmy w pana domu Ak 4 Wilhelma. Skąd pan go ma?

- Pewnie zapomniał go ode mnie zabrać.

- Kiedy? - Hartman poczuł, jak zmęczenie sprawia, że chciałby potrząsnąć facetem.

- Nie wiem - odpowiedział Dune przeciągle.

- Według tego, co pan wcześniej zeznał, nie mieliście ze sobą kontaktu. Nigdy nie był pan w domu Wilhelma i on także pana nie odwiedzał, nie w ciągu dziesięciu ostatnich lat. Tak jest napisane w protokole z przesłuchania przeprowadzonego w pana domu przed tygodniem.

- Yhy. - Henrik Dune wygrzebał sobie brud spod paznokcia na kciuku.

- Skąd ma pan tę broń? - ton Hartmana był teraz ostrzejszy.

Henrik zwlekał z odpowiedzią.

- Po prostu tam była. Nie wiem, skąd się wzięła w moim domu. Nie dbam o to, żeby zamykać drzwi na klucz tak bardzo, jak miastowi ludzie ze stałego ładu. Tu, na wsi, ufamy sobie wzajemnie.

- Jest jeszcze kwestia przebudowy drogi. W zeszły czwartek przybył pan tam jako pierwszy, tak mówią pańscy koledzy. Najwyraźniej nie zdarzało się to codziennie. Dlatego tak dobrze to zapamiętali. Żartowaliście o tym przez resztę dnia. - Hartman zrobił przerwę, czekając na komentarz.

- No i co? - zapytał Henrik. - Co w związku z tym?

- Poleciliśmy, aby odkopali ten kawałek, który został pokryty asfaltem. Miejsce, gdzie położył pan materiał izolacyjny i wypełnienie drogi w zeszły czwartek.

- To chyba było cholernie bezsensowne.

- Nie wydaje mi się. Znaleźliśmy haczyk do fajerek, jeśli coś to panu mówi.

- Gratulacje. To chyba najdroższy haczyk do fajerek w całej historii Gotlandii

- Henrik uśmiechnął się szeroko.

- Być może. Czy to pan go tam zakopał?

- Nie, to nie ja.

- Czy potrafi pan to jakoś wytłumaczyć?

- Nie, do cholery. - Hartman widział, jak na górnej wardze Henrika zbierają się drobne krople potu.

- Pokazaliśmy go Monie Jacobsson. Haczyk zniknął z domku przy plaży w tym samym czasie, kiedy zaginął jej mąż. Rana zadana w głowę Jacobssona zgadza się z jego kształtem. Czy to pan zakopał go pod drogą? - Hartman akcentował każdą sylabę.

- Oczywiście, że nie! - Henrik prawie wstał z krzesła, ale usiadł z powrotem.

- Z dużym prawdopodobieństwem może pan zostać skazany na podstawie tych dowodów. Czy to pan go zakopał?

- Nie mam pojęcia, skąd wziął się tam haczyk.

- Gdzie pan był w poniedziałek o dziewiątej wieczorem? - Henrik Dune zamyslił się i po raz pierwszy jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Hartmana.

- W mieście. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Birgitty!

- Co pan robił w mieście?

- Nie uwierzy pan.

- Proszę spróbować. - Hartman odchylił się do tyłu i podparł brodę palcami.

- Zadzwoił do mnie ktoś, kto chciał nająć osobę do kopania. Chodziło o duże pieniądze. Chciał się spotkać i dogadać.

- Na czarno?

- Nie wiem. Zaciekawilo mnie to. Mieliśmy spotkać się na Rynku Głównym, przy monopolowym. Ale nigdy się nie pojawił. Więc pojechałem z powrotem do domu. Nie wiem, o co chodziło. Było to dziwne.

- Rozpoznał pan głos?

- Nie, brzmiał, jakby dochodził z jakiejś puszkii, słycać było echo.

- Wróćmy do tego, co zdarzyło się w szpitalu. Co pan tam robił?

- Chciałem spotkać się z Moną.

- W środku nocy? Dlaczego?

Henrik Dune wyglądał tak, jakby miał się rozplakać.

- Chciałem tylko powiedzieć... - Potężnie zbudowany operator koparki wykręcał nerwowo ręce. Wrażenie, jakie robił na własnym podwórku, i duma, która wtedy go rozpierała, zupełnie go teraz zawiodły. - Cholera.

- Co pan chciał powiedzieć Monie? - zapytał Hartman.

- Chciałem dać jej bukiet kwiatów... tylko to. Ponieważ jest taka wspaniała.

- Wierzysz mu? - spytała Maria, patrząc badawczo na Hartmana, który zdał sprawozdanie z przesłuchania, wędrując tam i z powrotem po gabinecie. W końcu usiadł na krześle naprzeciwko Marii i zapatrzył się w dal.

- Nie wiem. Chyba tak, wbrew temu, co podpowiada mi rozsądek. Jeśli chodzi o broń, to nie mówił prawdy. Za to mogę ręczyć. Jeśli łączy go coś z Moną, to nic dziwnego, że się wzajemnie chronią. Ale dlaczego pozwolił, aby broń leżała w mieszkaniu na widoku, podczas gdy w tak sprytny sposób zakopywał haczyk do fajerek?

- A wiesz? Uważa się, że dziesięć czerwonych róż oznacza: „czy chcesz za mnie wyjść?” - powiedziała Maria. - Pracowałam w kwiaciarni, za pomocą kwiatów można powiedzieć wiele rzeczy.

- Brzmi niebezpiecznie. Można przypadkiem wręczyć komuś coś, nie rozumiejąc, co się mówi.

- Po to mamy kwiaciarzy. Zamierzam teraz jechać do domu i się przespać. - Maria wstała i wyłączyła komputer.

- Tak będzie chyba najlepiej. Jeśli prasa wywęszy wiadomość o srebrnym skarbie z czasów Waldemara Atterdaga, nie dadzą nam spokoju. Domyślasz się, co to będzie za szturm? - Hartman potrząsnął głową. - Kurczę, nie będzie chwili spokoju. To wiadomość na skalę światową. Prędzej czy później będzie jakiś przeciek, mam tylko wielką nadzieję, że stanie się to później.

- Myślisz, że to ten skarb, który miał zatonać w morzu?

- Nie mam siły snuć spekulacji na ten temat. Arne Folhammar wydawał się o tym przekonany. Jeśli tak, to jest to największe świętokradztwo stulecia. Taki zawód dla wszystkich mieszkańców Gotlandii! Gdyby tłum dostał w swoje ręce Birgittę Gullberg, mogłoby dojść do natychmiastowego zamurowania jej w wieży.

- Może tak się stało. To znaczy może to jest to, co właśnie się wydarzyło.

- Masz na myśli, że Arne miałby to zrobić?

- Czy możesz sobie wyobrazić większy konflikt interesów? On jest antykwariuszem. Historia Gotlandii to całe jego życie, całe jego życie zawodowe. Jeśli ktoś miał dobry motyw, to właśnie on.

- Jest już wstępny protokół z obdukcji od lekarza sądowego. - Trygvesson poprawił swój granatowy golf, pocąc się obficie. Założył na nos okulary do czytania, które miał wcześniej na czole, i utkwiał wzrok w tekście. W pokoju było duszno mimo wentylacji. Otworzył okno, wpuszczając do środka skrzeczenie mew, które toczyły między sobą walkę o pozostawione na parkingu resztki jedzenia. Hartman pochylił się do przodu, żeby lepiej słyszeć. - Kobieta o normalnej budowie ciała i tak dalej, i tak dalej... Zewnętrzne oględziny wykazały siniak po lewej stronie szyi i na lewym policzku. Ślad po ukłuciu na skórze nad *arteria catoris communis*, to znaczy na szyi, w sam środek tętnicy szyjnej wspólnej. Nie można wykluczyć gwałtu... naruszona i lekko zraniona błona dziewicza... defloracja nastąpiła do kilku dni przed zgonem?... Zawartość alkoholu we krwi 2,2 promila. Cukier niemożliwy do zmierzenia, ze względu na niski poziom. Przypuszczalny powód: hipoglikemia. Poziom insuliny we krwi zdecydowanie powyżej normy.

- Była cukrzykiem? - spytał Arvidsson.

- Nie. Gdyby miała niezdiagnozowaną cukrzycę, poziom cukru byłby wysoki - zauważył Trygvesson. - Według lekarza sądowego mogą być tylko dwa wytłumaczenia. Albo miała guz, który produkował insulinę gdzieś w ciele - to jednak jest mało prawdopodobne. Albo też ktoś wstrzyknął jej insulinę, o czym mógłby świadczyć ślad po ukłuciu na szyi.

- Co mówi Mona Jacobsson? - zapytał Ek. - Powiedziała cokolwiek?

- Jeśli to zrobiła, to milczy. Ten, który został ukąszony przez węża, boi się cienia sznura, tak to się mówi.

Trygvesson przygryzł dolną wargę i oparł głowę na rękę.

- Dziś rano próbowałem ponownie ją przesłuchać. Nie zamierza uchylić nawet rąbka tajemnicy.

- Według Christoffera stała tu za drzewem. - Hartman wskazał punkt na szkicu w bloku. - Stąd miała widok na wieżę dziewiczą i Murfallet, w miejscu, gdzie można przejść od Strandpromenaden na drugą stronę muru.

- Czy ktoś mógł dostać się do środka z drabiną od strony morza? - spytała Maria.

- Mur jest w tym miejscu dużo wyższy. Obok przechodzą ludzie. Nie sądzę, żeby ktoś podjął takie ryzyko. Wspięcie się na mur od strony lądu zajmuje kilka minut. Są nawet drewniane schodki po wewnętrznej stronie wieży, wystarczy dostać się do furtki - stwierdził Hartman. - Nie ma tu nawet dwóch metrów.

- Gdyby ktoś wspiął się na wieżę, Mona zauważyłaby to. Mogła dać wyraźny sygnał z takiej odległości. Jeśli chciała. Mam wrażenie, że mężczyźni pamiętają wygląd, kształt głowy i nosa lepiej niż kobiety. Czy tak jest? - spytał Ek.

- Zgadza się. Chociaż kobiety lepiej pamiętają kolory i ubrania. Nierzadko zdarza się, że mężczyzna podaje w zeznaniu żółtą bluzkę, podczas gdy w rzeczywistości była ona liliowa - powiedział Arvidsson.

- Wiecie co, myślę, że nic nie dostrzegła z tej odległości - odezwała się nagle Maria. - Jest strasznym krótkowidzem i nie miała ze sobą okularów. Można to oczywiście sprawdzić u jej okulisty, ale wiem, że miała problemy ze znalezieniem swoich rzeczy w sali szpitalnej, ponieważ źle widzi, podobnie rzecz się miała z oglądaniem telewizji.

- Co robiła przy wieży dziewiczej? - Hartman celował ciągle flamastrem w punkt oznaczający Monę.

- Może poszła za mordercą i zastanawiała się, co on chce zrobić. - Arvidsson rozciągnął się na sofie, tak że przypominał rozpostartego pająka z długimi nogami.

- Co powiecie na to, że on nie odebrał życia Birgicie sam? To nie jest tak zupełnie nieprawdopodobne, że wspięła się na wieżę - zauważył Trygvesson. - Albo może stała na czatach i mimo swej krótkowzroczności obserwowała teren, gdy Henrik Dune wstrzykiwał Birgicie insulinę.

- Mona Jacobsson miała dostęp do insuliny. - Maria popatrzyła na Hartmana. - Anselm jest cukrzykiem. Mona podaje mu insulinę kilka razy dziennie. Dobrze wie, że nie należy wkłuwać się w tętnicę.

- Czy wśród podejrzanych jest w ogóle ktoś, kto miałby jakieś trudności w dostaniu insuliny? - zapytał Hartman.

- Henrik Dune - zaproponował Ek.

- Mógł dostać ją od Mony - wtrącił Trygvesson. - Dokładnie tak samo jak Olov i Christoffer. Olov ma poza tym dostęp do niej w pracy.

- A Arne Folhammar? - Maria mówiła do siebie. - Skąd miałby wziąć insulinę?

- Nie sądzę, żeby miał kontakt z matką - stwierdził Arvidsson. - Nie od czasu, gdy Wilhelm spuścił mu lanie jako nastolatki. Arne myślał, że wzięła stronę męża.

- Nie było go nawet na pogrzebie Wilhelma. - Maria wypila łyk swojej wystygłej kawy i odstawiła kubek.

- Co możemy zaoferować Monie w zamian za to, że zacznie mówić? - zastanawiał się Ek. - Jaką karę ryzykuje? Jak to zaprotokolujemy?

- Współdziałanie w morderstwie, chronienie mordercy, zacieranie śladów - być może. - Trygvesson wyglądał na zmęczonego. Pot lśnił na jego czole i bez przerwy poprawiał osuwające się na nosie okulary.

- Czytałam trochę o odstąpieniu od wymierzenia kary - powiedziała Maria. - Rozdział siedemnasty, paragraf jedenasty. Według prejudykatu sądu najwyższego możliwe jest poproszenie o zwolnienie z kary z uwagi na bliską relację z mordercą i jeśli ta osoba czuje z jego strony zagrożenie. Należy wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności. Naturalnie zostanie to potraktowane jako okoliczność łagodząca, jeśli będzie współpracowała z policją.

- Może uniknąć więzienia, jeśli będzie współpracować. Może powinniśmy spróbować w ten sposób? - rozważał Ek.

Trygvesson nie wyglądał na przekonanego.

- Tego raczej nie możemy jej obiecać. Decyzja należy do sądu.

Maria umówiła się na spotkanie z adwokatem w kafeterii na komisariacie, w której pracowali niepełnosprawni, z czego wszyscy byli zadowoleni. Kupiła kawę i ciasto czekoladowe, następnie usiadła przy stoliku, gdzie siedział aspirant. Wyglądał na osamotnionego w swoim kącie. Inni siedzieli na zewnątrz.

- Jak się pan tu czuje? - spytała Maria przyjaznym tonem.

Wahał się, zanim odpowiedział:

- Tak sobie.

- Chodzi o coś szczególnego? Może mi pan opowiedzieć. Być może coś na to zaradzimy.

- Wszyscy są dla mnie bardzo mili. Ale...

- Ale? - podchwyciła Maria, starając się mu pomóc w dokończeniu odpowiedzi.

- Trygvesson czepia się wszystkiego, co robię. Nie sądzę, żeby chciał mnie tu zatrzymać - powiedział zrezygnowany aspirant.

- Może być czasami trochę szorstki. Myślę, że jest wykończony. Spoczywa na nim duża odpowiedzialność. - Maria uśmiechnęła się uspokajająco i odsunęła na bok leżącą na stole skórkę od banana. - Wszyscy jesteśmy chyba trochę zestresowani. Myślę, że robi pan dobrą robotę.

- Nieprawda. Nie wiem, jak mam to ująć. Wszyscy wiedzą, że nie lubię Trygvessona i że on nie akceptuje moich poglądów. Dlatego nikt nie uwierzy w to, co mam do powiedzenia.

- Co ma pan na myśli? - Maria natychmiast spoważniała.

- Tylko czeka na moje pomyłki, tak jakby mu za to płacili. Jestem tak zestresowany, że ciągle popełniam błędy z tego powodu. Różne rzeczy można robić na różne sposoby, a ja zawsze robię to w ten zły sposób.

- Co właściwie chce pan przez to powiedzieć?

- Ponieważ jest jak jest, pewnie nikt nie uwierzy w to, co chcę powiedzieć. Miałem nadzieję, że pani tu usiadzie. Obiecałem sobie, że jeśli pani to zrobi, opowiem pani wszystko, co wiem. Tego dnia, kiedy zginął Wilhelm Jacobsson, wczesnym rankiem pojawił się tu jakiś facet z Eksta i powiedział, że widział w lesie samochód, który stał tuż przy wiosce rybackiej. Stał tam prawie przez całą dobę. Nic w sumie dziwnego. Sprawdziłem w rejestrze samochodów - to był samochód Trygvessona!

- Chyba nic w tym dziwnego, skoro pojechał własnym wozem na miejsce przestępstwa.

- Też mi się tak wydało na początku, ale później przemyślałem to. Samochód stał tam tego wieczora *przed* tym, jak Wilhelm Jacobsson zaginął. Facet widział ten samochód kilka razy wcześniej, jak stał na uboczu żwirowej drogi przy wiosce rybackiej w Eksta. Z czystej ciekawości przyszedł później, jak był jeszcze w mieście, i spytał, do kogo należał samochód. Napisałem o tym w moim memorandum. Ale nie ma go w aktach. Ktoś musiał je wyjąć. Co teraz zrobimy?

- spytał aspirant, który śledził, jak wyraz twarzy Marii przechodzi od łagodnego zrozumienia do wzmożonej czujności i planowania.

- Czy ma pan nazwisko mężczyzny z Eksta?

- Zapisałem je na karteczce i włożyłem do kieszeni w spodniach.

Co powinienem zrobić, jak pani myśli?

- Proszę się z nim skontaktować. Czy wie pan, gdzie może być teraz Trygvesson?

- Wydaje mi się, że poszedł do domu. Jego żona pytała o niego. Miał wrócić za jakąś godzinę. Proszę mu nic nie mówić. Inaczej mnie zamorduje!

Maria stała z kubkiem kawy w dłoni. Trwało chwilę, zanim jej myśli przeniosły się na inne tory. Czy to możliwe? Czy było aż tak źle?



- Myślę, że wydaje się to bardzo naciągane - powiedział Hartman. - Musi być jakieś wytłumaczenie tego, że jego samochód tam stał. Albo facet źle spisał numery. To oczywiste, że to nie może być on. Może nawet chodzić o to, że facet z recepcji chce go udupić. Trygvesson nie był szczególnie miły. Jeśli stanie się przedmiotem wewnętrznego śledztwa, zniknie na jakiś czas. To na pewno idealnie przypasuje aspirantowi.

- Sam powiedziałaś, że trudno ci uwierzyć, że Henrik Dune jest sprawcą obu morderstw. Czy ma jakiś motyw? Być może w przypadku morderstwa Wilhelma tak, ale nie w przypadku Birgitty. W tej kwestii skłonna jestem przyznać ci rację - stwierdziła Maria. - Mimo wszystko wszelkie racjonalne przesłanki świadczą o tym, że Dune jest tym, kogo szukamy. To klasyczne zwałać na nieznanego mężczyznę anonimowy telefon. Wiele razy słyszeliśmy już śpiewkę o jakimś nieznanym. Ale mimo wszystko... mimo wszystko mam wrażenie, jakby mówił prawdę.

- W takim razie ktoś musiałby podrzucić broń do jego domu i zakopać haczyk pod asfaltem. Bardzo naciągane. Dla mnie nie trzyma się to kupy.

- Czym pomysłem było, abyśmy rozkopali asfalt?

- Trygvessona. - Hartman wyglądał na poruszonego.

- No tak. I w dodatku jest diabetykiem. Rozumiesz, o co chodzi?

- Oczywiście, że tak. Ale musimy podejść do tego bardzo ostrożnie. Właściwie wydaje mi się, że nie masz racji. Że zmęczenie spłatało ci figla. Musi być jakieś sensowne wytłumaczenie.

Odmeldowali się w recepcji i poszli w kierunku parkingu. Aspirant podążył za nimi wzrokiem, kredowobiały na twarzy czuł mdłości z napięcia. Teraz było za późno, aby żałować. Miał zaufanie do dyskrecji Marii, przynajmniej w pewnym stopniu. W każdym razie ufał jej osądowi bardziej niż jakimukolwiek innemu. Jeśli nie miał racji, opuści miejsce, w którym się teraz znajduje, i nigdy tu nie wróci. Obiecał to sobie.

Zaparkowali przy wieży Kruttornet i przecinając plac Fiskarplan, doszli do zaułka Fiskargränd. Maria zdała sobie sprawę, że byli teraz na obrzeżach Ogrodu Botanicznego i że Trygvesson powinien za kilka minut dotrzeć do wieży dziewiczej.

Fiskargränd wyglądał dokładnie tak, jak od zawsze przedstawiany był na pocztówkach. Wąski zaułek, bogato udekorowany pnącymi różami i powojnikiem. Małe, niskie domki stały jeden przy drugim z pięknie udekorowanymi doniczkami w oknach, chroniącymi przed zagładaniem przechodniów do środka. Drzwi wejściowe były uchylone. Maria zadzwoniła, ale nikt nie odpowiedział. Weszła do ciemnego korytarza i usłyszała cichy dźwięk dobiegający z wnętrza. Co by powiedziała, gdyby spotkała Tommy'ego Trygvessona? To nie było takie proste. Maria poszła w kierunku usłyszanego

odgłosu, minęła schludną, małą kuchnię z rosnącymi na parapecie ziołami i stanęła w drzwiach prowadzących do sypialni. Zrobiła gest w kierunku Hartmana, nakazując mu, aby został na swoim miejscu.

- Maria Wern z policji - przedstawiła się kobiecie pakującej rzeczy do dwóch dużych walizek. Kobieta miała jasne włosy obcięte na pazia i była ubrana w sukienkę bez rękawów w batikowy wzór. Wyglądała na pięćdziesiąt lat, była trochę okrągła i miała rumiane policzki.

- Lillemor Trygvesson - powiedziała kobieta.

- Pakuje się pani, jak widzę. - Maria przysiadła na brzegu łóżka. - Wyjeżdżacie gdzieś z mężem?

- Nie, właśnie go zostawiam. - Lillemor usiadła na łóżku. Sprawiała wrażenie zmartwionej i smutnej. - Myślałam, że to on przyszedł.

- Nie ma go w domu?

- Nie. Poprosiłam, żeby przyszedł do domu. Chciałam dać mu klucz. Miałam tylko zabrać swoje ubrania. Resztę podzielimy później. Nie dam dłużej rady.

Maria pokiwała głową, ale nic nie powiedziała. Lillemor złożyła delikatnie bluzkę, którą trzymała w ręku. Wygładziła każde najmniejsze zagniecenie.

- To takie dziwne... Kiedy przeżyło się ze sobą całe życie, wydawać by się mogło, że się znamy. Ale tak nie jest. Zawsze wiedziałam, że jest taka część życia Tommy'ego, do której nie mam dostępu. Coś, co wydarzyło się, zanim się spotkaliśmy. Na początku zaakceptowałam to. Początkowo był to cień podejrzenia, słabe przeczucie, że zdarzyło się coś nieprzyjemnego. Później to coraz bardziej narastało. Dał się przez to całkowicie wchłonąć, gdy odeszła nasza córka. Od tej pory nie było go już przy mnie. Coś z przeszłości przysłoniło mu teraźniejszość. Dla jego dobra zdecydowałam się przeprowadzić na Gotlandię, tak aby zmierzył się z tym, co nie daje mu spokoju. Może był to błąd. Nie wiem. Kiedy tu przyjechaliśmy, tak bardzo się zmienił. Nie poznaję go już. Przeraza mnie to. W nocy ciągle śnię mu się koszmary. Budzi się z głośnym krzykiem. W ciągu dnia pracuje, a później nie wraca do późnych godzin wieczornych i nie mówi, gdzie się podziewał. Czasami mnie oszukuje. Nie potrafię już znieść tego, że nie ma do mnie zaufania.

- Czy mieszkał wcześniej na Gotlandii?

- Tak, bywał tu każdego lata w dzieciństwie. Ale coś się stało. Myślę, że spotyka się z jakąś kobietą. Jednak nie jest mu z tym dobrze. Gdyby był zakochany i szczęśliwy, czułabym się może zawiedziona, ale przynajmniej rozumiałabym, o co w tym wszystkim chodzi. Teraz nic już nie wiem. W zeszłym tygodniu zostawiłam pierścionek zaręczynowy i bransoletkę, którą mi podarował, na stole w kuchni i wyszłam. - Lillemor siedziała na łóżku, coraz bardziej zapadnięta w siebie.

- Mogę zobaczyć bransoletkę? - spytała ostrożnie Maria.

- Leży na komodzie.

Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby Maria zauważyła z daleka, że bransoletka leżąca pod owalnym lustrem miała ten sam wzór, jaki widziała

na biżuterii robionej przez Birgittę Gullberg.

- Czy wie pani, skąd wziął tę bransoletkę?

- Kupił ją na rynku. Może coś miesza, ale zaraz po tym, jak się tu przeprowadziliśmy, często mówił we śnie o srebrze. Że kogoś przyskrzyni. Później nie zdarzało mu się już o tym mówić. Jego sny stały się straszniejsze. Raz spytałam go, kim jest Mona, często wymienia to imię przez sen. Nazywa ją cykoriowym oczkiem. Czasami rozmawiam z nim, gdy śni, starając się nakierować jego myśli na spokojniejsze tory. Nigdy mu tego nie mówiłam, ale sądzę, że rozmowa może pomóc mu się uspokoić, kiedy pojawiają się najstraszniejsze koszmary. O co chodzi? Dokąd pani biegnie?

- Musimy szybko dostać się do szpitala. Nie możemy zostawić Trygvessona sam na sam z Moną.

Można posunąć się do przodu za pomocą kłamstwa, ale nie ma wtedy odwrotu. Tommy Trygvesson, jadąc na rowerze, zawrócił za rondem przy cukierni Norrgatts i pojechał z powrotem w stronę szpitala. Nawiedziły go stare wspomnienia. Nie był w stanie się przed nimi obronić. Powietrze zatykało mu gardło jak gula. Rozsadzało klatkę piersiową i wywoływało ból w lewej ręce. Już wcześniej doznał tego uczucia. To była kara.

W latach siedemdziesiątych była dla niego jak krążący w krwiobiegu narkotyk. Wiedział, że źle robi, ale nigdy nie miał dosyć. Gdyby potrafił przewidzieć konsekwencje, nigdy nie poczęstowałby jej papierosem, kiedy stała przy płocie obok miejsca, gdzie odbywała się impreza. Długie jasne włosy sięgały jej do pasa. Miała na sobie skąpą, wiążaną w pasie bluzkę i króciutką białą spódnicę. Oczy obrysowane były grubą kreską, a usta pomalowane srebrzystą szminką. Gdy obserwował ją ukradkiem, doszedł do wniosku, że emanuje z niej swego rodzaju kruchość i wrażliwość. Stała tam sama, przygryzając palce, na nieco krzywych nogach i przygarbiona. Kiedy do niej podszedł, wyprostowała się i odrzuciła grzywkę na bok. Udawała, że go nie widzi, ale parokrotnie zerkała w bok. Wyczuwał zainteresowanie.

- Nieźle grają - powiedział i wskazał głową parkiet. Wzdrygnęła się. Zdziwiła go jej gwałtowna reakcja. Jakby ocknęła się pogrążona w nieprzyzwoitych myślach. - Przestraszyłem cię?

- Nie, dlaczego? - Na chwilę zapadła cisza. Spuściła wzrok i przełknęła ślinę. Jej różowa kończąca się przy talii bluzka była głęboko wydekoltowana i obnażała obfity biust. Spódnica wisiała na biodrach przytrzymywana przez szeroki, czarny, nabijany grubymi nitami pas ze skóry. Widać było pępek. Miała złotobrazową skórę. Jasny meszek na rękach nastroszył się. Uznał, że jest jej zimno, i objął ją ramieniem. Cofnęła się o krok.

- Chcesz papierosa?

- Jasne. - Uśmiechnęła się i odrzuciła włosy do tyłu. Zapalił papierosa i podał jej go. Włożyła go wyrobionym ruchem między jasnorożowe wargi. Jej oczy zwęziły się. Wysunęła lekko szczękę. Obserwował z rozbawieniem, jak dmucha w papierosa i nic się nie dzieje. Początkowo małym strumieniem powietrza, później zdecydowanie silniej. Żadnego dymu, zaledwie odrobina żaru. Najwyraźniej była początkująca.

- Musisz wciągnąć powietrze do płuc.

Zaciągnęła się z takim samym jak wcześniej zapałem i dostała ataku kaszlu. Polały się łzy, wraz z nimi czarnymi strugami po policzkach spłynął tusz. Już w tamtej chwili powinien był to przerwać, gdyby tylko chwilę pomyślał. Już wtedy, gdyby tylko wykazał się instynktem samozachowawczym. Ale po paru piwach jego świadomość była mętna jak zacier. Z kieszeni szaroniebieskich mundurowych spodni wyciągnął chusteczkę, ujął dziewczynę pod brodę i wytarł z grubsza jej twarz, tak jakby była jego młodszą siostrą. Pachniała wanilią.

- Ile masz właściwie lat?

- Siedemnaście. Chodzę do biolchemu - skłamała. - A ty?

- Nazywam się Tommy Trygvesson i odbywam służbę wojskową na A7. Moi rodzice wynajmują tu domek letniskowy. Zatańczysz?

- Do Curta Görana? Nie sądzę. - Później zrozumiał, że ani nie miała pieniędzy na wejście, ani też nie знаła żadnych kroków tanecznych, ale akurat wtedy to nie miało dla niego znaczenia. Widział jedynie jej niebieskie, cykoriowe oczy, brązowy płaski brzuch z małym, śmiesznym pępkiem i gęste jasne włosy pachnące wanilią.

- Może przyniosę kilka piw i usiadziemy sobie na dole przy wodzie. Chcesz iść ze mną? - Wskazał na domek letniskowy na końcu drogi. Uśmiechnęła się do niego i od tej chwili nie było już odwrotu. Chciał ponownie zobaczyć ten uśmiech. Jej górna, trochę wystająca warga była taka urocza. Chciał zatrzymać ją przy sobie. Dotykać jej i całować jej górną wargę. Później myślał, że było z nią tak jak z kotem, którego przygarnął latem. Kochał go i głaskał, ale kiedy uczucia osłabły, zwierzę musiało radzić sobie samo.

- Kiedy wyjdę z wojska, pójdę do szkoły policyjnej. Dostałem się na semestr jesienny.

- Na stałym łądzie? - w jej głosie słychać było zawód. Wyczuwał go, nawet gdy uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

- Tak - trzymał papierosa i puszkę w jednej ręce, drugą objął ukradkiem jej ramiona. Przy plaży rozlegały się dźwięki piosenki *Dziewczyna z mojego dzieciństwa*. Oparła głowę na jego ramieniu. Czuł, że chce mu się siku, ale nie chciał przerywać tej zaczarowanej chwili. Siedem pustych puszek leżało przy jego stopach, dwie z nich wypita ona, a teraz sięgnęła nieśmiało po trzecią. Pochylił się, aby pocałować ją w usta, nie od razu udało mu się je odnaleźć. Zderzyli się nosami. *O słońca brzasku widzę, jak leżysz na piasku* - rozległo się z głośników, a chwilę później: *ta piosenka to moje wyznanie miłości. Przypomnienie, jak kocham cię w serca skrytości. Pomyśl o mnie*. Tak właśnie się czuł. Pomyślał wtedy, że to najlepszy tekst, jaki ktoś kiedykolwiek napisał. Każde słowo miało własne, głębokie znaczenie. Noc była chłodna. Wyspy Karlsöarna skąpane były w uwodzicielskim świetle zachodu słońca. Czerwone słońce odbijało się w ciemnej wodzie, tworząc ognisty szlak prowadzący aż do plaży, gdzie oblewał trawę płomieniem. Ukrył twarz w jej włosach i mruzczał teksty, które usłyszeć chce każda kobieta. Jednocześnie rozpinał guziki jej bluzki. Nie protestowała, po prostu położyła się na piasku i patrzyła na niebo nad jego twarzą. Nad morzem szybowała biała mewa na nieruchomych skrzydłach. Śledził ptaka wzrokiem. Dźwięk podniesionych głosów zbliżał się do nich. Ktoś sikał w krzaku obok. Wysoki kobiecy śmiech i zachrypnięty, przechodzący mutację głos.

- Tu jesteś, cholera, Trygvesson. - Pryszczaty, szczerzący zęby w uśmiechu chłopak wdarł się w ich pole widzenia i oblizał się. W ręku trzymał hot doga. -

Nie tyje się od kiełbasy, ale od sosu. Tak mi powiedziała. Powiedz, jak się zmęczysz, to cię zmienię. – Położył się na ziemi obok i chwycił ją za biust. – Boże, jakie cycki!

Trygvesson był zbyt pijany, żeby odpowiedzieć na tę zniewagę. Później sam był zaskoczony, że Mona nie zareagowała nawet miną. Wszystkie dziewczyny, jakie do tej pory spotkał, naprawdę by się wkurzyły. Ona jednak leżała, nie zakrywając piersi, i patrzyła na sunące po niebie mewy, tak jakby to, co się wydarzyło, nie dotyczyło jej. Kiedy chciała wrócić do domu rowerem, zapytał, czy mogą się znowu zobaczyć. Kiwnęła głową.

– Jak masz na imię? – spytał. – Nie powiedziałaś, jak masz na imię.

– Mona. – Następnie pojechała, wchłonięta przez letnią noc. Wciąż słysząc było ostatnie dźwięki piosenki Curta Görana zostawiające osobliwy, mdły posmak. Następnym razem, gdy się spotkali, wręczył jej płytę Curta Görana. Potem uznał, że mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek później ją odsłuchiwała. Wtedy inwestycja w odtwarzacz była czymś niewyobrażalnym. A później, po tym, co się stało, połamała płytę na kawałki, choć kosztowała 33,50 w sklepie Tempo.

Była jak trucizna w jego krwi. Powinien się domyślić, czym to wszystko się skończy. W latach siedemdziesiątych nie było dla nikogo tajemnicą, jak następuje przedłużenie ludzkiego gatunku. W planie nauczania był nawet specjalny blok zajęciowy, który pod nazwą „Życie razem” dotyczył tej kwestii. Przedmiot, który znacząco zredukował liczbę nauczycieli-mężczyzn i był prowadzony wyłącznie przez przypadkowych ludzi na zastępstwie, ale który jednocześnie dogłębnie opisywał reguły obowiązujące w życiu.

Pewnego wczesnego sierpniowego ranka ojciec poprosił go o rozmowę w cztery oczy. Zamknął za nimi drzwi i wskazał mu krzesło naprzeciwko siebie przy stole, tak jakby syn był gościem, kimś obcym. Męska rozmowa. Z twarzy matki wyczytał, że nie miały to być dla niego dobre wieści. Wystarczyło, że zobaczył, jak zwija brzeg swojego fartucha, by zrozumiał powagę sytuacji. Nie wiedział jednak, że jego świat zawali się, że wstrząśnięty poczuciem winy wyjdzie z pokoju i obieca sobie, że już nigdy nie spotka się z Moną. I pomyśleć, iż uważał, że wszystkie, które nie stawiają oporu, biorą pigułkę. To było jakieś niedomówienie. To o to chodziło. Przecież wszyscy o tym wiedzieli. Ale ona była tylko dzieckiem. Czternaście lat! Oszukała go.

– Jak mogłeś być tak bezmyślny? – Trygvesson senior miał trudności z opanowaniem drżenia w głosie. – W świetle szwedzkiego prawa to przestępstwo. Ona jest niepełnoletnia. Jak chcesz dostać się teraz do szkoły policyjnej? Twoja kartoteka w rejestrze karnym powinna być nieskazitelna. Wiedziałaś o tym. Co ty sobie właściwie myślałeś?

– Może usunie? – już w tamtej chwili nienawidził się za te słowa, za tchórzostwo. Nienawidził również jej i systemu, który obarczył go winą, zacisnął na nim obręcz, z której nie mógł się uwolnić. Jak coś tak pięknego mogło w ułamku sekundy okazać się przestępstwem?

- Nie zrobi tego. Jej ojciec jej nie pozwoli. Chce pieniędzy!

- Co! - Potrwało chwilę, zanim do niego dotarło. W głowie słyszał szum.

Chciał stamtąd uciec.

- Rozumiesz? Chce cholernie dużej sumy pieniędzy w zamian za stwierdzenie: „Ojciec nieznany”. I jeszcze jeden warunek: nigdy więcej, nigdy, nie będziesz próbował się z nią skontaktować. Chodzi tu o całą twoją przyszłość! Nie mamy wyboru. Byłem już w banku w sprawie pożyczki.

Tommy Trygvesson miał syna. Po pogrzebie Eriki ta myśl zupełnie go pochłonięła. W tym fakcie był cały sens i treść życia. Jego geny żyły dalej, jego, choć nie Lillemor. Słyszał wykład Arnego Folhammara w sali archeologicznej. Czuł dumę i tęsknił za tym, aby się ujawnić, przerażony, że spotka się z pogardą. Nietrudno było znaleźć Monę, choć wyszła za męża i zmieniła nazwisko. Spotkali się kilka razy i spali ze sobą w krzakach niedaleko wioski rybackiej. W pośpiechu i bez uczucia radości. Tak po prostu było, to było niewytłumaczalne. Przecież kochał Lillemor. Może chciał w ten sposób dowalić Wilhelmowi, oddać mu za to, co zrobił Arnemu. Jak na wojnie, kiedy upokarza się wroga, zabierając mu jego kobietę. Twarzyczka chłopca z pożółkłej fotografii w archiwum patrzyła w jego stronę oskarżycielsko, prosto w serce ojca. Gdzie wtedy byłś?

Pełen nienawiści szedł za Wilhelmem aż do samego sejfu. Zobaczył srebro i góry pieniędzy i przycisnął go do ściany. Wilhelm słyszał oczywiście historię Arnego i wiedział, kto jest jego ojcem. Wiedział wszystko o łapówce zapłaconej w zamian za milczenie. Można było zażądać więcej pieniędzy. Chytremu nigdy dość, zanim jego usta nie wypełnią się ziemią. Spotkali się w domku przy plaży, aby dokonać porachunków. Raz na zawsze. Nowa suma pieniędzy w zamian za zachowanie milczenia, tak sądził Trygvesson. Ale Wilhelm posunął się za daleko, kiedy zażądał, aby Trygvesson zapewnił mu ochronę, gdy kontynuował proceder przetapiania gotlandzkiego dziedzictwa na produkowany na masową skalę szmelc. To, co nie mogło się wydarzyć, wydarzyło się.

Zaskoczyło jego samego, że potrafił działać tak metodycznie, bez udziału emocji. Może lata przepracowane w wydziale kryminalnym sprawiły, że stał się twardszy. Tak jakby on sam stał obok i obserwował, jak ktoś odbiera życie Svei, jakby była starym, chorym psem... A później Birgitta. Nie miał wyboru. Nie było już odwrotu. Skąd mógł wiedzieć, że ona i Arne... Przecież nawet ze sobą nie mieszkali. A gdyby wiedział, czy wówczas zawahałby się? Sam by się podstawił i darował jej życie dla dobra Arnego? Być może. Teraz została tylko Mona. Kiedy się jej pozbędzie, będzie po kłopotcie. Wina spadnie wtedy na Henrika Dune. Henrik był za głupi, żeby wymyślić sobie jakieś alibi. Jego samochód stał już krzywo zaparkowany na parkingu przy szpitalu. Kiedy media natrafią na ślad skarbu Waldemara Atterdaga, trzeba będzie szybko przeprowadzić proces i znaleźć winnego. Będzie dla nich otwarty i przyjazny i przyskrzynią tego cholernego Dunego. Później będzie po wszystkim. Niech tylko ustąpi ten skurcz w klatce piersiowej i wszystko się ułoży.

Nadeszła pora lanczu i połowa personelu wygrzewała się teraz w słońcu na trawniku przed szpitalem. Ogłoszenia, za pomocą których werbowano pracowników w sezonie letnim, obiecywały więcej godzin słońca niż na stałym łądzie, choć jednocześnie takie samo wynagrodzenie. Ci, którzy się skusili, leżeli teraz w grupkach, inkasując swoje wynagrodzenie. Wydawało się, że nikt nie



zwraca na niego uwagi, był chyba zbyt stary dla tych młodych dam.

Trygvesson wiedział, gdzie w piwnicy znajduje się magazyn z ubraniami, od kiedy wiosną złapali tam złodzieja. Wystarczyło tylko dostać się tam z kimś, kto miał kartę dostępu. Jeśli wygląda się zwyczajnie i schludnie, ryzyko kontroli jest znikome. Może podać się za lekarza ze stałego łądu. Kto takiemu podskoczy?

Ubrany w biały kitel dostał się na oddział zakaźny. W korytarzu nie było żywego ducha. Z pokoju personelu dobiegały głosy. Przemknął szybkim krokiem. Wydawało się, że nikt nie zauważył. Według jego informacji Mona leżała w sali numer dziesięć, bez wyjścia na dziedziniec. W środku panował półmrok. Żaluzje były zaciągnięte, a ciche odgłosy wydawane przez wiatrak brzmiały jak senna piosenka. Na szafce nocnej stało dziesięć róż w nierdzewnym wazonie. W łóżku leżał ktoś z twarzą odwróconą do okna. Trudno powiedzieć, czy spał. Klatka piersiowa pod żółtym kocem poruszała się miarowo i spokojnie. Jak długo człowiek potrafi wytrzymać bez tlenu? Co najmniej trzy minuty, walka będzie trwała trzy minuty, później straci przytomność, a później jeszcze chwila, aby się upewnić. Trygvesson popatrzył na zegar nad fotelem. Jeśli nie zobaczy jej twarzy, jeśli nie da jej szansy, aby z nim porozmawiała, może wtedy się uda. Ucisk w klatce piersiowej sprawił, że prawie stracił oddech. Atak serca czy tłumiony płacz? Nie miał czasu o tym myśleć. Wyjął rękawiczki z kieszeni spodni i nałożył je z trudnością na swoje spocone dłonie. Mona poruszyła się lekko, nogami zrzuciła z siebie koc. Trygvesson wziął głęboki oddech. Teraz...

- Hej! Co pan wyprawia? - Nie usłyszał cichych kroków. Teraz stała tam w drzwiach, jak jasny anioł. Niepożądane objawienie w bieli. Trygvesson podbiegł do drzwi i odepchnął ją z taką siłą, że upadła na podłogę. Kobieta wrzasnęła, z pokoju rozległ się krzyk Mony, od strony kuchni nadeszła kolejna kobieta. Nie żadna drobna, eteryczna postać, ale osoba tej samej kategorii wagowej co on.

Kiedy Maria Wern i Tomas Hartman przybyli na oddział pięć minut później, znaleźli Trygvessona w kuchni, przyciśniętego do ściany przez krzepką pielęgniarkę. W rękę trzymała rozbitą butelkę po cydrze.

# Przypisy

[1] Terapia pierwotnego krzyku - jedna z metod psychoterapeutycznych polegająca między innymi na wyładowaniu emocji poprzez krzyk, a następnie przeżywania negatywnych emocji tłumionych w dzieciństwie (przyp. red.).

[2] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia wg św. Mateusza, 5,30.

[3] Treo - sprzedawany w Szwecji lek przeciwbólowy i przeciwgorączkowy (przyp. red.).



# OFIARY Z MARTEBO

Wilhelm Jacobsson, właściciel małego gospodarstwa w Martebo na Gotlandii, zaginął bez śladu. Borykał się z problemami finansowymi, miał na pieńku z sąsiadami, a jego relacje z bliskimi były dalekie od ideału. Wkrótce z morskiej wody zostaje wyłowiony mały palec w foliowej torebce, a kilka dni później pies wygrzebuje ze stosu kamieni zwłoki mężczyzny. Śledztwo prowadzi komisarz Maria Wern, która próbuje odkryć, jakie sekrety skrywa rodzina Jacobssonów. Czy legenda o zaginionym średnio-wiecznym skarbie ma jakiś związek ze sprawą?

*Kryminały Anny Jansson mają głębię rzadko spotykaną w innych powieściach tego gatunku.*

*„Länstidningen Södertälje”*

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

ISBN 978-83-271-5134-6

EAN 9788327151346

U.WD.KRW035.1.01.01